

Nagie ostrza

Rok 1410

Tak się stało, że mało ważny w istocie przypadek zadecydował o losie i życiu kilku ludzi. Inaczej zapewne potoczyłyby się zdarzenia, gdyby w wozie, którym mieli jechać więźniowie, nie pękł dyszel.

Zgodnie z rozkazem konwój miał wyruszyć nocą. Deszcz zaczął jednak padać już z wieczora, zamieniając drogę wiodącą z bydgoskiego zamku w grzęskie bajoro. Konie, dobrze odżywiane i wypoczęte, zatem ostre i żądne ruchu, rychło spowodowały wypadek, zwłaszcza że panowały jeszcze ciemności.

Trzeba więc było je wyprzęgać, a więźniów odprowadzić z powrotem do lochów. Zanim zaś dopasowano nowy dyszel, nastał już świt. Na zamkowym podwórku zaczęli kręcić się pachołkowie i służba, toteż widok pobrzękujących łańcuchami złoczyńców, których ładowano powtórnie na wóz, ściągnął tłum ciekawych.

Wprawdzie dowódca konwoju rycerz Maciej z Rogoźna próbował rozpędzić gapiów, ale nie na wiele to się zdało. Rozsierdzony więc zwłoką i skutkami, jakie spowodowała — bo rozkaz był wyraźny — złość wylewał na zbrojnych. Ci, poganiani klątwami, pośpiesznie dopinali popręgi i zakładali wędzidła.

Nie obyło się jednak bez wymiany pożegnań z czeladzią zamkową. Do wozu podsunął się jeden z pachołków, który właśnie skończył wartę na murach.

— Ej, Włodek! — zagadnął jednego ze zbrojnych. — A dokąd ich wieziecie?

— Szmat drogi, bo aż do Krakowa, bracie, i to w taką pogodę! — Zapytany spojrzął ku niebu na szare jesienne chmury ciągnące nieomal nad ich głowami.

— *To naprawdę daleka droga — wtrącił się do rozmowy chudy, niski człeczyna, który również obserwował sposobiący się do drogi oddział. — Najlepszy trakt idzie na Inowrocław i Łęczycę. Inaczej utopicie się w błocie, bo deszcze będą teraz padać bez przerwy...*

— *Tak też i pojedziemy, bo na noc mamy dotrzeć do Inowrocławia! — rzucił woj, spiesznie dosiadając konia, gdyż reszta oddziału była już w siodłach.*

Woźnica szarpnął lejcami i wóz ruszył, a za nim, otoczywszy go kołem, zbrojni strażnicy.

Kiedy daleko już zostawili za sobą zamek i miasto, znowu zaczął mżyć drobny deszcz, zasnuwając mglistą szarością rozległy obszar pól ciągnących się po obu stronach drogi. Jeźdźcy okręcili się opończami i skuleni w siodłach klęli jesienną pogodę i własny los. Wóz włókł się po błotnistej drodze, kolebiąc się na wybojach, z których wytryskiwała czarna, mętna woda. Konie szły noga za nogą, nieprzynaglone przez przemoczonego woźnicę.

Za jego plecami leżeli na słomie więźniowie, skuleni i otępiali, obojętni na powolne posuwanie się orszaku, wiedząc, że kres tej podróży będzie również kresem ich życia.

Zbliżało się chyba południe, kiedy w przesiąkniętej deszczem przestrzeni, daleko za orszakiem, ukazały się sylwetki dwóch jeźdźców. Ich wierzchowce szły ostrego klusa, toteż wkrótce dopędzili wolno toczący i się wóz. Dowódca oddziału, usłyszawszy chlupot rozpryskiwanego kopytami błota, obejrzał się za siebie.

Jeźdźcy zjechali na pobocze. Wyprzedzając wóz, jeden z nich odwrócił głowę i spojrzawszy na więźniów napotkał wzrok Petera, który ze zdumieniem spostrzegł, jak na krótką chwilę jedna z powiek jeźdźca przymknęła się w mrugnięciu, jednocześnie zaś ręka uniosła się w górę, a jej wskazujący palec na moment przywarł do warg.

Za chwilę jeźdźcy przelecieli i widać już było tylko ich plecy, a potem obie sylwetki poczęły zacierać się w deszczowej szarudze.

Peter musiał dokonać dużego wysiłku, by opanować zdumienie i gwałtowny wybuch radości. Przymknął zaraz oczy i opuścił głowę, by pachotkowie otaczający wóz nie dostrzegli na jego twarzy oznak przeżytego wstrząsu. A więc nie wszystko jeszcze stracone! Chwała Zakonowi i jego potędze!

Deszcz siąpił teraz bez przerwy i znacznie opóźniał posuwanie się konwoju. Drogi rozmokły na dobre i nieraz trzeba było zsiadać z koni, by podierać grzęznący w błocie wóz. Przewidzianych w planie podróży nocnych postojów nie dało się więc na czas osiągnąć i trzeba było nocować tam, gdzie łąpały oddziały wczesne wieczorne ciemności.

Tego dnia, minąwszy Płowce, konwój dotarł do Jeziora Głuszyńskiego. Nastawał już mrok, toteż rycerz Maciej zarządził nocleg w rybackiej osadzie rozłożonej nad brzegiem.

Osada składała się z kilkunastu kurnych klet. Z ich dachów, ścieląc się ku ziemi, szły dymy, przyduszone deszczem mżącym z nisko ciągnących chmur.

Wprowadzili wóz do jednej z obszerniejszych zagród i okrzyknęli gospodarza. Kiedy wybiegł z klety, załęczony ich widokiem, zażądali miejsca pod dachem dla siebie i koni oraz dobrze zamkniętego schowka dla więźniów.

Rybak, dopinając kaftan, poprowadził ich najpierw ku szopie, by przede wszystkim umieścić wierzchowce. Dla więźniów znalazł się spichlerzyk, murowany z nieobrabianych polnych kamieni, z mocnymi dębowymi drzwiami. Zaraz też objął przed nimi straż wyznaczony przez rycerza Macieja pierwszy wartownik. Reszta poszła za dowódcą do klety rybaka, by przy ogniu wysuszyć przemoczoną odzież, a potem ułożyć się do snu wokół paleniska wymurowanego z wielkich kamieni na środku izby.

Upłynęła godzina, potem druga. Wartownik został zmieniony, potem krótko przed północą przyszedł rycerz Maciej, by sprawdzić czujność straży. Wreszcie blask ognia bijący przez otwór dymny w dachu klety począł blednąć, co znaczyło, że ogień, niepodsypany przez śpiących wojów, zaczął przygasać.

Noc nastąpiła już głęboka, czarna i mokra padającym bez przerwy drobnym deszczem, kiedy skulonych z zimna więźniów obudziło szarpnięcie za ramiona. Zerwali się, dzwoniąc łańcuchami.

— Cicho! — padło z ciemności krótkie ostrzeżenie. Jednocześnie poczuli na twarzach podmuch zimnego powietrza. — Dawajcie ręce...

Resztki sennego zamroczenia uleciały. Peter śpiesznie wyciągnął ramiona. Czyjeś palce chwyciły go za przeguby i przez moment macały skuwające je obręcze. Rozległ się zgrzyt żelaza o żelazo. Trwało to dość długo, aż wreszcie Peter poczuł, że obręcze rozwierają się, a ramion nie ściąga już ku dołowi ciężar łańcuchów.

Po chwili i Lasota pozbył się swoich okowów. Przez ten czas Peter, czekając w ciemności, zastanawiał się, czy wartownik został obezwładniony na tyle skutecznie, że będą mogli po cichu dopaść koni.

Pozbył się tych wątpliwości, kiedy pociągnięty za połę wysunął się za swoim oswobodzicielem z komórki.

— Uważaj — usłyszał tuż przy uchu jego szept. — Nie wywal się o zwłoki waszego stróża. Leż tu gdzieś pod ścianą.

Zatrzymał się na chwilę, ledwie widoczny na tle nieco jaśniejszego nieba.

— Macie to... Może się przydać. — Wetknął im w ręce noże, których ostrza tkwiły w drewnianych pochwach. — Teraz za mną — padł cichy rozkaz. — Mój towarzysz siodła wam konie.

Zaczęli skradać się ku szopie mającej w ciemnościach. Szli gęsiego, trzymając się krajów swoich opończy.

Kiedy już docierali do szopy, od strony klety doszedł ich skrzyp otwieranych drzwi. Ujrzeni na chwilę nikły blask bijący z jej wnętrza. Na tle tej poświaty ukazał się zarys postaci. Potem, kiedy drzwi zamknęły się z powtórным skrzypnięciem, nikogo nie było już widać. Usłyszeli jednak odgłos stąpanięć człapiących po błocie podwórza. Ktoś szedł w stronę komórki.

Przewodnik przywarł do ściany, wstrzymując ramieniem postępujących za nim więźniów.

— To starszyna oddziału — szepnął mu na ucho Lasota. — Niedobrze... Idzie sprawdzić straż.

— Czekajcie tu. Zaraz go załatwię.

— Mnie winien zapłatę, nie tobie. Ostań, ja pójdę! — rzucił ledwie dosłyszalnie mnich, w szepcie tym jednak zadrgała dzika nienawiść.

— Ruszaj tedy, ale uważaj, bo to chłop silny jak tur. W plecy go dźgnij.

— I ja nie z tych najślabszych — doleciał ich zanikający w ciemności głos.

Rycerz Maciej, obudziwszy się wśród nocy, istotnie wyszedł sprawdzić, czy wartownik należycie pełni swoją służbę, gdyż uprzedzono go, że więźniowie są ważni i wymagają czujnej opieki. Z trudnością wyciągając nogi z grząskiego błota, na wpół jeszcze otumaniony snem, nie dosłyszał żadnego odgłosu poprzedzającego napaść. Poczuł jedynie raptowne szarpnięcie za włosy, które ze straszliwą siłą odgięło mu do tyłu głowę, a w mgnieniu potem ból niby krąg ognia objął mu szyję.

TYM RAZEM PETER Vogelweder musiał długo czekać na wezwanie do wielkiego marszałka. Tyle tylko, że kiedy po uciążliwej i szarpiącej nerwy ucieczce dostał się wreszcie wraz z bratem Lasotą do Malborka i zgłosił przybycie domowemu komturowi, otrzymał polecenie, by wraz z towarzyszem przenieśli się na Dolny Zamek, gdzie wyznaczono im kwaterę. Pozwalało to cierpliwie czekać na dalsze polecenia bez ponoszenia

rujnujących kosztów utrzymania w oberży, na co zresztą obecnie nie mógłby sobie pozwolić. Pieniądze bowiem, które mu jeszcze pozostały, a była tego spora sumka, przezornie zakopał obok szafasu na wyspie. Mógł wprawdzie tam dotrzeć, klucząc i omijając ludzkie osiedla, i pieniądze odkopać, ale na tyle poznał już swego towarzysza, by poniechać tego zamiaru. Mogło bowiem łatwo się zdarzyć, że nie zbudziłby się na najbliższym noclegu.

Brat Lasota, wysoki i żylasty, okazał się nieprzeciętnym siłaczem, co nie byłoby znowu tak złe, gdyby nie cechująca go dzikość i upodobanie w okrucieństwie.

Raziło to częstokroć Vogelwедера, zwolennika metod bardziej wyrozumowanych i przebiegłych, rzec by można subtelnych. Dlatego wołał pozostawić pieniądze w kryjówce i nie kusić licha.

Teraz, siedząc na zakonnym wikcie, mógł czekać cierpliwie na posłuchanie, rozważać swoją sytuację i obliczać szanse, jakie mu pozostały. Nie były to rozmyślania zbyt wesołe. Pozostawała jedynie dalsza służba dla dobra Zakonu i nadzieja, że być może tą drogą uda się odzyskać utraconą pozycję i majątek. Jednocześnie zaś hodował w sobie starannie zajadłą nienawiść do człowieka, który wpędził go w to położenie. Pragnienie zemsty było teraz przewodnią nicią planów na przyszłość.

Przekonał się wkrótce, że i mnich darzy owego chwata równie silną nienawiścią. Jako bardziej prymitywny nie ukrywał jej tak głęboko w sercu, wybuchając gniewem i pomstując przy każdej wzmiance o swej przygodzie w koronowskim klasztorze, gdzie tak łatwo dał się wywieść w pole.

To wspólne pragnienie sprawiło, że brat Lasota stał się panu Vogelwederowi mniej uciążliwym towarzyszem.

Wreszcie, po paromiesięcznym oczekiwaniu, Peter został wezwany do Średniego Zamku.

Tym razem wielki marszałek był w komnacie sam. Odwrócił się od okna i na ukłon Vogelwедера odpowiedział krótkim skinieniem głowy.

— Opowiadaj, jak to było — rzucił bez wstępów. — Wiem, żeś wpadł w tarapaty, aleś przy boskiej i naszej pomocy wyszedł z nich obronną ręką.

Peter zdał relację z przebiegu zdarzeń, po czym zakończył:

— Porwaliśmy im konie, resztę przegnawszy, i jeszcze nocą pozostawili za sobą szmat drogi. Potem szczęśliwie udało się nam ująć pogoni i, przedzierając się wciąż na północ, dotarliśmy do granicy.

— Przekonałeś się więc, że długie ramię ma Zakon i swoich ludzi w biedzie nie opuszcza. Myślę, że to doceniasz.

— Żeby przy długim ramieniu szczodrzejszą miał dłoń — mruknął Peter. — Cały majątek straciłem i nawet dziewczka mi na osłodę nie została.

Wielki marszałek roześmiał się.

— Alboż to skąpimy ci w czymś?!

— Nie w innej służbie, lecz w zakonnej zostałem nędzarzem bez grosza przy duszy i dachu nad głową.

— No, ten masz u nas, a i grosz się znajdzie! Swoje zadanie wykonałeś dobrze, a nowe cię czeka. U nas wprawdzie też się nie przelewa, ale dla ciebie jeszcze starczy, nie frasuj się!

Peter przypomniał sobie ludzkie gadki mówiące o wieży wypełnionej złotem, która miała znajdować się w obrębie Wysokiego Zamku, ale wolał tych myśli nie wypowiadać. Westchnął więc tylko i rzucił od niechcenia:

— Wasza wielmożność ma dla mnie nowe poruczenie?

— A mam, bracie, mam. A jak dobrze je wykonasz, znów będziesz bogatym człowiekiem. Daję ci na to moje słowo.

— To się cieszę, bo obietnica waszej wielmożności pewniejsza niż kupiecki skrypt.

Von Wallenrode spojrzął bacznie w twarz swego rozmówcy, ale była ona poważna i nie zdradzała niczym, że wypowiedziane słowa można by uważać za kpinę. Toteż wielki marszałek odwrócił spojrzenie, uśmiechnąwszy się, podszedł do krzesła i ciężko na nim usiadł.

— Poruczenie miałbym niejedno, ale wprzód pogadajmy o tym, które wykonać musisz bez względu na trudności i warunki. Drugie bowiem będzie zależało od zaistnienia przychylnych okoliczności... no i twojego szczęścia.

— Uczynię, co zdołam, aby zadowolić waszą wielmożność — rzucił Peter z lekko zaznaczonym ukłonem.

— A więc słuchaj. W obecnym stanie spraw interesuje nas w Polsce wiele rzeczy, ale głównie chcemy wiedzieć, gdzie z chwilą wygaśnięcia rozejmu będą zbierali chorągwie i czy koncentracja obejmie również wojska litewskie, czy też uderzą one samodzielnie. Poza tym dobrze byłoby znać szlaki, jakie zostały wyznaczone dla wojsk z poszczególnych ziem. Musisz również rozeznąć rozmiar zaciągów zagranicznych i poznać nazwiska dowódców, co stwierdziwszy trzeba, abyś do nich dotarł. Obiecuj, co zażądają za

wstrzymanie swoich ludzi od udziału w walnej bitwie, jeśli do takowej dość miało. To ostatnie weź sobie mocno do serca. Wreszcie chciałbym wiedzieć, jakie siły pozostawi Jagiełło na południowej granicy. Zbieraj sumiennie te wszystkie wiadomości. Wskażemy ci ludzi, którym będziesz je przekazywał i którzy w razie potrzeby udzielą ci pomocy. O innych pomocników postarasz się sam. Weź ze sobą tego mnicha. To siłacz, może okazać się potrzebny. Pieniądze na wydatki otrzymasz.

— Kiedy mam wyruszyć? Pojadę chętnie, bo i swoje sprawy mam w Polsce do załatwienia.

— Niech mrozy nieco zelżeją, bo teraz nie czas na podróż, a zimą i u tamtych wiele się nie dzieje. Wyjedziesz, jak ruszą pierwsze wody. Masz sporo czasu na przygotowania.

Wielki marszałek wstał z krzesła i przeszedł się po komnacie. Peter, domyślając się z uprzedniej zapowiedzi, że to nie koniec posłuchania, milczał wyczekująco. Istotnie, po chwilowym zastanowieniu von Wallenrode przemówił znów:

— Pora, abym ci teraz rzekł, jak możesz znów stać się bogatym człowiekiem... Ba! Jednym z bogatszych i w Zakonie, i w Polsce! Trzydzieści tysięcy grzywien to wielki majątek! — Wielki marszałek ściszył nieco głos, wymieniając tę istotnie ogromną sumę. — Ale wiemy obaj, że do takich pieniędzy nie dochodzi się łatwo. I trudu wiele potrzeba, i szczęśliwych okazji...

Zawiesił na chwilę głos, ale Peter milczał, nie wiedząc, do czego zmierza jego dostojny rozmówca. Von Wallenrode ciągnął więc dalej:

— Różne bywają ciosy, które rażą rycerza. Nieraz miecz piersi otworzy, a przecież przy życiu zostaje i moc zachowuje. Inna znów rana zdaje się być po wierzchu tylko zadana i mała, a życie tak szybko ucieka, że i pacierza nie skończy mówić, a już śmierć mu oczy zamyka... Trzeba tylko wiedzieć, w jakie miejsce uderzyć, a najsilniejszy wali się z nóg...

— Prawda to, wasza łaskawość — zgodnie stwierdził Peter, mimo że w dalszym ciągu nie wiedział, o co chodzi marszałkowi.

— No widzisz! A teraz zastanów się nad takim uderzeniem, by przeciwnika z nóg zwalić jednym ciosem bez wojny i bitew. Aby zamęt powstał — jak w obejściu, któremu zabrakło gospodarza...

Von Wallenrode umilkł w przekonaniu, że powiedział już dostatecznie dużo. Patrzył teraz uważnie w twarz swego rozmówcy, zmarszczywszy lekko brwi. Peter zaś wiedział już, o co chodzi.

— Mądre słowa usłyszałem od waszej wielmożności — odezwał się ostrożnie. — Ale też dlatego wodzów strzeże się mocno. Dostać się w ich pobliże niełatwa to sprawa...

Wallenrode skinął głową.

— Wiem o tym. Toteż nie jest to bynajmniej żądanie. Rozważam sobie tylko na głos, co mi przychodzi do głowy. Wszystko tu raczej zależy od szczęśliwego przypadku, no i odwagi, by taki przypadek wykorzystać. A wówczas czeka na śmiałka wielka fortuna...

Peter skłonił głowę.

— To prawda. Trzydzieści tysięcy to ogromne pieniądze.

Marszałek położył rękę na jego ramieniu.

— No, dajmy temu spokój. To tylko takie sobie gadanie... Zanim wyruszysz, jeszcze cię wezwę. Ale wspomniałeś coś o swoich sprawach. Nie staną one w poprzek zadaniu, które ci zleciłem?

— Myślę, że nie. — Peter zaciął usta, a wielki marszałek dostrzegł w jego wzroku coś więcej niż dotychczasową układność.

— Poprzysiągłem sobie, że z tego psa, co sprawił, że jako nędzny pacholek po świecie się tułam, wewnątrz wypruję...

W jego głosie zadrgała taka zawziętość i nienawiść, że marszałek uśmiechnął się tylko ze zrozumieniem i klepnął go po plecach.

— Myślę, że to ci w robocie zawadą nie będzie. Spraw się z nim szybko, a że jednego z ich ogarów będzie mniej, to i lepiej. No, idź z Bogiem.

W STYCZNIU I LUTYM Jego Królewska Mość polował wraz z dworem w okolicy Ratna. Potem przez Parczew, Lublin i Kazimierz ruszył do Kozienic na spotkanie z królową Anną. W czwartek, po popielcowej środzie, owego roku przypadającej na 20 lutego, już razem z przybyłą z Krakowa małżonką pospieszył do Jedlna, gdzie wyznaczył spotkanie hrabiemu Hermanowi Cylijskiemu, stryjecznemu królowej.

Porozumienie bowiem między Zakonem a Luksemburczykiem, ostatecznie zawarte z końcem ubiegłego roku, należało osłabić. Toteż kanclerz Trąba nie ustawał w zabiegach zmierzających do tego celu. Ale że i Zygmunt, jak się to później okazało, miał swoje własne polityczne koncepcje, które

wymagały nawiązania rozmów z władcami Polski i Litwy, przeto hrabiemu Hermanowi jako krewnemu polskiej królowej powierzył tajną misję doprowadzenia do skutku spotkania.

Strona polska dzięki swoim ludziom na dworze Zygmunta wiedziała, z czym Cylijczyk przybywa, król Władysław przyjął więc posła nad wyraz godnie. Były właśnie ostatki, toteż trzy dni pobytu w Jedlnie poza tajnymi rozmowami zeszyły na hucznych zabawach, ucztach i rycerskich turniejach. Kiedy zaś po kilku dniach król ruszył w dalszą drogę, poseł towarzyszył mu jeszcze do Iłży, gdzie szczerze obdarowany pożegnał polskiego władcę. Spotkanie z Zygmuntem zostało ustalone na koniec kwietnia w Kieżmarku.

Jeszcze w styczniu ruszyło do Pragi wyznaczone w Niepołomicach poselstwo na sąd Wacława. Pojechał biskup poznański Wojciech Jastrzębiec, marszałek

koronny Zbigniew z Brzezia, kasztelan nakielski i wielkopolski starosta Wincenty z Granowa oraz pisarze królewscy: Jędrzej z Brochocic i Dunin ze Skrzywna, po powrocie siostrzenicy i uzyskaniu przebaczenia kanclerskiego odmłodniały o dziesiątek lat. Z ramienia wielkiego księcia Litwy wzięli w poselstwie udział rycerz Butrym i książęcy pisarz Mikołaj Cebulka, w imieniu zaś książąt mazowieckich marszałkowie: Ścibor Rogala z dworu księcia Janusza i Plichta z dworu księcia Ziemowita. Poselstwu został przydzielony poczet sześciuset rycerzy, co, jak się potem okazało, było uzasadnioną przezornością.

W oczekiwaniu polubownego sądu nie przerywano przygotowań wojennych, a nawet przyśpieszono je znacznie. Mięso z polowań królewskich ćwiartowano, solono, łądowano w beczki i odsyłano do Płocka, wyznaczonego jako główny punkt zaopatrzenia wojsk. Na Śląsku, Czechach, Morawach werbunek szedł nadal. Nawet w krajach saskich zakupywano broń i wojenne przysposobienie.

Obie strony, choć równie gorliwe w przygotowaniach wojennych, różniły się jednak między sobą. W Polsce na ogół przeceniano siły i środki Zakonu, we wszystkich planach zakładając krzyżacką przewagę. W Zakonie natomiast panowała beztroska, buta i urągliwe lekceważenie przeciwnika. Przeceniano własne siły, wierząc jednocześnie w moc ogromnej liczby świętych relikwii znajdujących się w posiadaniu Zakonu. Mniemano bowiem powszechnie, że są one siłą stokroć potężniejszą od wszelkich nieprzyjacielskich chorągwi.

Pierwsze ciepłe podmuchy wiatru zapowiadały nadchodzącą wiosnę. Spod mokrego śniegu, zalegającego podmiejskie pola, zaczęły już się ukazywać czarne płyty przeoranej jesienią ziemi, a w koleinach dróg stały potyskiwe pasma wody.

Zmęczone konie szły stępa, z trudnością wyciągając nogi z grząskiego błota i parując sierścią. Czarny i Rudy wracali do miasta po objęździe wierzchowców, które w ostatnich czasach zbyt mało zażywały ruchu.

Jechali w milczeniu, spoglądając na płaszczyzny dachów widoczne spoza murów. Wisiała nad nimi mokra mglistość, zacierając kontury co dalszych szczytów kościelnych i obronnych wież.

— *Wiosna blisko, trzeba będzie ruszać. Każdego dnia czekam na wezwanie od księdza Andrzeja. Dziwno, że tak długo dał mi wytchnąć — przerwał milczenie Czarny.*

— *Chciał, abys się nacieszył słodkością małżeńskiego łoża — uśmiechnął się Rudy, po czym nachylił się i przejechał dłonią po końskiej szyi. — Zgrzany mocno... — mruknął.*

Czarny roześmiał się.

— *Toteż staramy się czasu nie tracić!*

— *Zdobyłeś piękną i mądrą żonę, szczęśliwcz. Miłuje cię, że zazdrość byłoby patrzeć, gdybym nie widział, jak coraz krzepcej bierze cię pod trzewik. Toteż myślę, że nie ma ci czego zazdrościć, bo swobodzie nic nie dorówna.*

— *Sam byś chciał wleźć pod Zytowy, tylko się wcisnąć nie możesz! Przyznaję, że rozumnych słów, chociażby i babskich, chętnie słucham.*

— *No właśnie — rzucił kpiąco Rudy.*

— *Szukasz pociechy dla siebie? Czyżby z Zytą szło ci kiepsko?*

— *To nie widzisz? — Rudy odwrócił głowę. — Zmarłego co i raz wspomina, a mnie przyjaźń przyobiecuje. Nic więcej.*

Czarny spojrzał na przyjaciela spod oka.

— *Czyżby? A mnie się zdawało... — urwał, szarpiąc wodzami, bo konie, stuliwszy uszy, wyciągnęły ku sobie pyski i, kwicząc, próbowały złapać się zębami.*

— *Co ci się zdawało? — podjął z ożywieniem Jaks, hamując z kolei swego wierzchowca.*

— *Skoroś ślepy, co mam mówić.*

Rudy ze zdumienia aż wstrzymał konia.

— *Ruszaj! — przynaglił go Czarny. — Południe się zbliża i z obiadem już na pewno czekają!*

— *Mówże, do czarta!*

— *Nic ci nie powiem, bo może naprawdę tylko mi się wydało? A jeśli nie, to przyjdzie czas, że sam się przekonasz.*

— *Bodajżeś się udławił takim gadaniem, psi chwoście! — rzucił ze złością Jaksą i spiął konia ostrogami. Czarny, uśmiechając się, ruszył za nim. Rozpryskując błoto kopytami koni, dotarli wkrótce do furty.*

Zostawili wierzchowce w zamkowej stajni, a sami szybko ruszyli na Kanoniczną, bo istotnie był już czas na południowy posiłek. Ksiądz Dunin, biorąc udział w praskim poselstwie, bawił jeszcze w podróży, ale dom i służbę pozostawił do dyspozycji siostrzenicy i jej przyjaciół, toteż i Jaksą przeprowadził się tutaj, by być bliżej ukochanej. Zyta bowiem, zaprzyjaźniwszy się z Uną, najchętniej przebywała razem z młodym małżeństwem.

Brnęli przez uliczne błoto w milczeniu, każdy zajęty własnymi myślami. Dopiero kiedy podchodzili już do drzwi, Czarny rzekł półgłosem towarzyszowi:

— *Rzuć okiem na narożny dom. Znów tam siedzi ten żebrak.*

— *To i co z tego? — Rudy spojrzął przelotnie w głąb ulicy. — Żebrak jak żebrak. Mało ich?*

— *Siedzi tu dopiero od kilku dni. I to tylko od południa do zmierzchu.*

— *Wiesz już aż tyle? — Jaksą uderzył w kołatkę. — Widzisz w tym coś niezwykłego?*

Służebna otworzyła drzwi i weszli do sieni, otrząsając nogi z błota.

— *Zastanawiam się, po co tu siedzi. Tędy nie chodzi dużo ludzi. Na Grodzkiej miałby więcej datków.*

Rudy wzruszył ramionami.

— *Dobrze ci się wie, skoro masz tylko takie troski.*

Na piętrze spotkali Unę, która najpierw zarzuciła mężowi ręce na szyję, a potem ofuknęła, już obu, za spóźnione przybycie. Czarnemu dostało się dodatkowo za

niedokładne wytarcie obuwia. Toteż Rudy, kierując się do swojej izby, rzucił zgryźliwie:

— I bacz, chłopaczku, abyś nie umoczył noska w zupie.

— To utrę go, a i tobie też — odburknął Czarny ze szczotką w ręku.

Kiedy służebna zabrała już ze stołu miski i talerze, Una zwróciła się do męża:

— Wybieramy się do miasta po materiał dla Zyty. Może pójdziecie z nami?

— Aby wyczekać przed kramami, aż orzekniecie, że nic odpowiedniego nie możecie znaleźć? Nie, kochana, my z Rudym wybieramy się do sadu na strzelnicę. Ostatnio mało co ćwiczyliśmy. Idźcie same. — Zawahał się przez chwilę i dodał: — Zresztą niech idzie z wami Dzieweczka, i bacz na nie pilnie! — zwrócił się już bezpośrednio do olbrzyma.

Obie kobiety spojrzały ze zdumieniem na Czarnego. Jaksza odwrócił głowę i również utkwiał pytający wzrok w jego twarzy.

— Czego się boisz? Albośmy to już same nie chodziły? Przecież wrócimy za widna!

— To tylko na wszelki wypadek. Nudzi mu się, niech więc sobie trochę pospaceruje. Nieprawdaż, Dzieweczka?

— Z ochotą! Bo, po prawdzie, to mi się już przykrzy jak diabli! Ty z Uną swiergolisz bez przestanku, Rudy za Zytą łazi, a ja co? Nawet do szynku nic mam z kim pójść!

— Zatem od dziś chodzisz z nimi. A wy pamiętajcie, abyście same nie ruszały się z domu.

— Dlaczego, Bert? — Zyta z niepokojem spojrzała na brata.

— Dla mego spokoju. Dość już było z wami kłopotów. Wolę teraz dmuchać na zimne.

Więcej już o tym nie było mowy. Obie kobiety w towarzystwie Dzieweczki poszły do miasta, a Czarny i Rudy wyruszyli do sadu, który rozciągał się za podwórcem.

Urządzili tam sobie strzelnicę, gdyż utrzymanie sprawności oka i ręki wymagało stałych ćwiczeń.

Zeszli się znów, kiedy światłość dnia zaczęła przygasać, a wewnątrz domu panował już mrok. Była to pora ulubiona przez całą czwórkę. Siadali wówczas przed kominkiem w świetle padającego stamtąd ognia i grzejąc się w jego ciepłe, prowadzili mało ważne rozmowy.

Teraz obie kobiety, przechylone do ognia, oglądały zakupione materiały. Czarny, rozparty w fotelu kanonika, wyciągnął długie nogi ku kominkowi i suszył przemoczone trzewiki.

— Znów nowe kiecki? — mruknął do Uny. — Już te, które masz, nie chcą pomieścić się w skrzyniach.

— Dla mnie tylko ten modry atłas. Będzie mi w nim dobrze i może wreszcie ci się spodobam.

— Wątpię, skoro nie zdołałaś dotąd. A ten czarny łaszek pewnie dla Zyty?

— Ma jeszcze żałobę, więc innych kolorów nie może nosić.

— Tym bardziej że wie, jak w czarnym pięknie wygląda.

Zyta pogroziła bratu palcem.

— Możem nie praw?! Spytaj Jaksy!

— Przestań, Bert. — Zyta opuściła wzrok, rumieniąc się lekko.

— Dlaczego mam przestać? Czy nie trzyma się twojej kiecki jak nieletnie pacholę?

Zyta rzuciła krótkie spojrzenie na Rudego, który siedział, milcząc, zapatrzony w ogień. Czarny bezlitośnie nie zmieniał tematu.

— Strzelaj ślipiami, strzelaj... On i tak tego nie dostrzega! Dlatego taki markotny!

— Nie ma co dostrzegać. — Una wtrąciła się do rozmowy. — Zyta teraz w żałobie i nie przystoi, abys sobie czynił takie żarty!

— Patrzcie ją, obrońca się znalazł! Jakbym nie widział tego, czego ten gamoń dostrzec nie umie!

— Bert! — wykrzyknęła Zyta, tym razem rumieniąc się gwałtownie.

— Słuchaj, Czarny. — Przewiska tego Una używała, kiedy zaczynała ją ponosić złość. — Albo powściągniesz jęzor, albo we dwie dobierzemy ci się do skóry!

Rudy odwrócił wzrok od ognia i spojrzał badawczo na Zytę. Ta opuściła głowę i odezwała się, hamując szloch:

— Jesteś niecny plotkarz!

Czarny ujął ją pod brodę.

— Chcę mu dodać nieco otuchy, skoro ty tego nie czynisz! A plotkarz nie jestem, bo to prawda! Może zaprzeczysz, że wodzisz za nim oczyma, jak tego nie widzi?

Już z gniewem odtrąciła jego rękę.

— Ty obrzydliwy łgarzu!

— Przestań jej dokuczać! Nie widzisz, że bliska płaczu! — Una była już zła na dobre.

— Wielkie mi co! A Rudego ci nie żal? Obojgu moje gadanie wyjdzie z pożytkiem! Ten milczy, bo tak sobie poprzysiągł, a tej znów wstyd samej siebie, bo jej się zdaje, że nie może dopuścić serca do głosu!

— O, ja nieszczęsna! — wykrzyknęła Zyta i przyłożywszy dłonie do twarzy, wybiegła z pokoju.

— No widzisz, coś narobił! To ich sprawa, nie nasza, i niech między sobą ją załatwią! — Una zerwała się i wybiegła za przyjaciółką.

— Może Una prawa, Bert! — odezwał się Jaksą, kiedy zostali sami.

— Może nie należało tak mówić, i to przy nas?

— Przy nas, to znaczy przy kim? Aboście obcy? Niech Zyta nie przymyka oczu tam, gdzie musi je mieć otwarte!

Rudy chciał coś powiedzieć, ale w tej chwili drzwi się otworzyły i na progu ukazała się pani Aniela.

— Poślaniec z Zamku — oznajmiła. — Ma pismo, które chce oddać do rąk własnych.

— Niech wchodzi! — Czarny wstał i spoglądał na drzwi, w których ukazał się pacholek.

— Od kogo? — rzucił krótko.

— Nie wiem, wasza wielmożność. Przybyła poczta z Sandomierza, z dworu najjaśniejszego pana. Przykazali w zamkowej kancelarii oddać to pismo do rąk własnych.

Czarny złamał pieczęć i rozłożył nieduży rulon. Zawierał tylko kilka słów.

„Lasota z Koronowa i Peter Vogelweder wrócili. Strzeż się, bo myślę, że będą cię szukać. Jeśli nie, znajdź ich sam”.

Pod tymi słowami widniała duża litera A. Czarny podał rulon Rudemu i skinął na pacholeka.

— Możesz wracać. Odpowiedzi nie będzie. — Potem odebrał pismo od Rudego i rzucił je w ogień, mrucząc: — Ten żebrak od razu mi się nie podobał...

NA NASTĘPNY DZIEŃ, zaraz po obiedzie, Czarny przywołał służebną.

— Dwa domy dalej siedzi żebrak. Skocz no do niego i powiedz, aby przyszedł do kuchni na miskę gorącej stawy. Jak przyjdzie, powiadom mnie.

Rudy popatrzył na przyjaciela, ale swoim zwyczajem nic nie powiedział. Una i Zytka, zajęte rozmową, w ogóle nie zwróciły uwagi na to polecenie.

Wkrótce powróciła służebna, zawiadamiając, że żebrak przyszedł i posila się w kuchni. Czarny skinął na Dzieweczkę i Rudego.

— Chodźcie ze mną, chcę z nim pogadać.

Żebrak, brudny i obdarty, siedział przy drzwiach z miską na kolanach, skudłane włosy opadały mu na czoło, a szeroka, ciemna broda okalała chudą twarz. Na widok wchodzących chciał unieść się na nogi, ale Czarny rzucił mu rozkazująco:

— Siedz i kończ żarcie!

Sam siadł naprzeciw i w milczeniu przyglądał się jedzącemu. Ten zdawał się nie zwracać uwagi na uporczywy wzrok Berta. Skończył jedzenie i czkając głośno, odstawił pustą miskę.

— Bóg zapłać, wielmożny panie. Miska gorącej stawy na taki ziąb mocno człowieka krzepi.

Czarny skinął na służebną i kucharkę.

— Ostawcie nas samych.

Kiedy zdziwione i zaciekawione opuściły kuchnię, Czarny zwrócił się do żebraka:

— Dziwno mi, że narzekasz na ziąb, a wysiadujesz na pustej ulicy. Tędy mało kto chodzi, zwłaszcza teraz, zimą.

— Niedawno przybyłem do Krakowa, wielmożny panie. — Żebrak powiódł spojrzeniem po Rudym i Dzieweczce, którzy stali za Czarnym.

— Nie dają zająć lepszego miejsca.

— Kto ci nie daje?

— Tutejsze bractwo. Każdy ma swoje miejsce, a nowemu ostaje byle jakie.

— Skądżeś tu przybył?

Żebrak jakby się zawahał.

— Spod Kalisza, panie.

— Aż tu cię przygnało?

— Bieda przygnała, panie. Nie wiedziałem, głupi, że po bocznych ulicach przyjdzie szukać paru skojców.

— Jak się nazywasz?

— *Maciej, panie. Zwą mnie Maciej Kostur.*

— *Gdzie mieszkaś?*

— *Gdzie się da. Po szopach, stajniach, jak dobry Bóg i ludzie pozwolą.*

Czarny stanął na nogi.

— *A teraz gadaj prawdę. Kto cię tu przysłał? Tylko nie łzyj!*

Żebrak, przerażony, osunął się na kolana.

— *Litości, panie! Nikt mnie nie posyłał! Ja sam, z własnej woli.*

— *Dzieweczka, przytrzymaj go! — Czarny sięgnął po pogrzebacz, leżący na kuchennej płycie.*

— *Panienko Najświętsza! Ostaw mnie, ty zbóju! — wrzasnął żebrak schwytyany w żelazne ręce Dzieweczki i przygięty ku ziemi.*

Czarny machnął ramieniem raz i drugi. Ciosy spadły silne i soczyste.

— *O rety! Ratunku! Nie bijcie, powiem już wszystko!*

Czarny skinął na olbrzyma, który puścił żebraka. Ten, chlapiąc i siłkając nosem, rozcierał pośladki.

— *A teraz gadaj, czegoś szukał na tej ulicy.*

— *Kazali przyglądać się wam, zapamiętać, kiedy wychodzicie i wracacie.*

— *Po co?*

Żebrak wzruszył ramionami.

— *Tego nie wiem.*

— *Kto cię tu wysłał?*

— *Nie znam tych wielmożnych panów. Nie wiem, kto są.*

— *A więc to nie jeden?*

— *Nie, dwóch.*

— *Jak wyglądali?*

— *Jeden dość otyły, czarnowłosy, drugi wysoki, żylasty.*

— *Dokąd nosiłeś wieści?*

Żebrak rzucił wokół spłoszone spojrzenie, ale na widok uniesionego pogrzebacza rzucił szybko:

— *Jest taki dom na Stradomiu. Stoi nad samą Wilgą, w pobliżu klasztoru Miechowitów.*

— *Jeśliś skłamał, zapłacisz własną skórą. Jeśli nie i wskażesz ten dom, dostaniesz grzywnę srebra.*

— *Całą, panie? — żebrak popatrzył niepewnie na Czarnego.*

— *Całą. Masz na to moje słowo.*

— *O Jezu litościwy! Całą grzywnę! Przykazujcie, panie, kiedy chcecie iść. Muszę was jednak ostrzec, że nie wyglądają oni na poczciwych ludzi.*

— *Troszcz się lepiej o własną skórę, bo i ja ciebie ostrzegłem.*

— *I jeszcze jedno, panie.*

— *No, co takiego?*

— *Nie możemy iść w kilku. Ja i wy, ale też nie razem, bo czujni są wielce i straż tam mają.*

Czarny spojrzął w małe, chytre oczka migające pod krzaczastymi brwiami.

— *Dobrze, pójdziemy we dwóch. Teraz ostaniesz tutaj aż do zmroku. Wyruszymy po ciemku.*

— *Tak będzie najlepiej, panie. — Żebrak skłonił się. — Pomnijcie jednak, że was ostrzegał.*

Czarny skinął na towarzyszy i ruszył ku drzwiom.

PRZYGOTOWANIA DO NOCNEJ wyprawy zajęły im czas do wieczery. Rozważyli możliwe do przewidzenia przypadki, postanawiając zabrać Dzieweczkę i trzech

pachołków z zamkowej załogi, którzy pod rozkazami Rudego wspomogliby w razie potrzeby Czarnego. Ustalili również sposób porozumiewania się w nocnej ciemności, by uniknąć nawoływań lub gwizdów. Zgodnie bowiem z radą żebraka Czarny postanowił iść sam, a wsparcie wysłać wcześniej, by czuwało w pobliżu klasztoru.

Kiedy więc kobiety udały się na spoczynek, Rudy z Dzieweczką wymknęli się po pachołków. Potem i Czarny ruszył w drogę.

Noc była ciemna zupełnie. Gęsta powłoka wiosennych chmur zaciągnęła niebo, nie dopuszczając ani światła gwiazd, ani księżyca. Czarny wraz ze swym przewodnikiem brnęli błotem ulicy, nie widząc dokoła nic w gęstej czerni otaczającej krąg nikłego światła latarki, którą niósł Kostur.

Wkrótce znaleźli się w pobliżu wawelskiego wzgórza. Minęli ulicę Świętego Idziego i idąc wzdłuż ścieżki wijącej się wśród rzadko rozrzuconych zabudowań i moczarów, dotarli wreszcie do Grodzkiej bramy.

Tu Czarny podał hasło i zażądał otwarcia furty. Dowiedział się przy tym, że Rudy ze swoimi ludźmi przeszedł tędy niedawno.

Potem szli jakiś czas ulicą Stradomską, mijając przecznice, wreszcie obok szpitala Świętej Jadwigi żebrak skręcił w lewo. Światło latarki zaczęło sunąć po murze, który wyłonił się z ciemności. Ponad nim Bert dostrzegł czarniejsze od nocnych ciemności zarysy budynków. Przerwy między nimi wypełniały splątane konary drzew.

W pewnej chwili Kostur przystanął i zdmuchnął latarkę.

— Już niedaleko, wasza miłość — szepnął. — Jesteśmy przy klasztorze. Pójdziemy teraz bez światła.

Skręcił, omijając jakiś węgiew i po kilku krokach wstrzymał Czarnego, wyciągając za siebie ramię.

— Jesteśmy na miejscu — szepnął. — Przed nami palisada, a potem brama. Ale przy tej stróżują pilnie. Powiodę was do miejsca, gdzie jest otwór, przez który

prześciśniecie się bez trudu. Szopa stoi nieco na prawo, w głębi. Tam ich znajdziecie, ale baczcie, abyście cało wynieśli skórę...

Czarny przyłożył dłoń do ust i w nocnej ciszy rozległ się donośny, tęskny głos samotnego kocura.

Żebrak, który już ruszył z miejsca, przystanął zaskoczony. Nie zdążył się nawet odezwać, a już gdzieś z bliska, z ciemni nocy, doleciał ich koci odzew. Wówczas Czarny pchnął lekko przewodnika w ramię i poszli dalej.

Po kilkunastu krokach żebrak znów się zatrzymał, przysunął do palisady i nachylony szukał czegoś, przesuwając w ciemności dłońmi po jej balach. Wreszcie obrócił się i zbliżywszy do Czarnego, pociągnął go za pas.

— Dziura przed wami, panie — oznajmił niespodziewanie głośno. — Tu nie stróżują, bo o niej nie wiedzą. Możecie tędy dostać się za ogrodzenie, jeśli już koniecznie chcecie leżać im w łapy...

— Moja sprawa, nie twoja. Jutro możesz przyjść po swoją grzywnę, jeśli okaże się, że ich tu znajdę.

— Myślę, że nie uciekli przed wami — mruknął pod nosem Kostur.

W tej chwili Czarny poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Chwył był tak, nagły, że mimo woli złapał za rękojeść mieczyka.

Był to jednak tylko odruch, ponieważ natychmiast zorientował się, że ma przy sobie Jaksę. Nie okazując niczego, spytał Kostura:

— Nie pójdziesz ze mną?

— Po co ja wam teraz? Swoje już zrobiłem — odszepnął — a do bitki nie skorym. Bywajcie z Bogiem.

Odejścia żebraka Czarny domyślił się po ledwie słyszalnym odgłosie oddalających się stąpanięć.

Odgłos ten w pewnej chwili urwał się raptownie. Czarny wyczuł, że tamten przystanął.

Na co czekał? Czy nasłuchiwał? A jeśli tak, to czego?

Nie zastanawiając się jednak nad tym dłużej, poprawił żelazną łebkę na głowie i rzucił za siebie szeptem:

— Nie daj się odciąć...

Poczuł na szyi oddech towarzysza. Jego odpowiedź zaledwie musnęła mu ucho:

— Właż...

Czarny znalazł otwór i jednym szybkim ruchem prześliznął się do środka. Stając po drugiej stronie na nogi, usłyszał za sobą szmer ubrania Rudego ocierającego się o bale.

A potem wszystko odbyło się szybko i zupełnie niespodziewanie. Peter okazał się pomysłowym przeciwnikiem. Kiedy bowiem stanęli ramie przy ramieniu wewnątrz ogrodzenia i z dłońmi na rękojeściach mieczyków, czujnie rozglądali się dokoła, usiłując dostrzec coś w otaczających ich ciemnościach, poczuli raptem, że ziemia usuwa się im spod nóg.

Tracąc równowagę, runęli bezwładnie, a w następnej chwili sieć, na którą wstąpili, oplatała ich, krępując ruchy. Jednocześnie rozgorzała pochodnia i rozległ się dobrze Czarnemu znany głos drgający triumfem i podnieceniem:

— Ściągnijcie mocno, chłopcy, ściągnijcie mocno! Mamy ich!

Czarny i Rudy, szamocząc się w sieci, spoglądali na otwór, oczekując odsieczy. Nikt jednak już się w nim nie ukazał, a w chwilę potem wielki gład leżący obok, widać przygotowany zawczasu, zawałił przejście. Widząc to Rudy krzyknął:

— Dzieweczka, na Zamek! Zawiadomić, gdzie nas pojмали!

Pchnięty w plecy, z ramionami skrępowanymi sznurem, musiał podążyć za Czarnym, więc nie dosłyszał już odpowiedzi. Otoczeni zbójami ruszyli w głąb obszernego podwórca ku widniejącej w świetle pochodni długiej szopie. Wnętrze jej oświetlała latarnia. Z mrocznej głębi wyłoniła się wysoka, chuda postać.

— A więc masz go, Peter? Dobrześ to wszystko obmyślił, nie ma co mówić!

— Mam go, bracie Lasoto! Mam! — Głos grubasa drżał radością.

— Teraz zapłaci nam za wszystko! Mnie i tobie!

Brat Lasota zbliżył się do Czarnego i chwilę przyglądał mu się z uśmiechem.

— Już ja cię urządzę. Nie pośpieszę się, nie — zdawał się delectować słowami.

— Będę cię kroić wolno i z rozmysłem. Nieprędko skonasz...

— Jeśli skonam, to ze śmiechu, ty głupku! — rzucił mu Czarny.

— Ty zawszony psie! — Lasota wyrwał zza pasa nóż. — Najprzód utnę ci jęzor!

— Poczekaj! — krzyknął Peter. — Poczekaj! Teraz na to nie czas, bo wkrótce mogą tu być zamkowi ludzie! Ruszamy stąd zaraz!

— Zakłujmy ich zatem!

— To nie może być! Mam z nim jeszcze do pogadania! Nie zapominaj, po co tu jesteśmy! Łódź przygotowałeś?

— Stoi na brzegu.

— Zatem zabieraj ich i ruszajcie! Jurga i Paul siądą do wiosła, reszta iść precz! Oto wasza zapłata!

Wyjął sakiewkę i podał ją jednemu z ludzi.

— A ja? — z wnętrza szopy rozległ się znany obu jeńcom głos.

— To ty, Kostur? — Peter obejrzał się za siebie. — Jedziesz z nami! Reszta niech stąd ucieka, bo może być źle!

Czarny i Rudy, poprzedzani przez dwóch uzbrojonych w pałki zbójów, wyszli z szopy, mając za plecami Lasotę i Kostura. Szli bez pochodni, ale prowadzący musieli dobrze znać drogę, bo bez wahania zagłębili się w ciemność.

Czarny czuł, jak teren się obniża. Uderzył go w nozdrza zgniły zapach rzeki. Wkrótce też ujrzał jej powierzchnię lekko połyskującą w mroku. Po chwili znaleźli się nad Wilgą i brnąc po nasiąkłej wilgocią trawie, wstąpili na deski krótkiego pomostu, do którego przywiązana była łódź.

Pchnięci brutalnie, upadli na jej dno.

— Leżeć tu, psy, i nie ruszać się, bo dam po łbie! — warknął jeden ze zbójów, przechodząc na dziób. Po chwili łódź zachybotła się i rozległ się głos Lasoty:

— Jurga i Paul, do wiosła, ja będę sterował! Peter, siadaj obok mnie! Kostur, wynocha na dziób!

Łódź znowu się zakołysała. Czarny poczuł na sobie stąpnięcie, ale nawet nie zdążył zakląć, gdyż w tej chwili czyjeś ciężkie ciało zważyło się na nich. Rudy szarpnął się, ale znieruchomiał natychmiast, gdy postyszał szept:

— Leżcie spokojnie. Zaraz sitowie.

Jednocześnie poczuł ostrze szybko przesuwające się po ich więzach.

Nóż chwilami kaleczył skórę, ale nie zwracali na to uwagi. Czarny tylko krzyknął:

— Depczesz mnie, psi synu! Złaż, ciemięgo!

Rozległ się głos Kostura:

— Leż spokojnie i zamilcz, bo ci przydepnę i mordę!

— Co się tam grzebiesz, Kostur! — z kolei usłyszeli gniewny głos Petera. — Ruszaj się prędzej! Odbijać!

Szarpnięcie wiosła poderwało łódź, która już po chwili szła szybko i płynnie. Czarny widział nad sobą ciemny kontur wioślarza. Jego łydki w grubych pończochach i postrzępione cholewki trzewików miał tuż przy głowie.

Raptem z przodu łodzi rozległ się głos żebraka:

— Sterujcie, panie, w prawo! Bardziej w prawo, bo wjedziemy w sitowie!

Czarny poczuł, że Rudy robi pół obrotu ciałem i podciąga pod siebie nogi, poderwał się więc w górę, przewalił przez burtę i z pluskiem wpadł do wody.

Sitowie znajdowało się od strony Rudego, toteż Czarny dał od razu nurka pod łódź i wydostał się na powierzchnię dopiero wyczuwszy, że znajduje się daleko po jej drugiej stronie.

Zgodnie z zapowiedzią Kostura sitowie było blisko, wkrótce więc znalazł się w jego gąszczu.

Spojrzał w stronę łodzi. Sunęła wolno w pobliżu, podobna do dużej, czarnej bryły o zamazanych konturach. Dolatywały z niej wołania i krzyki. Czarny rozpoznał głos Lasoty i Petera: — Łapać ich, łapać! — darł się Lasota. — Tam jest, wiosłem go w łeb!

Jednocześnie doleciał go cichy gwizd. Odpowiedział takim samym sygnałem. Po chwili trzciny rozchyliły się i dostrzegł koło siebie głowę Rudego.

— Kogo on tam widzi? — rzucił Jaksę z zaciekawieniem, prychając wodą. — Ruszajmy do brzegu!

Ramię przy ramieniu przedzierali się przez sitowia. Zaczęło robić się coraz płycej i wkrótce wydostali się na brzeg. Nawoływania na rzece ucichły.

Otrząsnąwszy się z wody, ruszyli biegiem, aby się rozgrzać po zimnej kąpieli.

Oddział prowadzony z Zamku przez Dzieweczkę spotkali za Grodzką bramą. Zatrzymali go, odsyłając pachotków. A kiedy zostali sami i szli ku domowi Kanoniczną, Rudy zagadnął Dzieweczkę:

— Dlaczego nie przyszlście nam z pomocą? W pięciu dalibyśmy im radę mimo tej sieci.

— Sprytna sztuka z tego Petera — przerwał Czarny. — Zasadzka była dobrze obmyślona!

— A uwolnił nas ten żebrak? — W głosie Rudego zabrzmiał odcień wątpliwości i zdziwienia. — A kto, jeśli nie on?!

— Dziwny człek. Najpierw zaprowadził w pułapkę, a potem rozciął więzy!

— Po co to zrobił? — zdziwił się Dzieweczka.

— Nie domyślasz się? — rzucił drwiąco Czarny. — Spytaj go jutro.

— Myślisz, że przyjdzie? Nie będzie się bał? Bo przecież...

— Możesz być pewny, że przyjdzie! Jest na to dość chciwy. To ta obiecana przeze mnie grzywna uratowała nam skórę!

— Tak, inaczej źle byłoby z nami — przyznał Rudy. — Ale słuchaj no, Dzieweczka, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Niby jakie? — Olbrzym próbował udawać, że nie wie, o co chodzi.

— Dlaczego nie przysłiście nam z pomocą? — powtórzył spokojnie Rudy.

Zaległo chwilowe milczenie. Wreszcie Dzieweczka mruknęła z ociąganiem:

— To przeze mnie... głupio zrobiłem.

— Przez ciebie? — Rudy był zaskoczony. — W jaki sposób?

— Bo nie dopuściłem tamtych do dziury, a poszedłem pierwszy, chcąc jak najszybciej do was dotrzeć. No i nie mogłem przeleźć. A przez ten czas, com się przeciskał, zawalili nam przejście głazem i już nic nie było do zrobienia.

— Że też Bóg nas pokarał takim gamoniem! — mruknęła Rudy z gryźliwie.

NASTĘPNEGO DNIA O ZMIERZCHU, kiedy jak zwykle siedzieli we czwórce przed ogniem, weszła służebna z oznajmieniem, że przybył człowiek, który pyta o jego wielmożność. Czarny, który pod nieobecność kanonika nadspodziewanie szybko wszedł w rolę głowy domu, podniósł się z miejsca i skinął na Rudego.

— Chodź, Jaksą, to na pewno ten zdrajca. Trzeba z nim pogadać.

— Dałbym mu kopsa w tyłek, a nie gadał!

— Chodź, on wart dla nas więcej niż ta grzywna, com mu przyobiecał. A wy poczekajcie chwilę — zwrócił się do kobiet. — Zaraz wrócimy.

W kuchni zastali Macieja Kostura, który na ich widok podniósł się ze stołka i skłonił głęboko.

— Odważny jesteś, żeś sam wlaź mi w łapy — przywitał go Czarny.

— Tak, panie, mówicie, jakbym coś wam przewinił — odpowiedział śmiało żebrak.

— *Alboś nie przewinił? — Czarny uważnie popatrzył w ciemne, przebiegłe oczka żebraka, ledwo widocznie pomiędzy szparkami powiek.*

— *To wolelibyście ostać w więzach? — rzucił z udanym zdziwieniem Kostur.*

Czarny roześmiał się.

— *A nie ostrzegałem to was, że skórę nadstawiacie? Możecie temu zaprzeczyć, panie? Nie myślałem też, że tak się dacie pojmać. Przecież mieliście ze sobą ludzi.*

— *Skąd to wiesz? — Czarny zmarszczył brwi.*

— *A komu kocim wołaniem dawaliście znak?*

— *Siedziateś umyślnie przed domem, abym cię wziął na spytki. A to całe sekretne przejście, niby tylko tobie wiadome, to była pułapka, w którą miałeś mnie wpakować!*

— *Wasza prawda, panie. Siedziałem i czekałem. A za te razy, com od was dostał po tyłku, to mi tamci nie dopłacili ani grosika.*

Czarny znów musiał się roześmiać.

— *Dlaczegoś przeciął nam więzy?*

Na twarzy żebraka odbiło się zdumienie.

— *A moja grzywna? Od kogo bym ją dostał? Od umarłego? To dla mnie wielki pieniądz, tamci nie są tacy hojni.*

— *Marnie ci płacę?*

— *Tyle co nic. — Żebrak machnął ręką. — Ów gruby, jak ma dostać grosz z mieszka, to mu się łapy z żalości trzęsą.*

— *Mnie się nie trzęsą. Masz swoją grzywnę! — Czarny rzucił żebrakowi sakiewkę.*

Ten schował ją bez pośpiechu.

— Dziękuję, wielmożny panie. Myślę, że nie zrobiliście złego interesu. Chyba na tyle cenicie waszą skórę! Coś mi się zdaje, że tę grzywnę zarobiłem rzetelnie.

— Nie będziemy się o to spierać. Chciałbyś zarobić więcej?

— A za co?

Czarny dostrzegł w oczach żebraka błysk zainteresowania. Wstał ze stołu, na którym przysiadł, i zbliżył się, spoglądając nań z uwagą.

— Czy cię odprawili?

— Nie. Widać uważają, że będę im potrzebny.

— Są jeszcze w Krakowie?

— Nie, zaraz po otwarciu bram mieli ruszać. Gdzie, nie mówili.

— Jak więc masz im służyć, skoro nie wiesz, gdzie są?

— Przykazali czekać na wezwanie. Mam dowiadywać się co dnia w gospodzie „Pod Gnatem”.

— Wiem, gdzie to jest... — Czarny zamyślił się, a po chwili powiedział: — Teraz słuchaj uważnie, bo będziesz stanowił o swoim losie. Pewnie nie wiesz, kto są tamci dwaj, bo się przed tobą nie chwalili. Jeden i drugi to krzyżaccy postrzegacze i z zakonnych pieniędzy płacą ci za usługi. Chcę wszakże, abyś służył i mnie, a ja jestem na królewskiej służbie. Ale wiernie dwom służyć nie możesz, zatem musisz wybierać. Jak wiesz, grosza nie skąpię, ale jeśli cię złapię na przecherstwie, dasz głowę pod topór jako i tamci.

— Wybór łatwy, wielmożny panie. Co chcecie, abym robił?

— Masz dalej im służyć. Im lepiej będziesz to robił, tym okażesz się przydatniejszy. Abym tylko wiedział, co tamci knują, co zamierzają i jakich postug będą od ciebie chcieli.

— Rozumiem, panie.

— Więcej tu nie przychodź. Wszelkie wiadomości przekazuj gospodarzowi „Pod Turem”. On też będzie dbał o twoje potrzeby. Pamiętaj, że nagroda końcowa

zależy tylko od twoich starań. W razie konieczności! wyznaczę ci spotkanie ja albo ten mąż, którego tu widzisz, jemu masz być tak samo posłuszny jak mnie.

— Stanie się, jak przykazaliście, panie. — Żebrak skłonił się do ziemi. — Spodziewam się także, że będziecie mieli lżejszą rękę do sakiewki niż do pogrzebacza.

— Idź już, huncwocie, i o to się nie martw. Wiesz, że płacę dobrze, ale i łeb zdjąć też potrafię.

W KILKA DNI POTEM przyszło polecenie proboszcza Andrzeja, by Czarny przyłączył się do krakowskiego dworu, który został wezwany przez króla Władysława na spotkanie do Nowego Sącza. Ponieważ proboszcz jednocześnie donosił, że najjaśniejszy pan przybędzie wraz z wielkim kniazem Witoldem, Rudy również postanowił jechać.

Robił to niechętnie, wiedząc, jak trudno mu przyjdzie rozstać się z Zytą. Ale że nie zmieniła swego stosunku do niego, spodziewał się z dala od jej uroku odzyskać nieco równowagi ducha.

Wyjechać mieli następnego dnia o świcie we dwóch, nie czekając na dworski orszak, którego kolasy i wozy opóźniały szybkość jazdy. Dzieweczka miała na razie zostać w Krakowie i na krok nie odstępować obu kobiet, bo nie wiadomo było, co stało się z Peterem i jakie są jego dalsze zamiary.

Jednocześnie wyjechał do Lublińca goniec z wezwaniem do księdza Dunina, by przyjeżdżał co rychlej. Poselstwo z Pragi dawno już co prawda wróciło, ale kanonik zбочzył od Wrocławia, by skorzystać z okazji i odwiedzić dawno niewidzianą siostrę.

Mimo wszystko jego rozum i doświadczenie zapewniały lepszą opiekę niż siła olbrzyma.

Ów wieczór przed wyjazdem spędzili wspólnie, jak zwykle gwarząc przed kominkiem. Tyle tylko, że Una wcześniej mrugnęła na męża i wysunęła się z komnaty. Czarny pojąwszy, o co jej chodzi, pośpieszył za nią. Rudy, jak zwykle zapatrzony w ogień, w ogóle nie zwrócił na nich uwagi, a Zyta spojrzała tylko przelotnie na brata. Jakiś czas panowało milczenie, które przerwał Jaks:

Nie wiadomo, kiedy cię znów zobaczę. Obawiam się, że nieprędko.

— To zależy od ciebie. Myślę, że teraz kniaź będzie częściej przyjeżdżał do Polski.

— Dlaczego tak sądzisz? — Odwrócił wzrok od ognia i spojrzał na nią.

— Bo za parę miesięcy kończy się rozejm. Na pewno będą nieraz jeszcze radzić z miłościwym panem o pokoju lub wojnie.

— Na spotkania nie będzie już czasu. Obaj muszą szykować wojska, bo o pokoju nie ma co mówić.

— Przed wyprawą zapewne wpadniecie z Bertem do Krakowa? Myślę, że będzie chciał pożegnać żonę — rzuciła cicho.

— On ma kogo żegnać, ja nie...

Myślała przez chwilę.

— Ty zaś pożegnasz mnie. Bliskiś mi jako najlepszy druh.

— Dzięki ci i za to, ale dla spragnionego miód nie napitek, bo tylko pragnienie wzmaga.

— Nic innego nie mam do ofiarowania — powiedziała smutno. — Cóż na to poradzę, żem tak zubożała.

— Nieprawda! — wybuchnął nagle. — Rozumiałbym twą boleść po Benku, ale gdyby to było tylko to! Najsroźsza boleść cichnie, bo życie jak rzeczny nurt niesie wciąż naprzód, zdarzenia mijają jak brzegi, napływa wciąż nowe, minione zacierając w pamięci... Nie o żalobę ci chodzi! Wiem to, czuję dobrze, tyle tylko, że nie umiem tego zrozumieć!

Zyta odwróciła twarz, marszcząc brwi.

— Nie mówmy o tym. Ta rana się nie zasklepi.

Rudy odwrócił od niej wzrok i zaczął mówić półgłosem:

— Miłowanie leczy takie rany. Miłujące serce nie pamięta o niczym, nie dba o nic, jak tylko o szczęście drugiego. Ale twoje serce śpi, a przez to gorzkie myśli niczym złodzieje po głowie ci chodzą. Nie przebudzisz go?

Dłonie Zyty zacisnęły się w pięści i uderzyły raptownie o poręcz krzesła.

— Nie! Nie zezwolę na przebudzenie! — krzyknęła nieomal. — A skoro nie umiesz zrozumieć, to ci powiem! Niech ta prawda stanie między nami jak mur! Nie dam sercu głosu, bom niegodna miłować ani być miłowana, bom zbrukana na ciele i duszy!

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Poprzez szloch doszły Rudego urywane słowa:

— Toteż nie miłuj mnie... Nie miłuj, bo przez to umęczasz mnie stokroć bardziej... Zapomnij mnie, Jaksu, i niech idę do klasztoru, bo znać Bóg taki mi przeznaczył los!

Rudy zerwał się na nogi.

— To przez moje miłowanie cierpisz bardziej?

Bez słowa kiwnęła głową, tedy zbliżył się do niej, ujął pod łokcie i jak piórko uniósł z kartą.

— Zatem nie jest ci ono obojętne? — zawiesił głos, czując, że nic więcej nie zdoła powiedzieć.

Zamiast odpowiedzieć, zaniosta się jeszcze większym płaczem.

Rudy już się nie wahał. Objął jej wstrząsane płaczem ramiona i począł pocałunkami osuszać powieki.

— Nie płacz już, najmilsza... Nie płacz... Bert był praw, że nie wdychać mi i milczeć, a przymusić cię, abyś wróciła do życia!

W tym momencie odnalazł jej usta i przywarł do nich wargami. Poczuł, że podaje mu je drżące i uległe, ale już za chwilę dłonie wsparte o jego piersi odepchnęły go gwałtownie.

— *Nie! Nie!* — krzyknęła z rozpaczą i nieomal nieprzytomna wypadła z komnaty.

Rudy pozostał sam, oszołomiony przeżytą chwilą. Stał z opuszczoną głową, nasłuchując jeszcze przebrzmiałych przed chwilą słów, łowiąc uchem ich ton, rozpamiętując załamania głosu i szloch, który wzmógł się po jego pytaniu.

Te myśli przerwało wejście służącej. Zatrzymała się przy drzwiach i rozejrzała po komnacie.

— *Kogo szukasz?* — rzucił, ocknąwszy się.

— *Pana Huberta. Przybył goniec z gospody „Pod Turem”.*

— *Niech tu przyjdzie.*

Po chwili na progu stanął pomocnik kuchenny, którego znał z czasów pobytu w gospodzie. Ten poznał go również.

— *Dobry wieczór, panie Jaksza. Muszę pilnie mówić z panem Hubertem.*

— *Możesz mówić ze mną. Znam sprawę i wiem, o co chodzi. Pan Hubert udał się na spoczynek.*

— *Kiedy przykazano osobiście...*

— *To zabieraj się w diabły i przychodź przed świtem, bo o świcie wyjeżdżamy!*

Pacholek zdecydował się.

— *Żebak zawiadamia, że dostał polecenie objąć miejsce przed kościołem Świętego Krzyża na Zakamienicy. Ma stawić się najrychlej jak może.*

— *Zakamienica? Gdzie to jest? Przecież Święty Krzyż...*

— *Nie wiecie? To przedmieście Nowego Sącza.*

Rudy obrócił się gwałtownie.

— *Nowego Sącza?!*

— *Każdy wam to powie. My tu, w Krakowie znamy Nowy Sącz dobrze. Mało co mniejsze miasto od naszego.*

— Zdarzy się i mnie je poznać. Masz tu skojca i kłaniaj się mistrzowi Grzegorzowi. Jego kuchnię mile wspominam do dziś.

Pachotek wyszedł, a Rudy rozmyślał chwilę nad otrzymaną wiadomością. Doszedł do wniosku, że nie ma co niepokoić Huberta. Starczy, jak mu powtórzy nowinę jutro po drodze.

KRÓL WŁADYSŁAW PRZYBYŁ w drugiej połowie kwietnia do Nowego Sącza po długich i uciążliwych podróżach.

Najpierw z początkiem marca bawił w Sandomierzu, skąd wyruszył na polowanie do Przyszowa. Po zakończeniu polowania, przez Leżajsk i Jarosław, dotarł do Przemyśla, a stamtąd pośpieszonymi marszami ruszył do Lwowa i Halicza, by na Wielkanoc znów wrócić do Lwowa. Potem, ciągnąc przez Gródek, Medykę i Jarosław, znalazł się w Łańcucie. Tam czekał już na niego wielki książę Witold.

Z Łańcuta rozkazał król wysłać do Krakowa gońca i wezwać dwór, a sam z kniazem drogą na Rzeszów, Ropczyce, Biecz i Grzybów pociągnął do Sącza na wyznaczone spotkanie z Radą.

Ważne były powody, dla których odbył tę uciążliwą podróż. Należało bowiem omówić z podczaszym krakowskim Piotrem z Charbimowic, obecnie podolskim starostą, sprawę postawienia we właściwym czasie podolskiego rycerstwa pod broń, i to nie tyle na wojenną wyprawę przeciw Zakonowi, ale i dla zagrożenia od skrzydła wojskom węgierskim, gdyby Zygmunt uderzył na południową granicę Korony. Porozumienie bowiem krzyżacko-węgierskie w

tej sprawie istniało i mimo znanej niesłowności Luksemburczyka lekceważyć go nie było wolno.

Na drugą niedzielę po Wielkiej Nocy król i książę przybyli do Nowego Sącza i przyjmując zaproszenie rodu Gersdorfów stanęli kwaterą w ich kamienicy. Dwór zaś, który zjawił się już wcześniej, rozmieścił się jak i gdzie kto chciał — bądź po domach mieszczkańskich, bądź na zamku.

Miasto, zwyczajnie wrzące życiem, wrzaskliwe, pełne kramów, przekupniów, rzemieślniczych warsztatów, drobnych i hurtowych kupców handlujących solą,

miedzią, cyną, węgierskimi winami, znane w całej Polsce z sytni miodu i browarów, jak i z kuźnic żelaza i stali, zwanych tu hamrami, teraz ożywiło się jeszcze bardziej. Wśród tłumu pieszych przesuwali się ulicami, torując sobie krzykiem pachotków drogę, bogato odziani konni wielmoże, przejeżdżały poczty krytych kolczugami rycerzy, od czasu do czasu, kolebiąc się na rzemiennych pasach, przetaczała się bogato zdobiona karoca kościelnego dostojnika lub, rozpryskując beztrosko błoto na twarze i odzież przechodniów, pędził goniec, spiesząc z poruczonym rozkazem.

Narady odbywały się na zamku, tak z powodu większej przestronności sali, jak i dla łatwiejszego zabezpieczenia tajności obrad. W czasie rozmów nikt nie był dopuszczony nawet w pobliże drzwi, a straż przy nich pełnili nie pachotkowie z zamkowej załogi, a specjalnie wyznaczeni przez proboszcza Andrzeja i zaprzysiężeni rycerze.

Poza królem i wielkim kniazem brali w Radzie udział: proboszcz od Świętego Floriana, kanonik krakowski i podkanclerzy Mikołaj Trąba, Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, Krystyn z Ostrowa, tamtejszy kasztelan, Piotr Szafraniec z Pieskowej Skąły, podkomorzy, Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, Mikołaj z Michałowa, wojewoda sandomierski, i Zbigniew z Brzezia, marszałek koronny.

Obsiedli kominek, jako że dzień był wietrzny i mimo końca kwietnia dmący jeszcze resztkami zimowego powietrza.

Fotele stały szerokim kręgiem przed ogniem. Miejsce środkowe zajęli obaj władcy: Witold, mający przy sobie Cebulkę dla spisania przyjętych na siebie zadań, Jagiełło zaś podkanclerza Trąbę i jego zaufanego pisarczyka. Reszta wielmożów zasiadła, jak komu było dogodniej, bliżej władców, pozostawiając jednak miejsca dwóm pocześniejszym między sobą, a to krakowskim panom wojewodzie i kasztelanowi.

Mówił właśnie marszałek koronny, składając tym razem oficjalne sprawozdanie przed Radą z odbytego do Pragi poselstwa.

— ...Wacław, podchmielony już mocno, siedząc na swoim królewskim stolcu, strugał nożem laskę, a margrabia Jodok, stojąc podle tronu, zaczął nam czytać

wyrok. Sądzę, że on go wymyślił, on i zakonni wysłannicy, co im tam w Pradze sypnęli złotem. Bo treść jego była taka, żeśmy słuchać go poniechali i zmówiwszy się z Jastrzębcem i Wincentym opuścili wszyscy salę. Biskup, skłoniwszy się przed królem Wacławem, przerwał Jodokowe czytanie i prosił o wybaczenie, że wyroku nie wysłuchamy, jako że spisany jest niemczyzną, a my tego języka nie rozumiemy, po czym wyszliśmy z komnaty.

— Co na to Wacław? — spytał wielki kniaź, do którego szczegółowa relacja ze zdarzeń praskich docierała po raz pierwszy.

— Uśmiechnął się jak przygłupek, patrząc na biskupa mało co przytomnymi oczami. Dopiero potem, znać wytrzeźwiawszy albo i za podjudzeniem Jodoka, rozsierzdził się i groził, że z Zakonem i bratem zbrojno przeciw nam wystąpi. Ale myślę, że to nie on wysłał za nami owego Boczka z Podiebradu, który ścigał nas zbrojno i dopadł, kiedyśmy przeprawiali się przez łabę.

— No i jak mu poszło?

— Miłościwy pan dał nam sześciuset zbrojnych, toteż ledwie resztką Beczkowych ludzi wpław przez rzekę uciekła.

— A jak was goszczono?

— Wcale nie goszczono. Aby raz proszono na zamek, gdzie tańce zrobili.

— Gdzie zatem żyliście?

— W gospodzie, jak zwykli podróżni. Tam też przysłano nam ów wyrok, któregośmy nie chcieli wysłuchać.

— Jaka była ostateczna jego treść?

— Ziemia dobrzyńska Polsce, ale wprzódy Żmudź Zakonowi. Do tego czasu w Dobrzyniu ma zasiąść z Wacławowego ramienia starosta. Orzekł też ów wyrok ważność wszelkich starych postanowień i układów, a więc obie strony mają pozostać przy swoich ludach i ziemiach, do których mają prawo.

— Albo roszczą sobie rzekome prawo... — mruknął Jagiełło.

— Najważniejsze zaś, o czym wyrok stanowił, to że ani oni, ani my nie możemy przywoływać niewiernych ku pomocy. Nie potrzebujemy wam, kniazziu, mówić, w kogo to uderza.

Witold uśmiechnął się.

— Po prawdzie, marszałku, że nie potrzebujecie! Przyjąwszy go, musielibyśmy odstąpić od naszego połączenia, bo wciąż mnie pomawiają, że rad niewiernymi panuję i z tatarskimi pogany się bratam! — Czy to wszystko?

— Są tam i inne uchwały. Między innymi jest i zakazująca naszemu panu mianowania siebie władcą Pomorza. Inna stanowi, abyśmy królów obierali jeno wśród władców zachodnich. Wszystkie jednakowo z naszą szkodą i ujmą.

— Brodaczę za swoje pieniądze chcieli od razu uzyskać wszystko, czego pragną ich łakome serca — odezwał się Jagiełło. — Tym jednak łatwiej odrzucić nam ten wyrok. Każdy władca w Europie zrozumie, że przyjąć go nie mogliśmy.

— A z tego wynika... — wielki książę zawiesił głos i przesunął spojrzeniem po obecnych.

— Że do Wrocławia na odczytanie wyroku nie pojedziemy! — oświadczył gniewnie król.

— Nie o to chodzi, bracie! Ten wyrok przekreśla wszelkie nadzieje na utrzymanie pokoju!

Zapadło milczenie, w czasie którego słychać było jedynie trzask ognia na kominie. Przerwał je kasztelan krakowski Krystyn.

— Nie mam takiego mniemania. Ten wyrok to robota Jodoka i krzyżackich pieniędzy, a wart jest tyle, co i inne krzyżackie dokumenty, których mają pełne skrzynie. Należy wszcząć z nimi rozmowy, bo losu narodu hazardowi wojny poddawać nie wolno bez wyczerpania wszystkich możliwości ugody.

— Ten, co hazardu się boi, mając z nimi do czynienia, niech sobie od razu sam jarzmo zakłada! — wybuchnął Szafraniec.

— Ja obliczam nie na dziś, a na przyszłość!

— Nie spierajmy się, wielmożni panowie, bo czas na takie spory już minął — zabrał głos Trąba. — I ja myślę, że wyrok praski nie pozostawia nam innej drogi jak wojnę. Inaczej będzie nam kłoda u nóg przy wszystkich rozmowach z Zakonem, zbyt bowiem jest korzystny dla niego i zbyt

kosztowny, by zgodzili się uważać go za niebyły. Sprawę wojny czy pokoju rozstrzygnęliśmy już ubiegłego roku w Łęczycy, strata to więc czasu wszczynać teraz o to spory.

— Praw mości kanclerz! — wykrzyknął Zbigniew z Brzezia. — Jakże teraz dopiero rozważać ryzyko wojny, skoro już tyle przygotowań do niej uczyniliśmy i tyle ofiar ta droga nas kosztowała. Niech wraz ze mną przemówią polegli w Dobrzyniu, Bobrownikach, Złotorzy, Bydgoszczy, jak i ci pomordowani w całej dobrzyńskiej ziemi, cośmy ją utracili i gadaniem nie odzyskamy!

Kasztelan chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ubiegł go król.

— Toteż do Wrocławia na publiczne odczytanie wyroku poselstwa nie poślę, bo nie uznaję go za ważny. Wici roześlę zaraz, abyśmy wojska mieli zebrane przed upływem rozejmu. Rycerstwo ciągnące z południa będzie miało drogę bezpieczną, a wielkopolskie pójdzie szlakami, które już ustanowiłem i które nasz wojewoda poznański zna. Wojskom litewskim drogę wyznaczy książę Witold, on sam je będzie zresztą prowadził. Zbiórkę wyznaczam w Wolborzu, dalszy zaś marsz ustanowię po przeprawie, wysłuchawszy waszych rad, wielmożni panowie. A co z owym mostem, panie marszałku?

— Robią go, wasza królewska mość. Dobrogost baczy pilnie, by na czas był gotowy. Materiał mają już przycięty, idzie teraz obróbka i pasowanie części.

— Co powie nam pan kanclerz? Czy zdania o Luksemburczyku nie zmienić?

— Nie, najjaśniejszy panie, obstaję przy swoim. Jak wiecie, przebywa na Zygmuntowym dworze wielu znakomitych rycerzy, jak Zawisza, Domarat, Skarbek, Jan Warszawski i inni. Mamy tam również i przychylnych nam panów węgierskich, wieści więc otrzymujemy i liczne, i wiarygodne. Wszystkie o tym mówią, że żadnych przygotowań wojennych Zygmunt nie robi. Wyprawa przeciw nam to nie byle rabunkowa rajza. Szykować musiałby się już teraz. Od

Krzyżaków Luksemburczyk pieniądze wziął i pewnie więcej weźmie, ale nikt jeszcze nie słyszał, aby przyrzeczeń swoich dotrzymał, co tym razem na dobre nam wyjdzie. Możliwe — i z tym należy się liczyć — że nieco wojska wyśle, ale jeno po to, aby oczy mydlić, gdyby Zakon zarzuty mu czynił. Wystarczy więc parę chorągwi zostawić, bo więcej nie będzie trzeba.

— Kogo zatem proponujecie wyznaczyć i z jakimi siłami? — Jagiełło spojrzął po obecnych i dorzucił: — Jeszcze chcę wam rzec, że i z namiestnikiem podolskim rozważałem tę sprawę. Postanowiłem, że z Podola wyruszą tylko ci, co zechcą z własnej ochoty. Pozostali będą mieli przykazane trzymać ludzi i oręż w pogotowiu i stawić się co rychlej na Włodkowe wici w razie potrzeby odparcia węgierskiej napaści.

Zabrał głos marszałek Zbigniew.

— Proponuję na dowódcę lubelskiego kasztelana Jana ze Szczekocina. To mąż pełen rozwagi, ale i szybki w działaniu. Jeśli wasza królewska mość nikogo innego na myśli nie macie, to ten wybór byłby dobry.

— Popieram Zbigniewa — oświadczył Jaśko z Tęczyna.

— Zatem niech tak będzie — zadecydował król. — Rycerstwo ziemi sądeckiej, szczyrzyckiej i bieckiej pod jego dowództwem chronić nam będzie plecy. Co mamy dalej, panie kanclerzu?

— Należałoby już teraz ustanowić zastępstwo waszej królewskiej mości na czas wojennej wyprawy. Kogo chcielibyście pozostawić w Krakowie?

— Kogo proponujecie?

— Nikt zdolny do noszenia broni w murach nie oстане — odezwał się Sędziwój z Ostroroga. — Należy obarczyć tym obowiązkiem osobę duchowną.

Jagiełło, który ten problem rozważał już z kanclerzem i niektórymi panami z Rady, a między innymi i z Sędziwojem, skinął głową.

— Skoro uważacie, że to ma być osoba duchowna, to nikomu innemu godności tej ofiarować nie możemy przed Kurowskim, bo jako arcybiskup gnieźnieński ze swego starszeństwa ma ten przywilej. Czy zgoda wasza, panowie?

— Zgoda... Niech będzie arcybiskup Mikołaj — odezwało się parę głosów.

— Teraz pozwólcie, najjaśniejszy panie — odezwał się marszałek koronny — że podniosę sprawę, która mnie została powierzona. Z waszego polecenia mości kanclerz rozkazał, abym czynił zaciągi wśród zagranicznych wojów, a zwłaszcza na Morawach i w Czechach, gdzie teraz kupami chodzą i rabunkiem się trudnią. Muszę wyznać, że dość opornie to idzie, bo forszusy płacić trzeba, a z pieniędzmi wciąż mam trudności. Chcę zatem, abyśmy postanowili, czy mam poniechać tych zaciągów. Jeśli zaś nie, to muszę mieć

środki, aby sprawniej to czynić, bo brodacze też werbują. Źle byłoby, gdybyśmy dali się prześcignąć.

— Przecież rozkazałem, aby nie mitrężyć z werbunkiem, mości kasztelanie. — Jagiełło poczerwieniawszy z nagła na twarzy, spojrział na Krystyna z Ostrowa. — Dlaczego wstrzymujecie pieniądze marszałkowi!

— Były inne, również pilne płatności, wasza królewska mość — wyręczył w odpowiedzi kasztelana Jaśko z Tarnowa. — Toteż za moją radą podskarbiowie obdzielali i pozostałe potrzeby.

— Przeciw memu zarządzeniu? — Jagiełło zmarszczył brwi.

— Nie sierzście się, miłościwy panie — rzucił uspokajająco wojewoda — bo nie na nic innego teraz pieniądze idą, jak tylko na wojenne cele, a broń, zaopatrzenie i inszy sprzęt równie ważny jak ludzie. A skoro się o tym na życzenie pana marszałka zgadało, niech mi wolno będzie waszą królewską mość i wysoką Radę spytać, czy słusznie czynimy, prowadząc zaciągi w obcych krajach, a nie wśród własnego ludu? Czy nie lepiej byłoby i ze znaczniejszą dla nas korzyścią własnych kmieci werbować, bo ci z większym niż obcy sercem walczyć będą, nienawidząc wroga, a do tego zachęceni żołdem. Obcym zaś to zgoła obojętne, czy pobijemy tamtych, czy oni nas. Aby swoją zapłatę otrzymali!

— Zgadzam się z tym, coście wywiedli, mości wojewodo — odezwał się Mikołaj z Michałowa. — I mnie się widzi, że lepiej wśród swoich zaciągi robić, niż wpychać pieniądze w cudze kieszenie. Będzie też z nimi i kłopot, bo do rabunku teraz zwyczajni i nasz lud również może od nich ucierpieć jak i od wroga.

Kniaź Witold spojrział nieco kpiąco na wojewodę Mikołaja.

— Nie myślę — odezwał się — abyście nie umieli sobie z nimi pogradzić! Ja mam u siebie Tatarów, a ci zwierdom bardziej podobni niż ludziom. Próbowali i u mnie rabować, alem ulice, przy których to czynili, szubienicami przystroił i sotnię ich powiesić kazał! Bardzo im to pomogło pojąć, co wolno, a czego nie.

Z kolei odezwał się marszałek Zbigniew:

— Pozwólcie, najjaśniejszy panie, że i ja odpowiem panom wojewodom. Otóż mimo ich mniemania twierdzą, że zaciężny żołnierz lepszy niż swój. Bo zważcie, wielmożni panowie — tu marszałek uśmiechnął się — jeśli zwycięży, to któż go wówczas opłaci jak nie ten, co przegrał? jeśli zaś da się

pobić, to nie będzie komu zapłaty żądać. Nie chcę rzec, że i płacącego może zabraknąć.

Na ten wywód obecni wybuchnęli śmiechem, nie wyłączając obu oponentów, i upomnienie królewskie, by zaciągi przyspieszyć, nie wywołało już głosów sprzeciwu.

— Jeśli macie trudności z płaceniem, podeślę wam pieniądze z Wilna — odezwał się książę Witold. — Pan wojewoda otrzymał ode mnie dwadzieścia tysięcy kop groszy. Niech nie szczędzi ich na werbunek, bo tą drogą zyskujemy korzyść podwójną. Powiększamy własne siły, pomniejszając o tyleż krzyżackie, bo oni pieniędzy nie szczędzą i werbują, gdzie mogą. Teraz zaś proponuję, aby resztę spraw odłożyć do następnych narad.

— Co tam jeszcze macie w zanadrzu na dziś, mości kanclerzu?

— Sprawę wyjazdu waszej królewskiej mości do Kieżmarku na spotkanie z Zygmuntem. Należałoby co rychlej pchnąć postów, by to widzenie utwierdzić, ale też korzystam ze sposobności, by sprzeciwić się osobistemu wyjazdowi waszej królewskiej mości. — Kanclerz przerwał, ujrawszy zdziwienie na twarzach słuchaczy. — Mam niedobre wiadomości — dodał wyjaśniająco. — Dwór Zygmunta, a może i on sam, nie dochował tajemnicy co do tego spotkania, bo wieści z Prus nadeszły, że Krzyżacy już o nim wiedzą.

— *To dlatego mam nie jechać?* — *nachmurzył się Jagiełło.*

— *Tak, miłościwy panie, dlatego. Wysłaliśmy naszych ludzi na miejsce spotkania i lada dzień dostaniemy języka, ale przychylni nam panowie na dworze Zygmunta już teraz ostrzegają, abyśmy zachowali ostrożność. A skoro tak jest, jechać nie powinniście!*

— *Słusznie, panie kanclerzu!* — *odezwały się głosy.*

— *Od spotkania uchylić się jednak nie mogę* — *oświadczył stanowczo Jagiełło.*

— *Zbyt ucieszyłbym Zakon. Zaraz podnieśliby krzyk, że nawet mówić o pokoju nie chcą!*

— *Musi jechać kto inny* — *zadecydował kanclerz.* — *Kto inny, ale równy rodem wam i Zygmuntowi. Inaczej będzie to tylko zwykłe posłowanie, a nie rada dwóch władców.*

— *Czy aby nie mnie macie na myśli, mości kanclerzu?* — *odezwał się Witold, po czym dorzucił ze śmiechem:* — *To moją skórę tak mało sobie cenicie?*

Zebrani podchwycili śmiech wielkiego kniazia.

— *Równie jak i mego pana, miłościwy książę* — *odparł dwornie kanclerz.* — *Ale zamach, jeśli go istotnie do spółki z Zygmuntem Zakon szykuje, nie będzie dotyczył każdego, kto by pojechał. Oni chcą utracić nam władcę, i to jest cel tej nieczej zмовы. Nie przypuszczam, aby wam groziło to samo.*

— *Może i macie rację* — *mruknął Witold.* — *Ale że i ja innego wyjścia nie widzę, a z nas dwóch Władysław dla naszej sprawy ważniejszy, zgadzam się jechać!*

Rozległ się szmer aprobaty i słowa uznania.

— *Skoro zatem tę trudność dzięki kniaziowi mamy za sobą, zastanówmy się, kogo wyślemy z poselstwem. Bo poselstwo z powiadomieniem i po glejt wysłać należy zaraz jutro, abyśmy jak najrychlej dostali odpowiedź. Komu to poruczyć?*

— *Niech jedzie Zbigniew z Oleśnicy* — *podsunął Szafraniec.* — *Zna dobrze węgierską mowę. Przydzielić mu pisarza i to starczy.*

— Jako pisarz niech jedzie Stanisław Ciołek — uzupełnił Trąba. — To zdolny człowiek.

— Zgoda — zdecydował król. — Niech obaj sposobią się do drogi i rankiem ruszają. My zaś prosimy was na wieczerzę.

Król Jagiełło podniósł się z fotela i zdjęwszy z okapu kominka przygotowane tam przez pokojowca źdźbła słomy, przerzucił je sobie przez ramię. Zwyczaju tego nie poniechał i po chrzcie, który nie przeszkadzał mu nadal wierzyć w gusła. Ten gest miał ponoć decydować o powodzeniu powziętych postanowień. Znając tę królewską słabość, członkowie Rady nie zwrócili nawet na nią uwagi.

BERT I JAKSA PRZYBYWSZY do Nowego Sącza na parę dni przed krakowskim dworem, bez trudności dostali kwaterę w oberży polecanej im przez mistrza Grzegorza spod „Tura”. Przy tej okazji przekonali się o cechowej więzi oberżystów. Grzegorz, polecając im oberżę „Pod Modrą Kiecką”, podkreślił, aby przekazali od niego pokłony mistrzowi Florianowi, nie pomyliwszy z pozdrowieniami. Skutek był taki, że gospodarz przyjął ich jak wielmożów, obsługiwał osobiście, a na kwaterę przeznaczył najokazalszą ze swoich izb.

Gospoda leżała niedaleko zamkowego wzgórza przy małej uliczce zwanej Gęsim Zaułkiem. Jej ustronne położenie podobało się Czarnemu, który łudził się, że uchroni to oberżę od zbytniego napływu gości. Że było to tylko złudzenie, przekonał się, kiedy zjechał dwór i królewski orszak. Od razu wszystkie izby zostały pozajmowane, a sale zajazdów stale pełne były gości.

Wreszcie też, w czasie jednej z kolejnych wypraw na Zakamienicę, znalazł Kostura pod kościołem Świętego Krzyża. Siedział wśród czerechy kalek równie oberwanych jak on i, nie szczędząc obietnic niebieskich, łask monotonnym głosem prosił o wsparcie.

Czarny rzucił mu do dłoni pieniądz i mruknął półgłosem:

— O zmroku... „Modra Kiecka”... wejdź od podwórza...

Kostur wzmógł zawodzenie, ale nie dał po sobie poznać, że coś usłyszał. Jednak Czarny nie wątpił, iż polecenie dotarło do jego uszu.

Istotnie zjawił się wkrótce po wieczerzy. Cicho wsunął się do izby i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

— Chodź, chodź — zachęcił go Czarny. — Spodziewałem się ciebie wcześniej!

— Niełatwo pospieszyć o żebraczej torbie... Tamci kazali, abym stawił się tu najrychlej, ale nie każdy chłopiek chciał brać na wóz takiego oberwańca. Pół drogi odbyłem więc piechotą.

— Już ich widziałeś?

— Nie.

— Jakże to? Mimo że tak pilnie cię wzywali?

Kostur wzruszył ramionami.

— Przekazałem wam ich polecenie. Mam czekać na wezwanie przy Świętym Krzyżu, to czekam.

Czarny zastanowił się przez chwilę.

— Dobrze... — Sięgnął do kaftana, wyjął sakiewkę i wysypał na dłoń nieco monet. — Masz, abyś nie liczył na to, co zarobisz. — Wrzucił pieniądze do nadstawionej czapki. — Natychmiast dasz mi znać, jak się pojawią. Przekaż mi, czego będą żądać. Staraj się też przewąchać, gdzie mieszkają.

— Z tym się tak łatwo nie zdradzają. Na tę wiadomość nie liczcie. W każdym razie nierychło.

— Twoja sprawa — uciął Czarny. — Dałem ci pieniądze, możesz wynająć pachołka, by ich śledził, możesz próbować inaczej. Równie jednak ważne jest, abym wiedział, jakie otrzymasz rozkazy.

— To będziecie wiedzieć, panie, bo lubię słyszeć, jak mi srebro brzęczy w kieszeni...

Równie cicho jak przyszedł, Kostur wysunął się z izby.

KSIĄDZ ANDRZEJ MIAŁ KWATERĘ u ojców minorytów przy kościele Narodzin NMP.

Czarny musiał czekać dłuższą chwilę, zanim został wpuszczony do refektarza. Zdziwił się, ujrawszy w obszernym pomieszczeniu o łukowatym gotyckim sklepieniu przesunięte ku oknom stoły, a za nimi siedzących rzędem mnichów, zajętych pisaniem. Wzdłuż stołów przechadzał się Jędrzej z Brochocic, drugi sekretarz kanclerza, zatrzymując się niby nauczyciel coraz przy którymś z mnichów i przez jego ramię zaglądając, co mu wychodzi spod gęsiego pióra, z wolna sunącego po papierze. Czarny znał księdza Jędrzeja równie dobrze jak i Dunina, toteż podszedł do niego.

— Cóż to, ojcze wielebny, szkótkę założyliście? — rzucił z uśmiechem.

— Roboty, synu, co niemiara! Nigdy tyle nie było. Gorące czasy przeżywamy. Musiałem i tutejszych braciszków prosić o pomoc.

— Tyle pism musicie rozesłać?

— Gońcy biegają do nas i od nas dzień i noc! Nie wiesz czasem, kiedy Dunin wraca? Przecież teraz to on i twój powinowaty.

— Oczekują go w Krakowie lada dzień.

— Niechby już przybył! Lżej bym miał, bo kanclerz i siebie, i nas nie oszczędza!

— Proboszcz z Lubrańca tu jest?

— A jest. Ten również ma pracy po uszy, nocy nie dosypią. Nie wiem, czy znajdzie dla ciebie czas.

W tej właśnie chwili ukazał się w drzwiach wiodących na klasztorny korytarz młody wikary i, jakby rozstrzygając tę wątpliwość, skinął na Czarnego.

Proboszcz Andrzej przyjął go w zakonnej celi. Już na pierwszy rzut oka Czarny dojrzał, że ksiądz schudł bardzo, twarz mu się ściągnęła, kości policzkowe, zawsze wyraźne, teraz obciągała tylko sucha skóra, ale zapadnięte, lekko skośne oczy patrzyły po dawnemu przenikliwie i ostro.

— Co mi się tak przyglądasz? — rzucił z uśmiechem, skłoniwszy głowę w odpowiedzi na ukłon Czarnego.

— Patrzę, jak wiele z waszej wielebności ubyło...

— Za to ty, mój synu, zbyt przybrałeś na wadze. Małżeństwo dobrze ci znać robi!

— Wracam pod wasze rozkazy, a to znaczy, że rychło stracę, co mi przybyło.

— Chybaś praw, bo obrastać tłuszczem ci nie dam! No, ale mów, jak ci tam w małżeńskim stadle.

Czarny westchnął mimo woli.

— Żal było odjeżdżać. Ale się pocieszałem, że przynajmniej nudzić się nie będę.

Ksiądz Andrzej roześmiał się.

— To na pewno! A jak tam w Krakowie? Pewnie cicho teraz i spokojnie?

— Nie za bardzo, wasza miłość. — Czarny opowiedział księdzu swoją ostatnią przygodę.

— Jest o czym pomyśleć — mruknął proboszcz, kiedy Czarny skończył. — A więc nie pozbyliśmy się imć Vogelwедера? A jak myślisz, dlaczego oni przybyli tu, do Nowego Sącza? Czy chodzi im tylko o zemstę nad tobą i dla tej zemsty ponoszą tyle mitręgi?

— Tam, gdzie jest dwór, najłatwiej i najpewniejsze można zdobyć wieści. Dłgie mają ludzie języki, nawet i ci, którym skądinąd nie brak rozumu.

— Obawiam się czegoś gorszego. Już w zeszłym roku doszły mnie z Prus słuchy, że Zakon gotów wypłacić trzydzieści tysięcy grzywien temu, kto rękę na naszego króla uniesie. Ale nie tylko tu się kręcą. Na Węgrzech, przy Zyguncie, też są tajni zakonni posłańcy. I dlatego sprzeciwiałem się wyjazdowi najjaśniejszego pana do Kieżmarku, bo w obcym kraju ustrzec go byłoby trudno.

— A przy sposobności i ze mną chcieli wyrównać rachunki — uśmiechnął się Czarny.

— Peter dla samej zemsty nie laźby wilkowi w paszczę. Toteż Kosturowi grosza nie żałuj. Tyle że nie od razu; musi wąchać, ale jeść mu nie daj. Posiedzimy tu kilka dni, mamy więc czas na polowanie. Tobie tych

dwóch poruczam. Jak będziesz potrzebował ludzi, dostaniesz, wiele chcesz. Do mnie dostęp każę ci dać o każdym czasie. Spraw się dobrze, bo teraz nie o dziewczynę rzecz idzie. Przez co nie chcę powiedzieć — proboszcz położył z uśmiechem dłoń na ramieniu Czarnego — że dziewczyna nie była warta twego trudu.

POSELSTWO WYŚLANE DO Budy15 wróciło wcześniej, niż oczekiwano, gdyż Zbigniew i Ciołek spotkali Zygmunta już w drodze do Kieżmarku. Król przestał głej na bezpieczny przejazd i pobyt dla kniazia Witolda, a jednocześnie udzielał odpowiedzi polskiemu władcy, pisząc: „...że dla przywrócenia pokoju pomiędzy Władysławem a wielkim mistrzem postanawia osobiście udać się do Prus, byleby Władysław król dozwolił mu przez swoje królestwo przejazdu i bezpieczeństwo mu zapewnić...”

Potem obiecywał: „...po przywróceniu zaś pokoju pomiędzy królem a Krzyżakami nie tylko rozejm przez resztę lat umówionych wiernie dotrzyma, ale stałego nawet pokoju przymierze z królem i Królestwem Polskim zawrze...”

Na kolejnej przeto naradzie postanowiono wystawić Luksemburczykowi głej na przejazd przez polskie ziemie, zapewniający bezpieczną podróż dla Zygmunta, jego dworu i oddziału zbrojnego w sile tysiąca pięciuset ludzi. Udzielając go węgierskiemu królowi i wikariuszowi cesarstwa jako orędownikowi pokoju, król Władysław pragnął udowodnić niezbitcie, że do wojny nie dąży, a przeciwnie, robi wszystko, aby jej uniknąć.

WIELKI KSIĄŻĘ WYRUSZYŁ do Kieżmarku w szczupłym gronie wybranych dworzan i w asyście pięćdziesięciu rycerskich kopii, wiodąc ze sobą również i wozy z bogatą odzieżą, cennymi szubami, futrami i wystawnym sprzętem, gdyż za przykładem zachodniego rycerstwa lubował się w pięknym ubiorze i klejnotach. Należało też być przygotowanym na obdarowanie ludzi, którzy mogli być przydatni w czasie rozmów.

Przeprawiwszy się na lewy brzeg Popradu, jechali na Ryto i Piwniczną, posuwając się szybko, gdyż wozy nie miały ciężkiego ładunku, a konie były gorące, bo wypoczęte. Toteż na drugi dzień pod wieczór ujrzeni przed sobą

przedmieścia Kieżmarku. Na wzgórzu, w łagodnym zakręcie Popradu, wznosił się zbudowany z kamienia i bali obronny gródek, strzegący miasta.

15 — Budapeszt.

Wokół wzgórza na nadrzecznych łąkach pasły się stada koni i widać było kilkanaście rozrzuconych tu i ówdzie namiotów.

Goniec z powiadomieniem o zbliżaniu się polskiego orszaku został wysłany zawczasu, toteż kiedy ten znalazł się pomiędzy pierwszymi domami przedmieścia, ukazał się na drodze oddział galopujących jeźdźców, ubranych bogato i kolorowo.

Nadjechawszy zdarli gwałtownie konie, a mąż pędzący na czele oddziału zerwał zamasyście futrzaną czapę.

— Witam was, wielki kniaziu — wykrzyknął, poznawszy od razu, kogo ma przed sobą — imieniem mego najjaśniejszego pana, króla Zygmunta!

Zatoczywszy łuk jeździec zbliżył się do księcia Witolda. Ten również poznał witającego go wielmożę, zauszniaka i ulubieńca Zygmunta, Eberharda Windecka. Wyciągnął więc ramię, witając go uściskiem dłoni. Za przykładem poszli inni z jego orszaku i wkrótce oba oddziały się przemieszały.

— Wielceśmy, księżę, radzi, ale nie weźmiecie mi chyba za złe, jeśli spytam o króla Władysława, boć on był tu umówiony wprzód z moim panem.

Witold uśmiechnął się z lekka.

— Gorączka od kilku dni chwyciła go i w łóżu leży, obstępiony przez medyków.

Windeck pokiwał głową z ostentacyjnym współczuciem.

— Ale chyba nic poważnego?

— Myślę, że nie. Spodziewam się jednak, że zdołam go zastąpić, ożywiony równie silnym pragnieniem, by zachować pokój między nami.

— Miłościwy pan trapi się wielce tym nowym sporem, jednakowo przychylnie myśląc o was, jak i o Zakonie.

— Skoro równie i nam przychylny, to czemu porozumienia zawartego z Polską nie chce dotrzymać? — Witold od razu poruszył zasadniczy temat. Wiedząc, że każde jego słowo będzie powtórzone, ciągnął:

— Król Zygmunt nie tylko nasze przymierze za nic ma, ale z Zakonem knowa i mieczem nam grozi!

Z kolei Windeck doszedł do wniosku, że posłyszał wszystko, co chciał wiedzieć, zmienił więc temat:

— Przygotowaliśmy dla waszej książęcej mości kwatery w dwóch oberżach, bo na gródku miejsca by brakło i wygody mniej — rzucił objaśniająco.

— A rycerze z chorągwi?

— Pomieszczą się w obejściach, chyba żeby na łąkach, pospołu z naszymi, namioty rozbili. — Windeck rzucił krótkie spojrzenie w twarz Witolda, ale ten nie odpowiedział, patrząc przed siebie.

Spotkanie z królem Zygmuntem zostało ustalone na dzień następny, bo zrobił się już wieczór, a wielki książę, zmęczony podróżą, pragnął odpocząć. Pożegnawszy więc węgierskich panów, rozlokował się w wyznaczonej oberży wraz z najbliższym otoczeniem.

Ostrzeżenie kanclerza Trąby nie było wprawdzie sprecyzowane dokładnie, ale wynikało z niego, że Zakon dowiedział się o wyznaczonym spotkaniu. Nadeszły też wieści, że w Kieżmarku pojawili się nieznani przybysze, których cel przyjazdu nie był wiadomy. Należało więc zachować ostrożność.

Dlatego też Jaksza jeszcze przed podróżą został wezwany przez Czarnego do księdza Andrzeja na dłuższą rozmowę, w czasie której otrzymał specjalne polecenia i wskazówki co do ich wykonania. Dowódcą straży przybocznej wielkiego księcia został wyznaczony Mikołaj Małdryk herbu Poraj, jego ulubieniec i towarzysz. Wiedział już, że Jaksza ma pozostawać przy nim, toteż Rudy, który go znał i zaraz po rozmowie z księdzem odszukał, szybko doszedł z rycerzem do porozumienia co do podziału obowiązków.

Skoro więc tylko oporządził się po podróży, wyszedł w obejście zajazdu, dokładnie je sobie obejrzał, a następnie sprawdził, gdzie stoją księżęce wierzchowce i kto ma nad nimi pieczę. Potem, zabrawszy ze sobą dwóch zbrojnych pachotków, dosiadł konia i ruszył na objazd najbliższych ulic.

Ciasne były i brudne. Kupy śmieci i nawozu co krok zagradzały drogę. Piesi brnęli poprzez te przeszkody lub, klucząc, starali się je wymijać.

Domy były przeważnie drewniane, ubogie i brzydkie. Zdarzały się i byle jak stawiane kłęcie z brudnymi, zaśmieconymi podwórkami. Od czasu do czasu jakąś okazalszą budowlę otaczała palisada z drewnianymi basztami przy wjazdowej bramie lub mur okalał któryś z nielicznych kościołów. W ten sposób zamożność odgradzała się od biedoty, chroniąc swój dobytek, inwentarz i ludzi przed zbójckim napadem.

Uliczki były kręte i wąskie. Biegły od nich przejścia i zaułki, w których mroczną głębię strach byłoby zapuszczać się nawet samotrzeć, bo i wierzchowce, i dostatnia odzież jeźdźców stanowiły zbyt wielką pokusę.

Rudy zajrzał także do zajazdu, który zajęli pośledniejsi członkowie księżęcego orszaku. Na szczęście położony był blisko, co pozwalało na szybkie połączenie się, gdyby zaszła tego potrzeba. Ksiądz Andrzej w swoich poleceniach starał się przewidzieć wszystkie możliwości, toteż nakazał, by w razie rozdzielenia orszaku i to Jaksza miał na uwadze.

Potem przebyli we trójkę jeszcze kilka ulic i znaleźli się na przedmieściu, którym wjechali do miasta. Tu zawrócili i inną drogą dotarli do oberży. Ten objazd nie usunął bynajmniej niepokoju nurtującego Jaksę od chwili, kiedy znalazł się w gęstym skupisku zabudowań miasta. Miał wrażenie, że znalazł się w saku, który wystarczyło tylko zacisnąć, by stał się pułapką bez wyjścia.

Po powrocie, zanim zasiadł do pozostawionej dla niego wieczerzy, sprawdził jeszcze posterunki pełniące straż wokół ogrodzenia podwórca i przy samej oberży, w której wielki książę, marszałek Rumbold, namiestnicy Giedgowd i Radziwiłł, a ze strony polskiej Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec zajęli izby.

ROZMOWY ROZPOCZĘŁY SIĘ w południe na gródku. Wielki książę udał się tam w towarzystwie przybyłych z nim panów polskich i litewskich, otoczenie zaś Zygmunta — również niezbyt liczne — stanowili Eberhard Windeck, Mikołaj Gara, Fryderyk, margrabia Miśni, Benedykt de Macray, Ścibor ze Ściborzyc, polski rycerz, wierny Zygmuntowy sługa i dostojnik, bo wojewoda siedmiogrodzki, i wreszcie Fryderyk z Reptki.

Trwały zaś do wieczora, nic prócz zmęczenia nie przynosząc obydwu stronom. Wielki książę dążył do powstrzymania Zygmunta popierającego Zakon, wskazując na polityczne ryzyko zbytniego angażowania się, jako że wynik rozprawy jest zgoła niewiadomy, a zwycięska Polska — czego nie mówił wyraźnie, ale przecież tak, by być zrozumianym — na pewno nie zapomni mu sojuszu z jej wrogiem. Były to stępione ostrożnymi słowami, ale przecież groźby. Jednocześnie książę przypomniał o zawartym przymierzu, którego moc prawna trwa i trwać ma jeszcze lat cztery.

Prosił i przekonywał, by, mając to na uwadze, król nie sprzeniewierzał się własnemu słowu, potwierdzonemu podpisem.

Wreszcie oględnie wyraził mniemanie, że sprawy pieniężne, aczkolwiek mające swoją wagę, nie powinny decydować o tym, która ze stron ma w sporze rację. A właśnie tak się akurat składa, że hojnie sypiącemu złotem Zakonowi król słuszość przyznaje.

To ostatnie napomknienie spotkało się z pomrukiem gniewu królewskiego otoczenia i śmiechem samego Zygmunta. Rozbawiony uderzył się dłonią po udzie i rzucił wesoło, z cyniczną otwartością:

— Toż byłbym skończonym głupcem, gdybym umykał z moim pustym mieszkaniem, kto mi go chce napełnić! Mile mi ten brzęk pięści ucho i to tym milej, że muzykę tę sprawia mi pokrzywdzony! Boć, mości książę, nie możecie przeczyć, że to Zakonowi, a nie wam krzywda się dzieje!

— Kto zatem czyje ziemie napadł, spalił, obrabował, kto na tej ziemi ludność wymordował albo w pęta wziął?! Polska im czy oni Polsce?!

— Mówicie, książę, o Dobrzyńskim? Ale przecież nie o Dobrzyńskie spór powstał i nie o tę ziemię Zakon wojnę wszczął! O Żmudź mu chodzi, którąście mu wydarli, raciąską ugodę łamiąc! A i teraz — Zygmunt spojrzął po swoim otoczeniu — zważcie, panowie, jak nasz miły gość sobie poczynił! Tamtą ugodę przeniewierczo łamie, ale mnie upomina, abym o swojej pamiętał! I chce, abym się z nim sprzymierzył przeciw oczywistej słuszności Zakonu!

Zygmunt przechylił się na fotelu i utkwiał z kolei spojrzenie ciemnych oczu w twarzy wielkiego księcia. Pukle trefionych włosów opadły mu na golone policzki sztucznie ubarwione zachodnią modą.

Witold milczał przez dłuższą chwilę.

— Czy aby jednak ta słuszność jest tak oczywista? — odezwał się wreszcie. — Czyście, wasza królewska mość, nie pomyśleli, na czym ona jest oparta? Na przecherstwie i gwałcie! Bo jakie prawo ma Zakon do Żmudzi? Skąd ono? Toć to ziemia moich i Jagiełły przodków, naszych dziadów i ojców... Ale przyszedł Zakon i dufny w swą przemoc woła: „Oddaj nam ten szmat twojej ziemi, bo chcemy ją mieć!” I wy to nazywacie słusnością? A żeśmy w Raciążu zrzekli się tej ziemi, czy ma to w samej rzeczy znaczenie? Bo czy może mieć znaczenie jakakolwiek zgoda człeka, którego trzymacie za gardło? W on czas nie mogliśmy inaczej postąpić i Zakon dobrze wiedział, że wymuszony pokój zawiera! Taka ugoda tak długo warta, dopóki siłą można ją

utrzymać, bo ani przed ludzkim sumieniem, ani osądem Bożym, jako wymuszona, ważności mieć nie może!

— Uważacie zatem, żeście na tyle mocni, by rękawicę rzucać Zakonowi?

— Żadnej rękawicy Zakonowi nie rzucaamy. Jesteśmy gotowi w każdej chwili pokój wieczysty z Zakonem zawrzeć, jeśli będzie oparty na słusznych i sprawiedliwych warunkach.

— To znaczy ma zrzec się Żmudzi i jeszcze dołożyć coś niecoś.

— Ziemię dobrzyńską, którą gwałtem opanował!

— Nie ma wojny bez gwałtu. Wziął ją w posiadanie prawem przemocy wojennej. Mogliście jej nie dać.

— Nie szkodzi! — rzucił już gniewnie Witold. — Jeszcze ją odbierzemy! A i Żmudzi Zakon nie dostanie!

— Nie bądźcie, kniaziu, tacy pewni... — Zygmunt uśmiechnął się lekko. — No, ale myślę, żeśmy dość się nagadali i gardła należy nieco opłukać! Niech nam tedy dadzą wieczerzę, a naszą rozmowę możemy skończyć potem.

Zygmunt uniósł się z fotela. Był w miarę wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o urodziwej twarzy i sprężystych ruchach.

Wielki książę poszedł za przykładem króla, zastanawiając się nad jego ostatnimi słowami. Dowodziły one, że Zygmunt nie uważał tematu za wyczerpany i książę był ciekaw, o czym chciałby jeszcze mówić Luksemburczyk.

ZYGMUNT PRZECHYLIŁ SIĘ do przodu i mówił, nie spuszczając wzroku z twarzy Witolda:

— ...nie masz dość ciągłego obzierania się na niego? Nie wolno ci przecież nic samemu postanowić: ani prowadzić wojny, ani zawierać pokoju. We wszystkim musisz przychodzić do niego po zgodę i pozwolenie. Czy ci to jako władcy nie dokucza? Masz pod sobą trzy razy więcej ziemi i dwa razy więcej ludu, który jest ci posłuszny, a sam o niczym stanowić nie możesz!

Siedzieli we dwóch w komnacie Zygmunta, dokąd ten zaprosił po wieczerzy swego gościa na rozmowę w cztery oczy.

— Jesteś mądrzejszy i bystrzejszy od niego — ciągnął Luksemburczyk — a i gospodarz stokroć lepszy. Skoro pozbędziesz się takiej kłody u nóg, dźwigniesz swój kraj ponad Polskę i kto wie, czy nie ponad Zakon. Ja będę miał w tobie silnego sprzymierzeńca, a Zakon zacznie potrzebować bardziej

ciebie niż ty jego. Odstąpienie im Żmudzi to żadna cena za taką przyszłość. Dam ci koronę i staniesz się równy najpotężniejszym władcom Europy, a może i najmocniejszym wśród nich. My z Zakonem podzielimy Polskę między siebie,

ciebie wesprzemy i umocnimy, a jeśli będziesz chciał obrócić się ku wschodowi, damy ci wolną rękę, a nawet i pomoc, jeśli byś jej potrzebował.

Zygmunt przerwał na chwilę i zmrużył nieco oczy, obserwując twarz wielkiego księcia. Ponieważ ten milczał, król mówił dalej:

— Nie słyszę od ciebie odpowiedzi, ale nie dziwię się, bo doniosłą rzecz ci przedkładam i trudno w tym względzie o pochopność. Musisz jednak decydować bez zwłoki, gdyż sprawa, o której mówimy, nie nadaje się ani do przewlekłych rozmów, ani tym bardziej do wymiany pism. Jeśli obierzesz drogę, którą ci wskazuję, będziesz założycielem nowej dynastii i nowej europejskiej potęgi. Twoje potomstwo przejmie po tobie koronę i berło, by prowadzić kraj ku wielkiej przyszłości. A co tracisz? Zależność i konieczność ciągłego kluczenia między Zakonem a Polską! Jako król Litwy pozbędziesz się wreszcie tej zależności i tylko twoja wola będzie prawem dla kraju...

Witold poruszył się w fotelu i nie unosząc głowy, rzucił półgłosem:

— Jagielle wierność przysięgłem...

Lekki błysk tryumfu przez moment zadrgał we wzroku Zygmunta. Słowa, które usłyszał, dowodziły, że jego propozycja nie została odrzucona, książ waha się tylko i czeka na dalsze argumenty. Toteż rzucił z ożywieniem:

— Cóż z tego, że przysięgłeś! Jako wikariusz cesarstwa rzymskiego jestem w mocy zwolnić cię z tej przysięgi!

— A jaka pewność, że otrzymam koronę?

— To omówimy, jak usłyszę twoją zgodę. Dostaniesz wszelkie zabezpieczenie, jakiego zażądasz! W takiej ugodzie nie może mieć miejsca złamanie słowa, a to ci daję w swoim królewskim majestacie i z wysokości tronu, który zajmuję!

Witold uniósł głowę i przebiegł spojrzeniem po komnacie, po czym zwrócił oczy na Zygmunta.

— Muszę to sobie rozważyć. Mimo waszej woli nie na szybką odpowiedź to sprawa.

— Odpowiedź muszę mieć zaraz. Tylko między sobą możemy o tym mówić, a jak się rozstaniemy bez ugody, sprawa musi upaść, bo nie będzie sposobu jej ciągnąć.

Kniaź uniósł się z karła.

— Do jutra możemy jednak poczekać. Muszę mieć nieco czasu.

Zygmunt również wstał i rzucił z gniewem:

— Zwłoki chcesz?! Po co ci zwłoka? Korzyści, jakie osiągasz, są dość widoczne! Radzę ci, rozstrzygaj od razu!

Witold spojrzął spod oka na Zygmunta.

— Dlaczego tak mnie przynaglasz? Czy jutro nie możemy dokończyć naszej rozmowy?

— Jak chcesz — uciął Luksemburczyk z wyraźną już złością. — Ale myślę, że lepiej nie zwlekać z uchwyceniem takiej sposobności! Na dobre to nie wyjdzie!

— Mnie czy sprawie? — rzucił z lekkim uśmiechem książkę. — Proponuję jednak, abyśmy to odespali. Jutro też będzie dzień...

KSIĄŻĘ WITOLD WRÓCIŁ do gospody przed północą i od razu udał się do swej komnaty. Czy spał, czy też rozmyślał o odbytej rozmowie, nie było wiadomo, gdyż odprawił dworzan i pozostał sam.

Wkrótce cała gospoda pogrążyła się w ciszy, przerywanej jedynie przez stąpanie rycerzy trzymających straż przed drzwiami dostojników.

Jaksa i Mikołaj Małdrzyk obeszli warty rozstawione wokół domu i stajni, po czym wrócili do jadalnej izby, którą obrali sobie na kwaterę. Ułożyli się na spoczynek, rozścielając płaszcze na ławach. Twardość takiego postania nie pozwalała na głęboki sen, co było pożądane ze względu na pełnioną przez nich służbę.

Rudy często się budził i uważnie nasłuchiwał. Panowała jednak zupełna cisza. Chwilami tylko zza ściany, przy której leżał, dochodziły miarowe stąpania strażnika.

Twarda ława pomagała co prawda w czuwaniu, ale też stawiała się coraz bardziej dokuczliwa. Toteż po pewnym czasie Jaksą uniósł się i ziewnąwszy przeciągnął ramiona. Potem wstał i narzucił na siebie opończę. Śpiący obok Małdrzyk uniósł głowę.

— Co ci? — mruknął.

— Nic, śpij. Sprawdzę strażę i nieco rozprostuję kości. Chyba niedługo zacznie świtać.

Wziął ze stołu latarnię i wyszedł z izby. Nie uszedł jednak i kilku kroków, kiedy zatrzymał go okrzyk:

— Stój! Mów hasło!

— Kraków i Wilno!

— Czego tu chcesz?

— Sprawdzić, czy czuwasz bracie! — Rudy podszedł bliżej i uniósł nieco latarnię, oświetlając sobie twarz. — Jak reszta?

— Czuwamy wszyscy pilnie. To niedobre miasto.

— Skąd to wiesz? — Rudego zdziwiła ta uwaga woja.

— Bom już odbył niejedną wyprawę. Jak zwierz w lesie, tak i człowiek może taką zdolność zdobyć, że czuje niebezpieczeństwo.

— A czujesz je?

— Dziwne mi będzie, jeśli ta noc minie spokojnie.

— Jak się zwiesz?

— Domarat z Zawichostu. Z przybocznego orszaku króla.

— Coś mi się widzi, że rankiem pośmieję się z ciebie!

— Wolałbym, aby tak było.

— Pójdę teraz ku stajniom zobaczyć, czy pachotkowie należycie pilnują koni. Zaraz będę tędy wracał.

Jaksa ruszył przez podwórzec. I tu wkrótce został okrzyknięty, co upewniło go, że strażę przy stajni pełnią służbę równie sumiennie. Odniósł jednak wrażenie, że wszyscy odczuwają niepokój, z którym zdradził się przed nim mazowiecki rycerz.

— Spać się wam nie chce, że gadaniem zabijacie czas? — rzucił żartobliwie, podchodząc do grupy stojących przed stajnią pachotków.

— Im mniej się śpi wśród obcych, tym zdrowiej człek się rankiem czuje! — Odpowiedział równie żartobliwie jeden z nich.

— Przecież strażę czuwają. Możecie spokojnie wytchnąć.

— Pospaliśmy nieco z wieczora, ale obudziwszy się o północy nijak zasnąć nie mogliśmy — odezwał się drugi.

— Chętnie dosiedlibyśmy już koni.

— Przyjdzie czas, to ruszymy. — Rudy urwał i zastanawiał się przez chwilę. Niepokój udzielił się i jemu. A to skłoniło go do podjęcia

nieoczekiwanej decyzji. — Skoro nie śpicie — poleciał z nagła — zapalcie latarnie i zarzućcie koniom siodła. Popręgów na razie nic dociągać. Wrota pozostawić otwarte.

Szybkość, z jaką poderwali się wszyscy, by spełnić polecenie, dowodziła, jak bardzo było ono po ich myśli.

— Do świtu już chyba niedaleko — zwrócił się Rudy do jednego wartowników, który stał w pobliżu. — Koniom nie zaszkodzi, jak postoją pod siodłami.

— Jeszcze sporo — odezwał się drugi, podchodząc bliżej. — Ale dobrze, panie, uczyniliście, dając ten rozkaz. Jak się człek sam strzeże, to i Bóg ma go w opiece.

Stali we trzech, jakiś czas jeszcze dzieląc się uwagami. Aż w pewnej chwili jeden z nich, rozejrzawszy się dookoła, rzucił kpiąco do towarzysza:

— Mówisz, że do świtu daleko, a już i brzask widać.

— *Gdzie go widzisz?* — *zdziwił się Rudy.* — *Zanim brzask rozświecili niebo, noc z czarnej staje się szara i widać nieco lepiej. A teraz przecież zupełnie ciemno.*

— *Popatrzcie tedy sami, panie...* — *Wartownik wskazał ręką kierunek.*

Istotnie Rudy ujrzał nikłą różową światłość, rozpraszającą w odległej przestrzeni ciemności nocy. Na jej tle coraz wyraźniej zaczęła rysować się łamana linia, dachów i zwalista wieża jakiegoś kościoła, górująca ponad tą częścią miasta. Światłość rozlewała się szybko, nasiąkając coraz bardziej czerwienią. Coraz czarniejsze stawały się przed nią kontury dachów.

— *Patrzcie!* — *wykrzyknął jeden z pachotków, który właśnie wyszedł ze stajni — I tam się świeci! A tam także. To nie brzask, to pożary, panie!*

Rudy z przerażeniem stwierdził, że stajenny ma słuszość — pożary wybuchły jednocześnie w kilku punktach miasta zdawały się kręgiem obejmować oberżę.

— *Budzić ludzi!* — *krzyknął.* — *Dociągać popręgi i wyprowadzać konie! Kto wie, gdzie druga oberża, niech zaraz gna i budzi tamtych! Dawać księżęcego wierzchowca! Wozów poniechać i trzymać się kupy, bo nas upieką!*

Pachotków nie trzeba było poganiać. Rudy biegnąc do oberży, spostrzegł, że wyprowadzono już pierwsze wierzchowce.

Krzykiem poderwał śpiących. Pokazało się przy tym, jak szybko i bez zbytniego popłochu ogarnęli się wszyscy. Byli to głównie ludzie wojennego rzemiosła i takie nagłe przebudzenia nie były im obce. Kiedy wielki kniaź wypadł na podwórze, osiodłane konie czekały już przed drzwiami. Skoczono zaraz na siodła, kierując się ku rozwartej bramie, ale Rudy przysunął się do księcia, wstrzymując jego wierzchowca.

— *Jeszcze chwila, wasza wysokość!* — *krzyknął.* — *Niech dadzą ze stajni derki, a z wozów płótna! Może trzeba będzie zarzucić je koniom na łby! A potem ruszajcie za mną, będę wskazywał drogę!*

Ściągnięto cugle, uznając przezorność tej rady. Opóźniło to nieco wyjazd, ale derki znalazły się migiem i oddział prowadzony przez Jakcę wkrótce wypadł w ulicę.

Nie była ona jednak już tak mroczna jak jeszcze przed chwilą. Pożar rozprzestrzenił się z szaloną szybkością. Blask ognia stawał się coraz bliższy, coraz głośniejszy jego huk i trzaski, wtórujące dzikiemu krzykowi ludzi zbudzonych raptem ze snu. Ponad ten krzyk grozy i rozpaczy poczęły wybijać się jednostajne, złowieszcze uderzenia dzwonów.

Oddział gnał ulicą, roztrącając i tratując ludzi, którzy na pół przytomni i przerażeni wybiegali z domów. Robiło się coraz jaśniej, coraz bliżej była ściana huczącego ognia, który niby żywa bestia o tysiącu furkocących jęzorów najpierw lizał domy, by potem objąć je w uścisk czerwonych skrzydeł i pożreć bezlitośnie.

Jaksa pędził pierwszy, teraz dopiero oceniając mądrą przezorność księdza Andrzeja, który nakazał mu objazd okolicy. Wkrótce dopadł ulicy prowadzącej ku wałom, ale okazało się, ogień był szybszy niż nogi koni. Przed nimi było już tylko piekło buchające żarem i płomieniami, z którego strzelały raz po raz snopy iskier, wylatywały kawałki palącego się drzewa, rozbłyskiwały nagłe wybuchy oślepiającego blasku i biły kłęby dymu rozwijającego się w ogromną czarną chmurę. Rozgrzane powietrze biło falą piekącego żaru, a co najstraszniejsze, z tego piekła dochodził opętańczy ludzki wrzask.

Rudy zakręcił koniem i skoczył w następną ulicę. Ta dopiero zaczynała się palić i nie wypełniały jej jeszcze płomienie. Zarzucił koniowi derkę na łeb, a sobie na głowę skraj opończy. Oszałałe ze strachu zwierzę gnało ze

skulonymi po sobie uszami i wyciągniętą szyją, nieomal sięgając brzuchem ziemi.

Ogień trzaskał i strzelał nad głowami jeźdźców. Palące się wiechcie słomy i drzewne szczapy śmigały w powietrzu, sypiąc iskrami. Żar był coraz silniejszy, tamował oddech, kłując płuca tysiącami rozpalonych igieł. Gnali jednak przed siebie zwartą gromadą, grzmiąc kopytami koni wśród huku i trzasków pożogi.

Raptem ulica się skończyła i wypadli na drogę wiodącą wzdłuż wałów. Tu powietrze nie było już tak rozgrzane. Wkrótce ujrzeli przed sobą bramę, którą poprzedniego dnia wjeżdżali do miasta.

Była jednak zawarta, a przed nią, na półkolistym placu, stała zbita gromada obszarpanych zbójów zbrojnych w maczugi, glewie, oszczepy i zwykłe cepy.

Rudy od razu zrozumiał, czego tu chcieli. A więc pożar nie był przypadkowy. Świadczyło o tym nie tylko to, że wybuchł w kilku miejscach naraz, ale i ta zawarta brama oraz tłum oczekujących przy niej zabijaków. Jaksa obrócił się w siodle i ujrzał obok siebie Małdryka.

— Brać kniazia w środek i w nich! — krzyknął, wrywając miecz z pochwy i skacząc do przodu.

Za plecami usłyszał wrzask towarzyszy:

— W nich!

Nie zmniejszając pędu, wszyscy runęli naprzód. W następnej chwili rudy ujrzał w blasku pożaru dzikie twarze, rozwarte krzykiem usta i uniesione do ciosu ramiona. Trwało to tylko mgnienie oka, bo zaraz potem zdał konia i razami miecza wyrąbywał sobie drogę w głąb dziko wrzeszczącej zgrai.

Uderzenie rycerzy było tak gwałtowne i zawzięte w zjadłej wściekłości, że od razu rozbiło zbrojny tłum, który rozleciał się na drobne części niby gliniany dzban pod uderzeniem młota. Tych, co nie padli od razu pod razami mieczy, dobijano, ścigając konno. Tylko nielicznym udało się umknąć w cień zalegający podnóża wałów.

Kilku pachołków zeskoczyło z koni, dopadło bramy i odrzuciwszy założone na nią belki rozwarło wierzeje.

Wkrótce oddział wydostał się pomiędzy domy podzamcza, odgrozonego ziemnym nasypem od szalejącego po drugiej stronie pożaru. Tu przyhamowano konie, a po chwili na znak księcia zatrzymano się.

— Gdzie ludzie z drugiej oberży? — rzucił Witold. — Nie wiecie, co z nimi?

— Są z nami, wasza miłość! — odezwał się ktoś z tłumu.

— Dołączyli zaraz na początku!

— Chwalić Pana Boga! W drogę zatem, bo czekać nie ma na co! Dość już nas tu ugoszczono!

— Wozy z całym dobrem zostały — mruknął ktoś w ciemności.

— Tobie wozy milsze niż własny żywot! — odpowiedział inny głos, a najbliżsi wybuchnęli śmiechem.

Zostawili za sobą objęte pożarem miasto, ruszając drogą wiodącą ku północy. Zaczęło już świtać i pierwsza szarość dnia wydobywała z mroków drzewa i domy przedmieścia. Książ jechał samotnie na czele oddziału i z ponurą twarzą spoglądał na jasny pas rozciągniętej przed nim drogi.

WCZESNYM RANKIEM, PEŁNYM słońca i świeżej zieleni, jako że rozpoczęła się właśnie maj, oddział wielkiego kniazia dotarł do Białej. Tu na obszernym placu targowym ze studnią pośrodku książę wstrzymał konia, nakazując postój. Należało obejrzeć obrażenia zwierząt, napić je przed dalszą drogą oraz sprawdzić, czy wszystkim udało się wyjść szczęśliwie z pożogi.

Po wysłaniu straży na oba krańce wsi skupiono się przy studni. Okazało się, że były straty w ludziach. Brakowało jednego z rycerzy przybocznej straży i dwóch pachotków. Wierzchowce nie ucierpiały zbyt od ognia, a to dzięki okryciu ich derkami za poradą Jaksy. Poważniejsze były szkody materialne, bo w oberży pozostały cenne szuby i bogata odzież dostojników. Porzucono również wozy pełne różnego dobra.

Tym jednak Witold nie zdawał się zbyt martwić. Wrażenie grozy już minęło i kniaziowi wróciła równowaga ducha, a z nią i dobry humor. Toteż rozejrzawszy się wokoło i dostrzegłszy Jakcę, który właśnie docisnął się z koniem do studziennego koryta, skinął na niego. Rudy porzucił wierzchowca i skoczył do kniazia.

— Przystajesz mi się podobać — rzucił ten niby gniewnie, ale słowom przeczył wesoły błysk oczu.

— Czemu to, wasza książęca wysokość?

— Bo po raz wtóry muszę ci okazywać wdzięczność, a my, władcy, niezbyt to lubimy! Twoja to przecież głównie zasługa, żeśmy uszli cało z tej

przygody! Nie znając drogi i bez okrycia koni, upieklibyśmy się przy tym ognisku, co go na naszą cześć rozpalono!

— Miałem przykazane strzec waszą miłość...

— To dlatego wierzchowce były osiodłane i gotowe do drogi, kiedyśmy wypadli na podwórze? Tak, jakbyś wiedział, że będzie pożar? — Witold zmrużył powieki i popatrzył przenikliwie na Jakcę.

— Istotnie, na krótko przedtem wydałem rozkaz, aby kulbaczone wierzchowce.

— Dlaczego dałeś taki rozkaz?

Rudy wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Sam nie wiem, wasza miłość. Ale myślę, że główna to zasługa jednego z rycerzy waszego orszaku. Wyszedłszy sprawdzić warty, czułem jakowyś niepokój, alem go w sobie zdusił. Ów rycerz pełnił właśnie straż i on mnie ostrzegł. Wówczas już bez wahania rozkazałem, aby zarzucono koniom siodła i założono uździenice. Dlatego potem dociągnięcie popręgów nie trwało nawet pacierza.

— Który to jest, co tak umie wietrzyć zło?

— Domarat z Zawichostu. Rzekł mi, że wyczuwa niebezpieczeństwo nie gorzej od zwierza w lesie. No i okazał się dobrym wrożem.

— Przywołać mi go! — rozkazał ksiązę.

Paru rycerzy stojących w pobliżu i przysłuchujących się rozmowie okrzyknęło poszukiwanego i po chwili wysoki, chudy woj o długich płowych wąsach stanął przed kniazem. Ten zmierzył go wpierw uważnym spojrzeniem. Domarat nie umknął oczami przed książęcym wzrokiem. Milczał jednak w oczekiwaniu na słowa władcy. Po chwili Witold rzucił nieco kpiącym uśmiechem na twarzy:

— Słyszałem, żeś celny wróż. Prawda to?

— *Myślę, że lepszy ja wojak niż wróż, miłościwy panie...*

— *Aleś pożar przewąchał! Zatem skoro tak dobrze umiesz wróżyć, powiedz, co cię teraz czeka?*

Woj uśmiechnął się chytrze pod wąsem.

— *Dziesięć grzywien nagrody, wasza miłość — rzucił śmiało.*

Otoczenie Witolda wybuchnęło śmiechem. Roześmiał się i kniaź. — Praw byłeś, mówiąc, żeś lepszy wojak niż wróż! Bo wróżyć nie umiesz! Nie dziesięć, a sto grzywien dostaniesz ode mnie!

Rycerz, z wrażenia nie mogąc wydobyć głosu, pochylił się w milczeniu do książeńcych kolan. Witold obrócił się do stojącego za nim pisarza.

— *Cebulka, zapisz i każ mu w Sączu te pieniądze wypłacić! A temu tu — wskazał na Jaknę — jako że nie lubię nikomu być wdzięczny, darowuję Niemierzę. Wygotujesz akt po przybyciu do Wilna. Bez pana teraz te włości, niech je bierze. Wprawdzie dwór moi ludzie spalili, ale dość tam będzie miał rąk, aby postawić nowy.*

— *Ze trzydzieści dymów, a i rabów nie mniej. To znaczna majątność... — odezwał się objaśniająco marszałek Rumbold, patrząc z uśmiechem na Jaknę.*

Ten zamiast podziękowania wyrzucił w górę ręce i krzyknął:

— *Niech żyje wielki kniaź!*

— *Niech żyje! — podchwycili okrzyk rycerze, po czym zaczęli cisnąć się do obdarowanego, poklepując go po plecach. Przysunął się doń i Domarat.*

— *Dzięki, żeś wspomniał o mnie, bracie — szepnął mu do ucha. — Będę pamiętał, że przez ciebie otrzymałem taki pieniądz!*

W tej chwili zadudniła ziemia pod kopytami pędzącego konia. Gnał jeden z pachotków wystanych na skraj wsi celem stróżowania gościńca.

— *Zbrojny oddział! — krzyknął, zdzierając konia. — Idą od Kieżmarku! Będzie ze dwadzieścia chłopów!*

— W siodła! — zawołał Małdrzyk do swoich rycerzy. — Ustawić się na poboczu i przepuścić, aż nie dam znaku! — Wskazał na parkan biegnący wzdłuż pobliskich chałup i sam skoczył na konia. Potem obrócił się do księcia:

— Raczcie do tyłu, panie!

— Ostanę tu! — Witold był już na koniu, który tańczył pod nim podniecony krzykami, i zajął miejsce wśród dostojników na prawym skrzydle oddziału.

Wkrótce dosłyszeli narastający tętent, a po chwili wypadła pomiędzy chałup gromada konnych otoczona obłokiem kurzu. Na widok książęcego oddziału osadzili wierzchowce i, zatoczywszy łuk, podjechali ku niemu. Na czele jeźdźców rycerze polscy dostrzegli króla Zygmunta. Witold spojrzał ze zdziwieniem po swoim otoczeniu.

— A ten czego jeszcze od nas chce? — mruknął, chowając do pochwy obnażony miecz.

Odpowiedź na to pytanie otrzymał prawie natychmiast. Król przysunął się z koniem do Witoldowego wierzchowca i przechyliwszy się w siodle, ujął księcia za ramiona.

— Rad jestem, że widzę cię zdrowym! — wykrzyknął rozpromieniony. — Wielce frasowałem się o ciebie, ujrawszy ten pożar! Czemuś nie pośpieszył do gródka?! Blżej było i bezpieczniej, bo od tamtej strony ogień nie groził!

— Drogi nie znałem prócz tej, jaką przybyliśmy! Ale dzięki pomocy boskiej wydostaliśmy się z ognistej pułapki.

Witold nie spuszczał wzroku z twarzy Zygmunta.

— Pułapki? — w głosie króla zabrzmiało zdumienie. — Dlaczego zwiesz pułapką nieszczęście, które spotkało miasto?

— Ogień szedł nie tylko z jednego kierunku. Byliśmy otoczeni pożarami. A i dostęp do bramy zagroził nam jakiś zbrojny oddział. Siłą musieliśmy wyrąbywać sobie drogę.

— Nie może to być! — wykrzyknął Zygmunt. — Uwierzyć mi trudno!

— Możesz wierzyć, skoro ci mówię. Król i księżę zmierzili się oczami.

— Zapewne zebrała się jakaś banda, by przy sposobności pożaru dokonać grabieży! — oświadczył z przekonaniem Zygmunt. — To zwykła rzecz w takich wypadkach.

— Ja też tak myślę — Witold uśmiechnął się z lekka.

— Tym bardziej dziękuję Bogu, żeś cało wyszedł z tej przygody! — Wzrusza mnie twoja troskliwość — z wyraźną już kpinką odpowiedział księżę. Zygmunt zdawał się jednak nie dostrzegać tonu słów. Znów przysunął się do księcia i rzucił półgłosem: — Odjedźmy trochę, chcę ci coś rzec.

Witold trącił ostrogami swego wierzchowca i obaj władcy odsunęli się na bok. Zygmunt zerknął, czy odległość była dostateczna, by mówić swobodnie, i rzucił z ożywieniem:

— Czuję, że nie bardzo dowierzasz moim słowom. Czyżbyś podejrzewał, że nastawał na twoje życie?! Że pożar wybuchł za moją wiedzą, a może i wolą?! Jeśli tak jest, wyrządzasz mi wielką krzywdę.

— Szczere to słowa, mości królu, toteż równie szczerze ci odpowiem. Nie myślę, abyś dawał swą zgodę na taką gościnę w swoim królestwie, bezpieczeństwo giejtem uprzednio mi zapewniając. Ale ty z brodacami się kumaszesz i na ich poczynania oczy przymykasz. Ten pożar został rozniecony

może i bez twojej wiedzy, ale przecież wybuchł! Gościsz ich wciąż u siebie. Oni ci piasek w oczy sypią, a za plecami robią, co chcą, honor twój królewski za nic mając!

— Nie, nie, bracie! I w tym się mylisz! — zaprzeczył żywo, może nawet zbyt żywo, Zygmunt. — Niczyje ręce tego pożaru nie wznieciły! Wiesz dobrze, jak często ogień wsie i miasta niszczy, a że to nieszczęście dotknęło Kieżmark, właśnie kiedyś w nim był, o niczym nie świadczy! Związku się nie doszukuj, bo go nie było.

— Nie spierajmy się o to! Tak czy inaczej się stało, życie z tej przygody uratowałem! Może nie wszystkim to w smak, ale mnie na pewno!

— Witold roześmiał się beztrąsko.

— Jest jeszcze jedno, co chcę ci złożyć na sercu. Dużo wczoraj rozmawialiśmy o różnych sprawach, zwłaszcza na osobności. Czy możesz mi przyrzec, że nie powtórzysz tego nikomu?

Zygmunt przechylił się w siodle i uważnie wpatrywał się w twarz kniazia. Ten milczał przez chwilę, zanim powiedział:

— Mogę ci przyrzec, że nikt niepowołany o tym nie usłyszy...

Król prychnął gniewnie.

— Zatem to odmowa! Bo nie sądzisz chyba, że nie rozumiem, coś chciał rzec! Zastanów się jednak, czy mądrze czynisz! Po co mówić o tym, co się jeszcze może spełnić? Jeśli nie teraz, to za rok, dwa, trzy?! W ten sposób ostrzeżesz uszy jak najmniej ku temu powołane i pogłębisz ku sobie nieufność, która, jak dobrze wiesz, tkwi stale na dnie Władysławowego serca!

Witold uśmiechnął się lekko.

— W ten sposób nie pogłębię nieufności, ale ją usunę!

— Dobrze sobie to rozważ, bo to wcale nie takie pewne! Tylko o wierności do Jagiełły i o przysięgach mi nie mów, bo zgodę byłeś już gotów dać!

— Tak sądzisz? — Witold obojętnie wzruszył ramionami. — Zbyt niós zatem zawierzył pozorom.

— A jeśli nawet, to nie ma znaczenia! Ważne będzie, co ja powiem, gdyby zaczęło się o tym gadanie. A powiem, żeś zgodę już wyraził, tylko ten nieszczęsny pożar przekreślił zawarte między nami porozumienie, wywołując twoją nieufność!

Witold ściągnął brwi, ale opanował wybuch gniewu.

— Co będziesz mówił, to mi obojętne — odezwał się z wolna i spokojnie. — Nie po kłamliwe obietnice tu przybyłem, a szukać z tobą zgody i spokoju. Skoro zaś zrozumienia nie znalazłem, to cię na pożegnanie ostrzegę. Gadać możesz, co

chcesz, ale jeśli przeciw nam ruszysz, to rozprawimy się najpierw z Zakonem, a potem z tobą! Teraz już spieszno mi w drogę, zostań zatem z Bogiem!

Kniaź skinął dłonią ku swoim ludziom, a król Zygmunt już bez słowa poderwał wierzchowca i ze ściągniętymi gniewem brwiami pognął ku oczekującemu nań orszakowi.

PO WYJEŹDZIE RUDEGO Czarnemu nie pozostawało nic innego, jak oczekiwać cierpliwie na pojawienie się Kostura. Cierpliwość ta nie została jednak wystawiona na zbyt ciężką próbę, bo już następnego dnia wieczorem żebrak zjawił się w jego izbie.

— Masz co nowego? — rzucił zamiast powitania Bert. — Wiesz, gdzie się ukryli?

— Nie, panie.

— Nie próbowałeś dowiedzieć się, tak jakżem to radził?

Kostur podrapał się po skudłaczonej głowie.

— Próbowałem. Ale coś mi się widzi, że nie była to dobra rada...

— O czym ty gadasz?!

— Wziąłem do siebie pacholika podług waszego życzenia. Sprytny był chłopak, ale co z tego? Przyszedł ten wysoki, żylasty. Dał polecenie i już go nie było, alem zdążył wskazać go chłopcu, który ruszył w ślad za nim. Ruszył i już nie powrócił.

— Kiedy to było?

— Wczorajszego popołudnia. Nie wiedziałem, że tacy są okrutni. Teraz sam widzę, co to za zbóje, Ale co z tego? Życia chłopcu przez to nie powrócę.

— Może jeszcze się zjawi?

Kostur machnął ręką.

— Jak dotąd go nie ma, to już i nie będzie.

— Ważne jest, czy wzięli go na spytki. A jeśli tak, to co mógł im wyznać? Chodzi mi teraz o twoją skórę.

— Uprzedziłem go, co ma mówić, jeśli go pojmałi.

— Co mianowicie?

— Że posłał go nieznajomy z ulicy. Dałem mu opis waszej wielmożności. — Kostur uśmiechnął się.

Czarny skinął głową, uśmiechając się również.

— Dobrześ to obmyślił! Są tak zaślepieni złością na mnie, że usłyszawszy taki opis, już nic innego nie powinni podejrzewać!

— Nie przewidziałem jednak, że nie mogąc dostać was, złość przeleją na chłopaka.

— Nic już na to nie poradzimy. Istotnie, okrutni to ludzie! Nożem kogoś pchnąć to dla nich tyle, co innemu splunąć! Ale przyjdzie i na nich kara, bo gorsze jeszcze rzeczy mają na sumieniu niż to zabójstwo! Pora teraz, abyś rzekł, czego od ciebie chciał Lasota.

— Poleciał mi żebrać po oberżach i wypatrzyć, w której mieszkanie.

— Mnie macie szukać? — Czarny uniósł do góry brwi, po czym roześmiał się. — A to dopiero! Zatem szukamy się nawzajem, tyle tylko, że oni prędzej swego dojdą, bo wskażesz, gdzie mogą mnie znaleźć.

— Przykazujecie wyjawić? — zdziwił się żebrak.

— Tak! Powiesz, żeś miał szczęście i trafiłeś na mnie już w drugiej oberży. Będzie z tego i ta korzyść, że nabiorą większego zaufania do ciebie.

— Chyba wiecie, po co im potrzebna ta wiadomość? — Kostur był wyraźnie poruszony.

— Pewnie, że wiem! Ale chcę zobaczyć, jak tym razem zabiorą się do mnie! Nie mogąc do nich dotrzeć, muszę ich zwabić ku sobie.

— Wielce to niebezpieczna gra, panie.

— Nie nowina to dla mnie, stary! Gdzie masz przekazać wiadomość?

— Zgłosi się do mnie wystannik, który poda hasło: „Peter chce wiedzieć” .

Czarny wyciągnął sakiewkę i wyjął parę monet.

— Masz tu za fatygę! A na przyszłość nie zwlekaj do następnego dnia, ale przychodź zaraz. Wieści muszą mieć bez zwłoki!

Po wyjściu żebraka upadł na postanie i założywszy ręce pod głowę, zapatrzył się w belkowanie sufitu.

TERAZ NALEŻAŁO ZACHOWAĆ najwyższą czujność. Wszystko stawało się ważne, najbliższe zdarzenie mogło być sygnałem lub ostrzeżeniem. Czy na przykład zerkanie czarniutkiej, zgrabnej służebnej, coraz bardziej porozumiewawcze i natarczywe, było oznaką osobistego

zainteresowania, czy też wykonywaniem poleconego zadania? Przynosiła mu co wieczór do izby dzban miodu, który chętnie popijał po wieczery. Pierwej robiła to bez słowa, teraz zaś z cichym chichotem i zaczepnymi półsłówkami. Czy tylko dlatego, że już się z nim oswoiła? Albo czy stajenny pacholek, którego przytapał pod swoimi drzwiami, zatrzymał się tam przypadkiem, czy może usiłował zbadać, jak są zamknięte? A to drobne zdarzenie z ubiegłego wieczoru, kiedy to zagadnęło go na sali dwóch nieco podpitych mieszczan? Był to tylko zwykły przypadek czy umyślne szukanie znajomości?

Te podejrzenia zaczęły nurtować Czarnego szczególnie po rozmowie z Kosturem, gdyż zdawał sobie sprawę, że każdy dzień wzmaga niebezpieczeństwo. Coraz bardziej też zaczął odczuwać obawę, czy zdoła dostrzec jego nadejście.

A jednak dostrzegł. Było to spojrzenie dwojga ciemnych oczu w suchej, pociągłej twarzy o orlim nosie i wąskich, zaciętych wargach. Człowiek ten siedział dwa stoły dalej i, unosząc kufel do ust, patrzył na niego badawczo. Było to czujne spojrzenie łowcy, który dopadł swojej zwierzyny. Czarny znał takie spojrzenia i poczuł dreszcz podniecenia. Wiedział już z całą pewnością, że ma przed sobą oczekiwanego przybysza — zawodowego zabójcę. Przez chwilę tylko mierzył się z nim wzrokiem, potem obojętnie przeniósł spojrzenie na salę, jakby owo spotkanie nie miało żadnego znaczenia. Zdarzyło się to w czasie kolacji. W chwilę potem Czarny wstał i ruszył na piętro do swojej izby. Rudy jeszcze nie

wrócił, więc drugie postanie było puste. Zapiął kaftan i czekał z rozebraniem się, dopóki nie zjawi się służebna z wieczornym dzbankiem miodu. Jakoż przyszła po krótkiej chwili. Postawiła dzbanek na stole i obróciła się.

— Dobrej nocy, wielmożny panie — rzuciła z uśmiechem, niby niechcący ocierając się spódnicą o Czarnego.

— Poczekaj, Mirka — zatrzymał ją. — Tak stąd uciekasz, jak z lwiej jaskini. Nie pożrę cię.

— Doprawdy nie? — Zatrzymała się, rzucając spojrzenie spod rzęs.

— Nie, chociaż kęsek z ciebie nie najgorszy.

— Głodniście? — roześmiała się.

— Nie dlatego jednak cię zatrzymałem.

— A dlaczego?

— Bo chciałem spytać, czyś spostrzegła na sali mężczyznę ubranego w zielony kaftan. Siedział niedaleko ode mnie. Pociągła ciemna twarz, chłop mego wzrostu.

Dziewczyna przez chwilę zawahała się, po czym rzuciła z ożywieniem:

— Wiem, o kim mówicie! Przyjechał dziś w południe! Nie wiem, kto to jest, ale musi być zamożny, bo mistrz wyrzucił jakiegoś kupczyka na nocleg do stajni, a jemu dał izbę!

— Zatem to nie przygodny gość, ale mieszkaniec oberży? Nie dowiedziałabyś się, kto on?

Obrzuciła go zalotnym spojrzeniem.

— Dla was mogę to uczynić!

— Zatem zrób to, a postaram się odwdzięczyć.

— Spróbuję! — Kiwnęła mu dłonią i znikła za drzwiami.

Na następny dzień, wychodząc z oberży, Czarny odszukał mistrza Floriana i wkrótce dowiedział się nieco więcej o tajemniczym przybyszu.

Okazało się, że inne były przyczyny, dla których opróżniono dla niego izbę w sposób tak drastyczny. Otóż sam pan kasztelan zamkowy, Krystyn z Koziągłów, przysłał pachółka z poleceniem, by dano izbę miłemu jego sercu Lubomirowi z Wrocławia, który przybył tu z polecenia cechu płatnerzy, by ubiegać się o dostawę oszczepów i pawęży dla piechoty miłościwego pana.

Na takie polecenie mistrzowi Florianowi nie pozostało nic innego, jak opróżnić izbę i gościny udzielić.

Mimo nawału zajęć związanych z tak licznym zjazdem kasztelan przyjął Czarnego od razu, wiedząc z racji swego wysokiego urzędu, z kim przychodzi mu mówić.

— Czy znacie, wasza wielmożność, Lubomira z Wrocławia? — Bert przystąpił do rzeczy bez długich wstępów.

Krystyn ściągnął siwe brwi.

— Lubomira? — powtórzył z wolna. — Z Wrocławia? Kto to taki?

— Podobno przybył tu z polecenia wrocławskich płatnerzy ubiegać się o wojenne dostawy.

— Nic o takim nie słyszałem, a cóż dopiero mówić, abym go znał! Dlaczego o niego pytacie?

— Przybył do oberży, gdzie mieszkam, podobno za waszym poleceniem.

— A niechże go czort! — obruszył się kasztelan. — Zaraz przykażę przyprowadzić go tutaj i sprawę wyjaśnię!

— Wstrzymajcie się, wasza miłość. Wystarczy tego, com się od was dowiedział. Resztę pozostawcie już mnie.

— Jeśli chcecie, to niech tak będzie. Ale ja wsadziłbym pana brata do baszty, by wyśpiewał, skąd to tak dobrze go znam, że troszczę się dlań o kwaterę!

Po wyjściu od kasztelana Czarny minął podwórzec zamkowy i przez furtę w Kowalskiej baszcie wy dostał się na kamienne schody, wiodące aż nad sam brzeg Dunajca. Tam siadłszy na kamieniu przez dłuższy czas obserwował skrzący się w słońcu nurt, zamyślony głęboko.

Wieczereżę zjadł o zwykłej porze i na swoim zwykłym miejscu, pozornie nie zwracając na nic uwagi. Mimo to zauważył od razu zielony kubrak przybysza, który tym razem siedział w mrocznym krańcu jadalnej izby.

Przesunął po nim spojrzeniem, ani na chwilę nie zatrzymując wzroku, po czym więcej już w tamtym kierunku nie spojrział. Gra się zaczęła i uderzenie musiało nastąpić wkrótce, gdyż przeciąganie akcji stwarzało dla tamtego niebezpieczeństwo spłoszenia ofiary.

Po posiłku Czarny jak zwykle udał się do siebie, jak zwykle też rozległo się ciche pukanie i do izby wsunęła się Mirka. Postawiła miód na zwykłym miejscu i uśmiechnęła się do niego.

— Pijcie miód, niech wam idzie na zdrowie.

— Dziękuję! A jak tam z tym zielonym kaftanem! Dowiedziałaś się czegoś?

— Dowiedziałam się, ale nic ciekawego. To podobno jakiś krewny naszego gospodarza, dlatego dostał izbę. Spokojny człek, z takich, co to nie lubią nikomu w drogę wchodzić.

— Tak słyszałaś? — spytał obojętnie Czarny, zastanawiając się jednocześnie, czy dziewczyna naiwnie powtarza podaną jej wersję, czy też... Dorzucił więc po chwili: — Skąd to wiesz?

— Bo nie pierwszy raz już się tu zatrzymuje. Przypomniałam to sobie dopiero po naszej rozmowie.

Czarny uśmiechnął się przyjacielsko.

— Dziękuję zatem, żeś nie zapomniała o mojej prośbie. Nie mów nikomu, o czym żeśmy tu gadali, a tu masz, kup sobie koraliki!

Mirka dygnęła wdzięcznie, przyjmując datek.

— I ja wam dziękuję, panie! — Lekki rumieniec zabarwił jej policzki, kiedy dorzuciła szybko: — A jak będziecie chcieli więcej miodu, to wam jeszcze przyniosę! Gospodarz rozpoczął dzisiaj świeżą beczkę, ponoć trunek ma być lepszy, niżli był!

— Zaraz go spróbuję, a tego, co jest, starczy.

Dziewczyna frunęła do drzwi.

— No, to pijcie na zdrowie! Dobranoc, miłościwy panie!

Odprowadził ją wzrokiem, po czym przez chwilę stał bez ruchu, w zamyśleniu spoglądając na stół. Wreszcie zbliżył się ku niemu i sięgnąwszy po dzban upił łyk miodu, smakując go na języku. Istotnie, trunek był doskonały, o nieco cierpkim smaku...

Latarnia paliła się na stole, rzucając wokół chybotliwe światło, obok niej stał pusty dzban po miodzie, a na pościeli, z rozrzuconymi szeroko ramionami, leżał Czarny pogrążony w głębokim śnie.

W pewnej chwili rozległo się lekkie pukanie, potem drzwi uchylły się z wolna i najpierw ukazała się głowa Mirki, a wreszcie i ona sama przestąpiła próg.

Zatrzymała się na chwilę, wpatrując się w śpiącego, a potem cicho i ostrożnie ruszyła ku niemu. Kiedy znalazła się przy łóżku, nachyliła się nad Czarnym i trącając go w ramię, rzuciła półgłosem:

— Panie... wielmożny panie...

Tego jednak było za mało, żeby wyrwać Berta ze snu. Dziewczyna spojrzała na pusty dzban i trąciła Czarnego znacznie już mocniej.

— Panie, zbudźcie się! — powiedziała głośno.

Jednak i to wezwanie nie odniosło skutku. Śpiący obrócił się jedynie na bok z głośnym chrapnięciem. Mirka czas jakiś stała jeszcze nad nim z lekkim półuśmiechem na twarzy, po czym ruszyła ku drzwiom.

Te uchylły się i na czarnym tle korytarza ukazała się twarz mężczyzny okolona narzuconym na głowę kapturem obszernej opończy, którą miał na sobie.

— Możesz wchodzić — szepnęła dziewczyna. — Śpi twardo. Miód swoje zrobił.

Do izby wsunął się rzekomy przybysz z Wrocławia. W rękę trzymał parę rzemieni. Powiesił je przez oparcie krzesła i, nie śpiesząc się, zrzucił opończę.

— Idź teraz do siebie i nie wytykaj nosa! — poleciał rozkazująco. — Będziesz mi tylko zawadzać!

Mirka zniknęła w mrokach korytarza. Mężczyzna zamknął za nią drzwi i stąpając bez szmeru, zbliżył się do postania. Z ironicznym uśmiechem przyglądał się przez chwilę śpiącemu, a potem nachylił się i sięgnął do jego pasa, za którym tkwił nóż...

W POBLIŻU MŁYŃSKIEJ BRAMY, przy zaułku biegnącym wzdłuż obronnych murów wzniesionych jeszcze za króla Kazimierza, miał swoje obejście woźnica Marek, właściciel mocnego wozu i silnego konia, z którym wynajmował się miejscowym kupcom nie tylko do rozwożenia towarów po mieście, ale i na dalsze podróże — do Lwowa, Halicza, Włodzimierza, a nawet i na Węgry.

Właściciel tego gospodarstwa chytry był wielce, jeśli chodziło o zarobienie nawet i grosza. Toteż chętnie wynajął pusty składzik na zamieszkanie dwóm obcym przybyszom, tym bardziej że zapłacili bez targów żądaną cenę.

Wyszykował im postanie ze słomy, postawił stół i ławę i zatroszczył się o latarnię, by mieli przy czym spożywać wieczorne posiłki, które szykowała im jego baba, toteż obaj przybysze czuli się tutaj dobrze i bezpiecznie.

Teraz siedzieli przy stole, na którym stało ledwie napoczęte jadlo i latarnia rzucająca na ich twarze nikłe światło, mało co rozpraszając mrok pomieszczenia. Trwające milczenie przerwał w pewnej chwili Peter.

— Tym razem musi się udać... — mruknął, wyrażając w ten sposób wątpliwość, nurtującą ich obu przez całą wieczór.

— I ja tak myślę — zgodził się brat Lasota. — Obmyśliłeś wszystko nad podziw chytrze.

— Ale nic z całej mojej chytrości, jeśli tamci pokpią sprawę! Ten Czarny to przebiegła sztuka!

— Niech pochłonie go piekło! — wybuchnął mnich. — Ale czy zbytnio nie uganiamy się za nim, zaniedbując przez to ważniejsze sprawy. Z Zakonem żartów nie ma. Ostatnio mało co mieliśmy im do doniesienia.

— Nie zapominam i o sprawach zakonnych. Będą wiedzieli, co chcieli wiedzieć. Pomyślmy też i o innej sprawie... Jeśli się powiedzie, będziemy najbogatszymi ludźmi w całym Zakonie.

— Czy aby nie zmyślasz, Peter? — Brat Lasota upił kolejny łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni. — Cóż to za sprawa, która ma dać to bogactwo? Czemu jasno nie mówisz?

— Bo jeszcze nie czas. Wprzódę chcę ściągnąć skórę z tego łotra. Powiem ci, jak będzie trzeba.

— Niech będzie i tak — mruknął mnich.

Peter wpatrywał się w nikły płomyk latarni, ledwie widoczny za rybnym pęcherzem, wreszcie westchnął i sięgnął po piwo.

— Wkrótce powinni być. Północ chyba już blisko. Oby się tylko udało!

— Uda się, uda — pocieszał go Lasota. — Ta dziewczka i ów Lubo to sprytna para. A i ludzi mają przecież do pomocy.

W tej chwili usłyszeli skrzyp wozu, głośne „prrr” woźnicy, a potem ciężkie kroki i parę rzuconych półgłosem słów. Zerwali się na nogi i dopadli drzwi, otwierając je na oścież. Smuga światła padła na trzech drabów dźwigających podłużny tobół. Za nimi postępował ich gospodarz z batem w ręku.

— Macie go?! — rzucił zadyszany głosem Peter.

— Mamy, wielmożny panie! Co nie mielibyśmy mieć? — rozległ się z ciemności głos woźnicy.

— Trzech chłopów dźwigających ciężar weszło do izby i złożyło go na jednym z postuń.

— A gdzie Lubo?

— Ostał na chwilę przy wozie. Zaraz tu będzie.

Lasota rzucił się w stronę postania i niecierpliwie począł szarpać derkę, spod której ukazały się najpierw skrawki zielonego kubraka, a potem cały Lubo, dokładnie skrępowany rzemieniami i czerwony na twarzy, bo w ustach miał wielki knebel, dla pewności przywiązany jeszcze kawałkiem płótna.

Kiedy mnich zerwał płótno i wyciągnął knebel, z ust związanego wydobył się charkot:

— Tnijcie rzemienie... ledwie żyję...

Peter, stojąc bez ruchu, wpatrywał się w niego rozszerzonymi z przerażenia oczami. Nie mniejsze przerażenie malowało się w spojrzeniach reszty otaczających postanie drabów.

Wreszcie Peter, obracając głowę ku woźnicy, zdołał wydobyć z siebie głos:

— Jak... jak żeś powiedział? Ze zostawiliście go przy wozie.

— Toć prawda, panie! Ludzie, dla Boga! — Stary Marek obrócił się ku zbójcom.

— Przecież widzieliście! Jeszcze przed chwilą pomagał nam ściągnąć ten tobół!

— Prawda to, panie! — potwierdzili zgodnie. — Siedział na wozie i po drodze gadał z nami! Co się tu dzieje!

— Właśnie! — wrzasnął już Peter. — A teraz mamy go w więzach! To kto był z wami?!

Pachołkowie spojrzeli po sobie ze zgrozą w oczach. W milczeniu zaczęli szybko kreślić na piersiach znaki krzyża. Stary Marek spoglądał po nich, po czym rzucił cicho, powtarzając ostatnie słowa Petera:

— Kto tedy był z nami? Kto, boży ludzie? Pytam was, kto był w tej opończy i kapturze?

— Kto, jak nie Zły? — szepnął któryś. — Nieczysty jechał na wozie!

— Zgubieni my wszyscy!

Znów zaczęli się żegnać, a potem jakby pchnięci jedną ręką runęli do drzwi, wypadli na dwór i pognali w czerń nocy. Woźnica spoglądał w ślad za nimi, bo drzwi w pośpiechu nie zawarły, wreszcie przeniósł spojrzenie na swoich gości i patrzył na nich chwilę spode łba.

— Diabeł przeszedł waszą drogę — mruknął. — Nie moja to była sprawa, więc myślę, że może mnie nie ruszy. Ale tamci woleli uciec. A i ja pomocy wam już nie dam i rad bym, byście szybko stąd poszli!

— Pójdziemy, jak przyjdzie czas! — warknął Lasota. — A ty stul głowę i nie kracz, bo zginiesz pierwszy!

— Swoje pieniądze dostaniesz, a o nas się nie frasuj! Poradzimy i diabłu! — dorzucił Peter, ale bardziej pojednawczym tonem, by nieco uspokoić rzeczywiście przerażonego gospodarza.

— Nie bądźcie tacy dufni! Płacie, to niech tam, ale na mnie już nie liczcie! Trzydniowe zakłęcia przyjdzie mi czynić, by złe odegnąć!

— A rób, co chcesz! — rzucił już ze złością Peter, patrząc na zamykające się za gospodarzem drzwi.

Jakiś czas panowało milczenie, które przerwał jęk Lubomira obmacującego sobie gardło. To jęknięcie jakby otrzeźwiło obu kamratów.

— Ty głupcze! — wrzasnął na niego Peter. — Pokpiłeś tak dobrze obmyśloną robotę! Gadaj, jak to się stało, że ciebie, a nie jego tu przynieśli!

— Udał uśpionego... — jęknął opryszek. — Mirka mnie zwiódła mówiąc, że wypił miód z ziołami i śpi mocno... Walnął mnie z nagła w łeb i zamroczonego związał. Potem nóż przystawił do gardła, tom musiał mu rzec, jak i dokąd miałem go zabrać...

— I coś rzekł, ty psie?! — Lasota poderwał się na nogi i przypadł do Lubomira, chwytając go za kaftan. — Powiedziałaś mu, jak do nas dotrzeć?

— Przecież nie wiedziałem, gdzie was szukać... Jeno woźnica znał drogę.

— *Twoje szczęście, bo byś wygadał mu i to, a wówczas ja bym ci przystawił nożyk do grdyki!*

— *A potem? — wtrącił Peter. — Co zrobić?*

— *Zaniósł mnie do wozu! — mruknął ze złością opryszek.*

— *Tamci nie poznali, żeś to nie ty?*

— *Wdział moją opończę i nasunął kaptur na łeb. Noc ciemna, to skąd mogli poznać?*

— *Zabieraj się stąd! — krzyknął Peter pod wpływem nowej fali wściekłości. — Dość żeś biedy narobił! Bachory ci niańczyć, a nie imać się takiej roboty!*

— *Dobrze wam gadać, boście przy tym nie byli! — warknął już rozżłoszczony zbój. — Pójdę, ale wprzód zapłacicie za moją mitręgę i ból, co mi ten pies zadał!*

— *Coś powiedział? — Lasota zbliżył twarz do twarzy zbója. Było coś w jego głosie, co kazało tamtemu poderwać się na nogi i szukać noża przy pasie. Mnich chwycił go oburącz za kubrak, podniósł w górę, jakby mało co ważył, i, niosąc ku drzwiom, mruczał przez zęby:*

— *Zapłaty chcesz? Ty gamajdo, diabelska wszo, dam ci zapłatę! Oto ją masz, ty głupi gnojku! — Kopnął nogą w drzwi i rzucił opryszka w ciemność. Potem obrócił się i westchnął: — No, ulżyło mi nieco... A już myślałem, że mnie posoka zaleje! Znów wszystko na nic! Tyle zabiegów i pieniędzy! Diabłu chyba musiał ten pies duszę zaprzedać!*

— *Dostaniemy go, bracie Lasoto, dostaniemy... — rzucił z taką zawziętością Peter, że Czarny, leżąc nad nimi na stryszku i słuchając całej rozmowy, poczuł nieprzyjemny dreszcz.*

— *Tak tylko gadasz! I wtedy, i teraz obmyśliłeś wszystko, że lepiej nie można, i co? Uganiamy się wciąż za nim. Zakon czeka daremnie na wieści! Nie chciałybym przy tym być, jak cię zdybie ich wysłannik!*

— Poradzę sobie... — mruknął Peter, przysiadając na ławie i chwytając za dzban. Pił dłuższą chwilę, po czym odstawił go i, sapnąwszy, walnął pięścią w stół. — Niech go spalą wszystkie gromy świata! — wybuchnął, dając upust wściekłości.

— Przestań złorzeczyć! — fuknął mnich. — Trzeba go teraz poniechać, bośmy zmitrężyli moc czasu!

Peter przyłożył obie dłonie do twarzy i siedział jakiś czas bez ruchu, pochylony do przodu. Po chwili wyprostował się i rzucił już spokojnie:

— Prawda to. Ten musi poczekać, aż mu się los spełni! Wprawdzie wojsk zaciężnych jeszcze nie ma, więc nie ma też z kim gadać, ale i bez tego zaniedbaliśmy poruczone sprawy, a głównie tę najważniejszą. Przykażę teraz Kosturowi, aby porzucił żebraczą torbę i wziął się za inne zajęcie. Musimy zawczasu wiedzieć, gdzie dwór rusza.

— Co masz na myśli? Znów gadasz tak, że nie wiem, o co ci chodzi!

— Dowiesz się, bracie, dowiesz... A jak się nam powiedzie, to na workach ze złotem będziesz spał!

— Aby tak nam nie poszło jak z tym piekielnikiem!

— Mam swoje drogi, dotrę nimi, gdzie trzeba! Teraz już pora spać, jutro obmyślimy wszystko świeżą głową!

— Nie usnę, Peter! Ciągłe mi po głowie chodzi dzisiejsza sprawa! Z nieczystym ten człek się kuma i przywołać go umie, to widać jasno! Na wozie kazał mu jechać!

Peter rzucił szybkie spojrzenie na kompana.

— Tak sądzisz? — szepnął, mimo woli ścisząc głos, w którym zadrgała nuta strachu. — Jeśli to prawda, to nic z naszej zemsty, bo Zły zawsze go ostrzeże!

— Teraz już rozumiem, jak się to stało wtedy, na łódce! Podejrzewaliśmy Paula, że więzy przeciął, i niestuszenie! Toć jasne, że przywołał Złego na pomoc i ten go uwolnił!

— Tfu, bracie Lasoto! Poniechaj nocą tych gadek! Może naprawdę nieczysty jest tu gdzieś w pobliżu?

— Ja tu nie ostanę! Rankiem musimy szukać innej kwatery.

— I ja tak myślę... Czekażcie... Powiedziacieś o kwaterze i coś mi zaczyna chodzić po głowie... — Peter znieruchomiał i szeroko rozwartymi oczami zapatrzył się przed siebie. — A jeśli... Jeśli to w ogóle nie był diabeł? Może to on sam, ten psubrat, nie tylko zniósł Lubomira, ale siadłszy na wóz, tu przyjechał z naszymi ludźmi?!

Peter mówił coraz ciszej, ostatnie słowa zniżając nieomal do szeptu.

— I ci nie rozeznaliby, kto z nimi jedzie?

— Przecież Lubo ci rzekł, że wdział opończę i nasunął kaptur. Po co to uczynił? A nie rozeznali, bo noc całkiem ciemna i pod kapturem twarzy dojrzeć niepodobna.

— Odważyłby się na to? — W głosie mnicha, mimo wyrażonej wątpliwości, zadrgał strach.

— Mogło tak być... A skoro mogło, nie możemy tu zostać ani chwili dłużej, bo kto wie, czy zobaczywszy, gdzie wóz zajechał, nie pognał zaraz po zamkowych pachotków.

Czarny, słuchając tych słów, przeklinał w duchu rozbudzony wreszcie rozsądek Petera. Już wiedział, że ich tu nie złapie, i teraz jego ogarnęła fala wściekłości. Stawało się obojętne, czy będą, czy nie będą wiedzieli, że tu jest, bo i tak nie pozostaną na miejscu. Począł więc cicho się wycofywać, aż namacał stopą otwór wyjściowy ze stryszku. Za chwilę zjeżdżał po drabinie, którą sobie przystawił. Potem ruszył ostrożnie, by odszukać w ciemności furtę w ogrodzeniu obejścia.

PO POWROCIE KSIĘCIA WITOLDA z Kieżmarku toczyły się na zaniku sądeckim żywe narady. Wielki książę powtórzył królowi i jego Radzie propozycje Luksemburczyka i opisał próbę zamachu na swoją osobę. A ponieważ dokonanie zamiany postanowiono w ostatniej chwili, skutkiem czego zamiast króla Jagiełły

pojechał nieoczekiwanie książę Witold, stało się jasne, przeciw komu skierowany był ten zamach.

Upewniło to wszystkich, nawet tych najbardziej dotąd nastawionych ugodowo, że innej drogi prócz wojennej już nie ma. Przestano też wierzyć w dobrą wolę Zygmunta i jego pragnienie pojednania zwaśnionych stron.

Teraz należało jak najbardziej przyspieszyć przygotowania do wojny. Wielki książę, nie zwlekając ani dnia dłużej, niż to było konieczne, pognął rozstawnymi końmi na Litwę, by zwoływać wojska. Ruszyli od królewskiego boku wojewodowie: sandomierski, lubelski, poznański i inni, by rozstać wici,

pobiegli gońcy do Czerska i Płocka z wezwaniem do książąt Janusza i Ziemowita, by stawili się ze swoimi chorągiewami pod Czerwińsk i objęli pieczę nad miastem. Dwór zaś w sobotę dziesiątego maja podążył do Krakowa.

Wraz z dworem jechali Czarny i Rudy. Mało co jeszcze ze sobą mogli rozmawiać, bo wielki książę nie puszczał od swego boku nowego bojara, a i teraz chciał, by ten towarzyszył mu w podróży na Litwę, gdzie wszystkich czekała ciężka i gorączkowa praca. Ostatecznie jednak za wstawiennictwem Moniwida zgodził się zwolnić Jaksę na kilka dni dla załatwienia swoich spraw w Krakowie.

Obaj towarzysze wycofali się na koniec orszaku, by wreszcie móc swobodnie pogadać.

Ranek był piękny, pełen słońca. Niebieskie, zamglone szczyty gór pozostawili za plecami, gdyż trakt wiódł ku północy, a od Czchowa dopiero skręcał ku zachodowi. Jechali przez kraj gęsto zaludniony, bo spokojny, nieznający najazdów litewskich czy tatarskich. Toteż po stokach wzgórz biegły liczne zagony uprawnych pól, wsie spotykało się często, od czasu do czasu widać było gródki rycerskie lub usadowione na szczytach wzniesień magnackie kasztele z murowanym stołpem, na którym, jeśli pan był obecny, powiewała na wietrze rodowa chorągiew.

Lasów było tu mało. Tu i ówdzie jedynie w kotlinach między wzgórzami zieleniały kępy dębów lub rzędy olch i wierzb znaczyły kręte drogi rzeczek o bystrych, chłodnych nurtach.

Konie szły lekką rysią, toteż całą uwagę mogli skupić na rozmowie.

— Książ, jeśli nagradza, to szczerze — rzucił Czarny, usłyszawszy o darowiźnie.

— Stałeś się zamożnym człowiekiem, Rudy, szczerze ci wieszuję!

— Pamiętasz, jak rozstawaliśmy się we Włocławku? — uśmiechnął się ten. — Chciałem cię wtedy posłać w diabły i wracać na zachód. Do dziś nie wiem, czemu tego nie zrobiłem, ale teraz nie żałuję.

— Nie poznałbyś Zyty. O tym myślałeś, czy o nadaniu?

— Co tam nadanie... O Życie myślałem.

— Teraz będziesz miał ją gdzie wprowadzić. Ani się obejrzysz, jak żałoba minie i będziecie mogli się pobrać.

— Wciąż nie chce! Teraz książ zezwolił na krótko do Krakowa skoczyć, więc jadę z nadzieją, że może się dogadamy. Bez tej pewności ciężko byłoby człowiekowi pomiędzy obcych jechać.

— Oczami nie wódz, stawaj ostro, a opór przełamiesz! Jużem ci to raz powiedział!

Rudy westchnął tylko i jakiś czas jechali w milczeniu, rozścielając za sobą wachlarz kurzu. Z grupy jadącej przed nimi dochodził od czasu do czasu wybuch śmiechu lub głośniejsze rzucone słowo.

— Jakaś wpadł na to, że zadała ci na sen w tym miodzie? — Rudy zmienił temat.

— Nie wiedziałem, że to było tylko na sen. Spodziewałem się gorszego. Ale oni chcieli mnie dostać żywcem! — Czarny roześmiał się. — A że złapałem ją na łgarstwie, tom miód wylał do kubła!

— Ten Peter nie taki głupi. Dwa razy nastawił dobrze obmyślane sidła! A słyszałeś, o czym gadali?

— Słyszałem. Dostałem się na stryszek nad nimi.

— Coś ciekawego?

— Nawet bardzo. Nastają na osobę miłościwego pana. Proboszcz Andrzej mocno o to wypytywał. Widać, że lekce ich sobie nie waży. Prócz tego czekają na zaciężnych. Po co, nietrudno zgadnąć. Niemało jeszcze mogą narobić kłopotów!

— Musisz z nimi skończyć, i to im rychlej, tym lepiej. Żałuję, że muszę jechać na Litwę. Chętnie zapolowałbym z tobą!

— I ja tego żałuję. Przydałbyś się bardzo.

Znów zamilkli, wstrzymując nieco konie, bo wiatr zmienił kierunek i kurz od głównego oddziału zaczął docierać do nich.

W KRAKOWIE NASTAŁY DNI gorączkowej pracy. Rycerstwo znajdujące się przy królewskiej osobie zostało rozpuszczone do domów celem przysposobienia się do wyprawy. Jego część, a zwłaszcza ta należąca do przybocznej chorągwi, miała wrócić do Krakowa, reszta ciągnąc bezpośrednio do Wolborza.

Dygnitarze zaś dworscy, którym jeszcze w Sączu król wyznaczył zadania, mieli pełne ręce roboty.

Ogólną pieczę nad koordynacją ich prac sprawował wojewoda krakowski Jaśko z Tarnowa. On też śledził wraz z Trąbą poczynania strony przeciwnej, o

czym szły wieści z Prus, Wszystkie jednak jego decyzje opierały się na wytycznych udzielanych przez króla. On rozstrzygał spory, które zdarzały się wśród dostojników, on dawał im polecenia i wskazywał kierunki działania, przed nim każdy z wielmożów był odpowiedzialny.

Król zaś, załatwiając te sprawy, poświęcał również swój czas na udzielanie posłuchań, zwoływanie doraźnych narad, omawianie w poufnych rozmowach z nagła powstałych problemów czy otrzymywanych z kancelarii pism. Odbywało się to jednak przeważnie po południu, bo Jagiełło wstawał późno. Toteż wicekanclerz coraz częściej chodził ze zmarszczoną brwią, ale znając swego pana, większość spraw załatwiał sam. Jednak król musiał znaleźć czas na przyjęcie węgierskiego poselstwa, które właśnie zatrzymało się w Krakowie w drodze do Zakonnego Państwa, bo tu kanclerz nie mógł go już zastąpić.

Jak bowiem przewidywano, i tym razem król Zygmunt nie dotrzymał słowa i nie stawił się osobiście na spotkanie z wielkim mistrzem w Toruniu, w związku z czym zabiegał swego czasu u Władysława o glejt na przejazd przez Polskę.

Powiadamią jednak przez posłów, że pomny przyrzeczonej obu stronom mediacji wysyła ich, by zobowiązanie to wypełnili. Prosi przeto miłego jego sercu króla Władysława, jak i będzie prosił wielkiego mistrza, by dążyli do zgody. Jednak i król, i kanclerz dobrze wiedzieli, jakie były rzeczywiste powody tego poselstwa. Pozostawała jeszcze do odebrania suma czterdziestu tysięcy grzywien z tytułu zawartej pomiędzy Zakonem a Luksemburczykiem umowy i głównie po te pieniądze jechali wojewoda i baron węgierski Mikołaj Gara, wojewoda siedmiogrodzki Ścibor ze Ściborzyc herbu Ostoja i Jerzy Gersdorf ze Śląska.

Drugim, również ważnym powodem, dla którego Zygmunt wysyłał swoich posłów, była chęć utrzymania się na arenie trwającej rozgrywki, co, jak dotąd, przynosiło mu sporo korzyści.

Toteż król Władysław, pozornie biorąc za dobrą monetę to oświadczenie, przyjął posłów łaskawie, obdarował szczerze i, zapewniając o swoim głębokim pragnieniu utrzymania pokoju, potwierdził prawomocność wysłanego Zygmuntovi glejtu, tym razem dla nich osobiście i dwustu rycerzy ich orszaku.

DOJRZAŁ JĄ Z DALEKA POMIĘDZY drzewami. Stała smukła i zgrabna w sięgającej do ziemi czarnej sukni i przechyliwszy ku sobie gałąź jabłoni, przyglądała się jej różowym pączkom, które ukazały się już wśród świeżej zieleni liści.

Na odgłos jego kroków odwróciła głowę i patrzyła z lekkim uśmiechem na twarzy, jak szedł ku niej.

— Patrz, Jaks, już niedługo zakwitną! — zawołała z wesołym błyskiem w czarnych oczach.

Rudy zbliżył się i stanął przy Zycie. Przyglądał się chwilę gałęzi, a potem przeniósł wzrok na pochyloną głowę kobiety, którą miał tuż przy sobie. Widział ściągły, śniady policzek, zarys skroni i lekko garbatego nosa o delikatnie

wykrojonych nozdrzach. Na twarz Zyty padało słońce, a tylko przez czoło kładł się cień od gałęzi, którą nachylała.

Wyczuła jego spojrzenie, bo uniosła oczy, a kiedy spotkali się wzrokiem, zarumieniła się i puszczając gałąź, ruszyła wolno przed siebie.

Szedł tuż za nią i milczał, dopóki nie doszli do krzaków bzu rosnących wzdłuż parkanu. Biegła tędy ścieżka, w którą Zyta skręciła. Tu zrównał się z nią, przerywając zaległe między nimi milczenie:

— To już chyba nasza ostatnia rozmowa na osobności.

— Czy musisz jechać już jutro?

— Muszę. Książ zezwolił tylko dwa dni pozostawać w Krakowie.

Zyta milczała przez chwilę, po czym spytała cicho:

— A kiedy znów przyjedziesz?

— Kiedy? — Rudy roześmiał się z goryczą. — Może i wcale, bo wojna to łakoma pani. Nigdy nie ma dość... A zresztą coraz jaśniej widzę, że gdybym jej przypadł do gustu, nie najgorszy dla mnie byłby to los. Lepszy, niżli mnie tu czeka...

— Pleciesz głupstwa, Jaks! — oburzyła się. — Nie chcę słuchać takich słów, bo życzę sobie, abyś wrócił!

— Życzysz sobie? A po co, miła? Aby zamknąć za tobą drzwi, którymi chcesz odgrodzić się od świata?

— Mimo to chcę, abyś wrócił! — rzuciła nieco kapryśnie. — Nie mogę znieść nawet myśli, aby miało spotkać cię co złego.

— Po co ci jestem potrzebny? Przecież wciąż mnie odpychasz!

— Bo inaczej mnie pragniesz, niżbym tego chciała.

— Nic tu nie zmienię! — wybuchnęła. — Miłuję cię ponad wszystko i wiem, że z tym miłowaniem ostanę do końca moich dni! A skoro nie chcesz mi być wzajemną, niechże ten koniec będzie bliski!

Stanęła i obróciła się do niego twarzą.

— Kto ci powiedział, że nie chcę?! Człowieku, czy ty wciąż nie możesz pojąć? — i ona mówiła teraz ze wzburzeniem. — Czy nie możesz wejrzeć w to, co czuję?! Czy mam ci tłumaczyć wszystko do samego dna serca? Niech tedy tak będzie, może wreszcie zrozumiesz, skoro ci powiem! Wiedz zatem, że i ja rozmiłowałam się w tobie, mimo że rok nawet nie minął od Benkowej śmierci! I to jest pierwsze, dlaczego nie wartam twego miłowania, bo i ciebie jak tamtego gotowam zapomnieć!

Urwała nagle, dysząc szybko, z ogniem w oczach i łzami, które szklily się na jej rzęsach.

— A co drugie? — ledwie dostłyszalnie szepnęła Jaksę, ściągając brwi, bo domyślał się, co mu powie.

— Wiesz sam, co drugie... — Odwróciła w bok głowę, ale zaraz spojrzała na niego z determinacją. — Powiem ci jednak, skoro już zaczęłam, aby nic niedopowiedzianego między nami nie ostało! To drugie to ten, który siłą mnie brał! Jego obraz przesładuje mnie niczym zmora! Wiem, że w ciszy naszej alkowy słyszałabym jego śmiech, ten sam, jakim rechotał, poniewierając mną, nie twoją twarz widziałabym nad sobą, a jego, czerwoną i obmierzłą, nie twoje, a jego ręce brałyby mnie w uścisk... — zachłysnęła się przy ostatnich słowach, a potem wykrzyknęła z przejmującą rozpaczą: — Och, Jaksę! Ja to chcę zapomnieć!

Zachwiała się przy tym na nogach, więc ją podtrzymał, a potem wziął w ramiona. Przytuliła głowę do jego piersi i zaniósła się spazmatycznym łkaniem. Rudy przybliżył twarz do jej głowy i mówił chaotycznie i urywanie, ale z wewnętrznym przekonaniem:

— Zapomnisz. Zobaczysz, że zapomnisz... Ale nie klasztor ci do tego potrzebny, lecz ludzie, życie i ruch. Nie płacz teraz, no, przestań... I takim szczęśliwym, że mnie miłujesz, alem i zgryziony, że nie mogę radować się tym szczęściem... Zytka, no, już... Znikną te obrazy... i śladu po nich nie zostanie. Nie płacz, miła.

— Tamtego zapomniałam. Otom jaka! A tego zapomnieć nie mogę!

— Zapomnisz, bo to ludzka rzecz. Ranę ci zadano, a ty miast ją leczyć, rozdzierasz wciąż na nowo!

Odsunęła się od niego z nikłym uśmiechem na zapłakanej twarzy.

— Kaftan masz cały mokry — próbowała nadać ich rozmowie lżejszy ton.

— Twoje łzy są na nim. Będę go chronił. A teraz o coś cię spytam. Odpowiesz z serca?

Spojrzała mu w oczy.

— Odpowiem.

— Miłujesz mnie? Powtórz to, niech jeszcze raz usłyszę.

Znów uśmiech ukazał się na jej twarzy. Zakryła oczy powiekami o długich czarnych rzęsach, ale zaraz je uniosła i odpowiedziała śmiało:

— Miłuję.

— Czy chcesz, abym wrócił?

— Chcę, Jaks! Boga o to będę błagać!

— Po co, skoro pragniesz do klasztoru?

Zawahała się, myśląc nad odpowiedzią.

— To jedno, a to drugie — mówiła, patrząc w głąb ogrodu. — Będzie mi lżej, skoro będę wiedziała, że żyjesz gdzieś na szerokim świecie. Kiedy pomyślę, że jesteś... Że jesteś, a nie byłeś!

— A to, jakie będzie moje życie, już cię nie obchodzi! — rzucił z goryczą. — Twierdzisz, że cię nie umiem zrozumieć, ale i ty mnie także, bo mówię tylko ubogimi słowami, a one nie starczą, byś miała pojęcie, co będę czuł, jak cię stracę. Na samą myśl o tym mąci mi się we łbie, a serce zamiera. Nie! Nie będę żył bez ciebie, nie zdołam! To wiedz i ty, aby, jakżeś rzekła, nic nie było między nami niedopowiedziane!

— Jaks! — wykrzyknęła z rozpaczą i oburzeniem.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili doszło ich od domu wołanie Uny, wzywające na obiad.

— Ostawmy teraz tę sprawę — powiedział Rudy już spokojniej. — Niech czas upływa, bo wierzę, że przyniesie zmianę. Tobie ukojenie, a mnie nadzieję.

— Ale obiecaj mi, że wrócisz! — Chwyciła go za ramię.

— Czyż to ode mnie zależy, miła? Los człowieczy Bóg trzyma w ręce.

— Karku bez potrzeby nie nastawiaj, to mi chociaż obiecaj!

— Dobrze, ale w tym mniemaniu, by wrócić po ciebie.

— O ja nieszczęsna! — wykrzyknęła w odpowiedzi i ukryła twarz w dłoniach, rzucając poprzez palce: — Idź, ja przyjdę niezadługo.

Ponieważ stał, nie ruszając się z miejsca, i patrzył na nią, przynagliła go:

— No, rusz się... Nie mogę teraz okazać im czerwonego od płaczu oblicza.

W TYM CZASIE GORĄCZKOWYCH zabiegów i wytężonych przygotowań do wojny Czarny usiłował znaleźć Petera. Zakładając, że będzie on szedł za dworem, był pewny, że znajduje się również w Krakowie. Bezskutecznie jednak starał się wpaść na ślad jego kryjówki.

Wszystkie znane sobie miejsca kazał obserwować swoim ludziom. Mieli więc na oku dom Vogelwederów, gospodę „Pod Gnatem”, młyn Brennera, który prowadził teraz jakiś jego krewny, kręcili się po rynku i głównych ulicach, jednak zabiegi te nie przyniosły rezultatu.

Wreszcie Czarny doszedł do wniosku, że po nieudanej próbie zamachu na niego Peter i Lasota przywarowali, przygotowując się zapewne do wykonania głównego zadania. Przekonanie to dawało mu poczucie osobistego bezpieczeństwa, ale niepokoiło mocno z powodu treści podsłuchanej w Sączu rozmowy. Z niecierpliwością więc oczekiwał wiadomości od mistrza Grzegorza z „Tura”, gdzie miał się zgłosić Kostur.

Brakowało mu też i Jaksy, który po dwóch dniach pobytu wyjechał na Litwę, mimo że to już nie był ten dawny, beztroski i kpiący ze wszystkiego towarzysz.

Oboje z Uną starali się pozostawić go z Zytą na osobności, ale czy wreszcie doszło między nimi do porozumienia, trudno było się domyślić. Rudy przy pożegnaniu nic na ten temat nie powiedział, a i Zyta nie była skora do zwierzeń nie tylko przed bratem, ale nawet przed przyjaciółką, co już było zgoła niezwykle.

Jedyną więc pociechą była mu w tej sytuacji Una — szalona i nieobliczalna nocami, trzeźwa i rozsądna za dnia. Wieczory spędzali teraz we trójkę, Dzieweczka bowiem wolał włączyć się po gospodach. Czarny finansował te wycieczki, żądając jedynie, by nie chodził stale w to samo miejsce, ale zmieniał obozowiska. Miał nikłą nadzieję, że w ten sposób może spotka Petera.

WRESZCIE, JAKOŚ W TYDZIEŃ po odjeździe Rudego, nadeszła wiadomość spod „Tura”. Mistrz Grzegorz prosił Huberta z Borów na kufelek piwa do siebie.

Powodem wezwania był Kostur. Czarny zgodnie ze wskazówką Grzegorza znalazł go w stajni siedzącego na skrzyni z obrokiem. Latarnia zawieszona na słupie rzucała nieco światła. Z ciemności dochodziło chrobotanie końskich szczęk. Na widok wchodzącego żebrak zsunął się ze skrzyni i zdjął czapkę.

— Dawno przybyłeś do Krakowa? — zagadnął go Czarny.

— A będzie już ze trzy dni. Nie zgłaszałem się wcześniej, bo brakło okazji.

— Jak to brakło? Siedzenie przed kościołem zajmuje ci tyle czasu?

Kostur podrapał się w głowę.

— O to właśnie chodzi, że pod kościołem już nie siedzę.

— Co zatem robisz? — zdziwił się Czarny.

— Służę w królewskiej stajni przy obrocznym Pietraszu.

— Co? — zdziwienie Czarnego wzrosło. — Co ci strzeliło do łba? Czyżby... — urwał, spoglądając na ledwie co oświetloną twarz Kostura.

— Właśnie, wielmożny panie. — Żebrak domyślił się niedopowiedzianych słów.

— Przykazali mi, to pracuję. Za waszym poleceniem jestem im posłuszny.

- Kiedy dali ci to polecenie?
- Jeszcze w Sączu. Kazali wracać do Krakowa i zgodzić się do stajni.
- Kto z tobą gadał?
- Tym razem sam gruby.
- Dlaczego właśnie do stajni? Musiałeś dostać jakieś dodatkowe zlecenie?
- Dostałem. Mam zawsze wiedzieć, dokąd wybiera się król jegomość.
- Czy po dawnemu będzie przychodził do ciebie ich wysłannik?
- Tak. Zmienili tylko hasło.
- Jakie ma być teraz?
- „Piekło dla grzesznych, niebo sprawiedliwym”. Po tych słowach poznam, że to ich człowiek.
- Hm... — Czarny milczał przez chwilę, wpatrując się w ciemność, po czym znów zaczął indagację: — Czy był już u ciebie?
- Nie. Dopiero wczoraj zacząłem służbę.
- W jaki sposób dostałeś tę pracę? Do królewskich koni nie biorą ludzi z ulicy!
- Dopomógł mi pokojowiec księcia Siemaszki, Wasylko. Peter przykazał odszukać go i spytać, czy nie kupi sześciu łokci modrego sukna. Tak też powiedziałem, a on kazał mi przyjść nazajutrz i wtedy polecił zgłosić się do Pietrasza, bo kniaź Siemaszko już wydał rozkaz, aby przyjąć mnie do stajni.
- Zatem całą sprawę załatwił Wasylko, książęcy pokojowiec?
- Tak by wyglądało, wasza miłość. Musiał gadać o mnie z księciem.
- Możliwych zatem masz protektorów, Kostur. — Czarny uśmiechnął się, podchodząc do uchylonych wrót stajni i wyglądając na zewnątrz. Uspokojony, bo widoczny w świetle gwiazd podwórzec okazał się pusty, sam z kolei przysiadł na skrzyni.
- Tfu! — splunął żebrak. — Bodaj czarci ściągnęli z nich skórę!

— Czy nie zapowiadał ci Peter, kiedy przyjdzie poślaniec?

— Nie, ale myślę, że lada dzień, bo król jegomość tylko patrzeć, jak stąd wyjedzie!

— Tak gadają w stajni?

— Ano tak, bo przykazano, by wozy i konie były gotowe do wyruszenia w każdej chwili.

— A nie mówią dokąd?

— Ponoć do Korczyna. Goniec miał pójść, by kwatery były gotowe. Czy mam to im rzec?

— Możesz, bo i tak inni o tym wiedzą. — Czarny znów się uśmiechnął. — Na przyszłość zaś będziesz mógł również mówić, o ile sam będziesz coś wiedział. Myślę jednak, że nie będzie tego tak wiele. Tego Wasylkę zaś miej na oku. Winienesz mu wdzięczność za pomoc, to i nie zdziwi się, jeśli odpłacisz mu kufelkiem piwa. Sam zresztą musisz wiedzieć, jak zrobić, by utrzymać z nim znajomość.

— Postaram się, wasza miłość.

— To może kosztować, a że jak dotąd jestem z ciebie zadowolony, masz tu ten mieszek. Sprytu ci nie brak, na tyle cię poznałem, a to mówi mi, że żebrakiem już chyba nie będziesz.

— Oby Bóg dał, panie. A za ten mieszek dziękuję grzecznie.

— Czekaj teraz na moje wezwanie, chyba że zaszłoby coś ważnego. Wtedy szepnij słowo człowiekowi, którego zwą Dzieweczką. Skoro stąd wyruszymy, będzie pracował tak jak i ty w królewskiej stajni. Poznasz go łatwo, bo chłopisko nad miarę wielkie. Nie wychodź teraz od razu. Odczekaj po moim wyjściu ze dwa pacierze.

PO TRZYDNIOWEJ PODRÓŻY PRZEZ Proszowice i Wiślicę król Władysław wraz z małżonką, królową Anną, i tylko z nielicznym przybocznym orszakiem przybył ostatniego dnia maja do Korczyna, zatrzymując się na zamku.

Zaraz też rozpoczęły się dalsze zabiegi, rozmowy i narady, przeważnie jednak po południu, bo jego królewska mość nadal nie wstawał z łoża aż do obiadowej pory, mimo że przyjechała tu na spotkanie z królową Anną jej matka, obecnie, po powtórny małżeństwie, księżna von Dek. Miała pożegnać swojego królewskiego zięcia, który ruszał stąd na wojenną wyprawę, a potem wrócić wraz z córką do Krakowa.

Przybyli też z zagranicznych dworów, a zwłaszcza z Zygmunutowego, znakomici polscy rycerze. Tych król przyjął na specjalnym posłuchaniu. Wrócili do kraju Zawisza Czarny, jego brat Jan Farurej, Tomasz z Kalska, Jan z Warszawy, Puchała Bolesław, Skarbek z Gór i wielu innych, by w groźnej dla ojczyzny chwili stanąć do walki pospołu ze swymi rodami.

Potem zaś nadeszło święto Bożego Ciała, obchodzone w tym pełnym napięcia okresie niezwykle uroczyście przez całe osiem dni. We wszystkich obrzędach z żarliwą gorliwością brał udział i król, odsuwając nawet na drugi plan sprawy polityki i wojny.

Wywołało to głosy sprzeciwu najbliższych majestatowi dostojników. Dał im wyraz podkanclerzy, kiedy pewnego dnia, po południowym posiłku, prosił jego królewską mość o posłuchanie.

Jagięto, wstając od stołu, skinął nań i ruszył do komnaty, gdzie odbywali zwykle narady. Tam opadł na fotel, wskazując kanclerzowi drugi.

— Nie będę siadał, wasza wysokość, bo na długie przemówienie brak mi czasu. A to, co powiem, zapewne nie będzie miłe waszemu królewskiemu majestatowi, toteż abyście nie pomawiali mnie o brak szacunku dla waszej osoby, uczynię to, stojąc.

Król uniósł wzrok na Trąbę i jakiś czas spoglądał nań spode łba.

— Co chcesz mi rzec? — rzucił krótko swoim niskim, nieco chropawym głosem.

— A to, że muszę przywieść was do opamiętania, bo dalej tak być nie może. Zbyt dużo tracicie czasu na religijne praktyki ze szkodą dla spraw państwowych, abym mógł dalej milczeć! A i wygodne łoża wyżej sobie cenicie niż swoje królewskie obowiązki!

Śniadą, suchą twarz Jagiełły zabarwił ciemny rumieniec. Znając swego pana, kanclerz dobrze wiedział, co go spowodowało.

— Jak śmiesz ty, osoba duchowna, ganić mnie za gorliwość w praktykach wiary?! — oburzył się król.

— Alem i wasz doradca! Gorliwość w religijnych praktykach jest godna pochwały, ale nie dziś, w przededniu śmiertelnej walki, kiedy tyle jest jeszcze zabiegów i pracy do spełnienia! Upominam was, bo widzę, że mylnie liczycie! Czy pozbawicie się zbawienia, poniechawszy jednej czy drugiej mszy z tak ważnych przyczyn? Czy nie gorszy to grzech lekceważyć los własnych poddanych dla obrządków, które spełnić możecie i w sposobniejszy czas?!

— Pobłogostawi Pan i mnie, i memu ludowi, jeśli będę Go wielbił! — rzucił król, ale już mniej gniewnym tonem.

— Samo wielbienie nie starczy! Bóg za was niczego nie zrobi, jeśli sami nie przyłożycie się do dzieła! On tylko może w waszym trudzie dopomóc, ale za was brzemienia nie dźwignie! A czy wielbicie Go takż w ciepłej pościeli, której nie opuszczacie do południa? I to wtedy, gdy wszyscy czekamy z naszymi sprawami?! Od trzech dni domagam się zwołania narady i zawżdy nie staje wam czasu!

Jagiełło uderzył pięścią w poręcz fotela i zerwał się na nogi.

— Zamilcz! Radzić będę, kiedy zachcę, i modlić, kiedy moja wola!

— Com miał wam rzec, tom już rzekł, mogę tedy zamilczeć. Ale jeśli jutro nie zwołacie narady, sam będę decydował, bo wieści z Prus znów nadeszły, i to ważne niezmiernie, których bez rozpatrzenia nie lza ostawić!

— I tak decydujesz bardziej, niż ci wolno! — krzyknął już Jagiełło, obracając się do kanclerza.

Ten również dał ponieść się rozdrażnieniu, ale odpowiedział tylko z goryczą:

— Może i tak, ale myślę, że nie bez waszej korzyści...

Król, który stał przed nim ze ściągniętymi brwiami i błyskiem gniewu w oczach, po tych słowach opadł na fotel i wyciągnąwszy przed siebie nogi, jakiś czas siedział w milczeniu, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w płyty posadzki. Wreszcie mruknął półgłosem:

— Kiedy zatem chcesz zwołać naradę?

— Jutro rankiem.

— Dobrze... — Uniósł wzrok na Trąbę i dorzucił z uśmiechem: — Nie sierz się już na mnie, Mikołaju...

Kanclerz skłonił się w milczeniu i opuścił komnatę.

NA DWA DNI PRZED WYJAZDEM dworu z Krakowa zjawił się tam kanonik Dunin, a wraz z nim przyjechała pani kasztelanowa, by zobaczyć się z córką. Na rodzinnej naradzie uchwalono, że pani matka na czas wojennej wyprawy Berta zabierze obie kobiety do siebie. Czarnemu taka propozycja przypadła do gustu, bo mógł być znacznie spokojniejszy i o żonę, i o siostrę. Una również nie zgłaszała sprzeciwu, bo tęskniła za matką i rodzinną Sośnicą. Jedyne ksiądz kanonik zmarkotniał, bo liczył, że pozostając w Krakowie przy arcybiskupie Kurowskim, nie będzie w domu samotny.

Po przybyciu dworu do Korczyna Czarny dostał kwaterę na zamku, a to na życzenie księdza Andrzeja, który chciał go mieć w pobliżu. Dzieweczka zaś ulokował się w pomieszczeniach przeznaczonych dla służby.

Ułynęło już sporo dni od czasu ostatniej rozmowy z żebrakiem, ten jednak nadal nie dawał znaku życia. Po kilku dniach oczekiwania zaniepokojony Bert postanowił sam nawiązać z nim kontakt. Wydał więc Dzieweczce odpowiednie polecenie, wyznaczając Kosturowi spotkanie w starej wędzarni.

Jej wysoka drewniana wieża stała w rogu dwóch zbiegających się murów obronnych, zasłonięta przez budynki gospodarcze zamku. Rzadko używana, obrosła wokół chwastami, a jej ciemne wnętrze stanowiło dobrą kryjówkę.

Czarny odczekał, aż zachodnia zorza zgaśnie za murami, i przemknął na miejsce spotkania.

— Jesteś? — rzucił półgłosem w ciemność wypełniającą wędzarnię.

— Jestem, panie — dobiegł go głos Kostura.

Zbliżyli się do siebie i rozmawiali szeptem, nie widząc się wzajemnie.

— Nie zgłosił się nikt?

— Gdyby był, zawiadomiłbym jak poprzednio.

— A co z Wasylkiem? Dowiadywałeś się?

— Ano właśnie. Księżę Siemaszko ma w mieście dziewczkę, do której chodzi wieczorami...

— No to co z tego? — zdziwił się Czarny, zastanawiając się jednocześnie, jaki związek może mieć ta wiadomość z pokojowcem księcia. — Czy mu nie wolno? Żonaty nie jest!

— A z tego to, wasza miłość, że Wasylko mu ją podsunął. Ponoć dziewczka rzadko gładka.

— Dam sobie obciąć oba uszy, że to nie Wasylko ją wyszukał — mruknął Czarny.

— Też tak sobie myślałem... — przyznał obojętnie Kostur.

— Nie wiesz, gdzie mieszka?

— Nie, bo nie chciałem zbyt długo ciągnąć go za język. Jest sprytny i mógłby się połapać, że jestem zbyt ciekaw.

— Dobrze zrobiłeś — zgodził się Czarny. — Poradzę sobie. Idź teraz, ja tu jeszcze chwilę ostanę.

Czarnego doszedł szelest oddalających się kroków.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ DOTRZYMAŁ obietnicy danej kanclerzowi i na następny ranek zwołał naradę.

Zagał, jak zwykle, kanclerz, prosząc, aby zebrani kolejno złożyli sprawozdanie ze stanu powierzonych im prac. Zważywszy na godność, pierwszy zabrał głos wojewoda Jaśko.

— Nie będę wam, miłościwy panie — rozpoczął — ani wam, panowie, mówił o przeszkodach i trudach, jakie przychodziło pokonywać i znosić, by sprostać powierzonym mojej osobie zadaniom, bo znacie je ze swoich zabiegów.

Ogólnie rzecz ujmując, sprawy stoją dobrze. Wezwane wiciami rycerstwo wszędzie szykuje się do ruszenia w pole albo i już ruszyło. Onegdaj przybył goniec z Podola z wieścią, że chorągiew od Włodka w tych dniach wychodzi, a reszta rycerstwa jest gotowa stanąć pod bronią, gdyby Luksemburczyk zmusił do tego. Część krakowskiego rycerstwa, jak wiecie, jest już w Korczyni, pragnąc wraz z naszym panem ciągnąć do Wolborza. Są też chorągwie braci Gryfów pod wodzą Zygmunta z Bobrowy, chorągiew rodowa Koźlerogi pod wodzą Floriana z Korytnicy, jak i chorągwie obecnych tu mości kanclerza Trąby i podkomorzego Piotra.

Wraz z wojskami zaciężnymi z Czech i Moraw nadciągają także rycerze pana podstolego Gniewosza z Dalewic i, co miło mi donieść, jako że okazywanie wdzięczności rzadka to rzecz, pana morawskiego Jana Jeńczykowicza w zamian za dobrodziejstwa, których zaznał od naszego tronu jego rodzic Jeńczyk. Tych prowadzi Heim Morawianin.

Tak oto rycerstwo nasze i zagraniczne już ruszyło. Pierwsze chorągwie mamy przy sobie, reszta zaś, jak ufam Bogu, także stanie w Wolborzu na czas.

— Dziękuję ci, mości wojewodo — odezwał się król z rozradowaniem na obliczu, wyraźnie ucieszony sprawozdaniem. — Radzi postuchamy i innych.

Zabrał głos podkomorzy Szafraniec:

— I ja mam wieści od kasztelanów i starostów, że formują się tabory i już wyruszają w drogę. Część z nich, obładowaną zaopatrzeniem, kierują od razu na Wolborz, część idzie luzem na Płock po spyzę i inne zapasy. Większość wyposażenia już odebraliśmy od kupców i dokonaliśmy rozrachunku. Resztę odbieramy lub w tych dniach odbierzemy, jeśli nie przytrafi się tak, jak we Wrocławiu, gdzie Krzyżacy zamówiony przez nas sprzęt podkupili dla siebie. Mimo pewnych braków tego, co już zgromadziliśmy, starczy, nawet gdyby wojna miała potrwać dłużej niż rok.

— Do końca rozejmu pozostało nam jeszcze zaledwie dwie niedziele, bo dzisiaj właśnie jest dziesiąty czerwca... — rzucił król. — Toteż rad jestem wielce, że i ty, Piotrze, będziesz gotów na czas.

— Będę, wasza miłość.

— A nie narzekasz na mości miecznika? — spytał z kolei król, uśmiechając się z lekka. — Podwód ci nie braknie?

— Nie narzekam, bo pan miecznik dobrze wszystko obmyślił i tam, gdzie trzeba, posyła mi wozy.

— Twoja tedy kolej, Zyndramie! — Jagiełło skinął głową w stronę krakowskiego miecznika.

— Sporo czasu — rozpoczął Zyndram — zajęło wyznaczenie ilości podwód, których ma dostarczyć każda ziemia, terminu ich gotowości i wskazania miejsca, dokąd mają się udać i co dowieźć. To była najtrudniejsza robota, której sam bym nie dokonał, gdyby nie pomoc tu obecnego mości kanclerza. Dokonawszy jednak tego, rozesłałem zaraz wojewodom i starostom wskazania, a teraz co kilka dni posyłam gońców, by wiedzieć, jak idą

przygotowania. Wszyscy pracują nad podziw sprawnie i siłą się, aby nie okazać gnuśności. W całym kraju ludzie zwijają się jak mrówki. Uczciwość każe mi przeto przyznać, że gotowość taborów, którą ogłaszam, to zasługa nie moja, ale głównie waszych starostów, wojewodów i kasztelanów, i całej podległej im ludzkiej rzeszy po miastach i wsiach.

— Doprawdy radość mi sprawiacie! — rzucił Jagiełło z rozjaśnioną twarzą. — No, a co z zaciężnymi wojskami, panie marszałku?

Z kolei zabrał głos Zbigniew z Brzezia.

— Bramą Morawską wzdłuż Odry ciągnąc chcą na świętego Erazma zejść się w Ostrawie. Tam zrobią postój tak długo, aż się nie zbiorą. Potem Zbislawek pójdzie na Jezioro Goczałkowskie, Rabszyn i Smoleń, gdzie dotrze do Pilicy i, wzdłuż niej, na Wolborz. Sarnowski zaś pociągnie na Rydułtowy, Gniazdów,

Gorzkowice. Nawet jak ruszą w kilka dni po świętym Erazmie, w Wolborzu staną na czas.

Król skinął głową, po czym zwrócił się do zebranych:

— Do wiadomości waszej podaję, że rozkazałem Sokołowi, by ze swoją chorągwią stanął w Koronowie. Jeszcze bowiem w Brześciu powziąłem z kniazem Witoldem postanowienie, aby dla zmylenia krzyżackiego dowództwa skierować jego wzrok ku dwóm krańcom naszych granic. Na zachodzie ku pomorskiej, by podejrzewali, że tam właśnie uderzę, na wschodzie zaś ruszę w kierunku Kłajpedy wydzielone wojska litewskie, oczywiście po upływie rozejmu, który do świętego Jana brodacze zaproponowali i Litwie. Powinno to związać chorągwie komturów wschodnich i utwierdzić Ulryka w przekonaniu, że pójdziemy na niego osobno. Dlatego to Sokół obsadził Koronowo, nie kryjąc się z przemarszem, dlatego posłałem Brzozogłowego do Bydgoszczy, by zwołał pod swoje rozkazy tamtejsze rycerstwo i wzmocnił załogę zamku kurpiowskimi łucznikami, a kasztelan kaliski Maciej z Wąsoczy z dwoma tysiącami ludzi stanął w Łobrzewnicy i Wieluniu, by rzekomo nie przepuścić się z Nowej Marchii, które mogłyby zagrozić naszej armii idącej na Pomorze, bo tak jego tam obecność musi zrozumieć Ulryk — zakończył król, po czym dorzucił: — Komu teraz przypada głos? Zdaje się, że tobie, Mikołaju?

Wicekanclerz chrząknął z lekka.

— Pozwólcie zatem, miłościwy panie, że będę mówił. Otóż śledząc dzień po dniu poczynania tu obecnych, widziałem, jak pomocni byli i wiele

włożyli trudu nasi dostojnicy w całym kraju, toteż mimo że nieobecni, niech słyszą słowa mojego podziękowania, które składam od stóp tronu. A teraz skoro już wiemy, jak wyglądają nasze przygotowania, warto by się przyjrzeć, co robią nasi wrogowie. Z wieści, które wciąż otrzymujemy z Prus, coraz wyraźniej widać, że Zakon dał się zwieść tym pozorom, o których mówił miłościwy pan, i że tym razem nie zamierza podejmować działań zaczepnych. Wszystkie bowiem przygotowania, jakie czyni, wskazują, że sposobi się przede wszystkim do obrony. Dowodzi tego rozmieszczenie wojsk, jak i zarządzenia wydawane przez wielkiego mistrza, zmierzające do należytego przygotowania zamków.

Kanclerz przerwał, gdyż Jagiełło przechylił się do przodu i spytał z ożywieniem:

— Znacie i rozmieszczenie wojsk?

— Znamy, miłościwy panie — odezwał się wojewoda Jaśko.

— Mówcie zatem, mości kanclerzu! — wykrzyknął król. — Radziśmy to usłyszeć!

— Niech zatem zabierze głos proboszcz Andrzej. Jego to bowiem głównie zasługa, że o tym wiemy — zaopiniował Trąba.

Wszystkie oczy skierowały się na proboszcza, który jednak nie stracił nic ze swej spokojnej obojętności. Przytrzymał laskę opartą o poręcz fotela i, zanim przemówił, przesunął spojrzeniem po obecnych, zatrzymując wzrok na twarzy króla.

— Rozkazy, jakie wydał wielki mistrz — powiedział — istotnie potwierdzają przewidywania miłościwego pana, jak i opinię mości kanclerza. Ulryk tym razem postanowił dostosować się do naszych poczynań. Nie tylko wzmacnia zamki, ale rozdzielił swoje siły, co wskazuje, że nie wie, co zamierzamy, a głównie, czy uderzymy razem z Litwą, czy też osobno. I tak obecny wójt Nowej Marchii Michał Kuchmeister ma bronić swojej ziemi i Drezdenka. Obronę Pomorza powierzono trzem komturom, bo Zakon zdaje się istotnie spodziewać, że uderzymy w tym kierunku. Gromadzą tam swoje chorągwie komtur człuchowski Gamrat von Pincenau, tucholski Henryk von Schelborn i świecki von Plauen.

Ziemię dobrzyńską poruczono pieczy komtura Bierzgłowa, na Drwęcy zaś mają stanąć komtur Brodnicy Baldwin von Stoli i Ostródy Fryderyk von Zollem. Sam wielki mistrz zbiera główne siły pod Świeciem, gdzie założono

już obóz. Wybór tego miejsca również potwierdza jego obawy o Pomorze, bo łatwo stamtąd wesprzeć owych trzech komturów, którym tę obronę powierzył. A tego, że rada zakonna nic nie wie o naszych planach, a zwłaszcza o zamierzonym uderzeniu wspólnie z Litwą, dowodzi wiadomość, którą otrzymaliśmy wczoraj. Podług tej wieści wielki marszałek objął dowództwo nad dwoma samodzielnymi grupami wojsk pod Działdowem i Lidzbarkiem z zadaniem obrony od strony Litwy. Ma on mieć w odwodzie chorągwie komturów Ragnety, Rynu i Kłajpedy...

Ksiądz Andrzej na chwilę umilkł, po czym dorzucił:

— Taki jest obecnie rozdział zakonnych wojsk. Myślę, że będzie on trwał — tu proboszcz uśmiechnął się z lekka — do czasu, aż nie zmusimy wielkiego mistrza do zmiany rozkazów.

Król uśmiechnął się również.

— Skoro ruszymy i połączymy się z Litwą, czego ukryć się nie da, będzie już wiedział, że przyjdzie mu się zmierzyć z całymi naszymi siłami.

— Jam nie mąż wojennego rzemiosła — odezwał się kanclerz — przeto nie do mnie należy oceniać, co trzeba przedsięwziąć w obecnym położeniu. Widzę jednak, że krzyżackie chorągwie wcześniej stanęły pod bronią niż nasze, a to stwarza niebezpieczeństwo.

— Rozejm obowiązuje do świętego Jana — mruknął Szafraniec.

— Ale czy go nie złamią?

— To prawda — zgodził się wojewoda Jaśko. — Z nimi niczego nie można być pewnym. Uderzą przed czasem, a potem podniosą krzyk, że to my napadliśmy na nich.

— Co zatem proponujecie, panowie? — spytał Jagiełło, spoglądając po obecnych.

Zaległo milczenie, które przerwał marszałek Zbigniew:

— Mamy tu już nieco sił. Należy je wysłać nad granicę, wzmocniwszy nawet rycerstwem z królewskiego orszaku, bo ochrona miłościwego pana na razie potrzebna nie jest. Niech ruszą ku Wiśle i dają baczenie na przeprawę. Należy ich rozdzielić, by szli kilkoma szlakami. W ten sposób zmylimy brodaczy, którzy dostawszy z różnych stron wieści o przemarszu rycerstwa, wyżej ocenią nasze siły, a to zmusi ich do ostrożności i ostudzi zapał do wcześniejszego rozpoczęcia wojny...

— To dobra rada — zgodził się król. — Ci, którzy tu są, niech wyruszą już jutro, reszta po sformowaniu. Rozważmy teraz, dokąd ich posłać?

Po krótkiej naradzie i obliczeniu sił uchwalono skierować czterysta kopii do Inowrocławia, pod rozkazy tamtejszego starosty Borowca. Drugi oddział uda się do Brześcia Kujawskiego, by stamtąd działać w zależności od potrzeby.

Kiedy sprawę tę rozważono, znów zabrał głos Jagiełło.

— Postanawiam wyruszyć stąd czternastego. Chcę udać się do Słupi i odbyć pielgrzymkę na Łysiec do tamtejszego klasztoru.

— Pozwólcie, miłościwy panie, rzec kilka słów — odezwał się ksiądz Andrzej, kiedy po królewskim oświadczeniu już podnoszono się z miejsc — a wy, panowie, raczcie pozostać jeszcze trochę. Przede wszystkim upraszam was, miłościwy panie, abyście nakazali tym, którzy muszą wiedzieć o kolejnym celu waszej podróży, by zachowali w tym względzie najgłębszą tajemnicę. Jest mi bowiem wiadomo, że wróg bezecność swoją posuwa tak daleko, iż usiłuje nastawać na wasze życie.

Szmer zdumienia i gniewu przerwał te słowa. Kiedy nieco ucichło, ksiądz Andrzej ciągnął dalej:

— Dlatego też, miłościwy panie, raz jeszcze rozważcie swój zamiar odbycia tej pielgrzymki. Jako wasz poddany proszę o to, a jako kierujący swoim urzędem śmiem się domagać, abyście jej poniechali.

Z kolei wszystkie oczy zwróciły się na króla. Ten zmarszczył brwi i zasępiony patrzył przed siebie. Wyraźnie widzieli, jak wzbierający w nim gniew zmieniał mu twarz. Wreszcie przemówił, rzucając szybko słowa:

— Nie będę zmieniał postanowienia z takich przyczyn! Życie moje w rękach boskich, a nie zbójeckich! Toć tchórzem okazałbym się i przed moim Panem, i sługami! Do tego chcesz mnie skłonić! Nie może być, abym zamiaru poniechał!

— Miłościwy panie, droga tam wąska i stroma, a do tego kamienista, cały czas wiodąca gęstym lasem! Ustrzec was będzie niezmiernie trudno... — próbował jeszcze protestować ksiądz Andrzej.

— Twoja to sprawa, nie moja. Rzekłem, i postanowienia nie zmienię!

Jagiełło uderzył dłońmi o poręcz i na znak, że nie chce już o tym mówić, wstał z fotela. Wszyscy poszli za przykładem władcy. Trąba rzucił

porozumiewawcze spojrzenie na księdza Andrzeja i tylko pokręcił głową.

Proboszcz zbliżył się do kanclerza i szepnął mu na ucho:

— Przypuszczałem, że tak się stanie. Kłopotów będziemy mieli sporo.

— Wiem. Nie poniechaj niczego — odpowiedział mu równie cicho kanclerz.

— Czy mówiliście z Władysławem o jego siostrzanie?

— Mówiłem. Przykazał, abyśmy przestuchali go wespół z wojewodą.

— Jeśli zezwolicie, uczynię to zaraz. Jaśko ma tyle roboty, że potem trudno go będzie osiągnąć.

— Dobrze, zaraz mu powiem.

WKRÓTCE PO NARADZIE PRZED oblicze wojewody i wicekanclerza stawił się Siemaszko, syn Ziemowita, księcia mazowieckiego, i Aleksandry, Jagiełłowej siostry.

Obaj dostojnicy, a z nimi ksiądz Andrzej, pozostali w komnacie narad i tu przystąpili do zbadania sprawy młodego kniaziewicza.

Pierwszy zabrał głos kanclerz Trąba:

— Młodyś jeszcze, mości księżę, toteż biorę to pod uwagę. Mimo żeś osoba duchowna, napominać cię, że grzech nieczystości popełniasz, również nie będę. Domyślasz się już zapewne, że mówię o twojej przygodzie miłosnej z ostatnich dni. — Kanclerz zamilkł i sapnąwszy z irytacji, ciągnął dalej: — Tylko że nie o miłostkę tu idzie, ino o rzecz wiele poważniejszą. Poruczono ci obowiązek dowodzenia przyboczną strażą miłościwego pana, a jako jego krewniak i przebywający na dworze znasz dużo tajemnych spraw. Z tytułu wiernopoddańskiej miłości i węzłów krwi obowiązek ten powinieneś spełniać z całą rozważą i poczuciem odpowiedzialności. Ale widzi mi się, że tak nie jest!

— *Co macie na myśli, mości kanclerzu? — rzucił porywczo Siemaszko. Rumieniec, który ukazał się na jego twarzy podczas pierwszych słów Trąby, bladł coraz bardziej.*

— *A to, żeś zbyt lekkomyślnie wszedł do łóża niewiasty, której całkiem nie znasz. Płacisz jej?*

— *Nie, wasza wielmożność!*

— *Zatem to nie gamratka, co pogarsza sprawę! A wiesz, kto ona? Czyś ubiegał się, by legła z tobą? Starania czyniłeś, by wprzódy zdobyć jej serce?*

— *Nie... — mruknął Siemaszko.*

— *Dlaczego więc rozwarła ci je tak ochotnie i szybko? Jak myślisz?*

Kniaziewicz milczał, już zupełnie blady na twarzy. Wojewoda nie odzywał się, przygryzając wąsa. Książdz Andrzej zbliżył się do kanclerza.

— *Pozwólcie, wasza wielebność, zadać księciu kilka pytań.*

— *Pytaj, Andrzeju, bo mnie złość zatyka — sapnął Trąba, obrzucając kniazia gniewnym wzrokiem.*

— *Słyszeliście, mości książę, słowa przygany za swoją lekkomyślność. Co się jednak stało, to się nie odstanie. Ale macie możliwość zło nieco naprawić, jeśli okażecie dobrą wolę ku temu. Czyście gotowi to uczynić?*

— *Uczynię, wasza wielebność! Co przykażecie?*

— *Najpierw więc odpowiedzcie, niczego nie ukrywając. Jak ona się zowie?*

— *Mirka.*

Proboszczowi na sekundę uniosły się brwi, ale niczym więcej nie zdradził zaskoczenia.

— *Zgrabna, szczupła, czarna?*

— *Taka jest w istocie! — wykrzyknął ze zdumieniem Siemaszko. — Skąd wiecie?*

— *dorzucił naiwnie.*

Proboszcz nie zwrócił jednak uwagi na to pytanie, indagując dalej:

— Gdzie mieszka?

— Na Zamkowej Drodze, w podwórku. Jest tam piekarnia. Ma izbę ponad nią, z wejściem od podwórza.

— Jak ją poznałeś?

Siemaszko zwlekał przez chwilę.

— Mów! — przynaglił go proboszcz. — Wiem więcej, niż sądzisz!

— Mój służebny zaprowadził mnie do niej...

— Wasylko?

— Tak, wasza wielbność.

— Ile razy u niej byłeś?

— Ze cztery...

— Długo przebywałeś?

— Do ranka...

— O czym z tobą mówiła? Nie pytam o sprawy miłosne.

— Różnie. Ale najczęściej o naszym panu, którego miłuje, a że i on bliski memu sercu, tośmy wiele o nim gadali...

— A o czym? Co chciała wiedzieć?

— Rozpytywała, jaki on jest... Czy dobry, jak mówią, czy też często się sierzdi, jak twierdzą inni. Kiedy kładzie się spać, kiedy wstaje, kto mu służy, kto jest podręcznym, co lubi jeść... Wszystko powtórzyć trudno, ale o nic ważnego nie pytała.

— To ci się tak zdaje. Te zwykłe sprawy czasami ważniejsze są od niezwykłych. A o wojenne plany nie pytała?

— Mało co. Chyba tylko raz zagadnęła, kiedy oczekujemy zaciężnych rot?

— *Wiedziałaś o tym?*

— *Nie bardzo, toteż odpowiedziałem byle co.*

— *Nie pytała, wiele ich ma być?*

— *Już nie pamiętam, ale chyba nie.*

— *Hm... Kiedy wybierałaś się do niej?*

— *Dziś. Ale przysięgam, że więcej moja noga u niej nie postanie!*

Ksiądz Andrzej spojrzał w oczy kniazia.

— *Nie przysięgaj, bo pójdziesz.*

Siemaszko zachnął się.

— *Wasza wielebność, słowa nie łamię!*

— *Jam cię o tę przysięgę nie prosił ani jej żądał, bo chcę, żebyś jeszcze raz do niej poszedł. I mało tego — w niczym nie zmienisz sposobu bycia. Tak jak uprzednio będziesz z nią mówił o wszystkim, tyle że nie mów prawdy. Jeśli dobrze się sprawisz, zapomnimy o tym, co było. Kiedy żeś się wybierał?*

— *Po wieczery.*

Proboszcz skinął głową.

— *Dobrze. Pójdziesz więc. Ale ani słowa z Wasylką o naszej rozmowie!*

Pamiętaj! — Proboszcz uniósł ostrzegawczo palec do góry, po czym zwrócił się do obu dostojników: — Czy macie co jeszcze do kniazia?

Trąba spojrzał na wojewodę, a ponieważ ten milczał, skinął głową.

— *Nie. Może iść.*

CZARNY, SCHOWANY ZA WYSOKI na chłopą sąg brzozowych polan, trwał w cierpliwym oczekiwaniu, postanowił bowiem nie powierzać nikomu śledzenia Mirki, która była obecnie najlepszym przewodnikiem do Petera i Lasoty.

Ze swojej kryjówki widział dobrze schody wiodące na mały ganeczek, z którego prowadziły drzwi do izby dziewczyny. Czas płynął wolno, ale Czarny w potrzebie

umiał być cierpliwy. Szarość brzasku ustąpiła szybko i różowe światło poranku coraz ostrzej rysowało szczegóły otoczenia. Wkrótce na ganku ukazał się Siemaszko. Zbiegł szybko na dół i, nie oglądając się, ruszył ku furcie.

Ułynęło jeszcze sporo czasu i mimo świątecznego dnia ruch na podwórku rozpoczął się na dobre. Słońce wysunęło się już spoza dachów, kiedy wreszcie na ganeczku ukazała się Mirka otulona kolorową chustą.

Rozejrzała się dokoła, lustrując wzrokiem kręcącą się po podwórku czeladź, potem szybko zbiegła ze schodów i skierowała ku bramie.

Kolorowa chusta dziewczyny ułatwiała śledzenie. Czarny ostrożnie ruszył za nią, wiedząc, że ma za sobą trzech swoich pachotków, którzy nie spuszczają go z oczu.

Nowe Miasto Korczyn powstało niedawno, toteż nie miało jeszcze ulic o zwartej zabudowie i było przestronniejsze od Starego Korczyna, w którym trudno było się precyzyjnie przemieszczać wąskimi uliczkami.

Wiele kamieniczek było właśnie w budowie. Po krótkiej wędrówce Mirka zatrzymała się przed jedną z nich.

Rozejrzała się szybko dokoła i, nie dostrzegając Czarnego, pchnęła drzwi i zniknęła za nimi.

Kamieniczka była już pod dachem, ale czerwieniła jeszcze cegłami nieotynkowanych murów. Drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna, były zbite z nieheblowanych desek. Wisiały na skórzanych zawiasach, a zamknięcie ich stanowiła zwykła zatyczka. Czarny pchnął je i wśliznął się do środka.

Znalazł się w sieni zawałonej gruzem i materiałem budowlanym. W rogu, zamiast schodów, biegnęły w górę skośnie położone deski. Do bocznych pomieszczeń prowadziły tylko otwory w murze. Czarny zajrzał tam, ale wszędzie było pusto i mroczno.

Cofnął się do sieni i przez chwilę stał, nasłuchując. Dom jednak był cichy i zdawał się zupełnie pusty. Dokąd udała się dziewczyna? Czyżby wyżej? Jedyne

właściwy kierunek zdawały się wskazywać te prowizoryczne schody... Ale dlaczego nic nie słyszc?

Po chwili zastanowienia Czarny począł cicho wspinać się po deskach. Wkrótce znalazł się w małej sionce.

Tu również było pusto i cicho. Dalej, zapewne na strych, prowadziły już schody. Strome wprowadzie i wąskie, ale zaopatrzone w drewnianą poręcz.

Czarny znów zaczął nasłuchiwać. Nadal jednak panowała zupełna cisza. Od surowych ścian szła wilgoć i kwaśny zapach wapna. Gdzieś z ulicy doleciał przytłumiony odgłos śmiechu i paru rzuconych słów. Potem usłyszał cichy jęk. Znieruchomiał, starając się zorientować, skąd doszedł go ów głos. Rezonans murów musiał jednak utrudniać rozeznanie, bo zaczęło mu się zdawać, że rozległ się on gdzieś tuż przy nim, w tej małej sionce...

Jęk rozległ się po raz drugi i Czarny już bez wahania zaczął wspinać się po schodach, czujny i skupiony. W tej chwili doszedł go z zewnątrz przeciągły gwizd. Wiedział, co to znaczy, ale nie zatrzymywał się. Przyśpieszył tylko wspinaczkę i znalazłszy się przed drzwiami, pchnął je gwałtownie.

Miał przed sobą małą mansardową izdebkę o jednym wąskim oknie, którego rama, obciągnięta natłuszczonym płótnem, leżała na podłodze, wyrwana z futryny. Pod skośną ścianą stało drewniane wro wymoszczone słomą, z odrzuconym brudnym i wystrzępionym kocem. Na podłodze zaś, w wielkiej kałuży krwi, leżała Mirka.

Kolorowa chusta niby barwne skrzydła motyla rozpostarła się wokół jej pleców. Dziewczyna zdawała się jeszcze oddychać. Czarny przyklęknął i uniósł jej głowę.

Wzrok miała już zmętniały, ale jeszcze żyła. Z jej piersi broczącej krwią wydobywał się świszczący oddech. Mirka uniosła powieki. Musiała go poznać, bo lekki uśmiech przemknął przez jej usta. Potem zmarszczyła brwi i z wysiłkiem wydobyła z siebie kilka słów:

— To był mnich... Peter... zaułek nad jeziorem... oni... oni... chcą na szczytach... między...

Jeszcze coś szeptała zamierającymi wargami, ale tego Czarny już nie mógł zrozumieć, i raptem odrzuciwszy głowę na bok, wydała ostatnie tchnienie.

Czarny wstał, jeszcze raz ogarniając wnętrze uważnym spojrzeniem, po czym zbliżył się do okna.

Było małe, ale człowiek mógł z łatwością wydostać się przez nie na stromy dach kończący się murowanym gzymsem i biegnącą wzdłuż niego drewnianą rynną.

Tędy więc wymknął się Lasota po zabójstwie dziewczyny. Któryś z ludzi Czarnego musiał go zapewne zauważyć, dając gwizdem znak o ucieczce. Na doścignięcie zbiega było już jednak za późno.

Dlaczego mnich zabił dziewczynę, która przybyła do niego z wiadomościami? Czyżby dostrzegł, że jest śledzona, i posądził ją o zdradę? Ale jak mógł o tym wiedzieć, skoro wszystko wskazuje na to, że w chwili jej przybycia był w tej izbie?

Lasota przebywał tu sam, wskazywała na to szczupłość miejsca i jedno tylko pośłanie... A zatem obaj kamraci rozdzielili się, a ostatnie słowa Mirki wskazywały na to, że wiedziała, gdzie przebywa Peter. Czyżby zatem mnich zacierał ślady? Ale dlaczego? Dlaczego uznał, że należy to uczynić, i to za taką cenę? Myśląc nad tym, Czarny ruszył do drzwi.

KSIĄDZ ANDRZEJ SKINAŁ GŁOWĄ.

— Właśnie. To przypuszczenie trafia mi najbardziej do przekonania. Oni rozdzielili się po to, by w razie ujęcia jednego drugi mógł działać dalej. Peter umie wyciągać wnioski z doświadczeń. Dziwię się tylko, że wcześniej na to nie wpadł.

— Ale dlaczego zabili dziewczynę? — Czarny powtórzył pytanie postawione na początku rozmowy.

— Przecież jej ostatnie słowa jasno to tłumaczą. Wiedziała, gdzie szukać Petera.

— To rozumiem. Ale skoro wyjawili jego kryjówkę, bo przecież sama się nie domyśliła, to dlaczego teraz ją zabili? Tego dociec nie potrafię.

— Bo zapewne nie wiesz, że po naszej wczorajszej rozmowie z Siemaszką wojewoda, nie porozumiewszy się ani z kanclerzem, ani ze mną, przykazał ująć Wasylkę, który dziś rano, także na jego rozkaz, został obwieszony. Lasota w strachu, że po Wasylce ujmiemy i Mirkę, ugodził ją nożem.

— Teraz rozumiem! — rzucił ze wzburzeniem Czarny. — Przez ten pochopny krok dziewczka straciła życie, a ja, dzierżąc już ich za potęgę, muszę teraz uganiać się od nowa!

— Sza! — Proboszcz uniósł palec do góry. — Nie pozwalaj sobie na potępianie dostojnika!

— Mówię, co myślę! — odparł Czarny, hamując jednak głos.

— Myśleć ci wolno, ale nie mów, bo to na dobre nie wychodzi.

— Sądzę, że i wasza wielebność myśli to samo — rzucił porywczo Czarny.

— Co myślę, to moja sprawa — proboszcz uśmiechnął się z lekka. — Nic już nie zmienimy. Co zamierzasz teraz?

— Rozpocząć od nowa. Każę ludziom przewąchać zaułki w pobliżu jeziora.

— Szukać możesz, ale nie myślę, by to coś dało. Tym bardziej że za parę dni ruszamy. Teraz nie powinni już wiedzieć, dokąd. Na pewno jednak ruszą w ślad za nami... — proboszcz urwał i zamyślił się, a potem powiedział cicho: — Co jednak znaczą jej słowa „na szczytach... między...” Nic z tego nie mogę się dorozumieć! Co chciała rzec? Zapewne to jakaś wiadomość, coś, o czym wiedziała, co uważała za ważne... Ale co to może znaczyć?

— I ja o tym myślałem, ale nic mądrego nie przyszło mi do głowy.

— No trudno. W Słupi bacz pilnie na wszystko. Boję się tej pielgrzymki.

— Długo tam będziemy?

— Ze dwa, trzy dni.

— Nowa mitręga! I to jaka! — westchnął Czarny.

— Wyznaczę specjalną straż, obejrząwszy wprzódy teren. Dlatego wybieram się o dzień wcześniej i chciałbym, abyś ruszył ze mną.

Czarny skłonił się w milczeniu.

— Przystosuj się raczej do drogi, a poszukiwania ostaw ludziom. A co z siostrą? — Ksiądz zmienił temat. — Czy otrząsnęła się z tamtej okropności?

— Nie, wasza wielbność, nie może dojść do równowagi. Sposobi się do klasztoru, mimo że rozmyślał się w niej mój druch, ów Jaksza, który jest w Witoldowej służbie. A i on chyba nie jest jej obojętny... — Czarny w paru zdaniach nakreślił proboszczowi sytuację.

Ten skłonił głowę w zamyśleniu, po czym powiedział:

— I jedno, i drugie działa sercem, a wiadomo, że nie idzie ono w parze z rozumem. Teraz na to nie czas, ale skoro minie wojenny zamęt i będziemy mogli nieco wytchnąć, winieneś za nich pomyśleć i znaleźć sposób, by naprostować tę krzywą drogę, którą do siebie dążą.

— Jużem o tym myślał, ale to prawda, że niesposobna teraz pora ku temu.

— No właśnie. W razie potrzeby przyjdź z tym jeszcze do mnie. Może razem coś obmyślimy.

— Dziękuję, wasza wielbność. — Czarny skłonił się głęboko i opuścił komnatę.

CZARNEGO OBUDZIŁO STUKANIE w okiennicę. Zerwał się z pośłania, otrzeźwiawszy natychmiast, i przybliżył do okna. Przez cienką zasłonę z rybiego pęcherza sączyło się już światło wschodzącego słońca.

— Kto? — rzucił krótko, sięgając jednocześnie po kaftan przewieszony przez poręcz zydła.

— Ja, Dzieweczka... — doszedł go znany głos. — Chodź szybko, Kostur dał znak!

Czarny wyskoczył na zewnątrz. Mgła wlokła się jeszcze pasmami po pobliskich łąkach ciągnących się z tej strony Słupi. Niedaleko czerniał dwór opata Łysogórskiego klasztoru, ściśnięty obręczą obronnego muru. W dali ciemnogrnatowa ściana lasu pięła się w górę ku szczytowi Łyśca

zawleczonego pasmami obłoków. Tam, otoczony zewsząd lasem i skryty za chmurami, znajdował się benedyktyński klasztor, stróż cennej relikwii, cel pielgrzymich wędrówek.

Król z najbliższym otoczeniem zatrzymał się we dworze opata Jana Katarzynki, położonym na skraju Słupi.

Czarny, zajmwszy jak i reszta młodszych dworzan pobliskie domostwa przedmieścia, miał ze sobą dwóch swoich ludzi. Wraz z nimi gnał teraz na przełaj ku opatowemu obejściu poprzedzany przez Dzieweczkę.

Zadyszani dopadli furty w kamiennym murze. Na rzucone hasło furta się rozwarła.

— Nie wypuszczać nikogo! — rozkazał wartownikowi Czarny. — Odpowiadasz za to głową!

— Gdzie są? — zwrócił się do Dzieweczki, spoglądając po obszernym podwórku. Olbrzym wskazał mu długą, niską budowlę z bierwion, przed którą kręcili się stojenni parobcy.

— Jakem odchodził, byli podle stajni — objaśnił.

Jednak w stajni Kostura nie było. Zachowując milczenie, skierowali się ku wozowni, ale i tam nikogo nie znaleźli. Dopiero mijając drzwi od pomieszczenia na uprzęż i siodła, usłyszeli rozmowę prowadzoną przyciszonymi głosami.

Czarny wyszarpnął mieczyk i pchnął nogą drzwi. W mrocznym kącie komórki dostrzegli dwie pochylone ku sobie postacie.

— Wiąż ich, Dzieweczka! — rozkazał Czarny, stając w drzwiach i odcinając w ten sposób wyjście.

— Obu? — rzucił zdziwiony olbrzym.

— Nuże, rób, co ci każe! — ponaglił go Czarny. — Pytać będziesz później! — Jednocześnie włożył palce do ust i gwizdnął przenikliwie.

Dzieweczka ze zdumieniem na twarzy wykonał rozkaz. Nie mniej zdumiony był Kostur, kiedy poczuł na rękach zaciskające się rzemienie. Jednak Czarny zdawał się tego nie dostrzegać.

— Kto wy? — rzucił krótko, zbliżając się do związanych. Za jego plecami, przywołani gwizdnięciem, ukazali się Jurga i Włodko.

— Nie poznajecie mnie, panie?! — wyjąkał Kostur. — Przecież pracuję tu w stajni.

— A ten? — Czarny wskazał na chudego człowieka o obrośniętej zarostem twarzy.

— Mój krewniak, mieszka niedaleko stąd. Był w Słupi, kiedyśmy przejeżdżali, i, dostrzegłszy mnie na wozie, przyszedł pogadać.

— Jak się zwiesz?! — krzyknął Czarny na przybysza.

— Zbysław mi na imię. Mieszkam w Garbaczu. To osada tu w pobliżu.

— I o czym to tak gadaliście?

Przybysz zaczął niepewnie stękać:

— Tak różnie... o wszystkim po trochu...

— Widzę, że nie bardzo pamiętasz, coście mówili, ale jak dostaniecie po dwadzieścia razy łańcuchem, zaraz rozjaśni się wam we łbach! Dzieweczka! — Czarny wskazał Zbysława. — Ostaniesz tu z nim, a wy bierzcie tego koniucha do stajni! I odczepcie łańcuchy z kantarów! Będę ich przepytywał osobno!

— Litości, miłościwy panie... — jęknął przerażony Kostur. Nogi zaczęły trząść mu się w kolanach tak, że ledwo mógł ustać. — Przecież wiecie... Przecież ja... — Chciał jeszcze coś mówić, ale Czarny, bojąc się dalszych słów, przerwał mu ostro: — Milcz! Gadać będziesz wtedy, jak cię zaczną pytać, ty szczywany lisie! Brać go!

Pachołcy ujęli Kostura pod ramiona. Ten już bez oporu pozwolił się wyprowadzić.

Drzwi komórki wychodziły na stajnię odgradzoną przepierzeniem z byle jak zbitych desek, toteż wszystko, co działo się na zewnątrz, było w niej słychać doskonale. Czarny, zdając sobie z tego sprawę, najpierw powtórzył głośno wydany poprzednio rozkaz:

— Jurga, dawaj łańcuch! — Potem zbliżył się do drugiego pachotka i rzucił mu do ucha: — Złap w obejściu kurę i urznij jej łeb. Jak ją przyniesiesz, nic nie gadaj!

Pachotkowie kopnęli się wykonać rozkaz. Kostur, stojąc ze skrzepowanymi rzemieniem ramionami, z przerażeniem wpatrywał się w Berta.

Ten jednak milczał, czekając na Jurgę i rozglądając się dookoła. Wreszcie, dzwoniąc trzymanymi w ręku łańcuchami, nadszedł pachotek. Czarny skinął nań i szepnął mu do ucha, wskazując pod ścianą worki napelnione owsem:

— Wal po nich! Nie za szybko...

Z kolei obrócił się do Kostura i równie cicho pouczył:

— Wrzeszcz, aby głośno...

W oczach dawnego żebraka ukazało się najpierw zdumienie, a potem, kiedy pojął, o co Czarnemu chodzi, błysk rozbawienia. Skinął bez słowa głową, a kiedy po zamachu Jurgi łańcuchy spadły na worki wydając głuchy odgłos uderzenia, wrzasnął na całe gardło:

— O rety! Nie bijcie! Litości, panie! Litości!

Uderzenia padały odmierzane z wolna, a Kostur wykazał spryt i aktorski talent, bo początkowo krzyczał przeraźliwie, po chwili zaczął ściszać głos, aż wreszcie wydawał tylko przeciągłe jęki.

Czarny po pewnym czasie powiedział głośno:

— Przestań! Ma chyba dość i zechce gadać! Bacz jednak na mój znak, bo jeśli będzie łgał, dostanie nowych dwadzieścia razów! Gadaj teraz, ty psie, co to za jeden ten tam!

Kostur spojrział pytająco na Czarnego, który skinął przyzwalająco głową.

— *Nie wiem, panie... To żaden mój krewniak... całkiem go nie znam...*

— *Skoro go nie znasz, to o czym szeptaliście tam w komórce?*

Kostur zawahał się, a Czarny rzucił krótko:

— *Jurga, łańcuch!*

Kostur z wyraźnym już rozbawieniem starał się swoją rolę grać jak najlepiej.

— *Nie bijcie już, panie... nie strzymam... — jęknął. — Powiem wszystko...*

— *Gadaj zatem, wszarzu!*

— *Chciał, abym mu powiedział, kiedy i dokąd stąd ruszymy. Tylko tyle.*

Przysięgam, że nic więcej.

— *Coś mu rzekł?*

— *Byle co, bom sam nie wiedział.*

W tej chwili zjawił się Włodek z zarżniętą kurą w ręku. Czarny ostrzegawczo uniósł do ust palec, po czym, odebrawszy kurę, bezceremonialnie rozmazał jej krew na twarzy i włosach Kostura.

Po tym zabiegu żebrak wyglądał okropnie. Czarny odrzucił martwego ptaka w mroczny kąt stajni i krzyknął:

— *Dawajcie drugiego!*

Kostur został wrzucony do komórki, a po chwili, podtrzymywany przez Włodka i Jurgę, bo sam nie mógł iść na trzęsących się pod nim nogach, stanął przed Czarnym drugi więzień. Puszczony, upadł od razu na kolana i uniósłszy do góry skrępowane ręce z przerażeniem w oczach zaczął lamentować:

— *Wielmożny panie, aby nie bijcie! Sam powiem wszystko. Z dobrej woli...*

Ważne rzeczy... O miłościwego pana idzie... Powiem, wszystko powiem... Tylko nie bijcie!

Czarny obrócił się szybko do Jurgi.

— Skocz po księdza Andrzeja! Niech zaraz przybywa! — Potem nachylił się nad klęczącym i rozkazał: — Mów więc, psie, i to zaraz! Mów, bo cię posiekam łańcuchami! Co wiesz o miłościwym panu?!

— Że mnich zasadzi się na niego... Już ruszył do lasu...

— Skąd to wiesz?

— Bo gadał u mnie w izbie z drugim... Tamten to mój znajomek, przywiodłem go, bo takiego drugiego strzelca z kuszy daleko by szukać... Na kłusownictwie tak się wprawił.

— W lesie stoją straże, to ich pojmy!

— Nie pojmy, bo tamten ma swoje ścieżki. A mnich wiedział, że droga będzie strzeżona...

— Gdzie mają się zasadzić?

— Mnich chciał na dębach przy drodze, ale znajomek mu odradził, bo z drzewa w razie czego nie ma ucieczki.

Czarnemu przypomniały się słowa umierającej Mirki. A więc i dziewczyna musiała skądś wiedzieć o zamiarze Lasoty. To również mogło być przyczyną jej śmierci.

Rozważania te przerwało ukazanie się proboszcza Andrzeja w drzwiach stajni. Jednym rzutem oka objął rozgrywającą się scenę, po czym spytał krótko:

— To ów wysłannik?

— Tak, wasza wielbność — odparł Czarny. — Właśnie mówił, że Lasota ma zasadzić się w lesie na miłościwego pana.

— Gdzie?

— O to właśnie pytałem.

— Pytaj zatem dalej.

— *Mówisz, że zmienili zamiar* — Czarny zwrócił się do więźnia. — *Co w zamian doradzał twój znajomek?*

— *Aby zasadzić się w karczmie, co stoi pod klasztornym murem nieopodal drogi.*

— *A ów mnich? Zgodził się?*

— *Przyznał, że to lepsze miejsce, bo miłościwy pan musi podle karczmy iść, a straż łatwiej tam ominąć.*

Czarny rzucił Dzieweczce:

— *Przygotuj szybko konie. Jedziecie we trzech ze mną.*

Dzieweczka pobiegła spełnić polecenie, a Czarny zwrócił się do proboszcza:

— *Ruszam, wasza wielbność. Czy miłościwy pan już w drodze?*

— *Minęła msza, jak wyruszył.*

— *Z kim?*

— *Towarzyszy mu tylko dwóch giermków: Daniłko i Mikołaj. Hasło do straży w lesie znasz? Może ci być potrzebne.*

— *Znam, ale postaram się objechać ich z dala. Nie chcę mitręgi po drodze. Lepiej też będzie, jak miłościwy pan niczego nie dostrzeże.*

Ksiądz Andrzej skinął głową.

— *Słusznie. Ale jadąc lasem, musisz wziąć kogoś z tutejszych ludzi, bo pobłądzisz. Wyszukaj takiego w obejściu.*

— *Jurga, ganiaj!* — Czarny skinął na pachotkę.

— *I jeszcze jedno.* — Proboszcz spojrzał Czarnemu w oczy. — *Gdybyś nie znalazł tamtych, nie wolno ci dopuścić, by pan szedł dalej. Wstrzymasz go i ochronisz, chociażby siłą.*

— *Rozumiem, wasza wielbność.*

Z kolei ksiądz Andrzej obrócił się do więźnia.

— *Po coś tu przybył?*

— *Miałem nakazane odszukać stajennego Kostura.*

— *Po co?*

— *Aby wywiedzieć się, dokąd stąd wyruszacie.*

— *Powiedział ci?*

— *Niby tak, ale jak go bili, wyznał, że sam nie wiedział.*

— *Jak go bili? — powtórzył ze zdumieniem ksiądz Andrzej, spoglądając pytająco na Czarnego.*

— *Musiał oberwać, aby mówić prawdę — rzucił ten w odpowiedzi na spojrzenie.*

Proboszcz zdawał się więcej nie interesować sprawą Kostura, bo znów zagadnął więźnia:

— *Komu miałeś przekazać tę wiadomość?*

— *Mnichowi, jak powróci z Łyśca.*

— *Gdzie?*

— *U mnie w chacie.*

— *To znaczy gdzie?! — zniecierpliwił się proboszcz. — Gadaj po ludzku!*

— *Mieszkam w Garbaczu. To osada niedaleko stąd.*

— *Zamknąć go, zanim postanowię, co z nim uczynić — zakończył badanie ksiądz Andrzej, kierując się ku wrotom.*

WĄSKA, PEŁNA KAMIENI DROGA z wgłębieniem wytlukanyym środkiem przez spływającą w czasie deszczów wodę szła stromo pod górę. Ciągnęły nią zaprzęgi wołów z zaopatrzeniem dla klasztoru, wspinały się po niej pielgrzymki i pojedynczy pokutnicy z własnej woli albo i z wyznaczonego wyrokiem sądowym nakazu. Uważano bowiem, że wielka moc relikwii, jaką stanowiło drzewo ze Świętego Krzyża przechowywane przez benedyktynów, zapewnia grzesznikom oddającym jej cześć łaskę odkupienia i zmazania winy.

Król Władysław wspinał się po kamienistej drodze tylko w towarzystwie dwóch swoich giermków: Daniłka Rusinka, nosiciela królewskiej kopii, i Mikołaja Morawczyka od proporca. Wszyscy byli bez broni, odziani w szare, ubogie szaty.

Minęli już pierwszy pas kamiennych murów — pozostałość pogańskiego grodziszcza — które trzema kręgami opasywały górę. Minęli również i wykutego w kamieniu pielgrzyma okrytego opończą, który z ręką przewieszoną na chuście wędrował ku górze, według wierzeń ludzkich przebywając jeden cal na rok. Mówiono, że kiedy wreszcie dotrze na szczyt, nastąpi koniec świata.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, jednak na wąskiej drodze, ciasno ujętej z obu stron przez ściany ogromnych świerków, było mroczno i strasznie. Znikąd nie dochodził żaden odgłos, las stał nieruchomo. Nie słychać było nawet ptasich głosów. Panowała cisza, w której rozlegał się jedynie chrobot kamieni osuwających się spod stóp idących.

Król szedł z pochyloną głową, wolno i w milczeniu, a za nim ramię przy ramieniu wspinali się pod górę dwaj jego towarzysze.

KONIE PRZEDZIERAŁY SIĘ GAŚZCZEM, pokonując skokami wykroty po powalonych drzewach lub ich pnie gnijące wśród chaszczy i zarośli. Świerki biły igłami twarze jeźdźców, ale ci niestrudzenie pięli się pod górę, czasem tylko schylając głowy ku końskim grzywom, jeśli uderzenie gałęzi odgiętej przez jadącego przodem zapowiadało zbyt mocny cios. Mech wrywany kopytami wyskakiwał wysoko w górę, zadzwoniła od czasu do czasu broń, parsknęła z wysiłku wierzchołek wciąż przynaglany ostrogą, ale w oddziale trwało milczenie. Równie cichy i milczący był las.

Czarny przekonał się wkrótce, jak słusznie uczynił ksiądz Andrzej, radząc wziąć przewodnika. Bez niego straciłby dużo czasu na utrzymanie należytego kierunku. Kiedy dotarli do drugiego pasma kamiennego muru, Czarny dostrzegł, że bez przewodnika byłaby to przeszkoda nie do przebycia. Należałoby wówczas albo zawracać ku drodze, albo zmitrężyć moc czasu i sił na szukanie przejścia, które prowadzący ich pacholek znalazł od razu. Potem pięli się wśród leśnego poszycia, piersiami zwierząt roztrącając chaszczę i młode pędy drzew tworzące trudny do przebycia gąszcz.

Czarny obliczał w myśli czas, jaki zyskiwali nad pieszymi, mimo że ci wyruszyli wcześniej. Ta różnica dawała im szansę na uporanie się z zadaniem przed przybyciem dostojnego pielgrzyma w okolice karczmy.

Na szczęście nikt ich nie zatrzymywał, gdyż jechali daleko za linią straży rozstawionej w ukryciu po obu stronach drogi. Znali wprowadzić hasło, ale nie mieli czasu na udzielanie wyjaśnień.

Wreszcie pacholek jadący przodem ściągnął cugle i uniesieniem ręki wstrzymał oddział:

— Jeszcze zostało pół staj, panie... Czy przykażecie jechać dalej?

— Nie. Tu zsiądziemy. Ale nic nie widzę krom ściany lasu.

— Bo jak i wszędy drzewa tu gęste. Zaraz idą klasztorne mury, a karczma stoi przy nich...

Czarny zeskoczył z konia. Reszta poszła za jego przykładem.

— Zostań przy koniach — polecił przewodnikowi. — A wy cicho za mną.

Zaczęli skradać się od drzewa do drzewa. Po chwili ujrzeli przed sobą mury i budowle klasztorne, a nieco dalej i karczmę. Stała w pobliżu obronnego muru, frontem do przebiegającej przed nią drogi. Nieduża, kryta słomą, nie miała żadnego ogrodzenia ochronnego, co dowodziło, że jej dzierżawca albo w pełni ufał Opatrzności, albo z powodu ubóstwa nie bał się napaści. Z jednej strony małe uprawne poletko zajmował warzywnik, z drugiej, nieomal do samej ściany, sięgała leśna młódź. Warzywnik otaczały resztki ogrodzenia, które swego czasu miało go zapewne chronić przed leśnym zwierzem. Teraz z tego ogrodzenia pozostały jedynie resztki, a wpółmurszane kołki służyły do nadziewania garnków.

Czarny przywołał do siebie Jurgę i Włodka, którzy stali za pobliskimi pniami.

— Pójdiesz w dół — polecił szeptem Jurdze — i skryjesz się przy drodze. Gdy ujrzysz, że miłościwy pan nadchodzi, zakraczesz jak wrona. Zapewne zatrzyma cię straż, ale hasło znasz, to im się obwołasz. A ty, Włodek, podejdziesz drogą do karczmy. Oni baczą, co dzieje się na drodze, ale strzelać nie będą, bo nie o

ciebie im chodzi. Wejdiesz do środka i, pijąc piwo, obejrzysz, czy gdzieś tam nie siedzą. Nie marudź, bo czasu nie mamy!

Po tych poleceniach Czarny został tylko z Dzieweczką, skrytym w krzakach obrastających tu gęsto podszycie lasu. Czas mijał wolno, tym wolniej, że pełni byli napięcia i niecierpliwości.

Wkrótce na drodze ukazał się Włodek. Szedł stąpając ociężale jak człowiek zmęczony uciążliwą wędrówką. Z wolna zbliżał się do karczmy.

Zgodnie z przewidywaniem Czarne nic się nie działo. Żaden głos ani ruch nie zdradził, że ktoś w niej się czai. Włodek doszedł do drzwi i pchnąwszy je, zniknął w środku.

Ułynęły ze dwa pacierze, nim znów się w nich ukazał. Nie wychodził jednak na drogę, a skręciwszy za węgiew, zniknął w krzakach.

*— Nie ma w izbie nikogo prócz szynkarki — szepnął, zbliżywszy się do Czarne.
— W tyle chaty nie mogli się skryć, bo stamtąd nie widać drogi. Siedzą zapewne na strychu.*

*— I mnie tak się zdaje — zgodził się Czarny. — Tam jest okienko. — Wskazał okrągły otwór czerniejący w trójkącie utworzonym przez skosy dachu. —
Obejrzymy zatem tamtą ścianę karczmy. Chodźcie — skinął na Dzieweczkę — i zachowajcie ciszę!*

W tej chwili doleciało ich powtórzone kilkakrotnie krakanie wrony. Jurga dawał znak, że król jest blisko.

— Prędeż! — przynaglił Czarny. — Biegiem za karczmę!

Nie zważając już zbytnio na krycie się, pobiegli na tyły chaty, gdzie znajdowało się wejście na strych.

— Dzieweczka, idziesz za mną, a ty, Włodek, obwołaj w lesie najbliższą straż i razem baczcie na wyjście. Jeśli będą uciekać, ustrzelcie z kusz! W żadnym razie nie mogą wam ujść, pamiętaj! — upomniał jeszcze, wstępując już na szczeble drabiny, którą Dzieweczka zdążył przystawić do ściany.

Drzwiczki stanowiące wejście na strych uchylał powoli w obawie, by nie zdradziły ich skrzypnięciem. Jednak rzemienie, na których wisały, nie wydały żadnego odgłosu i Czarny mógł po chwili zajrzeć do środka. Panował tu jednak mrok i niczego dojrzeć nie zdołał. Wspiął się więc jeszcze o jeden stopień i skinąwszy na Dzieweczkę, by podązał za nim, wśliznął się do środka.

Trwało chwilę, zanim wzrok przyzwyczaił się do półmroku wypełniającego poddasze. Wówczas Czarny dojrzał po jednej stronie stertę worków, po drugiej piętrzące się wiązki jakiegoś ziela. Dalej była pusta

przestrzeń, na której walały się jakieś bezużyteczne graty, a przed przeciwległą ścianą obok okrągłego otworu, przez który wdzierają się do środka smuga światła, tkwiły dwie czarne przyczajone sylwetki z kuszami w rękach.

Obaj zbóje byli tak zajęci obserwacją drogi, że nie zwracali zupełnie uwagi na to, co dzieje się za ich plecami. Czarny i Dzieweczka, skradając się, zdołali dotrzeć aż do końca sterty worków. Dalej jednak przestrzeń strychu była otwarta, a te parę gratów, które tam leżały, nie mogły dać żadnej osłony, z chwilą kiedy napięte kusze zostałyby skierowane w ich stronę.

Gliniana polepa strychu nie skrzypiała pod nogami, więc może by i udało się im niepostrzeżenie dotrzeć do zaczajonych, gdyby nie mała ostrożny ruch Dzieweczki. Czerep starego garnka, na który nastąpił, trzasnął pod jego stopą z hukiem wystrzału z bombardy.

Obaj zbóje obrócili się gwałtownie. Czarny nie czekając, aż oprzytomnieją, rzucił się szczupakiem do przodu. Usłyszał szcęk spustu kuszy, trzask cięciwy i głucho uderzenie bełtu, ale już gdzieś za sobą. Padając na polepę, złapał swego przeciwnika za nogi i pociągnął ku sobie. Ten jednak zwinął się pod nim jak piskorz i jednym susem dopadł otworu w podłodze. Czarny poniechał jednak pościgu, wiedząc, że zbieg ma mało szans, by ujść byстрыm oczom jego ludzi.

Tymczasem Dzieweczka, widząc wymierzoną w siebie kuszę, porwał za blat potrzaskanego stołu, leżący wśród gratów zalegających strych, i zasłonięty nim niby tarczą z wolna postępował ku Lasocie. Ten widząc, że bełt nie przebije dębowych desek, odrzucił kuszę i doskoczywszy do Dzieweczki, porwał za stół z drugiej strony, by go odrzucić. A że Dzieweczka miał ten sam zamiar, przeto blat

poleciał na bok, a oni stanęli pochyleni naprzeciw siebie na szeroko rozstawionych nogach.

Lasota pierwszy skoczył do przodu. Jego ręka powędrowała jednocześnie za pas, ale Dzieweczka, dostrzegłszy ten ruch, chwycił go za przegub. Potem objęli się ramionami i trwali tak niby druhowie spleceni uściskiem.

Światło padające z okien znaczyło ich postacie jasną wstążką blasku. Twarze czerwone i zacięte, nabrzmiące żyłami, zdradzały wysiłek, z jakim każdy z nich usiłował pokonać opór drugiego.

Dzieweczka pierwszy raz spotkał przeciwnika, który tak długo potrafił przeciwstawiać się jego niedźwiedziej sile. Wiedział, że musi skupić całą moc swych ramion, by zmóc tego suchego, żyłastego mnicha, gdyż czuł, jak żelazna obręcz jego uścisku gniecie mu żebra i tamuje oddech.

Jednak po chwili uścisk ten zaczął słabnąć, opór mięśni cal po calu ustępować, aż nagle ustał zupełnie. Grzbiet Lasoty wygiął się, głowa poleciała do tyłu, a z ust buchnęła krew. Kiedy zaś olbrzym rozwarł wreszcie ramiona, mnich zwałił mu się pod nogi.

— Za mocno, Dzieweczka — odezwał się Czarny. — Złamałeś mu kręgosłup, a chciałem z nim pogadać.

— Silny był chłop — mruknął olbrzym, dysząc jeszcze z wysiłku.

— No chodź, nic już na to nie poradzimy — rzucił Czarny, kierując się ku schodom.

Kiedy wyszli z karczmy, ujrzeli drugiego opryszka, leżącego na drodze z bełtem w plecach. Nachylało się nad nim dwóch wartowników.

Czarny poleciał odciągnąć zwłoki pomiędzy pobliskie krzaki. Kiedy spełniali to polecenie, na drodze ukazał się Jurga.

— Najjaśniejszy pan nadchodzi! — zawołał, podbiegając do nich.

— Jest już za zakrętem! — Wskazał za siebie.

— Skryć się, aby nikogo z was nie widział! — rozkazał Czarny, skacząc ku drzwiom chaty i wpychając do środka Dzieweczkę, który właśnie ukazał się na progu.

Toteż kiedy król, zmęczony uciążliwą wędrówką, mijał ze swymi towarzyszami karczmę, nic nie zdradzało zdarzeń, jakie przed chwilą tu się rozegrały.

Na dziedzińcu przed kościołem opat Jan Katarzynka w towarzystwie przeora i klasztorного prowizora, czyli zarządcy dóbr, oczekiwał dostojnego gościa. Reszcie zakonników polecono zajmowanie się zwykłymi, codziennymi pracami.

Szczyt Łysej Góry, pospolicie zwany przez ludność Łyścem w odróżnieniu od położonej bardziej na zachód Łysicy, okrywały chmury, mimo że niżej dzień był słoneczny i piękny. Toteż jak zwykle mżył tu drobny deszcz, osiadając na ubraniach skrzącą wilgocią.

Sączyła się ona i po klasztornych murach niemal przez cały rok. Była dla zakonników prawdziwą udręką i podkopywała ich zdrowie, co znosili z pokorą, uważając to, jak i wciąż wyjące nad szczytami wichry, za dodatkowe umartwienie i cenę za łaskę stróżowania Świętego Drzewa.

Nieduży czworoboczny ogródek z murowaną pośrodku studnią z ciosanego kamienia okalały klasztorne budynki, po przebudowie dokonanej za króla Kazimierza już murowane. Wszystko to wraz z kościołem otaczał mur obronny. Jedynie karczma znajdowała się poza nim.

Król, odmówiwszy posiłku, w towarzystwie swego nielicznego orszaku udał się od razu do kościoła, który z jego polecenia niedawno upiększyli barwnymi malowidłami ruscy malarze. Zbliżywszy się ku ołtarzowi, padł na kolana, a wówczas zakonnik, strażnik Świętej Relikwii, wyjął ją i ukazał jego oczom.

Był to krzyż umieszczony w złotym futerale sporządzonym ze złota, które przed blisko dwudziestu pięciu laty, podążając na ślub z Jadwigą, król sam ofiarował klasztorowi. Krzyż był drewniany, podwójny, z wmontowanymi kawałkami Świętego Drzewa, których było pięć. Trzy tkwiły w końcach górnego krzyża, czwarty stanowił ramię dolne, piąty zaś był umieszczony w rękojeści.

Władysław czas jakiś spoglądał na sinobrunatne kawałki drzewa, po których przed wiekami ściekała krew Odkupiciela, po czym pochylił czoło aż ku płytom posadzki, poruszając wargami w cichej modlitwie. Wreszcie legł na niej krzyżem.

Miało się już ku wieczorowi, kiedy po odbyciu modłów i postu król ruszył na dół ku zadaniom doczesnego życia.

WE CZWARTEK DZIEWIĘTNASTEGO czerwca król Władysław przybył ze Słupi do Bodzęcina. Zatrzymał się tu na dwa dni, należało bowiem przyjąć postów od księząt: słupskiego, szczecińskiego i meklemburskiego, którzy po ofiarowaniu Bogu świeczki uznali, że nie zawadzi i diabłu dać ogarek. Związani z Zakonem i od niego zależni, zabezpieczali się jednak i od tej strony, zapewniając polskiego króla o swojej przyjaźni i gotowości do udzielenia pomocy.

Wysłuchawszy tych zapewnień i oceniwszy je tak, jak ocenić należało, Jagiełło nie dał postom poznać, że zapewnienia te uważa za pustą gadaninę. Zajęło mu to jednak dość czasu, tak że z Bodzęcina wyruszył dopiero w sobotę, udając się do Bliżyn, w niedzielę zaś stanął w Żarnowie.

W poniedziałek dwudziestego trzeciego dotarł do Sulejowa, by nazajutrz, na świętego Jana Chrzciciela, czyli w ostatnim dniu upływającego rozejmu, wysłuchać mszy świętej w tamtejszym kościele Cystersów i po spożyciu w klasztorze obiadu wyruszyć do pobliskiego Wolborza w asyście znacznego już orszaku, bo naprzeciw miłościwemu panu wyjechali wszyscy co zacniejsi dostojnicy państwowi i duchowni, przybyli ze swoimi wojskami na miejsce zbiórki.

Te rozłożyły się obozem na rozległych łąkach okalających miasto. Łąki to przecinała Wolborzanka, zapewniając wodę ludziom i koniom.

Było już pod wieczór i słońce z wolna opadało ku granatowej ścianie lasu ciągnącego się od zachodniej strony. Ciepłe światło przedwieczornej pory tworzyło długie cienie od tysięcy wozów i namiotów stojących w bezładnych grupach. Pora nie była jeszcze wojenna, o wrogu się nie słyszało, toteż o bezpieczeństwo zbytnio nie dbano. Tyle tylko, że doświadczenie życia

obozowego kazało pozostawić wolne ulice dla wewnętrznego ruchu i dostępu do wozów, kiedy przy zwijaniu obozu przyjdzie zaprzęgać konie przygnane z pobliskich pastwisk. Wszystkie te ulice wiodły ku rzece, by zapewnić również dostęp do wody niezbędnej do przygotowania stawy i jakiego takiego obmycia z twarzy podróznego kurzu.

Rozpalono już ogniska dla gotowania wieczery. Dymy z nich szły wysoko w górę, bo pogoda była bezwietrzna, i tam dopiero, gdzieś pod kopułą nieba, łączyły się w pasma i wlokły na błękitnym tle smugami, brunatnymi od blasku zachodzącego słońca.

Z tego chaosu wozów i namiotów szedł szum niby od olbrzymiego ula. Czasami wyrwało się z tego gwaru głośniejsze wołanie, czyjś krzyk lub rozlegał się grzmot kopyt pędzących do wodopoju koni. Obóz pełen był ruchu i zgiełku.

Nadciągnęły tu już poza Wielkopolską i Mazowszem chorągwie z całego kraju, a więc ruska, podolska, lwowska, sandomierska, kaliska, lubelska, kujawska, krakowska, zjechali się rycerze chorągwi nadwornej i gończej, przybyły oddziały dygnitarzy koronnych: arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego, wojewody krakowskiego Jana z Tarnowa, wojewody łęczyckiego Jana Ligęzy, kasztelana sądeckiego Krystyna z Koziegłówek, wiślickiego Klemensa z Moskarczewa, znamienitych panów i rycerzy — Spytka Jarosławskiego, Dobiesława Oleśnickiego, szlachty herbu Gryf pod wodzą Zygmunta z Bobrowy, szlachty herbu Kozłerogi ze słynnym Florianem z Korytnicy na czele i wiele innych.

Oczekiwano jeszcze wojsk wielkopolskich i mazowieckich, te jednak miały przyłączyć się dopiero przy przeprawie. Przybyły też i wojska zaciężne: konni i piechota Sarnowskiego i Zbysławka oraz tabory i artyleria Sokoła, po którego pognął do Koronowa goniec, gdyż król Władysław postanowił ściągnąć do siebie tego doświadczonego i zdolnego wodza. Nad granicą pomorską czuwały teraz siły Macieja z Wąsoczy i Brzozogłowego.

Namiet dla króla przygotowano nieco z boku, w pobliżu rzeki. Na władcę oczekiwali już w obozie węgierscy panowie Mikołaj Gara i Ścibor ze Ściborzyc,

prosząc o pilne posłuchanie. Król jednak, zmorzony trudami podróży, od razu udał się na spoczynek, polecając im stawić się rankiem.

Następnego dnia rozpoczęły się więc rozmowy z Węgry. Jak się okazało, przywieźli oni propozycję przedłużenia rozejmu. Przedstawili ją jako własny krok na drodze ku pogodzeniu stron, wyrażając jednocześnie nadzieję, że przez ten czas uda im się, być może, osiągnąć ten cel. Nadmienili jednocześnie, że wielki mistrz, pragnąc szczerze porozumienia, wyraził już zgodę na przedłużenie zawieszenia broni o dziesięć dni, skoro zatem i król Władysław zgodę ze swej strony wyrazi, oni nadal będą gorąco zabiegać, by rozejm zamienić na trwałą pokój.

Było jasne, że propozycję tę wysuwa Zakon, a nie postowie, którzy ją ubarwili jedynie pięknymi słowami. Dowodziło to, że wielki mistrz nie jest jeszcze gotów do wszczęcia wojennych działań. Ponieważ jednak i strona polska znajdowała się w podobnej sytuacji, król Jagiełło po porozumieniu z Radą zapewnił postów, że i jemu mocno leży na sercu uniknięcie wojny, wobec czego jak najgoręcej popiera ich usiłowania, a dla potwierdzenia tego pragnienia zgadza się dać jeszcze postom owe dziesięć dni na dalsze negocjacje i wstrzymać się z krokami wojennymi do czwartego lipca.

Gara i Ścibor, zadowoleni z pomyślnego wypełnienia swojej misji, jeszcze tego samego dnia ruszyli spieszenie do wielkiego mistrza, by dowiedział się szybko o zawartej ugodzie. Równie zadowoleni byli król Władysław i jego doradcy, pochłonięci ostatnimi przygotowaniem wojennymi, które teraz mogli czynić bez obawy, że zakłóci je krzyżacki najazd.

Trzy dni postoju w Wolborzu wypełniły nieustanne narady, bo spraw do rozważenia i rozstrzygnięcia było co niemiara. Wreszcie, uporawszy się z najpilniejszymi z nich, król zarządził zwinięcie obozu. Wojska miały udać się pod Czerwińsk ku przeprawie przez Wisłę, gdzie czekał już most spoczywający na połączonych ze sobą i zamocowanych kotwicami kryptach. Strzegły go na obu brzegach oddziały zbrojnych księcia Ziemowita z Płocka.

Dwudziestego siódmego czerwca, jeszcze przed świtem, obóz zaszumił gwarem ostatnich przygotowań do wymarszu. Gaszono ognie, zwijano namioty

i przy wtórze nawoływań i klątw zaprzęgano i siodłano konie. Kiedy zaś słońce strzeliło spoza horyzontu pierwszymi promieniami, chorągwie zaczęły opuszczać obóz, a wozy podążyły sznurami ku drodze.

Król również był już w siodle i w otoczeniu dostojników przyglądał się wymarszowi wojska.

Coraz dłuższe stawało się cielsko węża, które tworzyły ciągnące chorągwie, coraz więcej pustego miejsca zostawało na łąkach stratowanych kopytami koni, zdeptanych ludzkimi stopami, pociętych koleinami wozów. Pozostały na nich odpadki jadła, niedopalone kawałki drzewa, resztki słomy i siana i setki szarych plam po wygasłych ogniskach.

W kolumnie marszowej nie widać było jednak porządku zwykłego wojska. Rzuciło się w oczy, że brakło ręki, która by pokierowała tym wielkim tworem i zaprowadziła ład w jego wielocłonowym cielsku. Konni gońcy ganiali bokiem drogi, a pomiędzy chorągwie wtłoczyły się tu i ówdzie sznury wozów wyprzedzane przez podążające rysią oddziały rycerskie.

Król przyglądał się temu ze zmarszczoną brwią, kiedy zaś ruszyły wreszcie wozy z bombardami i artyleria do nich, zwrócił się do stojącego przy jego boku marszałka Zbigniewa:

— Porządku tu brak. Tabory winny wychodzić wprzód, a bombarady nawet przed nimi, bo najwolniej ciągną...

— To pierwszy dzień wspólnego marszu, miłościwy panie — odparł Zbigniew. — Porządek zaprowadzi się później, mamy z tym czas, bo nieprzyjaciół jeszcze daleko.

— Blisko czy daleko, trzeba to zmienić — mruknął król, ruszając z miejsca. — Jak przejdziemy Wisłę, pierwsza ma ruszać straż przednia, a za nią, jeszcze przed świtem, wozy. Chorągwie niech idą w spory czas po taborach. — Król przynaglił konia, a w ślad za władcą cały jego orszak ruszył kłusem, bo czoło maszerujących wojsk już dawno zniknęło z oczu, choć jeszcze sporo chorągwi i wozów oczekiwało swojej kolei na miejscu postoju. Ogrom sił zebranych w jednym miejscu stwarzał już teraz poważne trudności

z zaprowadzeniem w nich ładu, a po przybyciu wojsk wielkopolskich, mazowieckich, a zwłaszcza litewskich, trudności te będą wręcz ogromne.

Myślał o tym król, jadąc na czele swojego orszaku.

Z LUBOCHNI RUSZONO DO Wysokinieć, a na trzeci dzień marszu, a więc w sobotę dwudziestego dziewiątego czerwca, wojska rozłożyły się obozem nad stawem Sejnice.

Dzień był parny niezmiernie, toteż rycerze z ulgą zsiadali z koni, które trzeba było pilnować, by rozgrzane upałem nie pognały od razu do wody. Gorące mimo wieczornej pory powietrze stało nieruchomo, niezakłócone najmniejszym podmuchem wiatru. Słońce schylało się ku zachodowi, jakby uciekając przed ogromną, ciemną chmurą, która zaciągnęła już pół nieba i od czasu do czasu łyaskała gdzieś nad mrocznym horyzontem cichą błyskawicą.

Czarny, nie zważając na nadciągającą burzę, zrzucił ubranie i skoczywszy do stawu, z rozkoszą rzeźwił się kąpielą po spiekocie dnia. Potem ruszył do namiotu, gdzie Włodek i Jurga szykowali już wieczerzę. Ledwie jednak zdążył ją zjeść, kiedy w wejściu ukazała się okrągła twarz młodego wikarego.

— Ksiądz Andrzej was wzywa — oznajmił ten bez wstępów. — Macie przyjść zaraz!

— Czekaj! — Czarny zerwał się, widząc, że księżulo odchodzi. — Zaprowadzisz mnie do niego, bo w tym gąszczu namiotów trudno go będzie odszukać!

— Stoi nieopodal królewskiego, a nad tym powiewa proporzec, ale chodźcie, pójdziemy razem. — Młody ksiądz zatrzymał się, czekając, aż Czarny naciągnie kubrak i założy pas.

Ksiądz Andrzej zajmował namiot sam. Nie był to jednak przywilej, a nieodzowny warunek umożliwiający odbywanie poufnych rozmów. Toteż i przy wejściu, i od tyłu namiotu miał straż, która nikogo nie dopuszczała w pobliże.

Na środku stał nieduży, rozkładany stół, zrobiony specjalnie do podróży, a przy nim dwa stołki. Ksiądz wskazał jeden z nich Bertowi.

— Siadaj — rzucił, sam zajmując drugi.

Raptowny podmuch wiatru targnął namiotem. Za pierwszym podmuchem nadleciał następny, a po chwili sznury napięły się gwałtownie pod naporem rozszalałej wichury. Pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły w płótno z głuchym dudnieniem.

— Nie miałem dotąd czasu, aby cię wezwać — odezwał się proboszcz, nie zważając na odgłosy rozszalałej burzy. — Spraw teraz co niemiara, że nawet i nocy braknie, by wszystko załatwić. Ale pora, aby ci przypomnieć, że Vogelweder jeszcze nieujęty.

Czarny, który istotnie od czasu Lasoty bardziej myślał o wyprawie wojennej niż krążącym gdzieś na wolności Peterze, musiał w duchu przyznać słuszność temu napomnieniu. Proboszcz zaś ciągnął dalej:

— Na spotkanie wyznaczone owego dnia wieczorem w Garbaczu nie przybył, czemu dziwić się nie należy, bo do wieczora zdążył dowiedzieć się o śmierci tamtych dwóch. Zresztą kazałem wypuścić człeka, który nam o owym spotkaniu powiedział. Tego, co tak ulękł się kaźni, jaką zadałeś Kosturowi.

Ksiądz Andrzej uśmiechnął się z lekka, po czym chwilę nasłuchiwał gwałtownego szumu ulewy, od której płótno namiotu zaczęło tu i ówdzie przesiąkać. W tej chwili półmrok wnętrza rozjaśnił nagły błysk, a zaraz potem rozległ się ogłuszający huk grzmotu.

— Kazaliście go wypuścić? — zdziwił się Czarny.

— Ano tak.

— Dlaczego? Psubrat knuł razem z tamtymi!

— Dlatego, synu, że gdybym tego nie zrobił, musiałbym wsadzić do lochu i Kostura, który inaczej byłby w podejrzeniu. Dlatego też pochwalam cię za ową krotoczwilę z biciem i dlatego też wypuściłem tamtego. Będzie wyglądało na to, że nic podejrzanego w tej stajennej gadaninie nie wykryliśmy. Zwolniony nie przyzna się do zdrady, bom go ostrzegł, że zostanie wówczas przez Petera zabity. W ten sposób Kostur może pozostać na swoim miejscu, a Peter dowiedziawszy się, jak biedaka potraktowałeś, będzie miał nadal do niego zaufanie.

Odpowiedź Czarnego zagłuszył kolejny trzask pioruna, który uderzył gdzieś w pobliżu. Zaraz potem gruchnęło kilka następnych. Burza rozszalała się na dobre.

— Wasza wielbność przypuszcza, że Peter nadal będzie chciał wykorzystywać Kostura? — spytał Czarny, kiedy na chwilę zrobiło się cicho.

— Na pewno — proboszcz przerwał, unosząc głowę, bo płachta wejściowa uchyliła się i w świetle świecy ukazała się ociekająca wodą twarz młodego wikarego.

— Piorun uderzył w namiot Dobka z Oleśnicy! — wykrzyknął z przejęciem. — Ale na szczęście nikomu nie zrobił krzywdy!

— To takie ważne, że ganiasz po deszczu, a co gorsza mnie przeszkadzasz? — głos księdza był spokojny, ale zawierał karcący akcent.

— Boć to cud prawdziwy! Z Dobkiem siedzieli przy wieczerzy czterech ludzi i żadnego nawet nie tknę! Stopił jeno cynową misę z rybami, co stała między nimi, i ryby rozrzucił! Ale inny pachotka i trzy konie ubił wedle stawu!

— Zmów tedy pacierz za duszę zmarłego, a nam nie przeszkadzaj! — ksiądz mówił surowo, ale w jego oczach pojawiły się iskry rozbawienia. — O czym to mówiliśmy? — zastanowił się, kiedy wikary zniknął.

— Aha, pytałeś, czy Kostur nadal będzie potrzebny Vogelwederowi? Wydaje mi się, że nie mniej niż poprzednio, a może i bardziej, bo przenosimy się z miejsca na miejsce, będzie więc musiał korzystać tylko z pomocy tych ludzi, których sobie dotychczas przymówił. A czeka go jeszcze sporo wysiłków, bo chyba pamiętasz, o czym to mówili w Sączu?

— Pamiętam, wasza wielbność... Będzie chciał dotrzeć do zagranicznych wódzów.

— Właśnie. I tu Kostur będzie mu bardzo potrzebny. — Ksiądz Andrzej przerwał, nasłuchując przez chwilę, po czym zakończył rozmowę: — Burza już mija. Idź teraz spocząć, bo ruszamy przed świtem.

Ciszę boru zakłócił gwar ludzkich głosów i stuk siekier, płosząc zwierza, który, nastawiwszy chrapy, pod wiatr łapał zapachy. Potem przedzierając się przez

chaszczce, gnał w głąb ostępów lub cicho przemykał po konarach drzew, byle dalej od woni najgroźniejszego wroga.

Ten łomot zwalanych drzew, krzyki i nawoływania szły od specjalnie wydzielonych oddziałów, które na czele ciągnących wojsk przygotowywały drogę i przeprawy przez puszcze: wycinały drzewa, mościły drągami bagna i udostępniały podejścia do brodów przez liczne rzeki lewego dopływu Narwi, kędy ciągnęła armia wielkiego kniazia Witolda.

Wozy bowiem były ciężkie i łatwo grzęzły, toteż co mokrzejsze miejsca należało mościć pniami. Na mokradłach i bagnach kładziono całe takie pomosty. Ale nawet i wtedy nie wolno było wozom zatrzymać się choćby na chwilę, gdyż obciążony nieruchomym ciężarem most zaczynał zaraz pogrążyć się w bagnie. Woźnice stawali wówczas na nogi, krzykiem i razami batów

wyciskając z koni ostatni dech, starali się jak najprędzej przebyć niebezpieczne miejsce.

Kniaź Witold zaś parł niecierpliwie naprzód, nie zezwalał na długie postoje, zmuszając ludzi i zwierzęta do śmiertelnego wysiłku, toteż mimo uciążliwej drogi armia litewska nieustępliwie posuwała się naprzód. Przed nią i po jej bokach — a zwłaszcza po prawym, narażonym na możliwość krzyżackiego uderzenia — szły liczne straże i podjazdy. Były to oddziały Tatarów, którzy dosiadali małych i zwinnych koników, niezastąpionych w trudnym do przebycia terenie.

Popasano byle jak i byle gdzie, aby w pobliżu wody, krom starszyny nie rozbijając namiotów, bo tych litewscy wojownicy nie używali. Pod głowę starczyło siodło, a kozuch chronił przed zimnem nocy. Ognisko wolno było jednak palić, i to właśnie tylko po ciemku, bo płomień w lesie z dala nie jest widoczny, natomiast idący w górę dym dostrzec można za dnia nawet na dobrych kilka mil.

Tym razem wielki kniaź zgromadził wyjątkowo wielką armię. Dziesiątki chorągwi ciągnęły za taborem, rozciągnięte w długą paromilową wstęgę podobną powolnej gąsienicy najeżonej kolcami włóczni i rohatyn. Szły własne oddziały wielkoksiążęce, jak i książąt na Starodubie, Mińsku, Brześciu, Słucku,

Pińsku, Wołkowysku, Nowogródka i innych grodach i miastach, znamienitych książąt i bojarów, jak Zygmunta Korybuta, Szymona Lingwena, Holszańskiego, Świrskiego, Kieżgajłły, Moniwida, Giedroycia, ciągnęli wojownicy z ziemi smoleńskiej, trockiej, lidzkiej, miednickiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, krewskiej, orszańskiej, witebskiej, kijowskiej, nowogrodzkiej, połockiej i wielu innych, podległych władzy Witolda.

Tam, gdzie teren na to zezwalał, wielki książę dzielił swoją armię na kolumny i kierował je różnymi drogami, bo zdarzało się, że ostatnie oddziały nadciągały na miejsce postoju tak późno w nocy, że ludziom i zwierzętom na spoczynek zostawało mało co czasu. Pod koniec czerwca armia litewska zaczęła wreszcie wynurzać się z mroków puszczy, wkracząc na bardziej otwarte przestrzenie. Marsz stał się teraz znacznie łatwiejszy, ale i bardziej niebezpieczny, toteż strażę prawego boku zostały znacznie wzmocnione, a podjazdy wysyłane częściej i dalej ku północy, w stronę nieprzyjacielskiej granicy. Doszedłszy zaś do Narwi, książę rozłożył się obozem niedaleko Pułtuska, by czekać na przybycie polskich chorągwi, które, zgodnie z planem

ustalonym jeszcze w Brześciu, miał nadeść polski król dla osłony przeprawy przez rzekę.

Rudy, dowiedziawszy się, że ma iść goniec do króla Władysława, zabiegał, by otrzymać tę misję. A że cieszył się nadal łaską książęcą, bez trudu uzyskał zgodę wraz z ogólnikową informacją, że ma szukać polskiego króla gdzieś na szlaku między Wolborzem a Czerwińskiem.

W drogę ruszył na długo przed świtem, przepłynął się przez Wisłę pod Zakroczymiem, a na następnym dniu znalazł wojska królewskie rozłożone obozem na nocny postój pod wsią Kozłowo.

Po wysłuchaniu relacji Jaksy jego królewska mość polecił sformować oddział w sile co najmniej dziesięciu chorągwi i wyprawić go jeszcze w nocy na prawy brzeg Narwi, by nawiązał łączność z wielkim kniazem i ochraniał przeprawę zgodnie z jego rozkazami.

Wyruszyło dwanaście chorągwi, ale Rudy pozostał w obozie, by tu oczekiwać na przybycie swego pana. Po posłuchaniu odszukał Czarnego, pytając od razu o

wieści z Sośnicy. Dowiedziawszy się zaś, że ich nie było, bo i być nie mogło, nie okazywał ochoty do dalszej rozmowy, będąc mocno znużony przebytą drogą i poszukiwaniem królewskiego obozu. Zasnął więc nieomal nad miską z wieczerzą i zaraz potem legł na spoczynek.

Dopiero kiedy późnym rankiem ruszyli z obozu, jadąc za królewskim orszakiem, przysunął się z koniem do Czarnego. Wjechali właśnie na wzniesienie i wstrzymali konie, by dwór oddalił się nieco, gdyż kurz, jaki wlokł się za nim, stawał się zbyt dokuczliwy.

Poranek był bezchmurny. Daleki horyzont zamykała wąska, sina wstążka lasu, bliżej rozciągały się pola, falujące zielonymi jeszcze zbożami. Przecinała je droga, przy której tu i owdzie rosochate pnie wierzb dźwigały kopulaste korony srebrzystych liści.

Obrócili się w siodłach i przez pewien czas obserwowali rozciągającą się przed nimi panoramę. Drogą ciągnął długi, ciemny wąż, wijąc się łagodnymi łukami pomiędzy zielenią zagonów. Jego daleki ogon migotał bronią jezdnych niby świetlistą łuską, ginąc we mgle przystaniającej horyzont.

Początek zaś tego cielska stanowiły oddziały maszerującej piechoty. Szła rozciągnięta bezładnymi kupami w grupach po kilku lub kilkunastu chłopów. Poszczególne rotę oddzielali dowódcy, którzy siedząc na wierzchowcach, górowali ponad masą pieszych. Słońce skrzyło się na ostrzach toporów, halabard, oszczepów i giewii niesionych na ramionach, błyskało na okuciach drewnianych lub skórzanych pawęży, na półhełmach, kołpakach, łebkach i kolczych siatkach, które ten i ów miał na sobie. Spod nóg maszerujących kolumn wznosił się kurz, bo droga była piaszczysta. Znoszony wiatrem snuł się nad zagonami burymi kłębami, ciągnąc daleko w pole. Dopiero tam z wolna opadał na świeżą zielenią zbóż.

— Wielką siłę zebrał miłościwy pan — odezwał się Rudy, trącając konia ostrogą. Ruszyli z miejsca, bo orszak królewski, jadąc kłusa, oddalił się już znacznie.

— *To jeszcze nie wszystko — wyjaśnił Czarny, zrównując się z towarzyszem. — Drugie tyle przybędzie, jak nadciągnie rycerstwo wielkopolskie i przyłączą się chorągwie mazowieckie. Nie mówiąc już o wojskach twojego kniazia.*

— *Mamy potączyć się w Czerwińsku. Tam zapewne król zaczeka na resztę swoich sił.*

— *Wczoraj przybył goniec Sędziwoja z Ostroroga, wojewody poznańskiego. Doniósł, że ten jest w marszu z resztą swoich chorągwi. Mazowieckie pewnie już na nas czekają.*

— *Zbierze się więc potęga, jakiej gdzie indziej trudno szukać! Nie dadzą nam brodacze rady.*

— *Oni też nie słabi. Wojska mają chyba lepiej zbrojne i karniejsze od naszych. Już w Wolborzu mieliśmy kłopoty z porządkiem, a i teraz jest niewiele lepiej.*

— *Co ty mówisz? — zdziwił się Rudy. — Nie dostrzegłem tego!*

— *Bo za krótko z nami jesteś, a wymarsz wojsk i taborów przespałeś. Teraz jest już nieco lepiej, bo wozy ruszają jeszcze przed świtem, idą różnymi drogami i, jeśli można, po dwa obok siebie. Nie zapobiega to jednak nieporządkom. Każdy wrywa się na pierwszego, zajeżdżając sobie drogę, zdarza się, że i dyszel pęknie albo urwie postronek, a wówczas powstają zatory, kłótnie i zwady, a przez to i opóźnienia. Chorągwie zaś, nie chcąc tykać kurzu za wozami, za wcześnie wychodzą z postojów.*

— *Nie powinni wiedzieć, gdzie będzie następny obóz.*

— *Tego całkiem nie da się ukryć. Oboźny ze swoimi ludźmi musi ruszyć zawczasu.*

— *Myśmy również mieli takie kłopoty. Do pełnego porządku też było daleko, ale książę wydał odpowiednie zarządzenie, a wiadomo było, że winnego nieposłuszeństwa czeka stryczek, i to bez żadnej zwłoki i długiego gadania.*

— *Inne są na Litwie zwyczaje, a inne u nas. Tam o wszystkim decyduje książę i jego wola jest prawem. My zaś prawa mamy ustanowione.*

Liczyć się z nimi musi i sam król, a Rada Koronna czuwa i nad tym, by jego wola nie naruszała tych praw.

— Nie mówiąc już o wicekanclerzu, bez którego żadnej decyzji nie wyda. Obaj nasi władcy bardzo się różnią od siebie!

— Czy tak bardzo? Może za mało znam kniazia, aby to dostrzec, ale jaki jest nasz pan, wiem dobrze, mimo że rzadko zdarzało mi się stawać przed jego obliczem. Dość jednak człowiek nasłucha się od innych.

— Zaraz ci wykażę, że mimo bliskości pokrewieństwa, boć przecie są stryjeczni braćmi, natury mają tak różne, jak ogień i woda. Choćby to, jak Władysław rozstrzyga sprawy: od razu czy ze zwłoką? Czarny zastanawiał się przez chwilę.

— Ze zwłoką. Namysłą się, rozważa, zasięga rady, i to niejednej. Przeciwni mu szydzą, że trudno pojmuje, o co rzecz idzie. Ale skoro rozstrzygnie, decyzja na pewno jest słuszna.

— A mój kniaź myśli i decyduje szybko, od razu dostrzegając trzon sprawy, a nie jej pobocza. Wprawdzie rad zasięga również, ale nie po to, aby ich usłuchać. Chce tylko wiedzieć, co o tym sądzą jego doradcy, ale decyduje podług własnych myśli i często wbrew nim wszystkim. Zresztą obaj są jednakowo nieufni i podejrzliwi, co wypływa nie tyle z usposobienia, ile z konieczności. Obaj bowiem sprawują władzę.

— Ale mój pan potrafi być wyrozumiały i niepamiętliwy, choć łatwo wpada w gniew. Zdarza się jednak i tak, że potem żałuje wybuchu i stara się naprawić krzywdę wyrządzoną w gniewie.

— Witold zaś ani cierpliwy, ani wyrozumiały nie jest. Jeśli go rozgniewasz, bądź rad, żeś uszedł z życiem. A skoro to ci się nawet i uda, długo będzie pamiętał, czym go rozsierdziłeś. Umie jednak tajić gniew, jeśli widzi, że okazać go jest przeciwne rozsądkowi.

Następne pytanie Czarny zadał z uśmiechem, bo zaczęły go bawić te porównania.

— A w sprawach religii? Władysław jest wyjątkowo pobożny, przestrzega ściśle wszystkich przykazań, jak i nakazów kościoła, mszy słucha codziennie. W nakazane dni pości surowo, przejęty głęboko nową wiarą, aczkolwiek przyjął ją nie tyle z popędu serca, co z politycznej trzeźwości.

— Mszy wystuchuje codziennie — roześmiał się Rudy — jeśli nie gnuśniej w łożu! Słyszałem, że lubi pospać do późna!

— Bywa i tak. Ale potem, ogarnięty wyrzutami sumienia, w dwójnasób okazuje gorliwość religijną, co jednak nie przeszkadza mu wierzyć w gusta ze swojej pogańskiej młodości. Ku zdumieniu nieznaną jego obyczajów ludzi opuszczając komnatę, rzuca za plecy źdźbło słomy albo obraca się przed wyjściem, co ponoć ma zabezpieczyć go przed złem, które czeka za progiem.

— To warte piosenki. Bert! Nic żeś jeszcze o tym nie napisał?!

— W jego zachowaniu jest bezpośredniość i prostota trafiające do ludzkich serc. Do mego zatem także — mruknął Czarny, marszcząc brwi.

— Witold zaś jest za mądry, by zdradzić, co myśli naprawdę. Duchowieństwo i zakonników popiera, kościoły stawia i wyposaża, z guseł zaś i przesądów kpi jawnie, ale po prawdzie wydaje mi się, że straciwszy wiarę pogańską, nie bardzo ufa i chrześcijańskiej. A przykładą się do niej o tyle, o wiele każe mu to polityczny rozum. Teraz zaś, skoro mówiliśmy o religii, pomówmy i o szatanie, a zwłaszcza o jego służebnych.

— Czyli o kobietach? I to mówisz ty, sam zadurzony?

— Właśnie dlatego! Bo przychodzą chwile, że przeklinam to zadurzenie, a z nim cały niewieści ród!

— Nikt nie słyszał, aby miłościwy pan spojrzeć na którą. Pilnie przestrzega wierności, mimo że wiele uczucia w jego obecnym małżeństwie nie ma.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo do dziś nosi pierścień po zmarłej Jadwidze. Tę miłował naprawdę i zapomnieć nie może.

— Za to mój kniaź nie przepuści żadnej kiecce, jeśli wpadnie mu w oko. Jak go żar do której ogarnie, nie ogląda się na nic. Potrafi ubić jednego ze swoich namiestników, by pocieszać wdowę. Lubi kobiety jako rozrywkę, jak lubi i grę w szachy.

— Miłośnik tej gry?

— Wielki! Trzecie zaś jego upodobanie to łowy.

— W tych lubuje się i Władysław. Z łoża boleści potrafi się zerwać, jak mu zagra myśliwski róg. W pościeli lubi poleżeć, ale na zamku. Polować zasię potrafi kilka dni bez odpoczynku, nieomal nie zsiadając z konia.

— Witold używa łoża tylko do snu i miłości. Skoro się zbudzi, a robi to wcześnie, wstaje zaraz i zabiera się do pracy, sam pragnąc robić wszystko. Rozstrzyga sprawy polityczne, gospodarskie, handlowe, wojenne, sam chce sądzić i nieomal własnoręcznie karać. Tak czynnego i ruchliwego człeka jeszcze nie widziałem. Wgląda we wszystko i pamięta o każdym poleceniu, jakie wydał. Potrafi pytać o nie nawet po pół roku i biada temu, kto go nie wykonał.

— Chyba masz rację. Istotnie różnią się oni między sobą. Władysław krom polowania i podróży, które lubi, woli wyręczać się innymi. Tyle tylko, że tych innych umie sobie dobrać z dziwnym wyczuciem ich właściwej przydatności i nie dopuszcza, by zbyt urosły w znaczenie. Co nie znaczy jednak, że nie umie być szczodry w wynagradzaniu usług.

— Taką lekką rękę ma i Witold, czego przykładem ja sam! — Rudy roześmiał się, po czym dorzucił, wskazując przed siebie: — Czy to już Czerwińsk?

— Chyba tak.

Istotnie daleko przed nimi migotała srebrna nitka rzeki, nad którą tu i ówdzie przysiadły kępy drzew. Na przeciwległym brzegu pomiędzy drzewami jednej z takich kęp, większej od innych, czerwieniały mury budynków, a nad nimi strzelały w górę mało co jeszcze widoczne, bo zatarte oddaleniem, wieże klasztorne kościoła. Po ich zaś stronie, nieco w prawo, szły w niebo liczne dymy niewidocznych ognisk. Zastaniały je bowiem szeregi namiotów i wozów, z powodu znacznej odległości mniejsze od dziecinnych zabawek.

— Już jakieś wojska czekają na przeprawę... — odezwał się Rudy.

— Zapewne nadciągnęły pierwsze wielkopolskie chorągwie. Albo zagraniczne roty, którym już w drodze przykazano ominąć Wolborz, bo i bez nich tłok na szlaku zrobił się zbyt wielki.

ZAALARMOWANY PRZEZ CZATY dowódca strażniczych oddziałów mostu wyjechał naprzeciw władcy, by go powitać. Król zatrzymał się na chwilę, po czym, pozostając w siodle, kazał wystać gońca ku nadciągającym wojskom z rozkazem, by od razu z marszu przeprowiały się na przeciwległy brzeg, gdzie dopiero mają rozbić obóz. Poleciał jednocześnie, by pierwsza

weszła na most piechota, potem konni, a za nimi dopiero, jeśli przeprawa odbędzie się szczęśliwie, wozy taborowe. Po wydaniu tych zarządzeń król Władysław obrócił konia i przeżegnawszy się nabożnie, ruszył ku rzece.

Droga ku niej, skręcając od traktu, biegła w dół. Zrobiono ją solidnie, wyrównując teren i mocno ubijając ziemię z myślą o wozach obciążonych znacznym ładunkiem. Pilnowała jej druga linia zasieków i ostrokołów, również obsadzonych liczną załogą, wznoszącą teraz powitalne okrzyki, bo wieść o przybyciu króla dotarła już wszędzie.

Minięto linię łożyn wysieczonych miejscami dla odstąpienia widoku i oczom orszaku ukazał się szeroko rozlany nurt Wisły, przecięty jasnym pasmem mostu, długim i prostym, zwężającym się w miarę odległości tak, że u przeciwległego brzegu wydawał się cienką nicią.

Pomost miał pięć kroków szerokości. Zbity z desek, zaopatrzony w poręcze z lin przyczepionych do słupów, leżał na setkach kryp o wysokich burtach, by w razie dużego obciążenia nie dostała się do nich woda. Od strony ciągnącego prądu długim szeregiem ginęły w wodzie napięte łańcuchy, zakończone niewidocznymi kotwicami, których łapy, wbite w dno rzeki, trzymały most na uwięzi.

Wkrótce nadciągnęły pierwsze chorągwie i pod okiem króla rozpoczęły przeprawę. Szła ona szybko i sprawnie. Po piechocie wnet nadszedły i wozy taborowe. Te również przebyły most szczęśliwie, choć pod ich ciężarem krypy

mocno osiadły. Wysokość burt musiała być jednak dobrze obliczona, bo nigdzie nie powstało niebezpieczeństwo ich zalania.

Mocno uradowany był tym sukcesem król i panowie z Rady. Ale że zaczęło już ciemnieć, kiedy z grzmotem kół i krzykami woźniców przejechały ostatnie wozy, postanowiono przeprawę biwakujących po drugiej stronie wojsk odłożyć do świtu.

JESZCZE PRZED ZMROKIEM zawiadomiono króla, że przybył poseł od węgierskich panów. Zmęczony wyczerpującym dniem i dozorowaniem odbytej przeprawy Władysław kazał mu czekać na posłuchanie do sposobnej ku temu chwili. Wkrótce potem z radością wysłuchał wieści, że nadleciał właśnie putnik od Witolda, donosząc, iż nazajutrz przybędzie on na czele swoich wojsk.

Skutkiem tego Jaksa otrzymał polecenie natychmiastowego wyjazdu celem odszukania i zawiadomienia księcia, gdzie i kiedy spodziewa się król go spotkać.

Następnego więc dnia około południa król Władysław w otoczeniu dworu wyruszył z obozu na to spotkanie. Po ujechaniu ćwierć mili ujrzano z daleka szybko rosnący tuman kurzu. Wkrótce straże przednie zjechały na bok, a obaj władcy przypadli ku sobie i z rozradowanymi twarzami, nie zsiadając z koni, ujęli się za ramiona. Za ich przykładem, równie uradowani szczęśliwie dokonanym połączeniem, wśród żartów i wesołych okrzyków ściskali się i dostojnicy znani już sobie z poprzednich spotkań. Potem połączone orszaki zawróciły ku polskiemu obozowi położonemu nieopodal klasztornych sadów, gdzie przed królewskim namiotem rozstawiono już stoły, na których czekał obiad.

Obaj władcy, stroniący od trunków, nie pili wcale, reszta zaś mało co, bo zapowiedziana rychła narada nie pozwalała mroczyć sobie łbów.

Kniaź Witold pozostawił przy wojsku zastępców: kniaziów Giesztołda i Szymona Lingwena, dowódcę smoleńskich chorągwi. Trzeciego jednak, Moniwida, wziął ze sobą. Towarzyszyli mu poza tym i inni wielmoże z Kieżgajłką na czele. Brakło jedynie tych, którym rozkazał pozostać na Litwie albo też dowodzić wyprawą, która ruszyła ku Kłajpedzie.

Zaraz też po uprzątnięciu mis i dzbanów rozpoczęto naradę, bo radzić było o czym. Witold przyprował z sobą prócz kilku tysięcy Tatarów i piechoty czterdzieści konnych chorągwi. Polskich zaś, oprócz oddziałów zaciężnych, naliczono pięćdziesiąt.

Była to masa wojsk niespotykana na owe czasy. Zebranie jej w jednym miejscu i w tak ściśle określonym terminie było osiągnięciem wywołującym zdumienie u ludzi znających się na wojennym rzemiośle. Ale też była to tylko część zadania, które należało wykonać. Czekala teraz druga, nie mniej trudna, a mianowicie doprowadzenie tej armii w porządku i bezpieczeństwie do miejsca walnej bitwy.

Nie zastanawiano się jednak, kto weźmie za to odpowiedzialność, gdyż było dla wszystkich zrozumiałe, że ze względu na piastowaną godność prowadzić wojsko i przewodzić walnej bitwie będzie sam król.

Bo tylko król mógł być naczelnym wodzem, jeśli osobiście brał udział w wyprawie, gdyż jakiegokolwiek inne rozwiązanie obrażałoby jego autorytet i powagę, prawa rodu i tytułu. Dla wszystkich było także jasne, że pierwszym i głównym zastępcą władcy może być tylko następny w rodowej hierarchii i godności, to znaczy wielki książę.

Król mógł temu lub owemu dygnitarzowi powierzyć określone zadanie, a nawet ze względu na bezpieczeństwo swojej osoby bezpośrednio kierowanie bitwą, ale i wtedy głównym rozkazodawcą pozostawał on sam.

Toteż nikogo nie zaskoczyło, że Władysław, przewodnicząc naradzie, od razu poprosił księcia Witolda, by pozostał przy nim jako jego pierwszy i główny zastępca. Ponieważ zaś książę swoich zastępców już wyznaczył i mógł temu żądaniu zadośćuczynić, przystąpiono bez zwłoki do dalszych spraw.

Przede wszystkim przyjęto do wiadomości królewską wolę co do dalszej marszruty ustalonej już w Brześciu. Król oświadczył, że pozostaje ona bez zmiany, to znaczy, że zamierza przeprowić się przez Drwęcę na jej odcinku pod Kurzętnikiem. Następnie Jego Królewska Mość prosił zebranych, by wspólnie z nim zastanowili się nad trudnościami, jakie już się wyłoniły, a obecnie wzmogą

się jeszcze bardziej skutkiem skupienia tak dużego wojska, a zwłaszcza ogromnej liczby taborów.

Tu Władysław oznajmił, że polecił dokonać obliczenia wozów, które będą w drodze po połączeniu się wojsk. Otóż z obliczeń tych wynikało, że będzie ich około dwunastu tysięcy, zajmą więc w marszu blisko piętnaście mil drogi. Zważywszy dalej, że wóz z ładunkiem w najlepszym razie przebędzie w ciągu dnia pięć mil, przemarsz całej kolumny musiałby zająć trzy dni, czyli na każdy postój przybywałaby tylko trzecia część wozów, a więc dwie trzecie wojsk pozostałoby bez prowiantu dla ludzi i obroku dla koni.

Roztrząsanie tego problemu zajęło dużo czasu, ale doprowadziło do ustalenia zasadniczych wytycznych, których postanowiono się trzymać. Uchwalono więc przede wszystkim odłączyć od wozów bezpośredniego zaopatrzenia wojsk wszystkie inne, wiozące sprzęt oblężniczy, bombardy, skutnice oraz proch i kule do nich, gdyż były chwilowo zbędne. Te miały otrzymać ochronę z piechoty i podążać za wojskiem z szybkością na miarę swoich możliwości. Resztę wozów miano kierować od postoju do postoju kilkoma szlakami, wykorzystując miejscowych chłopów jako przewodników.

Podniesiono też konieczność przyspieszenia wymarszu, tak by czas od ruszenia pierwszych wozów do ostatnich skrócić jak najbardziej.

Za radą doświadczonego czeskiego wodza Sokoła, którego król coraz chętniej słuchał uchem, postanowiono zmienić sposób ustawiania wozów. Ustalono też, że tabory będą wyruszać jeszcze o przedporannym zmroku również pod ochroną piechoty, a chorągwie dopiero za jasnego dnia, dobrze po wschodzie słońca.

Wreszcie na zakończenie narady uchwalono, by w straży przedniej szli Tatarzy jako lekkobrojni i najszybsi, po taborach wojska litewskie, a za nimi chorągwie koronne. Służbę wartowniczą, uciążliwą i spełnianą przez rycerzy niechętnie, poruczono żołnierzom zaciężnym.

Na drugi dzień król i rycerstwo wysłuchało mszy świętej w kościele czerwińskiego klasztoru, podczas której płocki biskup Jakub wygłosił podniosłe kazanie, mądrze wykazując zebranym różnicę między wojną słuszną a

niestuszną i w gorących słowach wzywając do walki z wrogiem. Po mszy stanął przed królem wojewoda poznański Sędziwój z Ostroroga, zgłaszając przybycie ostatnich wielkopolskich chorągwi. Nie widząc więc potrzeby dalszej zwłoki, jako że i zaciężne roty były już wszystkie na miejscu, Jego Królewska Mość zarządził wymarsz na następny dzień, a potem rozebranie mostu i wysłanie go do Płocka. Po wydaniu tych rozkazów w towarzystwie wielkiego księcia i paru co najbliższych sobie doradców udał się do klasztornego refektarza, gdzie polecono stawić się Dobiesławowi ze Skoraczewa, wysłannikowi węgierskich postów.

Ten, znalazłszy się przed obliczem królewskim, oznajmił, z czym przybywa. Panowie Gara i Ścibor, bez przerwy czyniąc starania zmierzające do zawarcia pokoju, proszą Jego Królewską Mość Władysława, by zechciał wyznaczyć dzień i miejsce, w którym zgodzi się ich przyjąć w celu ustalenia ostatecznych warunków. Sądzą oni bowiem, że król polski okaże chęć uniknięcia wojny podobnie jak wielki mistrz i nie uchylą się od rozmów w tej sprawie.

Kiedy poseł zakończył przemówienie, nastąpiła cisza, bo król milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wicekanclerz, który stał przy jego boku, nachylił się i coś szepnął mu do ucha. Jagiełło z wolna skinął głową, po czym zabrał głos. Oznajmił postowi, że i on pragnie uniknąć rozlewu krwi i gotów jest udzielić posłuchania węgierskim panom, na co wyznacza sobotę, albo, jeśli nie zdążą przybyć, niedzielę. Miejsca spotkania przewidzieć jednak dziś nie może, bo z wojskiem ciągnąc, nie wie, jak mu wypadną postoje. Prosi

więc, aby panowie Ścibor i Gara zechcieli go znaleźć tam, gdzie będzie się w wyznaczone dni znajdował, a on im poda swoje warunki.

Po tej odpowiedzi można było dostrzec wyraźne rozczarowanie na twarzy Dobiesława, nic już jednak więcej nie powiedział, bo dopytywanie się o to, co dlań było najistotniejsze i po co właściwie przybył, było niewskazane. Skłonił się więc i po zapewnieniu, że słowa królewskie dokładnie przekáže, prosił o przydanie paru rycerzy dla ochrony, gdyż ma zamiar natychmiast ruszać w powrotną drogę.

ROZLEGŁOŚĆ OBOZU, WIELKA liczba rozstawionych chaotycznie namiotów i wozów taborowych, ruch i zgiełk, jaki wśród nich panował, utrudniały Czarnemu odszukanie Dzieweczki. Znalazł go jednak, a w wyniku tego spotkania na następnym postoju zjawił się w jego namiocie Kostur. Czarny musiał spotkać się z żebrakiem, by ustalić sposób, w jaki będą się mogli wzajemnie odnaleźć w obozowym gąszczu.

Taka potrzeba zaistniała już na postoju w Czerwińsku, choć tym razem sprawa nie była pilna. Czarny i Jaksą, który obecnie najczęściej przebywał razem z towarzyszem, skończyli właśnie wieczerzę i układali się do snu, bo zmrok stawał się coraz gęstszy, kiedy wejście do namiotu przysłoniła jakaś posiać, wślizgując się od razu do środka. Czarny rozpoznał na tle gasnącej zorzy znaną sobie sylwetkę i porwał się na nogi.

— Coś pilnego? — rzucił cicho.

— Nie, panie, ale widziałem go dziś.

— Gdzie?

— Przy rzece. Prowadziłem zaprzęg do wodopoju, kiedy wyszedł z łożin i skrywszy się między konie, gadał ze mną.

— Czego chciał?

— Abym zawsze wiedział, gdzie mają namioty zagraniczni dowódcy, a zwłaszcza Jan z Sarnowa. Prócz tego przykazał, bym stawał wozem z brzegu, żeby nocą łatwo mógł do mnie dotrzeć.

— Zatem jeszcze do ciebie przyjdzie?

— Tak by wyglądało.

— Skoro to nastąpi, dasz mi zaraz znać sam albo przez Dzieweczkę, ale tak, abyśmy mieli czas go przytapać! Jak ci to już powiedziałem w Kozłowie, w moim namiocie będzie przez całą noc paliła się latarnia. Światło przebija poprzez płótno, bez trudu więc mnie znajdziesz.

— Dobrze, panie. Teraz zezwólcie, że pójdę.

Kostur cicho wysunął się z namiotu.

WIELKA SALA TORUŃSKIEGO ZAMKU tonęła w mroku. Wysokie gotyckie okna przestaniała już czarna zasłona nocy. Na stole stały lichterze ze świecami i cynowe dzbany. U szczytu siedział wielki mistrz Ulryk, reszta zakonnej starszyny zajmowała dalsze miejsca. Obróciwszy głowy ku przybytemu przed chwilą postowi, nie spuszczano wzroku z jego twarzy.

Skoraczewski ciągnął sprawozdanie:

...Król, dawszy ucho kanclerzowi i pomyślawszy nieco, zgodził się przyjąć panów postów węgierskich i mówić z nimi o pokoju. Wyznaczył na to najbliższą sobotę, a jeśli by nie zdążyli, to niedzielę.

— Gdzie?! — szybko przerwał Dobiesławowi wielki mistrz.

— Tego właśnie nie wskazał. Powiedział, że będąc na wojennym szlaku, wiedzieć nie może, gdzie mu wypadnie zrobić postój. Postowie mają go sami odszukać.

Rycerze zakonni wymienili spojrzenia, a wielki mistrz spytał: — Nie nalegałeś, aby chociaż w bliskości to określił? Przecież wiedziałeś, że chcieliśmy znać kierunek marszu królewskich wojsk.

— Nie nalegałem, bo jego odpowiedź zdradziła mi, że jeśli nie on, to kanclerz przejrzał cel mego poselstwa. Naleganiem nie wskórałbym nic, a jedynie utwierdził go w podejrzeniu.

Ulryk milczał przez chwilę, znać podzielił pogląd Dobiesława, bo poniechał tej sprawy. Spytał tylko:

— W którym miejscu go znalazłeś?

— Już na prawym brzegu. Stał obozem pod czerwińskim klasztorem.

— Na prawym brzegu? — W głosie Ulryka zabrzmiało niedowierzanie, ale nie dopytując się dalej, rzucił kolejne pytanie: — Jak oceniasz jego siły? Dużo ma wojska?

— *Trudno rzec, bo obóz nie sprzyja obliczaniu sił. Ale liczbę namiotów oceniam na kilka tysięcy. Zważywszy zaś, że wielu śpi na wozach lub pod nimi, bo noce są ciepłe, oceniam liczbę wojsk koronnych na pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt tysięcy.*

— *Ejże?! Czy aby strach nie powiększył ci ich liczby?*

— *Nie lęklwym. — Dobiesław wzruszył ramionami. — Pytacie, to mówię, podług swego obliczenia i najlepszych chęci.*

Ulryk skwitował to oświadczenie ironicznym uśmiechem.

— *A co z Litwą? Czy Witold przybył?*

— *Widziałem go na własne oczy. Wojska połączyły się w dniu, w którym przybyłem do Czerwińska.*

— *Widziałeś i jego wojsko?*

— *Nie, bo założyli obóz o ćwierć mili od Polaków.*

— *Słyszałeś może, wiele ich przyciągnęło?*

— *Mówiono mi, że drugie tyle. Podobno dobrze zbrojni i chętni do walki.*

— *Myślę, że chętniejsi bardziej do łyżki niż miecza! — Ulryk roześmiał się, a za jego przykładem poszli inni.*

— *Nie umniejszaj ich znaczenia, mistrzu, bo wieści przynoszą ci pewne. Mówili mi to ludzie, których znam, i wiem, że łąć nie lubią. Witoldowe wojsko jest liczne i dobrze uzbrojone.*

— *Jak dobrze, to wiem lepiej niż ty, bośmy z nimi nieraz już walczyli! A powiedz no mi, jak to jest z tym mostem przez Wisłę, co mi tu o nim śpiewano z podziwieniem? Czy istotnie zbudowany w powietrzu?*

— *W powietrzu nic krom ptaków przebywać nie może, toteż łągarstwo to wierutne. Most leży na krypach umocowanych kotwami do dna rzeki. Widziałem, jak przeprowiały się po nim bezpiecznie nie tylko rycerskie chorągwie, ale i ładowne wozy taborów.*

Wielki mistrz wybuchnął śmiechem i spojrzał na siedzących przy nim węgierskich panów.

— Oto mi poseł! Miast prawdę nam rzec i jak należy opowiedzieć, co widział, bajkami nas częstuje! — Zmarszczył brwi i gniewnie spojrzał na Dobiesława. — Mówisz, że Władysław przeprowił się przez Wisłę, twierdzisz, że połączył się z Witoldem, a znów nasi godni wiary szpiegowie donoszą, że książę stoi nad Narwią, nie śmiejąc jej przekroczyć, Władysław zaś jeszcze nie zdołał przeprowić się i dopiero szuka ku temu miejsca! Zbyt pochlebne wystawiasz świadectwo naszym nieprzyjaciołom, bym miał w nic uwierzyć, zważywszy, że ty jesteś Polakiem.

Dobiesław spojrzał ze zdumieniem na wielkiego mistrza, gdyż nie przypuszczał, że jego sprawozdanie nie znajdzie u niego wiary. Nie dał się jednak ponieść oburzeniu i odpowiedział spokojnie:

— Twoja sprawa, miłościwy panie. Nie chcesz mi wierzyć, bo moje słowa nie są ci po myśli. Ale zaręczam ci, że nie ma kłamstwa w tym, com rzekł. Jeśli chcesz się upewnić, pošlij innego, a on ci powie to samo.

— Obejdzie się bez posłańców, bo zdarzenia prawdę nam objawią! — parsknął gniewnie Ulryk.

Zabrał głos wielki komtur Kuno von Lichtenstein.

— Może zrobimy tak, jak nam radzisz, Dobiesławie, nie czekając na te zdarzenia. Ale jeśli by okazało się, że nie dopisała ci pamięć albo źleś patrzył, wówczas jeszcze będziemy ze sobą mówić... — w głosie komtura zabrzmiała groźba. — Teraz zaś myślę, żeś zmęczony podróżą, toteż dłużej cię zatrzymywać nie będziemy.

Dobiesław skłonił się wielkiemu mistrzowi, potem reszcie zebranych i krocząc bez pośpiechu skierował się ku drzwiom. Po jego wyjściu zaległo krótkie milczenie, które przerwał von Lichtenstein:

— Uważałem, że lepiej będzie, jak pozostaniemy w swoim gronie. Bo nie widzi mi się, aby ten człowiek miał łągać przeciw faktom. Zbyt dużo słyszeliśmy o tym moście, by uważać go za bajkę. A skoro jest — taki lub inny — nie ulega dla

mnie wątpliwości, że Władysław dokonał rzeczywiście przeprawy. Dobiesław mógł przesadzać, mówiąc o sile wojsk, bo istotnie w obozie trudno je rozeznąć, ale zmyślać ani o moście, ani o tym, że widział Witolda, nie mógł!

Baron Gara skinął głową, potakując gestem.

— Władysław będąc na lewym brzegu Wisły, nie kazałby się szukać na prawym, bo to nie licuje z jego królewską powagą.

— Wcale też inaczej nie sądziłem — przyznał Ulryk z kpiącym uśmiechem — ale to, co mówiłem, było dla jego uszu, nie waszych! Nie musi wiedzieć, jak w rzeczywistości osądzamy położenie!

Z kolei zabrał głos wielki szpitalnik Werner von Tettingen.

— To, że wojska polskie są już na prawym brzegu Wisły, musimy uznać za ustalone. Co zaś do Litwy, to przypominam sobie, że komtur Ragnety brat von Wallenfels już z końcem maja donosił, iż Witold zabronił bojarom nawet myśleć o pokoju, a w dwa tygodnie potem doniósł o wymarszu jego armii. W tymże czasie, a więc w połowie czerwca, komtur ostródzki pisał nam, że wojska litewskie są nad Narwią, i wyrażał nawet obawę, czy nie ruszą na niego. Teraz widzimy, że obie te wiadomości były prawdziwe, i znamy już cel tego marszu.

— Czy aby na pewno? — odezwał się von Sayn, gospodarz zamku.

— Przecież dwa dni temu dostaliśmy pismo królewieckiego komtura z wiadomością, że wielka litewska armia idzie od Jurnborga na Kłajpedę, paląc i niszcząc ziemię szatwińską.

— A co wobec tego znaczą również i inne wieści? Mam na myśli te od von Badena z Człuchowa o wojskach z okolicy Łobżenicy i tych pod Bydgoszczą Jana Brzozogłowego? — wątpliwości von Sayna podzielił von Plauen.

Wielki mistrz uniósł dłoń do góry na znak, że chce mówić.

— Jak wiecie, i ja miałem te same wątpliwości, co spowodowało, że długo rozważałem, zresztą wspólnie z wami, jak przeciwdziałać groźbom, które

wówczas wydawały się nam najbardziej realne, to znaczy uderzeniu na nas z dwóch stron: polskiego od zachodu i litewskiego od wschodu. Dlatego też uchwaliliśmy założyć główny obóz pod Świeciem, dlatego Kuchmeister stanął na granicy Nowej Marchii, a von Pinzenau, Schelborn i tu obecny von Plauen otrzymali odpowiednie siły dla bezpośredniej obrony Pomorza, a przynajmniej wstrzymania pierwszego uderzenia do czasu, aż nie wsparlibyśmy ich głównymi siłami spod Świecia. Obronę zaś granicy od strony Litwy objął sam marszałek Wallenrode, który zgrupował swoje wojska pod Działdowem i Lidzbarkiem.

— Które teraz dostały nieco roboty... — mruknął ironicznie von Lichtenstein.

— Ale nie sam Wallenrode, bo temu już nakazałem pozostać na miejscu. A uczyniłem to, bo ujrzałem, że nasze pierwotne założenia nie były słuszne, panowie i bracia! Należy tę prawdę rzec sobie w oczy!

— Jak to? — zdziwił się Gara.

— Ale tej prawdy nie starczy, by wiedzieć, co czynić dalej — odezwał się kpiąco von Plauen.

— Pomyślmy i o tym, daj mi, bracie, skończyć. Tamtejszej ocenie sytuacji dziś zaprzecza to spotkanie wojsk koronnych i litewskich, jakie nastąpiło nie gdzie indziej, lecz właśnie na prawym brzegu Wisły. Dowodzi to jasno, że uderzenie nie przyjdzie ani z zachodu, ani ze wschodu, bo ta litewska rajza na Kłajpedę to tylko mydlenie nam oczu. Marsz nastąpi z

południa na północ, w głąb naszej ziemi, zapewne z zamiarem dotarcia pod Malbork.

To oświadczenie, rzucone stanowczo i bez niedomówień, wywołało poruszenie wśród obecnych. Nikt jednak się nie odezwał, gdyż von Jungingen zaraz ciągnął dalej:

— W obecnej zatem chwili naszą główną troską jest ustalić kierunek tego marszu. Dlatego właśnie za zgodą obecnych tu naszych gości posłałem w ich miejsce owego rycerza, by uzyskał od Władysława informację, gdzie będzie za kilka dni, bo to pozwoliłoby ten kierunek ustalić. Ponieważ jednak przeciwnik nas przejrzął, musimy osiągnąć tę wiadomość przez szpiegów albo wchodząc w

skórę Władysława i Witolda, starać się myśleć ich myślami, by odgadnąć, co zamierzają. Musimy bowiem bez błędnie się i zbędnych manewrów jak najrychlej zastąpić im drogę.

— Władysław zapewne będzie chciał odzyskać ziemię dobrzyńską. Myślę, że na nią przede wszystkim uderzy — wyraził przypuszczenie von Tettingen.

— Ale to tylko zapewne... — mruknął von Plauen. — My zaś musimy mieć rozeznanie dokładne, bo rację ma wielki mistrz, mówiąc, że szukać wroga po omacku nie możemy.

— Zróbmy zatem tak, jak mówił brat Ulryk — zaproponował von Lichtenstein — i spróbujmy przeniknąć myśli tamtych wodzów. Jaką drogę obralibyśmy na ich miejscu?

— Podług mnie — zaopiniował wielki mistrz — najwygodniejszy dla nich szlak wiedzie ku Drwęcy, bo na niej mają kilka brodów, a muszą ją przekroczyć, by dostać się na nasze ziemie.

— Gdzie są te brody? — spytał Ścibor.

— Pod Kurzętnikiem.

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął służebny wielkiego komtura.

— Czego?! — rzucił ten niecierpliwie, spoglądając ponad płomieniami świec w głąb mrocznej sali.

— Pilne pismo do was.

— Dawaj!

Służebny brat zamiast pisma podał mu skórzaną sakiewkę. Nie zdziwiony tym komtur niecierpliwie rozsunął ściągające ją rzemyki i wyciągnął małą

kartkę. Przez dobrą chwilę trzymał ją przed oczami, z wolna poruszając wargami, po czym uniósł twarz, na której pojawił się wyraz radości.

— Właśnie otrzymałem wiadomość, której tak pragnęliśmy! Nie potrzebujemy już domysłów, bo wiemy na pewno, dokąd ciągną Polacy! Píše mi tu

Vogelweder, że Władysław chce przeprowić się przez Drwęcę, i nie gdzie indziej, jak właśnie pod Kurzętnikiem! Wiadomość tę Vogelweder ma od jednego z zagranicznych wodzów, z którym udało mu się wejść w porozumienie!

Rozległ się gwar radosnych okrzyków, ponad które wybił się głos wielkiego mistrza wstającego od stołu.

— A zatem i my tam ruszymy! Zarządzam wymarsz jutro o świcie! Postaram się przygotować mu tam przyjęcie, po którym przez długi czas będzie sobie lizał łapy, nie próbując już wyciągnąć ich ku naszym gardłom!

Za przykładem von Jungingena zaczęli wstawać i inni uczestnicy narady. Rozległ się rumor odsuwanych krzesel.

Wojska nadciągały z wolna na kolejny postój. Poprzedniego dnia wyruszyły z Czerwińska, na noc zatrzymując się w Żochowie, skąd po spokojnie przespanej nocy poszły dalej, w kierunku północnym.

Na skraju szerokiej równiny, pokrytej falującymi łanami zbóż, widniała jakaś wioska. Ponieważ żadnej łąki w pobliżu drogi nie było, zjechano w zboże, deptając chłopski dorobek. Nie zważano jednak na to, miejsce było sposobne, jako że w pobliżu wiła się krętym korytem jakaś rzeczka, kierując swój nurt ku Drwęcy odległej jeszcze o cztery dni drogi.

— Co to za wioska? — spytał Czarny Jurgę naciągającego przy pomocy Włodka sznury namiotu.

— Nie wiem, panie. Pytałem już innych, ale jakoś nikt nie wie, jak się zowie.

— Licho z nią! — mruknął Czarny, rzucając pod naciągnięte już płótno swoje siodło. — Kończcie stawiać jutę i zabierzcie się wreszcie do robienia wieczerzy! Głodnym jak pies! Pana Jaksy nie widzieliście?

— Właśnie nadchodzi! — Jurga skinął głową w stronę, skąd zza pobliskiego namiotu istotnie ukazał się Rudy.

— Nie widziałem cię cały dzień — powitał go Czarny. — Dali wreszcie i tobie nieco do roboty?

— Moniwid rozkazał dozorować tabory. Nawrzeszczałem się tak, że gadać nie mogę. Wyznacza teraz na każdy dzień nadzorców porządku przy wozach. Mnie przypadło to dzisiaj.

— I u nas by się zdało coś takiego. Siadaj. — Czarny wskazał przyjacielowi obrócone do góry dnem skopki do pojenia koni. — Myślę, że te obiboki zaraz dadzą coś pojeść.

Usiedli przy ognisku, które właśnie rozpałił Włodek, zawieszając nad nim kociołek na żelaznym trójnogu. Słońce znikło już za horyzontem i polem szły zimne ciągi powietrza. Od wozów kładły się długie cienie, ale znikły już z wolna, bo mrok począł gasić ostatnie blaski słońca. Oblewały one czerwienią już tylko szczyty namiotów, które przez to zdawały się płonąć ogniem.

Obóz tętnił życiem i gwarem. Na niedużej przestrzeni skupił się gęszcz namiotów, pomiędzy którymi uwijała się służba i pachotkowie wśród nawoływań i krzyków, swarów, klątw, rżenia i kwiku koni.

Coraz więcej ognisk zaczęło rozbłyskiwać czerwonymi punktami w gęstniejącej coraz bardziej ciemności.

— Nie wiesz, dokąd zmierzamy? — przerwał Rudy chwilowe milczenie.

Czarny wzruszył ramionami.

— Tego nikomu nie zdradzaj. Rada wie, kanclerz także, ale ci pary z gęby nie puszczaj. Brodacz ponoć wysłali posła, aby to przewąchał, ale miłościwy pan nie dał się podejść.

— To zresztą nieważne! Idziemy na północ, a to znaczy, że niedługo spotkamy się z brodaczami! Harnasz16 już masz?

— Nie, ale spodziewam się, że do walnej bitwy zdązę go dostać. Jeśli w ogóle będzie mi potrzebny... — Czarny gniewnie zacisnął usta.

— Jak to?! — Jaksza obrócił ku niemu głowę, zdumiony tymi słowami.

— Ksiądz Andrzej przyobiecał, że na czas go otrzymam, ale mam pozostać w ochronie kanclerza.

— Ten przecież osobnej ochrony nie będzie potrzebował, bo albo zostanie przy królu, albo w obozie!

— Rzekłem proboszczowi to samo, ale ten powiedział, że zna kanclerza lepiej ode mnie i wie, że w obozie nie usiedzi, a lubiąc we wszystko wejrzeć, będzie się kręcił między chorągwiemi. W czasie bitwy o przygodę nietrudno.

— Ten twój proboszcz to przezorny człek. Umie o wszystkim pomyśleć.

16 — Pełna zbroja rycerska.

Czarny odpowiedział gwałtownie, z ledwo hamowanym gniewem:

— Mało to ma ludzi?! Musiał mnie do tego wyznaczyć?!

— Widać ci ufa.

— Mam przewodzić ochronie, bo będzie nas kilku. Ale co mi z tego, kiedy na bitwę przyjdzie tylko patrzeć!

— Skąd to możesz wiedzieć? Sierdzić się będziesz po bitwie, jak koło nosa ci przejdzie! — Rudy pocieszył kpiąco przyjaciela.

— Właśnie. Przynajmniej inni mają więcej szczęścia. Taki Brzozogłowy już krzyżackiej krwi posmakował!

— I ja coś o tym słyszałem, ale niedokładnie. Jak to się stało?

— A tak, że nie wiedząc o przedłużeniu rozejmu, bo na czas go nie powiadomiono, wybrał się pod Świecie. Część ludzi ukrył w lesie, a część podprowadził pod mury i zaczął grabić przedmieście. Brodacze rozeźleni, że pod ich nosem to czyni, wypadli z miasta całą załogą i ruszyli na niego. Ten zaś dał swoim znak do ucieczki. Krzyżacy na ten widok, dufni w swoją przewagę, pognali za nim, no i wpadli w zasadzkę. Nasi otoczyli ich i niemal co do jednego wysiekli. Mało któremu udało się ujść, bo tych, co zostali przy życiu, wzięto w niewolę.

Jaksa pokręcił głową.

— Patrzcie no... Ten Brzozogłowy... Nie darmo mówią o nim, że wódz to doskonały i człek odważny. Dobrze to sobie obmyślił.

Rozmowę przerwał dźwięk misek podanych przez Włodka. Jedli przez pewien czas w milczeniu, które w pewnej chwili przerwał okrzyk Jurgi: — Patrzcie, wasze miłości! Co tam?

Wskazał ręką na północ, w przerwę pomiędzy namiotami. Noc spowiła już ziemię zaczerniając i niebo, i horyzont. Ale właśnie nad nim, gdzieś w dalekiej przestrzeni, drgało pasmo czerwonej poświaty, rzucając blask na nawisłe w tamtej stronie chmury.

— Pożary! — wykrzyknął Bert. — To krzyżackie wsie płoną!

— Tak jak ubiegłego roku płonęły i nasze! — rzucił z zaciętością Jaksa. — Ciekawe, kto je podpalił?

— Zapewne Tatarzy. Idą w przedniej straży naszych wojsk. Musieli mocno wysunąć się do przodu, bo do granicy jeszcze parę dni drogi.

— Ogień nocą widać bardzo daleko — wtrącił się do rozmowy Jurga. — Pilno im do bab i rabunku...

— A że dziś właśnie minął ostatni dzień rozejmu, więc sobie pofolgowali — uzupełnił Czarny.

Skończyli wieczerzę i siedzieli, wpatrując się w złowrogie znamię rozpoczynającej się wojny. Nad horyzontem pojawiły się dalsze łuny, znacząc nowe ogniska pożarów i zlewając się w jedno pasmo falującego światła pulsującego czerwienią niby krew, która tam, w dali musiała lać się również, bo czterej złowrodzy jeźdźcy ruszyli już w galop.

Następny postój wypadł pod wsią Jeżów. Było to już piątego lipca. Dobiesław ze Skoraczewa musiał pospieszać, a i postówie węgierscy nie zamarudzili, bo jeszcze tegoż dnia, a była to sobota, przybyli do obozu, prosząc o posłuchanie.

Król widząc, że do tego posłuchania dojdzie, tak kierował marszem, by przyjąć postów w miejscu, które nie zdradziłoby jeszcze dalszych jego zamierzeń. Z Jeżowa bowiem mógł ruszyć równie dobrze na północ ku Drwęcy, jak i

skierować się na zachód w kierunku Sierpca, by odebrać ziemię dobrzyńską po rozbiciu broniącej ku niej dostępu grupy komtura Bierzgotowa.

Zachowując te ostrożności, nie wiedział jeszcze Władysław, że nieprzyjaciel zna cel jego marszu i już od drugiego lipca gorączkowo przygotowuje zasadzkę — buduje ostrokoły, sypie ziemne szańce, na które zaciąga armaty, kopie wilcze doły, ustawia zasieki...

Tym razem posłowie wyjechali we trzech, bo Ściborowi i Mikołajowi towarzyszył na prośbę wielkiego mistrza Jerzy Gersdorf, który, będąc doświadczoneym i przychylnym wielce Zakonowi żołnierzem, miał należycie ocenić polskie siły i wiernie je opisać. Wielki mistrz zaczął bowiem nieco powątpiewać w szczerść węgierskich intencji, widząc już nieco inaczej gorliwość Zygmuntowych wysłańców w usiłowaniach, by nie dopuścić do orężnej rozprawy pomiędzy Zakonem a Koroną. Nie był już taki pewny, czy chodziło rzeczywiście tylko o wstrzymanie rozlewu chrześcijańskiej krwi, co tak przekonywająco głosili, czy też o to, by nie dopuścić do zmiany układu sił. Ktokolwiek by bowiem zwyciężył, sytuacja Luksemburczyka byłaby gorsza i rozgrywki dyplomatyczne trudniejsze — zamiast dwóch skłóconych stron, pomiędzy którymi można było lawirować z korzyścią dla siebie, miałby jednego tylko partnera, i to wzmocnionego brakiem rywala: zwycięzcę z pola bitwy.

Król i wielki książę, którzy wspólnie przyjęli posłów dla podkreślenia wspólnego działania i decyzji, nie udzielili im jednak odpowiedzi od razu, gdyż powaga sprawy wymagała głębszego namysłu. Obiecali jednak, że odpowiedź zostanie udzielona następnego dnia.

Istotnie nazajutrz odbyło się następne posłuchanie, już wprawdzie bez kniazia Witolda, który zajęty był zaprowadzaniem nowej organizacji w swoich wojskach, dzieląc je na równe pod względem liczby chorągwie, a te kolei na hufce. Ustalał również ich szyk marszowy oraz przydzielał chorągwiom proporce, przy których rycerze mieli się skupiać do marszu i walki.

I to posłuchanie odbyło się bez zwykłego w takich razach ceremoniału, gdyż w warunkach wojennej wyprawy trudno go było przestrzegać. Posłów przyprowadziło do królewskiego namiotu kilku znakomitych rycerzy, a więc

Dobiesław Wieniawczyk, Jan ze Sprawy Odrowąż, Niemst ze Szczytnik i Jan Sumik, co szesnaście lat przebywał w Turcji, gdzie dostąpił się znacznych godności, a mimo to wrócił do kraju, by jako zwyczajny, tyle że przedchorągiewny rycerz służyć ojczyźnie.

Za królewskim krzesłem stali co znamienitsi członkowie jego dworu, a kanclerz jak zwykle w pobliżu władcy.

Po wstępnych słowach powitalnych król Władysław zabrał głos, w krótkim przemówieniu informując posłów, że nawet i teraz, mimo poniesionych trudów i kosztów w zebraniu należycie silnej armii, jest gotów do zgody, ale pokój, który miałby zostać zawarty pomiędzy Polską a Zakonem, musi być sprawiedliwy, a nie taki, jak go zwykle zawierają panowie krzyżowi. Zatem jest skłonny poniechać orężnej rozprawy, jeśli Litwa otrzyma swoją przyrodzoną własność, Żmudź, i to bez żadnych warunków, a Polska ziemię dobrzyńską. Co zaś do szkód tam poniesionych, jak i innych kosztów, król Polski i Litwy gotów jest zdać się na sąd Zygmunta, króla rzymskiego i węgierskiego.

Przemówienie królewskie zakłócały odgłosy z zewnątrz, docierając pod płótna namiotu: wybijający się czasem z ogólnego gwaru czyjs głośniejszy okrzyk, parskanie koni, uderzenia topora rąbiącego drzewo czy brzęk naczyń. Posłowie z napięciem na twarzach słuchali królewskich słów, padających szybko i czasami mało wyraźnie, mówionych po polsku, ale przeplatanych

ruskimi, zwłaszcza w chwilach, kiedy król ulegał wzburzeniu. Wtedy też swoim zwykłym gestem spadające włosy zaczesywał palcami za uszy.

Po zakończeniu przemówienia widać było po posłach, że przyjęli je z wyraźną ulgą. Ocenili znać umiar żądania polskiego, co zapewne zrodziło w nich nadzieję na przychylnie przyjęcie postawionych warunków przez radę dostojników Zakonu z wielkim mistrzem na czele.

Tej nadziei dali też wyraz w swojej odpowiedzi na królewskie przemówienie. Chętnie przyjęli zaproszenie do stołu i propozycję towarzyszenia wojsku w następnym przemarszu, który miał się rozpocząć zaraz po południowym posiłku. Za radą bowiem swych dostojników Władysław postanowił zatrzymać posłów jakiś czas przy sobie, by opóźnić wielkiemu mistrzowi rozeznanie, gdzie się

znajduje. A że domyślił się, dlaczego tym razem przybył i von Gersdorf, poszedł za radą kanclerza i postanowił pokazać postom wojska w całej ich potęgę. Nadmienił więc, że na następnym postoju dokona z nimi przeglądu swojej armii.

Toteż kiedy po parogodzinnej jeździe dotarli do łąk rozpościerających się nad Wkrą, orszak prowadzony przez chorągiew przyboczną zatrzymał się na szczycie wzgórza, skąd dobrze było widać ciągnące hufce rycerskie.

Na ich ukazanie się nie czekali długo. Najpierw ujrzeni wzbijający się nad zielenią pól obłok kurzu, a w chwilę potem wyłoniły się z niego pierwsze oddziały. Były to chorągwie litewskie, ale bez oddziałów tatarskich, bo te nadal trzymano w przedniej straży i do przeglądu nie ściągnięto. Nie należało bowiem dawać podstaw do krzyżackich oskarżeń, że król polski używa pogan do walki z chrześcijańskim Zakonem.

Dzień był jak i wszystkie poprzednie upalny i pełen słońca, toteż pancerze i broń jeźdźców skrzyły się blaskami w jego promieniach.

Chorągwie nie szły w trójkąt — szykiem bojowym stosowanym przez Litwę — bo teren i okazja nie były po temu, ale zwykłymi kolumnami marszowymi po kilku jeźdźców w rzędzie, z szyku trójkątnego zachowując jednak ustawienie wojów. Do dzielniejszych, lepiej zbrojnych i na lepszych koniach ustawiono na skraju, gorzej zbrojnych wewnątrz kolumny, przez co hufce litewskie wyglądały okazale i groźnie, bo widać było przede wszystkim zewnętrzne szeregi, zbrojne w miecze, topory, włócznie, a nawet i kopie zdobyte w walkach z Zakonem, okryte półpancerzami, przeważnie w

żelaznych hełmach i z rycerskimi tarczami przy boku. Tu i ówdzie zwisało przy siodle łubie z łukiem, a tuż ze strzałami sterczał na plecach.

Każdy z oddziałów poprzedzał dowódca, a parę kroków przed nim jechał chorągży z proporcem wręczonym właśnie dzisiaj przez księcia Witolda. Były na nich wyszyte znaki runowe lub herb panującego rodu, który był zarazem i herbem Litwy — jeździec pędzący z mieczem w dłoni zwany Pogonią. Proporce różniły się od siebie jedynie barwą materii i wraz z kolorowymi strojami rycerzy odbijały pięknie od zielonego tła falujących na wietrze łąków.

Mimo że chorągwie szły jedna za drugą lekką rysią, przemarsz ich trwał długo. Już minęła przeszło godzina, a wciąż jeszcze przeciągały oddziały litewskie, których wojowie, za przykładem swoich dowódców, na widok obu władców stojących na wzgórzu obracali się w siodłach, witając ich okrzykami.

Wreszcie hufce litewskie przejechały. W chwilę zaś potem, kiedy jeszcze kurz po nich nie zdążył osiąść, znów zabłyśły w jego tumanach blachy rycerskich zbroi.

Z kolei nadjeżdżały chorągwie polskie, którym przewodził marszałek Zbigniew. Za nim, jako pierwsza, szła słynna w kraju chorągiew krakowska. Składała się w całości z rycerzy pasowanych, znanych nie tylko w Koronie, ale i na świecie, a już z jej przedchorągiewnymi mało który z rycerzy w Europie mógł stawać jako równy z równym. Prowadził ją miecznik krakowski Zyndram z Maszkowic.

Najpierw jechali owi słynni przedchorągiewni: Niemst ze Szczytnik, Powoła z Taczewa, Jan Sumik z Nabrozia, Zawisza Czarny z Garbowa, Domarat z Kobylan, Florian z Korytnicy, Skarbek z Gór, Paweł Złodziej z Biskupic, Jan z Warszawy, Stanisław Sulimczyk, Lis z Targowiska i Przedpełk Kropidło. Poprzedzali oni Marcina z Wrocimowic, który dzierżył banderę z białym orłem na czerwonym tle. Za znakiem jechał Zyndram, a w odległości dwóch koni za nim, z pobrzękiem zbroi i broni, ciągnęli rycerze.

Tu już nie dostrzegało się takiej różnorodności uzbrojenia, jaką miała Litwa. Wszyscy byli okryci zbrojami. Jechali po trzech w rzędzie: środkiem rycerz z kopią, po jego bokach giermek i strzelczy z kuszą. Czwarty koń, dźwigający w marszu rycerską zbroję i dosiadany tylko do bitwy, szedł pod pacholikiem, który przed walką przesiadał się na konia marszowego i odprowadzał go do tyłu.

Połykiwały pancerze, naramienniki z wysokimi ochraniaczami, manice, czyli żelazne rękawice, przesuwwały się słoneczne blaski po peltach — długich rycerskich tarczach, po końskich kropierzach. Obłe szyszaki lśniły polerowaną blachą, ich przyłbice były uniesione ku górze, a nad nimi półkolistie układały się wachlarzami pawie pióra lub powiewały na wietrze cenne niezmiernie pióra ze strusi — czarne, białe lub barwione na różne kolory. Cała chorągiew podobna

była do przedpotopowego stwora pokrytego połyskującą łuską, a sterzące środkiem kopie zdawały się być rzędem ostrych kolców na jego grzbiecie.

Za chorągwią krakowską przejechała gończa królewska, za nią nadworna, również składająca się z najdzielniejszych rycerzy, dalej zagraniczna pod znakiem świętego Jerzego — białym krzyżem w czerwonym polu. Służyli w niej również znani rycerze, przeważnie z Czech i Moraw. Potem szły chorągwie pospolitego ruszenia ziem: lwowskiej, halickiej, podolskiej, sandomierskiej, lubelskiej, poznańskiej, sieradzkiej, kujawskiej, kaliskiej, a nawet rycerstwa zbiegłego z ziem dobrzyńskiej i chełmińskiej. Z kolei przeciągały trzy mazowieckie książąt Janusza i Ziemowita i dwie biskupie — Mikołaja z Kurowa, arcybiskupa gnieźnieńskiego, i Wojciecha Jastrzębca, biskupa poznańskiego.

Po nich, poczynszy od dwudziestej siódmej, najeżdżały najliczniejsze i równie jak pierwsze cztery świetnie zbrojne chorągwie panów świeckich, a między nimi Jana z Tarnowa — dwudziesta siódma, Sędziwoja z Ostroroga — dwudziesta ósma, Zbigniewa z Brzezia — trzydziesta czwarta, Marcina ze Sławska — czterdziesta, i ostatnia, Gniewosza z Dalewic — pięćdziesiąta pierwsza.

Kiedy wreszcie i ta przeciągnęła, słońce już zaszło i zaczęło się ściemniać. Wojewoda Ścibor i baron Gara spojrzeli na Gersdorfa. Ten jednak nic nie powiedział, pokręciwszy tylko głową. Nie był to jednak gest lekceważenia ani beztroski.

ZAPRZĘG PROWADZONY PRZEZ ojca Erazma zajechał na swoje miejsce. Kosooki i jego kumpel Złotko, którzy stanowili resztę załogi wozu, zeskoczyli na ziemię i błyskawicznie zabrali się do wyprzęgania koni.

Należało to zrobić szybko, gdyż knechci czekali z łańcuchami, by spiąć wóz ze stojącymi już w szeregu.

Zgodnie z regulaminem krzyżackich wojsk załogę taborowego wozu stanowiło trzech ludzi. Byli nimi woźnica i stajenny, mający pieczę nad zaprzęgiem, trzecim zaś był zbrojny knecht, który chronił ładunek przed kradzieżą, a w razie napaści na tabor stawał w szeregu dla jego obrony.

Wszyscy trzej w czasie formowania się miejskiej chorągwi Gdańska na żądanie ojca Erazma zgłosili się do zaciągu, a potem, postawiwszy temu i owemu piwo, uzyskali przydział na jeden wóz. Z chwilą bowiem rozpoczęcia działań wojennych ojciec Erazm doszedł do wniosku, że bardziej korzystna będzie jego służba, chociażby w taborach, niżli dalsze pozostawanie w mieście. Wszystkie bowiem zamki opuściła starszyzna i zakonni bracia, pozostawiając jedynie załogi mało co przydatne do walki w polu. Również wyruszył ze swoimi dwiema chorągwiami i gdański komtur Jan von Schönnenfeld.

Przygotowania do wojny były już zakończone, żadnych istotnych wiadomości siedząc na dotychczasowym miejscu nie było ani już o czym, ani od kogo uzyskać, i dlatego ojciec Erazm znalazł się jako woźnica w taborach chorągwi miasta Gdańska, która tego wieczoru dotarła do miejsca postoju na prawym brzegu Drwęcy o ćwierć mili od Kurzętnika, gdzie z rozkazu wielkiego mistrza przenoszono obóz spod Świecia.

Kiedy już pastuchy wygnali konie na pastwisko i nie było nic do roboty, wszyscy trzej usiedli przy wozie, czekając na wieczerzę, którą warzono we wspólnym kotle, jako że tylko rycerze mieli prawo strawę gotować osobno.

Przed nimi, wyciągnięte w równy rząd, stały namioty rycerskie ich chorągwi. Wetknięte w ziemię proporce ze znakami oddzielały jedną grupę namiotów od drugiej. Kolory ich były z dala widoczne, co pozwalało gońcom dowództwa trafić do każdej chorągwi bez dłuższego szukania, natomiast rycerzom odwiedzać się w namiotach nie było wolno.

Na obszernym placu obozu stały pośrodku wozy z prochem i bombardy. Wjazdów robiono co najmniej dwa, po przeciwległych bokach, a linię obronną stanowiły wozy spięte łańcuchami i otoczone ziemnymi szańcami. Obóz podlegał władzy wielkiego marszałka, a nad jego zaopatrzeniem, jeśli stały w nim główne siły zakonne, czuwał wielki komtur.

Pogadawszy nieco i spożywszy wieczerzę, obfitą i dobrze okraszoną, bo dzień nie był postny, ułożyli się zaraz do snu, bowiem na następny dzień cały lud — pachołkowie, służba, knechci, a nawet piechota — miał przykazane stanąć do roboty. Jaka to będzie robota, bliżej nie powiedziano.

Przekonali się o tym nazajutrz, kiedy zaopatrzeni w szpadle, kilofy, piły i topory ruszyli pod przewodnictwem służebnych braci w kierunku Drwęcy i nad jej brzegami zaczęli sypać szańce, kopać rowy i wilcze doły. W dna tych dołów wbijali ostro zaciosane drągi, a następnie przykrywali wszystko gałęziami i słomą, na którą sypali piasek lub kładli darń, by nie było śladów. Inne oddziały ścięgały belki. Te ciosano, zacinano na ostro i budowano z nich ostrokoły i palisady.

Ze względu na mrowie pracujących ludzi roboty posuwały się szybko i po kilku już dniach miały się ku końcowi, jeszcze obsadzono szańce świeżą łożyną, maskując w ten sposób zaciągane na nie bombardy, rozrzucano lub wywożono świeży piasek wykopany z rowów, bo był zbyt dobrze widoczny, układano przy bombardach kamienne kule i smołowane worki z prochem, ale były to już roboty końcowe.

Kiedy po tych kilku dniach któregoś wieczoru znów zasiedli razem przy małym ognisku — jego wielkość również regulowały przepisy, tak ze względu na widoczność w nocnej ciemności, jak i zużycie drewna — rozpoczęli dzielić się dokonanymi spostrzeżeniami, których domagał się od nich ojciec Erazm.

Ognisko obsiadło prócz nich jeszcze kilka załóg z innych wozów, nie mogli więc początkowo mówić swobodnie. Dopiero kiedy tamci poszli spać, Złotko mruknął ze złością:

— Te ścierwa ganiają człowieka od świtu do nocy! Namachałem się łopatką za te wszystkie lata, com trudnił się buksowaniem!

— Już chyba wnet będzie koniec — pocieszył go Kosooki. — Skończyliśmy dziś zaciąganie bombard i obłożyli je zielonymi gałęziami, że sam czort nie dostrzeże!

— Nie przywołuj go, wymieniając miano... — Erazm przeżegnał się, po czym dorzucił: — Pracowaliście jako ja w różnych miejscach?

— A tak. Znam już całe pobraże rzeki jak własne pchły, co mnie gryzą — mruknął Kosooki.

— Duży zasięg mają te umocnienia? Widzieliście?

— A duży — potwierdził Złotko. — Porobili je przy każdym brodzie, a drugą linię w głębi, nieopodal obozu. Ciągnie się chyba z milę.

— Coś tu większego szykują.

— Wiadomo, co! Chcą bronić przeprawy!

— Spodziewają się tu naszych. I to chyba wkrótce, bo mocno gonili z robotą! — zatroskał się ojciec Erazm.

— Ponoć już przeszli granicę i są o dwa dni marszu!

— Skąd to wiesz?! — Mnich obrócił się szybko ku zbójowi.

— Słyszałem dziś rozmowę kilku rycerzy. Przyszli oglądać umocnienia i gadali o parę kroków ode mnie.

— Hm... — Erazm zapatrzył się w ogień, po czym schyliwszy się, dorzucił szczapę drzewa. — Nie spodziewałem się, że już są tak blisko. I miałem cichą nadzieję, że może pójdą inną drogą.

— Tu są najlepsze brody na całej Drwęcy.

— Teraz są one najgorsze. Czy zwróciliście uwagę, jak dziwnie pobudowali Krzyżacy te umocnienia?

— Dlaczego dziwnie? Bronią dostępu do brodów, a druga linia chroni nasz obóz.

— Z której strony bronią? Od tej? Przecież część bombard skierowali nie na rzekę, lecz od niej!

Kosooki chwilę się zastanawiał, a potem przytaknął.

— A prawda! Ale co z tego? Mają w tym jakiś swój plan...

— O ten plan właśnie mi chodzi! Oni chcą naszych wciągnąć w zasadzkę! Najpierw słabo bronić przeprawy, by dopuścić wojska na ten brzeg, a potem zamknąć je i razić z dwóch stron pociskami. Piechota obsadzi szańce, a jazda zamknie boki i pułapka gotowa. Taki plan bitwy wyraźnie jest widoczny z umocnień!

— Znacie się, ojczy, i na wojennym rzemiośle — stwierdził z podziwem Kosooki.

— Dość już na świecie żyję i widziałem niejedno.

— Może nasi będą na tyle mądrzy, że nie poleżą do tego worka?

— Nie wolno liczyć tylko na to! A jeśli król okaże się bardziej zapalczywy niż mądry? Albo przeważy animusz Witoldowy, który gorącej jest krwi? Przecież już raz nad Worsklą dał się Tatarom oszukać! Co wtedy?

Rozbiją nasze wojska, a brodacze znów będą Koronie dyktować swoje warunki!

— Cóż my, chudopachołki, możemy na to poradzić? Nas jeno trzech, a tam idzie wielka armia.

— A tu stoi też chyba nie mniejsza — uzupełnił Złotko.

— Możemy i musimy! I ty to wiesz dobrze, tylko nie chce ci się skóry nastawiać! Ale nie bój się, pójdę z ostrzeżeniem ja sam, sprawa bowiem jest poważna!

— O, widzieliście go! — rozżłościł się zbój. — Albo to nie nastawiam skóry już parę lat! Wy pójdziecie, a wtedy, nie daj Boże nieszczęścia, co my tu bez was obmyślimy? Ani nawet wiedzieć nie będziem, czyście doszli! A obiecany klejnot szlachecki przejdzie mi koło nosa! Bo bez was wyśmieją mnie, i tyle! Wiecie, że nie za złoto wam służę, bo go mam dosyć! Przyjęcia do herbu pragnę, bom taką cenę postawił, i przyobiecaliście to!

— Nie bój się o swój klejnot. Wiedzą o tobie u dworu, swoje dostaniesz, boś zresztą rzetelnie na to zapracował.

— Lepiej pójdę ja. Dacie mi pismo, bobym może wiary nie znalazł albo nie potrafił dobrze przedstawić co i jak. Wy tu bardziej potrzebni, bo lepiej umiecie patrzeć! Ja w tych bombardach niczego osobliwego nie dostrzegłem; sterczą tu, sterczą tam, lichy z nimi! A dopiero teraz widzę, że dziwnie je ustawili.

Ojciec Erazm uśmiechnął się w ciemności.

— Dobrze, synu, idź ty. Dostaniesz pismo i ruszysz jutro na noc. Skoro są o dwa dni drogi, najlepszy to czas. A jak się do nich przedostaniesz, każ doprowadzić się do królewskiego dworu. Przy nim jest ów proboszcz Andrzej, o którym ci

mówiłem, i jemu wręczysz pismo. Przez jutrzejszy dzień wymiarkuj sobie drogę, którą dotrzesz do rzeki, a dalej niech cię już Bóg prowadzi. — Nie wątpię, że dasz sobie radę, boś chłop zmyślny.

— Ruszę w nocy, a wy na czas przygotujcie pismo. Tylko skąd zdobędziecie papieru?

— Nie bój się, mam ukryte wszystko, co potrzeba, pismo dostaniesz. Dbaj jeno, aby go nie zamoczyć przy przeprawie.

— Schowam pod czapkę, nie zamoknie. A napiszcie w nim i o mnie, o tym przyobiecany klejnocie. Bo ja gadać nie umiem i język mnie może zawieść.

— O to najmniej się martwię — uśmiechnął się Erazm — jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć, abyś go w gębie zapomniał...

KRONIKARZ ZANOTOWAŁ¹⁷: „W poniedziałek, dnia siódmego lipca, Władysław król polski, opuściwszy swoje stanowisko, przybył do wsi Będzin, położonej nad rzeką Wkrą, i tu przez dwa dni obozował...”

Opisuje następnie, jak w tym powiecie, zastawionym przez księcia mazowieckiego Krzyżakom, zamieszkałym więc przez ludność polską, Litwini i Tatarzy, uważając ową ziemię za teren nieprzyjacielski, „... srodze i po barbarzyńsku ją pustoszyli...”, zabierając ludność w niewolę. Dopiero oburzone polskie rycerstwo, jak i biskup Jastrzębiec, zażądało od obu władców, by rozkazali owych jeńców wypuścić, co też się i stało.

Następnie zaś kronikarz notuje: „We środę, dnia dziewiątego lipca, ze wsi Będzin Władysław król polski wraz z Aleksandrem, wielkim księciem litewskim, wkroczyli w kraj nieprzyjacielski, przebywszy szczęśliwie za łaską Bożą bór rozciągający się na dwie mile drogi...”.

Istotnie zachodnia odnoga ciągnącej się za Wkrą puszczy zagroziła drogę posuwającej się armii. Powiadomiony o tym zawczasu przez miejscowych przewodników książę Witold idący na jej czele wzmocnił straż przednią, chociaż Tatarzy, którzy przeszli dzień wcześniej, nie zawiadamiali o spotkaniu nieprzyjaciela w tych okolicach. Jednocześnie książę wysłał kilka lekkich oddziałów, by przeczesaly las po obu stronach drogi.

Mimo tych wszystkich ostrożności w chorągwiach nakazano pogotowie bojowe, taborom zaś król Władysław polecił przydać dodatkową osłonę.

Droga była wąska, a przez to niebezpieczna, bo w razie napaści szeregi nie mogły się rozwinąć do walki. Biegła po gruntach podmokłych, więc król zafrasował się, myśląc o taborach. Wiedział, że wojska rozjeżdżą ją zupełnie i dla wozów, którym kazano jechać w tyle, stanie się nie do przebycia. Już bowiem chorągwie litewskie z mokrej ziemi zrobiły błotnistą maź, z której polskie konie z trudem wyciągały nogi.

Pchnął więc gońca do tyłu z rozkazem, by piechota cięła drzewa w pobliżu drogi i mościła ją gałęzmi.

Mroczno było w borze i wilgotno. Brać rycerska z nieufnością i niepokojem wpatrywała się w jego ponurą głębię, która zdawała się kryć niebezpieczne tajemnice. Ten i ów żegnał się ukradkiem, wiadomo bowiem

17 — Długosz.

było, że w takich ostępach lubią siedzieć biesy, zmory, strzygi i latawce, które chowają się w dziuplach zmurszałych drzew. Najniebezpieczniejsze zaś z nich są wilkołaki, czyli zwierzęta, w które wstąpiły grzeszne dusze.

Im dalej w tę głąb, tym pnie zdawały się stać bliżej siebie, gęstniały, wreszcie zlewały się już w jedną nieprzenikloną ścianę ciemności, skąd dochodziły jadących jakieś ledwie dosłyszalne echa jakby stąpań, trzasków i pogwaru podobnego ludzkim głosem.

Te dalekie i trudne do rozróżnienia hałasy jeszcze bardziej trwożyły rycerskie serca, nieulękle w walce z widzialnym wrogiem, ale niespokojne wobec tajemniczych mocy. Nawet przypuszczenie, że mogą słyszeć przedzierającą się lasem boczną straż, nie trafiało do przekonania, gdyż wiara w świat czarownic, ubożąt i leśnych duchów była zbyt silna.

Po paru godzinach las począł rzednąć, stawało się coraz widniej, tu i ówdzie pomiędzy liśćmi czy igliwiami drzew przedzierał się promień słońca, znacząc na leśnym podszyciu plamy światła. Chorągiew po chorągwi zaczęły wynurzać się z

lasu na otwartą, rozległą przestrzeń, skąpaną w słońcu, z kopułą niebieskiego nieba u góry, po której sunęły wielkie, białe obłoki.

Po polu galopowali gońcy, prowadząc nadciągające chorągwie za sobą i ustawiając je w wielki czworobok z pustym placem pośrodku. Litewskie hufce już stały w szeregach. Kiedy i polskie zajęły wyznaczone im miejsca, w środek kwadratu wjechał król i wielki książę w otoczeniu co znamienitszej starszyny i chorążych dzierżących sztandary.

Król Władysław ściągnął wodze i, stanąwszy w strzemionach, uniósł dłoń do góry na znak, że chce mówić.

Toteż zrobiła się zupełna cisza, zakłócana jedynie rozlegającym się tu ówdzie parsknięciami konia.

Król ujął podany przez chorążego wielki sztandar koronny, czerwony z białym orłem pośrodku, dał mu rozwinąć się na wietrze i przemówił tak głośno, że słyszano go nawet w ostatnich szeregach. Nie kierował jednak słów do rycerstwa, gdyż była to modlitwa, którą wygłosił z uniesioną do góry twarzą i tak silnym wzruszeniem, że widziano łzy w jego oczach.

— Ty, któremu wiadome są wszystkie serc tajemnice — wołał król, a wiatr niósł jego głos po polu. — Boże litościwy! Ty widzisz z Twojej wysokości, że obecną wojnę poczynam pełen ufności w Twoje i Chrystusa, Syna Twego, miłosierdzie! Rozmaitymi bowiem zabiegami usiłowałem pokój

z Krzyżakami utrzymać, aczkolwiek z przyczyny ich nadużyć, haniebnego i niegodziwego zagarnienia ziem do korony polskiej należących wielce byłem na nich zagniewany! Gdy oni wszelako odrzucili ze wzgardą słuszne i sprawiedliwe warunki, oszczędziłem, że ich inaczej u tych dumnych i wyniosłych ludzi nie odzyskam, chyba siłą i orężem! W imię Twoje przeto, w obronie sprawiedliwości i narodu mego chorągiew tę podnoszę! Ty, litościwy Boże, racz być obrońcą i wspomóżycielem mnie i ludowi mojemu, a krwi chrześcijańskiej niewinnie przelanej nie na mnie racz poszukiwać, ale na tych, którzy obecną wojnę wzniecili i dotąd podniecają!

Po jego królewskiej mości rozwinął swój wielkksiążęcy sztandar książę Witold i również odmówił modlitwę, po niej zaś wezwał swoje i koronne wojska do zaciętości w walce z odwiecznym ciemieżcą i gwałcicielem wszystkich ugod i porozumień w tej godzinie ostatecznego porachunku.

Za kniazem Witoldem ujęli sztandary księżęta mazowieccy, a za nimi i inni księżęta i wielmoże, odmawiając modły i wzywając do pomsty nad przeniewierczym wrogiem i zapłaty za doznane krzywdy.

Tak jak modlitwa królewska niejednemu wycisnęła łzę z oka, tak bojowe przemówienia rozpały rycerskie serca. A kiedy dano znak do dalszego marszu, który odbywał się przy trzepoczących na wietrze chorągwiach, kilkadziesiąt tysięcy piersi rycerskich zagrzmiało jak jeden mąż starodawną modlitwą „Bogurodzica dziewica”...

Z tą pieśnią niosącą się daleko w przestrzeń rozległych pól armia przekroczyła zakonną granicę.

KOSOOKI WYPATRZYŁ DOBRZE, kiedy najlepiej będzie mu dotrzeć do rzeki. Pracował tego dnia niedaleko brodu, odległego od obozu o blisko pół mili. W jego pobliżu rośło pełno chaszczy i krzaków łozin, w których łatwo było się skryć. Nieco dalej, w bok od łąki, stało parę rybackich chałup, skąd można by zabrać nocą łódź do przeprawy, jeśli po ciemku brodu nie uda się odszukać lub strzeżony byłby zbyt czujnie. Kosooki przyglądał się też bacznie rozstawieniu straży. Najgęściej ustawiono ją w pobliżu obozowych szańców. Druga linia wart znajdowała się dopiero nad brzegiem, głównie przy szańcach z bombardami.

Dotarcie do rzeki nie było więc tak łatwe. Wszystko zależało od tego, jaka będzie noc. Jeśli pochmurna, wyprawa mogła się udać, w przeciwnym razie trudno byłoby prześliznąć się niepostrzeżenie pomiędzy posterunkami.

Toteż Kosooki w ciągu dnia z niepokojem spoglądał na niebo, po którym, niesione wiatrem, szybko gnały obłoki. Pismo ojca Erazma, przygotowane jeszcze nocą, miał już zaszyte w obramowaniu czapki, z napięciem więc czekał wieczoru.

Wreszcie poczęło się zmierzchać i odtrąbiono koniec pracy. Sznury ludzi niby kolumny maszerujących mrówek poczęły ciągnąć w stronę obozu, gdzie już wznosiły się pióropusze dymu z rozpalonych na wieczrę ognisk. Wiatr zwiewał je w bok i rozciągał nad polami w sine smugi.

— Wypatrzyłeś sobie drogę? — zagadnął ojciec Erazm, kiedy po wieczery zostali sami i usiedli pod wozem, nakazując Złotkowi, by baczył, czy nikt nie kręci się w pobliżu.

— Wypatrzyłem i myślę, że trafię i po omacku.

— Będę się za ciebie modlił, synu. W piśmie jest i o tobie. A jak tam dotrzesz, daj mi jakiś znak, abym się nie trapił, czyś przeszedł szczęśliwie.

— Dobrze, ale jaki?

— Rozpal o świcie ogień i przysyp go świeżymi liśćmi. Pójdzie z nich gęsty dym, a wtedy przyduś go trzy razy workiem.

— A jeśli będzie tak wietrzno jak dzisiaj? Nie dostrzeżecie dymu, bo go zwieje.

— Masz rację — zafrasował się ojciec Erazm. — Co zatem proponujesz? Ja muszę wiedzieć, czy dotarłeś szczęśliwie. Jeśli ci się nie powiedzie, ruszę w następną noc sam, bo wiadomość musi do armii dotrzeć. Myślę, że nie będzie jeszcze za późno.

— My mamy nasz buksowski sposób. Używamy go, jeśli chcemy dać z daleka wiadomość.

— Jaki to? Użyj go zatem!

— Znacznie prostszy niż wasz, tyle tylko, że trudniej go złapać okiem. My puszczamy strzałę umaczaną w żywicy i podpaloną. Ciągnie za sobą ogon dymu i nie boi się ni deszczu, ni wiatru.

— Puść zatem kilka takich strzał. Będę ich wypatrywał, począwszy od wschodu słońca.

— Dobrze, ale jeśli ich nie będzie, wypatrujcie cały dzień. Nie wiadomo, co może się zdarzyć i kiedy uda mi się przeprawa.

— Kiedy chcesz ruszyć?

— Po północy. Z wieczora strażę są czujniejsze.

— Przed świtem pora najlepsza.

— Tak, ale droga do przebycia jest długa. Wschód może mnie złapać jeszcze po tej stronie, a wtedy na nic cały trud.

— Kładź się tedy. Będę czuwał i obudzę cię na czas.

— Ano, to dobrze.

Kosooki wyciągnął się na trawie i, zarzuciwszy na głowę kurtę, wkrótce już spał.

Kiedy obudzony przez ojca Erazma schylił się przy pożegnaniu do jego ramienia, ten objął jego głowę i nakreśliwszy nad nią znak krzyża pocałował go w czoło.

— Ostawcie te wygłupki — burknął zbój szorstko, wstydząc się nagłego wzruszenia, które poczuł. Zżył się bowiem z mnichem i poważał go bardziej, niż zdawał sobie z tego sprawę. Ojciec Erazm nie wziął mu za złe tych ostrych słów, bo wyczuł, dlaczego zostały powiedziane.

— Idź już — wyrzekł spokojnie, jakby nie dostyszał niczego — i niech czuwa nad tobą Opatrzność...

Wysunięcie się spod wozów i dotarcie do linii szańców nie było zbyt trudne. Chmury ciągnęły po niebie nieco gęstsze niż za dnia, ale księżyc od czasu do czasu ukazywał się jednak spoza ich zasłony, oblewając uśpioną ziemię widmowym światłem. Kosooki przylegał wówczas do ziemi i unosząc głowę, starał się w tych krótkich chwilach rozeznać położenie.

Teraz niedaleko przed sobą miał mroczny zarys szańca. Nieco z boku dostrzegł sylwetkę wartownika, który stał, rozglądając się dookoła, a po chwili ruszył wzdłuż ziemnego nasypu.

W tej właśnie chwili znikł księżyc. Kosooki poderwał się na nogi i cichymi skokami, schylony ku ziemi, ruszył przed siebie, kierując się ku upatrzonej przerwie pomiędzy umocnieniami.

Tak padając na ziemię i nieruchomiejąc w chwilach ukazywania się księżyc, a skacząc lub pełzając, kiedy stawało się ciemno, szczęśliwie zostawił za sobą linię zasieków i umocnień. Potem był spory szmat otwartego ugoru, gdzie również należało zachować dotychczasową ostrożność i zważać, by nie dać się przytapać przez zdradliwe światło, bo teraz mógł być dostrzeżony z dwóch stron — i od obozu, i od rzeki.

Toteż był już mocno zmordowany, kiedy poczuł wreszcie, jak grunt pod stopami mięknie. Potem zaczęło jaśnieć na znak, że wnet ukaże się księżyc, przywarł więc do ziemi i czekał, aż ten wyrzy zza chmur.

Istotnie za chwilę rozbłysła zielona poświata. Uniósłszy ostrożnie głowę, Kosooki ujrzał niedaleko przed sobą pierwsze kępy łożin zwiastujące, że dotarł do nabrzeżnych łąk. Poczuł się raźniej, bo tam już każdy krzak dawał mu schronienie.

Mimo to zmitrężył sporo czasu, nim ujrzał wstęgę rzeki migającą z dala skrami księżycowego blasku.

I tu właśnie o mało nie wpadł na wartownika, bowiem ujrawszy w pewnej chwili zbity gąszcz łożin, skoczył ku niemu, nie zachowując dostatecznej ostrożności, pewny, że najgorsze ma już za sobą. Na szczęście było ciemno, ale mimo to przeszło go mrowie, kiedy raptem z czerni nocy gdzieś zupełnie blisko usłyszał wołanie:

— Wer ist da?

Upadł na ziemię, jakby mu podcięto nogi, i począł ostrożnie pełznąć w bok, aby dalej od łożin, ku którym zdążał, i od głosu, jaki właśnie stamtąd się rozległ. A kiedy znów stało się jasno, z przerażeniem dostrzegł, że owa kępa łożin to ucięte gałęzie maskujące ziemny wał, na którym połykiwały w księżycowym świetle mosiężne cielska bombard.

Dostrzegł też i wartownika. Stał z kuszą w ręku, wpatrując się w mrok nocy, na szczęście nie w jego kierunku.

Kosooki spłaszczył się na trawie, czekając, by chmury zastoniły tę świecącą u góry latarnię. Wreszcie zbawcza ciemność nadeszła i mógł znów się cofać, aby znaleźć się jak najdalej od strażnika.

Po pewnym czasie dostrzegł, że jest już względnie bezpieczny. Przybliżył się znacznie do rybackich chat, gdzie, jak wiedział, nie było umocnień. To poczucie bezpieczeństwa było jednak zwodnicze, a brak umocnień celowy.

Poczuł raptem, jak ziemia usuwa mu się spod nóg, usłyszał trzask załamujących się gałęzi i poleciał w dół. Ogarnęła go zupełna ciemność, a ciało przeszył gwałtowny ból rozdzieranych czymś pleców...

DO LUDBORZA18 DOTARŁ pod wieczór, bo przeprawa przez las, a potem zatrzymanie wojsk i przemówienia zajęły sporo czasu.

18 — Lidzbark.

Miasto, już splądrowane przez Tatarów i Litwinów, przedstawiało ponury widok. Większość domów była spalona, a murowane, które ostały się pożarowi, czerniały okopconymi ścianami. Przez ich puste otwory okienne widać było dalsze zgliszcza i rumowiska, z których tu i ówdzie sterczał ceglany komin. Wszędzie leżały połamane sprzęty domowego użytku, a pomiędzy zwęglonymi belkami zwalonych dachów widać było ludzkie zwłoki. Wśród tych resztek ruchliwego ongiś miasteczka wałęsały się psy, węsząc za pokarmem i szarpiąc przy tym ciała pomordowanych.

Wojsku wyznaczono postój niedaleko miasta pomiędzy jeziorami Chełst i Tuczno. Wozy były już na miejscu, bo jechały bez zatrzymywania, toteż zaraz zakrzątnięto się przy ustawianiu namiotów i rozpalaniu ognisk, niektórzy zaś z wojów wybrali się do miasta, by ujrzyć ślady krwawej roboty przednich straży, a zapewne i w skrytej nadziei, że nie wszystko w pośpiechu zostało zrabowane i być może uda się coś odszukać dla siebie. Poszli co ubożsi, dla których nawet i taka zdobycz, jak statki, jakowaś broń czy odzież, była nie do pogardzenia. Istniała też możliwość, że uda się znaleźć niedostrzeżoną przez poprzedników srebrną, a może i złotą misę, garnek z monetą lub kobierzec czy futro.

Czarny i Jaksza, nie mając takich zainteresowań ani potrzeb, ale za to mocno wygłodzeni, postanowili tym razem zrezygnować z solonego mięsa i kaszy, które ostatnio najczęściej stanowiły ich strawę, i wybrać się nad jezioro, by złowić do wieczora nieco świeżych ryb. Sprzęt rybacki mieli na wozie, toteż zmiana w posiłku zależała od ich umiejętności i szczęścia. Tych widać starczyło, bo kiedy słońce osunęło się ku horyzontowi, wracali do obozu z pełnym skopkiem. Zbliżywszy się do linii wozów, usłyszeli krzyki dochodzące spomiędzy namiotów. Zaciekawieni przyśpieszyli kroku i minąwszy wjazd, spostrzegli u wylotu namiotowej ulicy tłum rycerzy. Ulica wychodziła na plac, gdzie stały namioty króla i wielkiego księcia. Oddali skopek pachotkom i pośpieszyli dowiedzieć się, co się zdarzyło.

Jakoż już wkrótce wiedzieli, bo właśnie przed namioty wyszli król i wielki książę, którym przedkładano sprawę. Rycerz wybrany przez wzburzony tłum skończył swoje sprawozdanie ostrzeżeniem:

— Bacz zatem, najjaśniejszy panie, abyśmy za tak straszny czyn nie ściągnęli Bożego gniewu nie tylko na sprawców, bo o to nie stoimy, ale i na nas, boć przecie pochodzą z naszych szeregów! Oby Bóg nie odebrał nam i

naszym poczynaniom swojej łaskawości i klęską w tej wyprawie nas nie pokarał!

Rozległy się okrzyki:

— Rabują i palą kościoły, gwałcą chrześcijańskie niewiasty i dziewczki, pogańskie syny! Kmieci po wsiach mordują, a ci przecież z nami nie wojują! Pożary co noc widzimy!

— Żądamy kary dla winnych. Ukróćcie, najjaśniejszy panie, te zbrodnie! Niech pogany nie kalają świątyń i niewiast!

Rycerz, który przemawiał uprzednio, uniósł ramiona do góry.

— Uczście się! Pozwólcie mi sprawę przedłożyć do końca!

— Mów tedy, Macieju! My wszyscy stoimy za tobą! Żądamy kary dla winnych!

Rycerz obrócił się znów do króla.

— Słyszałeś, najjaśniejszy panie, głosy rycerskiej braci! Nie lza tak wielkiej zbrodni ująć bezkarnie! Jeśliby zaś uszła, nie będziemy służyć pod znakami, gdzie za takie bezceństwa kary nie ma!

— Prawie mówi! Opuścim obóz, bo gniew Boży nad nim zawiśnie! — znów rozległy się wołania tłumu.

Król Władysław postąpił o krok do przodu. Stojący w pierwszych szeregach ujrzeli na jego twarzy wzburzenie równe ich własnemu i to bardziej niż słowa przemówiło do rycerskich serc. Król zawołał:

— Obiecuję wam i przyrzekam, że stanie się zadość waszemu żądaniu, bo za słuszne i sprawiedliwe je uważam! Boleję jako pokorny Boży sługa na równi z wami, że takowe zdarzenie mogło mieć miejsce, i wydaję rozkazy dla ukrócenia warcholstwa i samowoli, bo wiem, że niektórym chorągwiom zdarza się na łupiestwo nocą z obozu wymykać!

Z kolei zabrał głos Witold, mówiąc donośnie, aby go wszyscy słyszeli:

— Jako wierny sługa Kościoła jestem równie wstrząśnięty jako i wy takim bezecnym bluźnierstwem! Rozkazy, o jakich mówił jego królewska mość, zostaną i przeze mnie wydane, prócz tego zaś przyrzekam wam, że nakazę natychmiast odszukać winnych, a tych z kolei należycie pokaram! Stanie się to bez żadnej zwłoki, jeszcze na tym postoj!

— Dziękujemy, wasze miłości! Niech żyje król i wielki kniaź — odezwały się okrzyki uznania. — Przyjmujemy wasze słowo, kniaziu!

Władcy zawrócili do namiotu, a tłum z wolna zaczął się rozchodzić. Czarny i Jaksza ruszyli również do siebie.

— Myślisz, że znajdą przez noc winnych? — wyraził wątpliwość Rudy, kiedy podchodzili już do swego namiotu.

Czarny uśmiechnął się.

— Tyś powinien wiedzieć lepiej ode mnie, boć to twój pan dał taką obietnicę.

— Skoro dał, to chyba znajdą. Dojdą, jakie oddziały i kiedy urwały się od głównych sił. A jak to będą wiedzieć, odszukają i właściwych winowajców.

— A jeśli nie odszukają?

Z kolei uśmiechnął się Rudy:

— Skoro kniaź rozkazał, winowajcy będą, o to się nie trap...

Czarny zrozumiał, co Jaksza miał na myśli.

Istotnie, o świcie, kiedy otrąbiono wymarsz, rycerstwo ujrzało nieopodal obozu dwie szubienice. Kręcili się przy nich pachołkowie, jeszcze zbijając pomost, ale dwie rzemienne pętle już zwisały z haków.

Wojskom przykazano ustawić się wokół szubienic. Kiedy już wszystkie chorągwie stanęły w polu, obracając końskie łby ku dwom świeżo ociosanym słupom, na pomost wstąpił Moniwid i uciszając dłonią rycerstwo, przemówił donośnie:

— Jako że zdarzają się wśród was warchołowie, którzy wyprawiają się nocą z obozów albo oddalają się w marszu od hufców, by udać się na łupieską wycieczkę, paląc, mordując i gwałcąc spokojną ludność, a wczora dopuścili się nawet strasznego grzechu poniewierki Najświętszego Sakramentu, przeto ja, Moniwid, władnym w tej sprawie uczyniony przez króla Władysława i wielkiego księcia Witolda, zapowiadam ich imieniem, że każdy, który w przyszłości czynić to będzie, także pokarany zostanie jako ci dwaj, którzy przyłapani na swoim niecznym czynie zaraz tu wstąpią, aby karę ponieść! Ponadto wszem wiadomym czynię, że na rozkaz miłościwego króla miecznik krakowski Zyndram z Maszkowic porządku tak w marszu, jak i na postojach ma pilnować i winnych nieposłuszeństwa do osądzenia najjaśniejszemu panu przedstawiać!

Po tych słowach Moniwid zszedł ku swemu orszakowi, a wśród tłumu pachołków stojących przy rusztowaniu zrobił się ruch. Wkrótce z tego tłumu wysunęło się dwóch wojów. Odziani byli w byle jakie kubraki i płócienne portki, a ręce mieli skrępowane na plecach, ale wnet zdjęto im pęta i pchnięto ku

drabinie. Wspięli się po niej szybko i stanęwszy na pomoście rozejrzeli się dokoła.

Na ich twarzach, okolonych czarnymi brodami, nie widać było strachu, a raczej skonfundowanie, że znaleźli się na oczach takiej masy mężów. Potem, kiedy obrócili się ku stryczkom i wstąpili na skrzynki od obroków, wykazali sprawność i pewność ruchów ludzi starających się poruczoną im sprawę załatwić jak najlepiej, bez marudzenia i zwłoki.

Czarny tak jak i inni przyglądał się im z konia, tyle że stał blisko rusztowania. Dziwił się tej gorliwości skazańców, zupełnie niezdradzających strachu przed śmiercią, która przecież za chwilę miała ich spotkać. Jedyne wyjaśnienie widział w tym, że strach przed księciem musiał być silniejszy. Jakby na potwierdzenie tej myśli doszły go słowa jednego ze skazańców, rzucone towarzyszowi, który daremnie usiłował złapać pętlę kołysaną przez wiatr, by zarzucić ją sobie na szyję:

— Pośpiesz się, bo rozsierdzisz kniazia!

Potem kopnął spod nóg skrzynkę i zawisł, kolebiąc się na wyprężonym sznurze. Po chwili i drugi kołysał się na wietrze, obracając się wokół siebie, jakby jeszcze chciał rzucić okiem na rozciągającą się wokół zieleń łąk i dwa lustra jezior, nad którymi z piskiem krążyło ptactwo.

Chorągwie ruszyły w ciszy, bez zwykłych nawoływań i okrzyków. W trzy godziny później stanęły na postój przy jeziorze Rupkowo, niedaleko miasteczka i niezamieszkanego zamku Kurzętnik, naprzeciw brodów na Drwęcy.

ZALEDWIE ZACZEŁO SZARZEC, a na wschodzie ukazała się dopiero nikła różowość, kiedy rybak Szczapko zlął z postania, podrapał się po skudłaconym łbie, poczochnął pod pachą i ziewnąwszy szeroko, ruszył do wyjścia.

Pod dachem szopy było jeszcze zupełnie ciemno, ale światła nie potrzebował. Omackiem wyszukał kosze, linkę przerzucił przez ramię, za pasek wetknął na wszelki wypadek toporek i minąwszy byle jak sklecony płot, skierował się ku łąkom.

Rzekę i łąki zawlokły tak gęste kłęby mgły, że na pięć kroków nic widać nie było. Do tego wojska pobudowały jakieś okopy, rowy i doły, do których

łatwo było wpaść. Szczapko nie bał się jednak zbytnio tych pułapek, bo mógł tu wszędzie poruszać się nawet z zamkniętymi oczami. Szedł więc pewnie, by jak najrychlej dotrzeć do miejsca, gdzie pod nawistym brzegiem gnieździły się raki.

Właśnie miał zamiar tam skręcić, kiedy usłyszał cichy odgłos — ni to stęknienia, ni to jęku. Szczapko stanął raptownie. Po chwili z otaczającej go mgły — przysiągłby, że spod ziemi — znów powtórzył się ten sam odgłos, stłumiony, ledwie słyszalny, ale zupełnie wyraźny.

Nasłuchiwał przerażony, bo naszło go przypuszczenie, że to wołanie wodnika. Gdyby tak było, to już po nim. Ale zaraz uświadomił sobie, że głos nie szedł od rzeki, a raczej gdzieś ze strony łąk, i to z pobliza. To go nieco uspokoiło i strach przemogła ciekawość.

Stał więc i nasłuchiwał z przekrzywioną na bok głową. Znów doleciał go cichy jęk. Tym razem mógł już ściśle określić kierunek.

Ruszył więc w mgłę, czujny i skupiony. Uszedł kilkanaście kroków i byłby mimo znajomości terenu wpadł w pułapkę, gdyby w ostatniej chwili nie został ostrzeżony kolejnym stęknieniem, które go doszło nieomal spod nóg.

Ujrzał tuż przed sobą kilka ułamanych gałęzi wystających z piasku, a wśród nich duży, czarny otwór niby wylot lisiej jamy.

Szczapko przyglądając się otworowi, dostrzegł ledwie widoczną różnicę w kolorze gruntu, która biegła równą linią na odległość kilku kroków w obie strony, dalej ginąc we mgle. Zważając, by nie przekroczyć tej niebezpiecznej linii, położył się na ziemi i zajrzał do otworu.

Nic jednak nie zdołał dostrzec. Z dołu ziało czernią, z której wyłaniały się jedynie jasne ostrza zaciosanych pali. Z tej ciemności znów rozległ się jęk, a potem parę niewyraźnych słów, których nie zdołał rozeznaczyć.

Skoczył na nogi i rozejrzał się dookoła. Mgła przesłaniała jednak wszystko gęstym, białym tumanem. Już zdecydowany zrzucił z ramienia kosze i linkę, wyjął zza pasa toporek i ruszył w kierunku zarośli.

Po chwili wrócił z uciętą gałęzią. Poobcinał z niej boczne pędy, potem zaciosał na ostro. Tak przygotowany palik wbił głęboko w ziemię parę kroków od otworu. Kiedy wystawał już tylko na stopę, zacisnął na nim pętlę sznura, który wrzucił do otworu. Potem przeżegnał się, położył na brzuchu i opuściwszy nogi w czerń jamy zaczął z wolna popuszczać trzymany oburącz sznur.

Na dole panowała zupełna ciemność, jedynie otwór u góry jaśniał białą plamą o poszarpanych brzegach. Po chwili jednak wzrok rybaka przyzwyczał się do ciemności i w nikłym, sączącym się z otworu świetle ujrzał u swoich nóg człowieka, który leżał na wprost oparty plecami o ziemną ścianę z głową odchyloną na ramię.

— Ktoś ty, człeku? — rzucił Szczapko ściszym głosem, starając się unieść głowę leżącego. Teraz dopiero dostrzegł wokół niego wielką kałużę krwi, połyskującą czerwienią.

Ranny uniósł nieco powieki i wpatrywał się w rybaka na wprost przytomnym wzrokiem. Po chwili we wzroku tym zabłysła iskra rozeznania.

— Toć widzisz... — mówił z trudem i ledwie dosłyszalnie — rannym... te psubraty pokopały... Bodaj ich piekło... a... a ty kto jesteś?

— Rybak, tu z pobliza. Szedłem właśnie na połów i usłyszałem, jak jęczysz. Zdejmę ci koszulę, krwi z ciebie wiele uszło, trzeba ranę przewiązać. Gdzie ją masz?

— Na plecach... Dlatego sam nie mogłem. A teraz... za... za późno... bracie... miał klejnotu pala się doczekałem... Zaciosane ostrze będę miał w herbie... — reszta słów przeszła w mamrotanie, którego Szczapko nie mógł rozeznaczyć, ale z tego, co usłyszał, osądził, że ranny majaczy. Zastanawiał się, co dalej ma robić, ale nie bardzo wiedział co: czy opatrywać ranę, czy może spróbować wyciągnąć tego człowieka na wierzch? Tylko jak? Sam nie da rady, bo chłopisko spore.

Słysząc było świszczący oddech rannego, który w pewnej chwili otworzył szeroko oczy i spojrzał na pochylonego nad nim Szczapkę zupełnie przytomnie.

— Ktoś ty? — powtórzył pytanie, jakby nie pamiętając, że już raz je zadał. — Zakonny sługa czy polski, królewski?

Szczapko wzruszył ramionami.

— A bo ja tam wiem... Ja tutejszy... rybak i tyle.

— Ale po naszymu, po polsku przecież gadasz?

— Gadam, bom chrześcijanin...

— Głupiś, to przede wszystkim — mruknął ranny, na chwilę przymykając oczy z cichym jękiem. Potem znów je otworzył i rzucił z wysiłkiem: — Będę z tobą gadał inaczej. Chcesz zarobić? Sporo — grzywnę, dwie, a może i więcej...

Szczapko mimo woli się przeżegnał.

— Człowieku, co ci? Kto mi da taki grosz, a i za co by miał dawać! Gadaj lepiej, jak ci mam pomóc! Sam cię z tej jamy nie wyciągnę, ale poczekaj chwilę, skoczę po synów... We trzech damy radę...

Kosooki pokiwał na boki głową.

— Nie sil się... zbyt wiele krwi ze mnie już wyszło... Ale słuchaj, zarobisz taki pieniądz, jeśli wykonasz, co ci powiem. ... Weź moją czapkę, tam zaszyty papier... Chroń go jak złoto... To pismo... przeprawisz się za rzekę i odnajdziesz wojsko polskiego króla, potem jego dwór... już są stąd blisko... pytaj przy dworze o księdza Andrzeja... Temu dasz pismo... a jak nie, to samemu kanclerzowi... Spamiętałeś?...

— Spamiętałem. I za to tylko dadzą mi całą grzywnę? — W głosie Szczapka zabrzmiało niedowierzenie.

— Nie jedną, ale dwie... Spraw się tylko, jak należy, i nie daj się przytapać brodaczo... I pamiętaj, powiedz, żeby dali dymny sygnał na znak, że pismo doszło... wykonasz, com rzekł? Przyrzekasz jako konającemu?

— Przrzekam... — wykrztusił Szczapko blady z wrażenia.

— I... i powiedz, że to Kosooki posyła... niby ja... od ...od Erazma...

— Powiem, bracie, ale i ciebie nie ostawię tutaj! Zaraz cię stąd wyciągniemy, póki jeszcze mgła wisi!

— Bierz czapkę, to najważniejsze... bo... bo ze mną... już koniec...

Głowa rannego znów opadła na bok i zdawało się, że już przestał oddychać.

Szczapko zdjął mu czapkę i przekonał się, że ranny nie majaczył. Istotnie wyczuł pod palcami zaszyty papier. Wsadził więc ją szybko za pazuchę i rzuciwszy jeszcze spojrzenie na leżącego, chwycił za sznur i podpierając się nogami o ziemną ścianę począł wspinać się w górę.

MGŁA WRESZCIE OPADŁA i wstał piękny, słoneczny dzień. Wiatr uspokoił się jeszcze w nocy, toteż im bliżej było południe, tym upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Kiedy zaś wojsko nadciągnęło nad Rupkowskie Jezioro, słońce, stojąc już u zenitu, prażyło nieznośnie.

Zabrano się zaraz do stawiania namiotów, zwłaszcza zaś spieszyli z tym pachotkowie dworscy, by obaj władcy mogli jak najprędzej spocząć w ich cieniu.

Wokół jeziora rozciągały się bujne łąki, więc zaraz wygnano konie, a brzeg zaroił się od żołnierzy pragnących ochłodzić się kąpielą.

Nieco z boku widniały z dala domostwa miasteczka Kurzętnik, nad którym górował zarys zamku, porzuconego przez Krzyżaków nie wiadomo dlaczego — czy ze względu na słabą obronność, czy też na złe położenie.

Wkrótce zaczęły nadjeżdżać wozy, więc brać rycerska zabrała się do przyrządzania południowego posiłku. Wówczas to rozeszła się wśród nich wieść, że za pobliską rzeką znajduje się cała armia krzyżacka. Ponoć na drodze spotkano jakiegoś człeka, który dopytywał się o królewski dwór, i on to właśnie podał ową nieoczekiwaną wiadomość. Owego człeka zabrało zaraz kilku pachotków, ale wieść poszła szybko z ust do ust.

Toteż niektórzy z rycerzy, znudziwszy sobie oczekiwanie na swoje wozy, dosiedli koni i ruszyli ku rzece, by wypatrzeć, jak jest po prawdzie, a jeśli się uda, utoczyć nieco krzyżackiej krwi.

Coraz więcej namiotów zaczęło wyrastać na łące i coraz szybciej powiększał się okalający je pierścień wozów. Już paliły się ognie, a rycerze zdjąwszy kubraki i kaftany, bo upał był dokuczliwy, zabrali się do przyrządzania posiłku.

Wiadomość krążąca wśród wojsk rychło dotarła i do księdza Andrzeja. Mimo że była mało prawdopodobna, bo przecież straż przednia coś by o tym musiała wiedzieć, proboszcz udał się do wicekanclerza. Mogło bowiem się zdarzyć, że Tatarzy rozciągnęli się wzdłuż rzeki, nie usiłując jej przekraczać bez specjalnych rozkazów.

Wicekanclerz zmorzony upałem i konną jazdą odpoczywał w swoim namiocie przed naradą, która wkrótce miała się rozpocząć. Narada została zwołana przez króla, który chciał omówić sprawy związane z przeprawą i dalszym marszem w głąb nieprzyjacielskiego terenu. W miarę słów księdza Andrzeja Trąba unosił się z postania, by wreszcie skoczyć na nogi.

— Na Boga! Jeśli to prawda, szliśmy nieświadomi w samą paszczę lwu!

— Nie wiadomo jeszcze, czy to prawda. Przychodzę z wieścią, która obiega obóz, bo zdała mi się niepokojąca, ale czy równie prawdziwa, musimy dopiero się przekonać!

— Zaraz idę do Władysława! Chodź ze mną!

Wyszli właśnie przed namiot, kiedy dostrzegli niezwykajny ruch w obozie.

Rycerze gorączkowo nakładali blachy, krzyczeli na pachołków, a

niektórzy już wskakiwali na siodła, obnażając miecze. Obaj duchowni z trwogą spojrzeli na siebie.

Kanclerz zatrzymał przebiegającego w pobliżu woja.

— Stój! Co się dzieje? Mów szybko!

— Krzyżacy na nas ciągną!

— Człowieku, co gadasz?! — wrzasnął kanclerz. — Gdzie ich widzisz?

Woj wskazał w stronę rzeki. Istotnie pomiędzy budami wozów widać było wielki tuman kurzu sunący szybko w stronę obozu...

— Coś mi się tu nie zgadza... — mruknął ksiądz Andrzej. — Czyżby atakowali obóz kolumną marszową?

— Masz rację! — przyznał kanclerz. — Musieliby iść rozwiniętym szykiem...

To samo spostrzeżenie musieli zrobić i inni bardziej doświadczeni rycerze, gdyż rozległy się głosy wzywające do zachowania spokoju.

Ci mieli istotnie słuszość, gdyż wkrótce po zbliżeniu się tego obłoku wyłoniły się z niego pędzące konie, i to bez jeźdźców, a nawet i bez siodła. Za chwilę zaś tabun przegalopował nieopodal obozu i rozbiegł się po łące. Za końmi przygnało kilku jeźdźców, w których rozpoznano swoich. Wpadli oni do obozu z triumfalnymi okrzykami.

— Skocz no i dowiedz się, skąd te konie! — polecił kanclerz wojowi.

Uspokojone rycerstwo wróciło do przerwanej posiłku, a wkrótce powrócił i woj, zdając kanclerzowi relację. Okazało się, że kilkunastu rycerzy z tych, co wybrali się na harce, dostrzegło na rzece knechtów krzyżackich pławiących konie. Poturbowawszy pachotków, zabrali im zwierzęta i przygnali z sobą. Opowiadali też, że będąc nad rzeką, widzieli umocnienia i zasieki, pobudowane po obu stronach Drwęcy. Będąc jednak w zbyt szczupłej liczbie, nie podjeżdżali bliżej, spostrzegłszy, że były obsadzone łucznikami.

Ta wiadomość nie tylko zaskoczyła, ale i przerażyła kanclerza. O ile bowiem obecność garści knechtów z końmi mogła wskazywać, że zatrzymał się tam jakiś oddział lub podjazd, to umocnienia w pobliżu brodów dowodziły, że nieprzyjacielowi znany jest kierunek marszu królewskiej armii i jej zamiar przekroczenia rzeki w tym właśnie miejscu. To zaś z kolei nasuwało przypuszczenie, że istotnie po drugiej stronie Drwęcy nie stoją jakieś pomniejsze siły, lecz zapewne cała krzyżacka potęga z zamiarem

niedopuszczenia do przeprawy. Mniejsze bowiem siły takiej obronie nie mogłyby sprostać.

Przejęty tymi myślami kanclerz pośpieszył do królewskiego namiotu. Było tu już paru dostojników, którzy właśnie omawiali z królem zaszły wypadek. Od nich też dowiedział się kanclerz, że marszałek Zbigniew i podkomorzy Szafraniec wyruszyli na dokładniejsze obejrzenie umocnień.

— No i co powiesz, Mikołaju, o tym zdarzeniu? — zagadnął Jagiełło z uśmiechem. — Niepotrzebnie narobili ci harcownicy popłochu w obozie!

— Niepotrzebnie?! Dzięki niech będą Opatrzności, że to zrobili! — obruszył się kanclerz, rozglądając się po namiocie. — Przyszedłem, aby o tym z wami pogadać, najjaśniejszy panie! Ale widzę, że czas ku temu niesposobny, przyjdę więc nieco później.

— Poczekaj! — zatrzymał go król, po czym zwrócił się do zebranych: — Zwalniam was teraz, mili bracia, bo mamy nieco do pogadania... — Kiedy zaś pozostali tylko we dwóch, spojrzął na kanclerza. — Stało się coś złego? — spytał z niepokojem.

— Nie rozumiem was, panie! — wybuchnął Trąba. — Cała nieprzyjacielska armia o pół mili od nas, a wy okazujecie bez troskę?!

— Co ty wygadujesz?! Skąd to wiesz?!

— Te umocnienia nic wam nie mówią?! Nie dostrzegacie, co one znaczą?! Nie pomyśleliście, że zdradzają one zamiar obrony brodów, a obrony takiej przed całą armią nie zdoła zapewnić kilka chorągwi!

— Skąd by wiedzieli, że tędy pójdziemy? — spytał już ze strachem Jagiełło.

— Inaczej nie budowałiby umocnień!

— Czy nie nazbyt pochopnie wysnuwasz wnioski, mój bracie?

— Tak sądzicie? I mówicie to wy, najjaśniejszy panie, który przewodzicie całemu wojsku?! — Kanclerz dał się ponieść oburzeniu. — Wiecie, wiele troski i zabiegów trzeba by ponieść dla zbudowania politycznej sytuacji sposobnej do

wszczęcia rozprawy, wiele trudu i wysiłku dla postawienia pod broń takiej siły, jaką rozporządzamy, a mimo to tak nieostrożnie nią kierujecie?! Bo jeden cios w bok, uderzenie w złej dla nas chwili, a nawet nie ostanie wam w ręku drzazga od rękojeści tego topora, co go dzierzycie! Ogrom wojska, a przez to mała jego obrotność, może

spowodować klęskę w razie nagłej napaści dobrze ustawionego przeciwnika. Nie mnie to mówić wam, bardziej doświadczonemu w wojennym rzemiośle!

— Toteż niepotrzebnie mi to gadasz! — krzyknął rozgniewany tym upomnieniem król.

— Potrzebnie, skoro, jak widzę, nie dostrzegacie niebezpieczeństwa!

— Kanclerz, również rozdrażniony, nie zwracając uwagi na królewski gniew, mówił podniesionym głosem.

— Zważaj, co gadasz! — tym razem już po rusku wrzasnął Jagiełło.

— Precz wygnam!

— To wygnacie, ale wpierw mnie wysłuchacie! Doprowadziliście całą armię pod nos wrogowi bez żadnego rozeznania, co dzieje się przed wami! Wprawdzie puściliście przodem Tatarów, ale ci o rabunku tylko myślą, a nie o wojennej służbie! Bo gdzie oni teraz? Czemu nic nie wiemy, co jest po tamtej stronie rzeki?! Jak ślepi szliśmy pod wraży miecz, narażając i wojsko, i cały kraj na zgubę! Jeszcze teraz, kiedy do was mówię, gdyby Krzyżacy uderzyli przez brody, starczyłoby im dwie godziny, abyście nie mieli armii, a być może i stracili żywot!

Król, który w miarę słów kanclerza czerwieniał na twarzy, zbladł teraz raptownie. Słowa, które dławiący go coraz bardziej gniew rzucał mu już na usta, szczęśliwie dla nich obu nie zostały wypowiedziane. Jagiełło, już tylko wystraszony, bo strach przemógł wszystkie inne uczucia, usiłował go jednak zamaskować sarkazmem.

— Azali wiesz, że to prawda? Powiedziano ci o tych paru szańcach, a ty zaraz ujrzalesz za nimi całą krzyżacką armię!

— Chcecie siebie uspokoić, szydząc ze mnie? Nie obstaję, że tak musi być, ale zbyt wielką, miłościwy panie, ponosicie odpowiedzialność, aby lekceważyć niebezpieczeństwo, nawet gdyby tam był tylko jeden szaniec! Czy ogłosiliście natychmiast pogotowie bojowe? Czy wystawiliście strażę ku rzece?

— Zaraz widać, żeś niewojenny mąż — rzucił zgryźliwie król. — Myślisz, że tak łatwo przeprowić hufce przez rzekę i uszykować do boju, abyśmy nie zdążyli się przygotować? Bez rozeznania tej strony i Ulryk nie zaryzykuje przeprawy, bo nie wie, jakie siły i jak uszykowane ma przed sobą, nawet jeśli i to prawda, że on tam jest... Bo skąd by mógł wiedzieć, że tu ma na nas czekać?

— Mógł się domyślić. Byli u nas węgierscy posłowie i widzieli, że nie obróciliśmy się na Sierpc, tylko poszli na północ...

— Zwołam naradę i zadecydujemy, co dalej czynić, a do tego czasu wrócą Piotr i Zbigniew. Doraźnego niebezpieczeństwa nie dostrzegam, bo dzięki Zyndramowi obóz tym razem mamy już zabezpieczony, a Ulryk także będzie się bał nieznanego i na ślepo nie uderzy.

Początkowe wzburzenie minęło i mówili teraz spokojniej.

— Gdybyście mnie spytali o radę, odwiódłbym was od powierzania Zyndramowi komendy.

— Dlaczego? Ma twardą rękę i umie zaprowadzić ład!

— Ale jest zbyt szorstki w obejściu i za mały dostojenstwem, by innym naszym panom, co przewodzą chorągwiom, rozkazy wydawać. Lepiej byłoby ten obowiązek powierzyć komuś znaczniejszemu, o większym posłuchu, bo istotnie nieporządek i samowola zapanowała zbyt wielka! Każdy jedzie, jak chce i kiedy chce, odskakuje z szeregów i na łupiestwo biegnie! A już jak wyglądają obozy, lepiej nie mówić!

— Zatem i tu uznania nie znajduję w twoich oczach! — Jagiełło znów podniósł głos. — Jam przecież jeden, a ich sto tysięcy! Teraz to gadasz, aleś dotąd milczał!

— Wy, panie, jeden, ale wasze słowo jest prawem. A milczałem, bom nie wódz, a i wroga nie było w pobliżu. Teraz jednak już tak być nie może, bo czeka nas zguba!

— Dość mam twoich wróżb! Ruszaj i ostaw mnie samego!

Jagiełło przeszedł na ruski język, co dowodziło, że znów ogarnął go gniew.

— Idę, ale chcę wiedzieć, co postanowicie!

— Zwołać radę! Skoro tyle mi zarzucasz, niechaj ona postanowi, co czynić! — W głosie króla zadrgało rozgoryczenie.

Trąba skłonił się głębiej niż zwykle i wyszedł z dusznego namiotu na upał dnia. Sapiąc jeszcze z gniewu, ruszył do siebie. Tuż przed wejściem natknął się na księdza Andrzeja.

— Właśnie szukam waszej wysokości! Dostałem ważne wieści!

— Gadaj od razu — dobre czy złe?

— Złe z treści, dobre, bo są.

— Tfu, z takim gadaniem! Od kogo?

— Od ojca Erazma.

— Doprawdy?! Kto je przyniósł?

— Rybak z drugiego brzegu.

Kanclerz obrócił się gwałtownie. — Co donosi?!

— Oto jego pismo. Czytajcie, wasza miłość.

Trąba wziął wąski skrawek papieru i, mrucząc z cicha, czytał:

— „Zostałem woźnicą w taborze krzyżackim. Naprzeciw was stoi sam wielki mistrz z całymi siłami, przygotował zasadzkę, pobudował zasieki i doły — błagam, nie dajcie się wciągnąć w pułapkę i niechajcie tutaj przeprawy. List posyłam Kosookim, o którym wie ksiądz Andrzej. Wart on obiecanej nagrody. Dajcie dymny znak, że pismo doszło”.

— A więc jednak! — wykrzyknął, skończywszy czytanie. — Jest tak, jak przed chwilą mówiłem królowi! Ale nie bardzo chciał mi wierzyć. Gdzie jest ten człek?

— U mnie w namiocie, pod strażą. Chcecie z nim mówić, to każę go doprowadzić!

— Pójdziemy tam, będzie prędszej!

Trąba ruszył przed siebie tak szybko, że ksiądz Andrzej ledwie zdołał dotrzymać mu kroku. Przed namiotem proboszcza, pomiędzy dwoma pachotkami, stał nędzny chłopina o zmierzwionych włosach, bosy, ubrany w brązową kurtkę i zgrzebne portki, przewiązane w kostkach sznurkami. Kanclerz obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

— To Kosooki? To, com od was o nim słyżał, nie bardzo mi pasuje do tego biedaka!

— Bo to nie on. Kosooki wpadł po drodze do wilczego dołu i zmarł z upływu krwi. Ten go znalazł i przed śmiercią ranny przekazał mu pismo.

Kanclerz obrócił się do Szczapka.

— Ktoś ty?

— Rybak, wasza wielmożność — odpowiedział ten wystraszonym głosem.

— Podjąłeś się pismo przenieść, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

— Ii tam... — uśmiechnął się Szczapko. — Rzekę znam jak własną babę, wasza miłość... W dzień przepłynąłem, bo kto tam na rybaka zwraca uwagę...

— Gdzie nas znalazłeś?

— Samiście mnie zatrzymali ćwierć mili stąd.

— Toś nam sercem przychylny, skoro taki trud podjąłeś?

— Konajęcemu obiecałem, wasza miłość, ten zaś... — Szczapko zawahał się w obawie, że narazi się na gniew, wspominając o zapłacie.

— Ten zaś co? — przynaglił go Trąba.

— Mówił, że zapłatę otrzymam — zdecydował się rybak. — Ponoć całą grzywnę albo i dwie... — Po czym znać przestraszony własną śmiałością dorzucił: — Myślę, że tyle mi nie dacie, bo ów ranny nie wszystko przytomnie mówił, ale starczyłoby i kilka groszy za ten czas, com zmitrężył, raków poniechawszy...

Kanclerz roześmiał się.

— Skoroś miał obiecane, swoje otrzymasz! Wypłać mu, Andrzej, z mojej kasy całe pięć grzywien, bo wart tego! I daj znak Erazmowi, bo zapewne inaczej sam wyruszy, a tam on jeszcze nam bardzo może być potrzebny! Ja zaś spieszę do najjaśniejszego pana, choć rozsierdzony teraz na mnie bardzo, ale zbyt to wielkiej wagi sprawa!

Że Władysław istotnie bardzo był zły na swego kanclerza, o tym przekonał się ten, usłyszawszy, że została właśnie zwołana w trybie pilnym specjalna rada wojenna pod przewodnictwem wielkiego księcia, do której nie został zaproszony. W skład jej weszli wojewoda krakowski Jan z Tęczyna, kasztelan Krystyn z Ostrowa, wojewoda sandomierski Mikołaj z Michałowa, poznański Sędziwój z Ostroroga, marszałek Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec z Pieskowej Skąły. Król, ponoć bardzo wzburzony, sam w niej udziału nie brał, ale też pominął i kanclerza, który dowiedział się przy tym, że rada owa obraduje w namiocie wielkiego księcia.

Król Władysław zaś znajdował się w swoim namiocie. Jak ostrzeżono przybyłego kanclerza, zafrasowany był wielce i zły tak, że słowa rzec do niego nie było można. Mimo to Trąba prosił królewskiego sekretarza Zbigniewa z Oleśnicy, który mu tych wiadomości udzielił, żeby zawiadomił władcę, iż chce z nim mówić w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Usłyszawszy to Jagiełło pomyślał w pierwszej chwili, że kanclerz przyszedł protestować przeciw pominięciu jego osoby przy ustalaniu składu wojennej rady, i poczuł zadowolenie, że udało mu się owemu zbyt pochopnemu sędziemu dokuczyć i będzie miał przyjemność wysłuchać jego wyrzekań. Polecił więc dopuścić przybyłego do siebie. Zanim jednak tamten

wszedł, król się zreflektował. Za dobrze bowiem znał tego najmądrzejszego ze swoich doradców, by mógł się zbyt długo pocieszać taką myślą. Toteż znów

zaniepokojony, czy aby nie usłyszy nowej złej wieści, rzucił od razu, zanim jeszcze zastona opadła za wchodzącym:

— Z czym przychodzisz?!

— Mamy już pewną wiadomość o tym, co dzieje się na drugim brzegu. Otrzymałem ją właśnie przed chwilą.

— Czy aby pewną? Od kogo?

— Od naszego człowieka, który służy w zakonnych taborach.

— Co donosi?

— Oto jego pismo, pozwólcie, że przeczytam.

Kiedy kanclerz skończył, zapanowało milczenie. Król przerwał je dopiero po dłuższej chwili, gdyż zamyślony głęboko zastanawiał się nad położeniem. Jednak wrodzona nieufność przeważała jeszcze i tym razem i Władysław powtórzył już raz postawione pytanie:

— Czy aby to pewne? Skąd on wie, że przygotowano tam na nas zasadzkę? Czy to człowiek obznajmiony z rycerskim rzemiosłem?

— Nie, bo to zakonnik. Ale mądry to człek i o bystrym oku. Bez zupełnej pewności nie pisałby tych słów. Musiał widzieć te umocnienia.

— Służąc w taborach? Coś mi się nie widzi... A już czy jest wielki mistrz, czy go nie ma, tego twierdzić nie może!

— A jeśli go widział na oczy? Albo jego znak?

— Jeśli, jeśli! — zirytował się król. — Mam powziąć decyzję takiej wagi, nie mając zupełnej pewności? Samżeś nie tak dawno temu zarzuty mi czynił, że dostatecznej ostrożności nie zachowuję!

— A co dostrzegli Zbigniew i Piotr?

— Umocnienia ciągną się wzdłuż rzeki, nieopodal brodów — przyznaje niechętnie król. — Ale to nadal nic nam nie mówi, bo nie wiemy, jakie siły stoją naprzeciw.

Kanclerz skłonił głowę.

— Spodziewałem się tych słów, miłościwy panie. I aczkolwiek ja sam wierzę temu pismu, obmyśliłem sposób, abyście i wy pozbyli się wątpliwości.

— Jaki? — rzucił król z ożywieniem.

— Przypomnę wam, że nie otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze warunki utrzymania pokoju. Jest więc dobry powód, aby wysłać po nią posła. Skoro ten Ścibora i Mikołaja znajdzie w krzyżackim obozie, będzie to znak, że jest i Ulryk, bo ci stale są przy jego boku. A skoro jest wielki mistrz, muszą tam być główne zakonne siły. Posel rozzejrzy się nieco po obozie i tych zasadzkach, które ponoć tam są. Może też przyjdzie mu stanąć przed obliczem samego Ulryka.

— Dobra to myśl, Mikołaju! — żywo wykrzyknął Jagiełło. — Już ci to przyznaję, że radzić umiesz dobrze! Obyś tylko bardziej chciał baczyć, komu rady dajesz i jak!

Kanclerz udał, że nie dosłyszał tej uwagi, i mówił dalej:

— Należy tylko zastanowić się, kogo posłać. Musi to być człek, którego postowie znają, władający niemiecką mową, a przy tym bystry i roztropny... Niech wraca natychmiast, jeśli posłów w obozie nie będzie i każą mu jechać dalej. Gdy zaś nie wróci przed wieczorem, to już będzie znak, że pismu można zaufać!

— Słusznie, Mikołaju — zgodził się król. — Rada już się zebrała, chodźmy do nich, niech wybiorą posła i wyślą go natychmiast.

— To i ja mam iść z wami, miłościwy panie? — zapytał kanclerz z pozornym zdziwieniem. — Nie przyzywaliście mnie, abym brał w niej udział...

— Jak to, nie przyzywałem? — z kolei król udał zaskoczonego. — Alboż to muszę ciebie specjalnie przyzywać, skoro wiadomo, że nic nie postanawiamy bez ciebie? Chciałeś osobnego wezwania?

Kanclerz uśmiechnął się.

— Jakoś nie przyszło mi to do głowy — rzucił lekko, po czym dodał, ale już z powagą: — Zanim jednak tam pójdziemy, proszę was, panie, i nalegam, abyście

rozważali nasze położenie tak, jakbyście to czynili, całkowicie wierząc temu pismu. Przewidujemy najgorsze, bo to nas zmusi do ostrożności i skupienia, czego nigdy nie za mało.

Jagiełło skinął głową, kierując się do wyjścia.

— Rozsądne to słowa i tak też uczynimy... — zgodził się król, po czym dodał: — Wyznam ci teraz, żeś mnie zaraził swymi obawami. Zaczynam wierzyć, że tak jest, jak mówisz.

— Chwalić Pana Boga — odparł kanclerz, ustępując królowi drogi. — Uśmierza to mój niepokój.

Kiedy szli ku wielkksiążęcemu namiotowi, ujrzeni słup białego dymu bijący w niebo, który od czasu do czasu przerywał swój bieg, by potem kłębić się ze zdwojoną siłą. Król nie zwrócił nań uwagi, ale kanclerz wiedział, co on oznacza.

W namiocie wielkiego księcia, obstawionym wokół strażą, zastali naradę w toku. Po powitaniu Jagiełło powiedział:

— Zatrzymałem nieco naszego kanclerza, bo przybył z nową wieścią. Chcę z kolei wam ją podać.

— Zaprzeczenie to czy potwierdzenie naszych obaw? — rzucił z zaciekawieniem Witold.

— Potwierdzenie, i to wyraźne. Jest to pismo jednego z naszych ludzi, które dotarło do nas przed chwilą. Ponoć, jak twierdzi mości kanclerz, to człek godny zaufania. Przeczytaj, Mikołaju...

Kanclerz ściszym głosem podał zebrany treść pisma. Kiedy skończył, nikt nie zabierał głosu. Rozważano w milczeniu usłyszaną wiadomość, bo to nie było już sprawozdanie z powierzchownych oględzin, ale relacja człowieka znajdującego się w składzie wrogiej armii, w samym jej wnętrzu, a to, co im donosił, było znacznie groźniejsze, niż mogli sądzić.

Milczenie przerwał książ.

— A myśmy prawie już byli zgodni, by pchnąć parę lżejszych chorągwi na tamten brzeg celem rozeznania. Poniechałbym teraz tego zamiaru, bo z wysłanych nikt by chyba nie powrócił i nie my, lecz Krzyżacy zasięgnęliby języka. Moglibyśmy w ten sposób rozpętać bitwę, ściągnąwszy brodaczy ku sobie, a do tego zgoła nie jesteśmy przygotowani.

— I ja tak sądzę — odezwał się kasztelan Krystyn. — Nie wolno nam teraz uczynić czegoś, co by mogło doprowadzić do walki. Jeśli pobudowali umocnienia i siedzą cicho za nimi, czekając na naszą przeprawę, wynika z tego jasno, że pierwsi nie uderzą. Chwilowo zatem możemy nie bać się ich napaści. Ta mogłaby nastąpić dopiero, gdyby przekonali się, że nie zamierzamy przekraczać rzeki. Podług mnie dzień dzisiejszy, a zapewne i jutrzejszy miną spokojnie.

— Przychyłam się do zdania mości kasztelana — oświadczył wojewoda Jaśko.

— I ja... — odezwało się parę głosów.

Witold skinął głową.

— W tym więc względzie jesteśmy zgodni. Ale co czynić dalej? Mając dość czasu, moglibyśmy przyjąć bitwę na tym brzegu, gdyby Krzyżacy ruszyli.

— A jeśli nie ruszą? — odezwał się ktoś.

— Obwarowawszy bardziej obóz i przygotowawszy się do bitwy, można by dokonać próby i wysłać do nich parę chorągwi. Zobaczylibyśmy, co by z tego wyszło... — proponował Jaśko z Tarnowa.

— Tych wysieka do nogi, a słać pomoc, znaczy dać się wciągnąć na tamtą stronę, czego właśnie nie wolno nam uczynić — odpowiedział wojewodzie Szafraniec.

Król Władysław chrząknął z lekka, toteż wszyscy zamilkli, czekając, co powie.

— Widzę, mości panowie, że przyjęliście otrzymaną wiadomość za pewną. Zupełnej jednak pewności nam brak, choć przyznaję, że wahawszy się początkowo i ja przekonany przez pana kanclerza pismo to uznałem za wiarygodne. Tym niemniej dobrze byłoby uzyskać jego potwierdzenie. W tym względzie pan kanclerz udzielił mi słusznej rady, przypominając, że nie

otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze warunki pokoju. Jest więc sposobna chwila, aby posła z takim zapytaniem wysłać, i jest moją wolą, aby to uczynić. Proszę przeto, abyście wskazali mi człowieka, któremu tę misję można by powierzyć. Dobrze byłoby, aby węgierscy posłowie go znali, bo do nich musi się udać, a skoro ich zastanie, będzie to oznaczało, że i Ulryk ze swoją armią tam jest. Gdyby jednak posłów nie zastał, ma dalej ich nie poszukiwać, ale wracać natychmiast. Oznaczałoby to, że pismo, jakie otrzymaliśmy, jest fałszywe albo piszący złe ma rozeznanie. — Król przerwał na chwilę, bo rozległ się szmer aprobaty. Przeczekawszy go, ciągnął dalej: — Umocnienia widzieliśmy jednak na własne oczy, co pozwala mniemać, że tak jest, jak ów człowiek nam donosi. Zatem już teraz oznajmiam wam swoje postanowienie w tym, co dalej będziemy czynić. Otóż nie chcę przyjmować bitwy w warunkach, które nam nie odpowiadają, i w miejscu wybranym przez nieprzyjaciela. Nie ma żadnej potrzeby ani przymusu, abyśmy decydującą o wszystkim bitwę przyjmowali właśnie tu. Wolę, aby wojska jeszcze zaznały trudów marszu, niżli podejmowały zbędne ryzyko, wobec czego postanawiam, abyśmy stąd zawrócili i nie przekraczali, lecz obeszlą Drwęcę, dopiero potem ruszając ku naszemu celowi, jakim pozostaje Malbork. Teraz więc radźcie,

panowie, nad ustaleniem szlaku, zaprowadzeniem porządku w marszu i przy zakładaniu obozów, ukracając w tym względzie wszelką samowolę. No i przede wszystkim nad wyborem posła, bo tego trzeba wysłać zaraz. Z wymarszem również trzeba się pośpieszyć, i to tak, aby zaraz pierwszego dnia odbić się od Drwęcy jak najdalej. Niech tabory ruszą jeszcze nocą, a wojsko przed świtem.

Po tych słowach rozległy się głosy uznania zdradzające, że ta roztropna i ostrożna decyzja trafiła zebrany do przekonania. Wszyscy byli zadowoleni, że w tej trudnej sytuacji rozstrzygnięcie wziął na swoje barki sam król.

— Kogo zatem wyślemy? — Wielki książę przesunął spojrzeniem po obecnych.

— Mam kogoś na myśli — odezwał się wojewoda Jaśko. — Wiem, że zna posłów węgierskich, bo bywał na ich dworze, mówi po niemiecku, a i roztropności mu nie brak.

— Kogo macie na myśli?

— Zwie się Korcborg. Jest rycerzem nadwornej chorągwi.

— Słusznie — odezwał się kasztelan. — I ja znam Piotra! Ten będzie dobry!

— Zatem każcie go zawiadomić, by przyszedł do mojej juty. Dostanie pismo i pouczenie. Idę tam teraz, a ty przyjdź do mnie, Witoldzie, z Mikołajem, jak skończycie naradę, abym wiedział, coście postanowili.

Niedługo potem rycerz Korcborg herbu Korcborg w asyście herolda i chorążego z białą banderą wyruszył z obozu. Kiedy zaś skończyła się narada, wielki ksiązę i kanclerz udali się do króla, by zdać mu sprawę.

Przede wszystkim powołano przed Radę dwóch rycerzy, a to Trojana z Krasnegostawu i Jan Grynwalda, o których wiadano, że pochodzą z Prus, okolicę więc dobrze znają. Tych przepytawszy ustanowiono przewodnikami wojska, a książę Witold rozkazał im pozostawać w marszu przy jego orszaku.

Po odprawieniu rycerzy zastanawiano się nad sposobami zaprowadzenia porządku. Tu z kolei okazało się, że opinia kanclerza nie była bez podstaw, kwestionowano bowiem wybór Zyndrama, zarzucając mu zbyt dużą bezceremonialność i nieliczenie się z godnością ludzi, którym wydawał polecenia marszowe. Zważywszy zaś, że nie piastował także zbyt wysokiego urzędu, Rada zmieniła królewską decyzję, ustanawiając dowódcą marszowym marszałka Zbigniewa. Że zaś miecznikowi przyznawano wielką energię i

sumiennosc, przeto uchwalono powierzyć mu nadzór nad zakładaniem i porządkiem obozów.

Ustanowiono też od razu zasady regulaminu marszowego, który ma być ogłoszony wojsku, jak również sygnały trąbą wzywające do zwijania namiotów, siodłania, dosiadanania koni i ruszania w drogę. Zabroniono zwłaszcza komukolwiek opuszczać obóz, zanim marszałek Zbigniew nie da na to znaku albo osobnego polecenia.

Dłuższą dyskusję wywołał wybór trasy. Ostatecznie uchwalono jednym dziennym marszem dotrzeć do Działdowa, a stamtąd znów skręcić na północ, przy czym w marszu do Działdowa przodem miały iść chorągwie koronne, a dopiero za nimi wojska litewskie. Gdyby bowiem nieprzyjaciół chciał ruszyć w

pościg za oddalającą się armią, ich zadaniem, jako bardziej zwrotnych, było wstrzymać pierwsze uderzenie i dać czas głównym siłom na przybranie bojowego szyku.

Ustanawiając trasę do Działdowa, Rada kierowała się troską, by nie obracać armii bokiem do nieprzyjaciela. Takie bowiem położenie stwarzało największe niebezpieczeństwo, większe Wielekroć niż uderzenie od tyłu, przed czym można było zabezpieczyć się siłami buforowymi, które dawały czas na uszykowanie się do walki reszcie armii.

W związku zaś ze zmianą kierunku marszu należało co rychlej postać gońców do tych taborów, które jeszcze nie dotarły na miejsce, podążając bądź innymi drogami, bądź zamarudziły po drodze, z rozkazami, by wozy zawróciły i ruszyły wprost na Działdowo.

Decyzje te spotkały się z pełną zgodą królewską. Natomiast sprzeciwił się Władysław postanowieniu Rady, by co najmniej do Płocka przygotować dla niego stacje rozstawnych koni na wypadek klęski wojska i konieczności ucieczki króla z pola bitwy. Zaprotestował przeciw temu gorąco, dowodząc, że wieść o tym osłabi ducha bojowego rycerzy. Kanclerz upewnił go jednak, że Rada wzięta to pod uwagę, rzecz będzie więc wykonana w głębokiej tajemnicy. Ostrożność ta jednak jest niezbędna, bo w razie niepowodzenia kraj nie może pozostać bez włodarza, który będzie musiał organizować obronę przed zwycięskim nieprzyjacielem, sięgając do rezerw i powołując pod broń wszystkich, którzy ją unieść potrafią.

Zważywszy wagę argumentów Jagiełło ustąpił, a kończąc rozmowę z wielkim księciem i kanclerzem zauważył:

— Słońce już chyli się ku zachodowi, a Korcborga nie widać. Możemy uważać to za znak, że znalazł węgierskich panów.

— A zatem i wielkiego mistrza — uzupełnił Witold.

PRZEPRAWIWSZY SIĘ BRODEM, a potem jadąc w asyście przydzielonej mu ochrony, Korcborg przyglądał się mijanym umocnieniom, przekonując się, że wiadomości, jakie miał król, w niczym nie były przesadzone. Zasieki były gęste i

mocne, a droga, którą go prowadzono, skręcała to w lewo, to w prawo, z czego domyślił się, że w ten sposób mijano zamaskowane doły.

Sam obóz, otoczony ziemnym wałem i broniony szeregiem wozów i ostrokołów, był przez jazdę nie do zdobycia. To dowodziło, że budowano go z myślą o walnej bitwie.

Zgodnie z żądaniem Korcborg został doprowadzony do namiotu węgierskich panów. Stał on na placu zajmującym środek obozu w pobliżu kaplicy i namiotu wielkiego mistrza, który można było poznać bez trudu po wbitym przed nim proporcu z czarno–żółtym krzyżem i czarnym orłem. Otaczał go sznur przywiązany do zatkniętych w ziemię pali. Ogrodzenie to było na tyle oddalone, by nawet stojący przy nim strażnicy nie słyszeli, o czym się mówi w namiocie.

Ścibor i Gara byli u siebie. Siedzieli za stołem w towarzystwie węgierskiego rycerza Frycza z Reptki. Na widok Korcborga wojewoda siedmiogrodzki stanął na nogi.

— Kogo widzę! Toć przecież się znamy, panie Korcborg!

— W istocie, wasza miłość. Tym bardziej rad tu się zjawiam z poselstwem od jego królewskiej mości Władysława.

— Z czymże przybywasz?

— Miłościwy pan pragnąłby wiedzieć, czy są nadzieje na zachowanie pokoju między nim a Zakonem. Podał on wam, miłościwi panowie, swoje warunki przed kilku dniami w Jeżowie, ale dotąd nie otrzymał na nie odpowiedzi. Toteż rozkazał mi, abym udawszy się do was o takową zabiegał, bo, jako rzekł, zanim miecze o siebie uderzą, należy być pewnym, że uczyniło się wszystko, by do tego nie dopuścić.

— Rzetelna to prawda! — zgodził się skwapliwie wojewoda.

— Przybyłem zatem, by upewnić się, czy wielki mistrz chce o pokoju mówić. Raczcie tedy, miłościwi panowie, zapytać go o to, bo mam przykazane wracać co rychłej.

— Toście, jak słyszałem, niedaleko nas obóz rozbili? — odezwał się Gara.

— Miłościwy pan uważał, że lepiej będzie, dopóki rozmowy o pokoju nie zostały wyczerpane, by rzeka obie poważnione strony rozdzielała. Ale też przybliżył się tak znacznie, aby je łatwiej było prowadzić.

— Mądrze to obmyślił — rzucił kurtuazyjnie Gara, jednak lekki uśmiech przewinął mu się przez usta.

— Ostańcie tu, pośle, i raczcie się winem z moimi towarzyszami, ja zaś udam się zaraz do wielkiego mistrza — oświadczył Ścibor.

Ulryk wiedział o przybyciu polskiego posła i, siedząc w otoczeniu zakonnej starszyny, z uwagą wysłuchał Ścibora. Na jego gorący apel, by jeszcze raz rozważyć wszystko i poniechawszy uraz, przystąpić do rozmów, a nie do walki, wielki mistrz spojrzął po otoczeniu i uśmiechnął się z lekka.

— Niezbyt pewny musi być Władysław swoich sił, skoro o pokój tak gorąco zabiega. Ja w swoje nie wątpię, nie odmawiam jednak jego prośbie. Ale że o poważną rzecz idzie, naradę muszę zwołać, na której ostatecznie już postanowimy, co słuszniejsze — pokój czy wojna. Powiedz tedy, wojewodo, posłowi, skoro prędko musi wracać, że rychło go powiadomimy o naszej decyzji.

Istotnie wielki mistrz kazał zaraz przywołać do swego namiotu radę zakonną i wszystkich komturów. Zebrali się więc poza starszązną komturowie: toruński, gniewski, nieszawski, tucholski, starogardzki, grudziądzki, gdański, pokrzywnicki, brodnicki, ostródzki, brandenburski i inni.

Narada nie trwała dłużej jak godzinę z powodu zupełnej zgodności poglądów zebranych. Nikt, poza komturem Gniewu von Wendem, nie przemówił za pokojem. Wojny pragnęli wszyscy, słyszeć nie chcąc o jakichkolwiek rozmowach, gdyż nienawiść, pewność własnej przewagi i żądza krwi zgasiły wszelki rozsądek, nie dopuszczając do spokojnego rozważenia sprawy.

W miarę coraz ostrzejszych i coraz gwałtowniejszych wystąpień kolejnych mówców, z których przebijała pewność siebie, buta, pogardliwe

lekceważenie przeciwnika, niezachwiana wiara w sprawność własnej maszyny wojennej, jak i moc posiadanych relikwii, twarz wielkiego mistrza rozpogadzała się coraz bardziej. I on bowiem pragnął wojny, tak z przyczyn politycznych, jak i

na skutek własnego upodobania w rycerskim działaniu i walce. Zamknąwszy więc obrady, prosił wielkiego marszałka, by udał się do węgierskich panów i powiedział im, że chętny byłby do rozmów z polskim królem, gdyby ten pozostał w granicach swego państwa, ale nie teraz, kiedy je przekroczył, paląc zakonne miasta i wsie. Skoro jednak tak uczynił, on, wielki mistrz, inaczej nie chce tych pożarów ugasić jak tylko krwią napastników.

Wielki marszałek, przybrawszy dwóch komturów, by byli świadkami wierności odpowiedzi, ruszył zaraz spełnić powierzoną mu misję.

Wrócił wkrótce w towarzystwie Ścibora, który wstrzymał posła, chcąc dokonać jeszcze jednej próby uśmierzenia buty swoich zakonnych przyjaciół. Zastał w namiocie wielkiego mistrza prawie wszystkich uczestników narady, toteż prosił Ulryka, by pozwolił mu do nich przemówić. Wielki mistrz, nie chcąc zrażać sobie posła, bo właśnie kończył z nim rozmowy o współdziałaniu Zygmunta, udzielił mu głosu, wiedząc zresztą z góry, że niczego to już nie zmieni.

Istotnie przemówienie Ścibora nie odniosło skutku. Wezwał on wprawdzie gorąco Zakon, by zmienił stanowisko i uwzględnił również i mgnienie Zygmunta zachowania pokoju, przyjmując jego pośrednictwo w sporze, ale przemówienie to spotkało się jedynie z docinkami i urągliwymi uwagami. Powstały tumult uciszył nieco hrabia Wende, jeszcze raz zabierając głos. Przemówił spokojnie i bez popędu, samym tonem słów usiłując uspokoić nastrój zapalczą nienawiści, jakiej ulegli rycerze zakonne.

— Jako jeden ze starszych wiekiem — rozpoczął, przeczesując palcami istotnie mocno już szpakowatą brodę — więcej od innych widziałem, a przeto większe mam doświadczenie. Często bywa, że wojska staną naprzeciw siebie, a mimo to wodzowie, słuchając rozumu, a nie zapalczowości, pokój ze sobą zawierają i rozchodzą się bez bitwy. Nie ma bowiem większego ryzyka jak wojna, bo los ma tu największą sposobność czynić niespodzianki. Toteż zastanówcie się jeszcze, bracia, nad wezwaniem dostojnego wojewody, bo lepszy godziwy pokój niżli niepewne zwycięstwo, o którym stanowiąc dopiero będzie ów kapryśny los.

Chciał mówić coś jeszcze, ale przerwał mu von Tettingen, poczerwieniały na twarzy z ponoszącego go gniewu.

— Szkoda, komturze, żeś nie pozostał na swoim zamku w Gniewie, bo nie wiem, czy będzie miał z ciebie Zakon pożytek w walce! Widzi mi się bowiem, żeś bardziej zdatny do pielęgnowania chorych niż do bitwy!

Mimo tak obraźliwych słów von Wende nie dał się wyprowadzić z równowagi i odpowiedział spokojnie:

— Jednak obstaję przy tym, com rzekł. Ale choć doradzam pokój, to jeśli za dopuszczeniem Bożym do walki przyjdzie, potrafię stanąć w niej godziwie. Ty zaś bacz, abyś z tej bitwy, do której tak gorąco dążysz, jak tchórz nie umknął...

Von Tettingen, słysząc te słowa, zerwał się na nogi, ale wielki mistrz uspokoił go skinieniem ręki, gdyż znów zabrał głos Ścibor:

— Ostrzegam was, byście nie odrzucali pokoju, jeśli jest on możliwy i nieprzyjaciel go wam proponuje! Widzę, że zbyt ufacie we własne siły, lekceważąc Polaków! Strzeżcie się jednak, bom widział armię Władysława i mogę śmiało rzec, że potężniejsza ona od waszej!

Na to ostrzeżenie von Jungingen zacisnął pięść i uderzył nią w blat stołu.

— Mówisz jak Polak! — zawołał rozzłoszczony tym, co usłyszał. — Przecież wiemy, że pochodzisz z kujawskiej ziemi, toteż w istocie boisz się, że to wojsko rozbijemy jednym ciosem!

Na te słowa wielkiego mistrza komturowie zerwali się na nogi, wołając:

— Precz z pokojem! Wojna Polakom i śmierć! Wojna im! Wojna!

Ścibor powiódł wzrokiem po rozognionych twarzach i, nic już nie mówiąc, skłonił się przed wielkim mistrzem, po czym opuścił namiot.

Po powrocie zaś do siebie już bez przekonania zapewnił Korcborga, że wraz z Garą nadal będą usiłowali ostudzić rozgrzane umysły Krzyżaków i nazajutrz przyjedzie do polskiego obozu któryś z nich, aby donieść, na czym ostatecznie stanęło. Czyniąc tę obietnicę, Ścibor nie tylko sprawę pokoju miał na myśli.

Korcborg wrócił do śpiącego już obozu i zaraz doniósł królowi o wynikach poselstwa, jak i poczynionych obserwacjach.

ZACZĘŁO ZALEDWIE SZARZEC, kiedy rozległ się przyciszony sygnał trąby.

Niedługo potem zabrzmiał drugi i pierwsze chorągwie zaczęły

opuszczać miejsce postoju ogołoczone już z namiotów, posuwając się za mniejszą banderą królewską, którą miał przy sobie marszałek Zbigniew.

Obóz zwinięto sprawnie pod osobistym dozorem Zyndrama, a w parę godzin potem ruszyło i wojsko, rozpoczynając szybki odwrót.

Posuwano się znanym już szlakiem aż do Ludborza. Dalej droga się rozwidła: na prawo biegła ku Mazowszu, na lewo prowadziła do Działdowa.

Za koronnymi chorągwiami i Litwą pod wodzą samego kniazia Lingwena szła straż tylna, pilnie bacząc za siebie i z napotkanych wzgórz obserwując okolicę dookoła. Takie zadania książę poruczał rycerzom znanym z dalekosiężnego wzroku.

Zyndram zaś ponaglał tabory, nie dając koniom wytchnienia.

Niebo było bezchmurne, toteż upał panował nieznośny. Mokre od potu konie, poganiane krzykami woźniców, a często i razami batów, wypierały już z piersi ostatni dech, kiedy wreszcie koło południa dotarło do wsi Wysoka leżącej niedaleko Działdowa. Na rozkaz wielkiego mistrza zamek w Działdowie opuściła załoga krzyżacka, ściągnięta ku głównym siłom, a miasto bez walki oddali mieszczanie w polskie ręce, pamiętając jeszcze zniszczenie, którego dokonał książę Ziemowit w ubiegłym roku, mszcząc się za najazd krzyżacki na jego ziemię.

Z tej więc strony niebezpieczeństwo nie groziło i można było pozwolić wojskom na wytchnienie po uciążliwym marszu. Na wniosek swojej Rady król zgodził się na odpoczynek, tym bardziej że należało czekać na dołączenie tych taborów, które zawrócone z drogi jeszcze nie przybyły.

W ciągu tych dwóch dni, a był to piątek i sobota jedenastego i dwunastego lipca, odbywano częste narady. Przybył też zapowiedziany przez Ścibora wysłannik, który prosił o poufne posłuchanie. Król zaciekawiony był tą prośbą, jak i powodem poselstwa, bo nie spodziewał się już żadnej odpowiedzi.

Jednocześnie zaniepokoił się, że wysłannik tak szybko i bez trudu go znalazł, co dowodziło, że w obozie krzyżackim znano kierunek jego odwrotu.

Posel Frycz z Reptki zaczął od zapewnienia, że panowie węgierscy zrobili wszystko, co było w ich mocy, by do przelewu krwi nie dopuścić. Przyznał jednak, że bracia zakonnicy uniesieni pychą i zawziętością wszystkie te usiłowania udaremnili, nie zgadzając się ani na rozmowy bezpośrednie, ani na pośrednictwo jego pana, króla Zygmunta.

— Żądni są krwi i walki — mówił dalej Frycz — ale to mówię tylko w swoim imieniu, abyście wiedzieli, jak sprawa stoi. Co teraz zaś powiem, to już w imieniu panów posłów, którzy przy Zakonie majestat węgierskiego króla i namiestnika rzymskiego Zygmunta zastępują. Pan mój i władca król Zygmunt z Zakonem pozostaje w przyjaźni i paktami z nim jest związany. Również jako namiestnik państwa rzymskiego, zatem opiekun Zakonu, w obecnym niebezpieczeństwie odstąpić go nie może. W imieniu więc jego posłów składam Waszej Królewskiej Mości ten oto list wypowiedni, w którym król Zygmunt przyjaźń wam wypowiada, wojnę po stronie Zakonu oznajmiając.

Król przyjął pismo, przekazując rulon kanclerzowi. Ten rozerwał go i przebiegł szybko wzrokiem, po czym spojrzał na posła.

— Pismo dane w Budzie dwudziestego pierwszego czerwca, Wasza Królewska Mość — rzucił półgłosem kanclerz, zwracając się do Jagiełły.

Król zmarszczył brwi i odezwał się opryskliwie:

— Toście trzy niedziele je wieźli, panie posle?

Frycz uśmiechnął się z lekka.

Dostałem je od panów posłów wczoraj.

— A kiedy panowie posłowie dostali krzyżackie złoto? Zapewne również wczoraj? — spytał z ironią król.

— O tym nic nie wiem — odpowiedział Frycz, ale jego kpiące spojrzenie mówiło więcej niż ta ostrożna odpowiedź.

Kanclerz, spostrzegłszy to spojrzenie, odezwał się:

— Jesteśmy na poufnym posłuchaniu, panie pośle, i nic z tego, co tu mówimy, nikomu nie będzie wiadome.

— Dlatego o takie prosiłem. Sądziłem bowiem, że będziecie woleli tego listu nie rozgłaszać. Zresztą uzyskałem na to zgodę panów posłów.

— Mądrze i zgodnie z przyjaźnią, w jakiej dotąd żyliśmy, postąpiliście i wy, panie, i węgierscy panowie. Czy wszystko im wypłacili? — Pytanie zadane zdawkowym tonem padło bezpośrednio po ostatnich słowach.

Frycz zawahał się chwilę, ale odpowiedział:

— Połowę.

— A resztę?

— Mają wkrótce dać w Gdańsku.

— To znaczy wiele?

— Dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych.

Jagięłło roześmiał się.

— Drogo ten papier kosztował Zakon! Czterdzieści tysięcy czerwonych złotych. Ładne wojsko będzie mógł Zygmunt za te pieniądze wystawić przeciw nam!

— Ma on pilniejsze wydatki, miłościwy panie, toteż nie sądzę, aby to uczynił.

— To się okaże. Nie na dzisiejszy dzień to kłopot, z którym jakoś sobie poradzimy...

— Jeśli już szczerze ze sobą gadamy, to wyznam, że bardziej Zygmuntovi o krzyżackie złoto chodziło niżli o wspomaganie Zakonu, bo list wypowiedni, przygotowany w Budzie, kazał wam doręczyć tylko wówczas, jeśli dostanie zapłatę. A Zakon, wedle mego rozeznania, słabszy siłami od was i jeśli w postanowieniu orężnej rozprawy trwać będziecie, nie wątpię, że zwycięstwo będzie po waszej stronie.

— Widzę, że mimo wszystko jesteście nam przyjacielem — zabrał głos król. — Wojna z Zygmuntem w obecnej chwili nie byłaby mi po myśli, ale nawet mając wolne ręce, nigdy o niej nie myślałem, bom nie wasz ani Zygmuntowy wróg. Gdyby jednak chciał nam zadać cios w plecy, myślę, że zdążę jeszcze obrócić się ku niemu. Nie zaprzatajmy sobie jednak uwagi tą sprawą, którą Bóg jak zechce, tak pokieruje. Powiedz mi raczej, czy wielki mistrz spodziewał się, że odstąpimy od przeprawy?

— Z tego, co wiem, to nie. Był zaskoczony waszą decyzją, bo sądził, że nie zdołacie dokonać zwrotu tak wielką armią. Liczył też, że ulegiecie zapalczywości i będziecie usiłowali przejść Drwęcę, za którą przygotował na was pułapkę. Toteż w złości szydził, żeście ze strachu przed nim uciekli, nawet konie pozostawiwszy.

Jagiełło uśmiechnął się.

— Od jego szyderstw boleści żadnych nie czujemy... A konie, jeśli i jakie zostały, to niech je sobie weźmie od nas w darze. Tyle że pociechy wielkiej nie będzie z nich miał, bo chore były.

— Tak też co rozsądniejsi mówili, miłościwy panie.

— A skądżeś wiedział, gdzie nas szukać? Sądząc po czasie, w jakim przybyłeś, kierunek naszego marszu był ci wiadomy.

Z kolei uśmiechnął się Frycz.

— Krzyżacy wystali za wami podjazdy i zasięgali języka na drogach, toteż nie potrzebowałem się błąkać, by do was dotrzeć.

— Tak żem myślał. Wypocznijcie do jutra, panie pośle, a potem ruszajcie do swoich, a i my ruszymy, by spełnić los, który nam Bóg wyznaczył.

WIELKI MISTRZ BYŁ ISTOTNIE i zaskoczony, i rozżłoszczony odwrotem polskiej armii znad Drwęcy, o czym już wiedział we wczesnych godzinach rannych jedenastego lipca. Natychmiast wystali więc podjazdy za odchodzącym wojskiem, polecając dostarczyć wiadomości o kierunku marszu Polaków do Bratian, dokąd sam ruszył wszystkimi siłami jeszcze tego samego dnia.

Stanął ze starszyzną na zamku, rozkazując armii rozłożyć się nieco wyżej nad Drwęcą i przygotować do przeprawy.

Domyślając się zamiarów Jagiełły, postanowił jak najszybciej zastąpić mu drogę i, rozgromiwszy w walnej bitwie, nie dopuścić do zniszczenia kraju. Aby zatem, idąc na to spotkanie, nie przekraczać Drwęcy i Welu, które łączyły się pod Bratianami, polecił przygotować przeprawę powyżej zamku i wybudować w tym celu dwanaście mostów.

Gorączkowo przystąpiono do ich budowy, nie przerywając prac nawet nocą. Rozpalono na brzegach kilkaset ognisk i przy ich świetle cieśle i przydatni im pachotkowie zwijali się, by zgodnie z rozkazem przeprawa mogła się odbyć następnego dnia.

Tymczasem wielki mistrz zebrał zakonną radę dla zastanowienia się nad trasą dalszego marszu. Poniechał bowiem ścigania uchodzącego nieprzyjaciela, co radzili mu bardziej zapalczywi komturowie, gdyż uznał to za zbyt ryzykowne. W wyniku tej decyzji należało teraz ustalić dalsze kroki, bo Ulryk zaczął domyślać się, że polski król zamierza obejść Drwęcę, a chcąc iść na Malbork, musi skierować się na Ostródę. Prowadziły ku niej z północy dwa szlaki — jeden na Nidzicę, o której już było wiadomo, że jak Działdowo poddała się Polakom, i dalej, na Olsztynek, drugi bliżej ku zachodowi, z Działdowa na Dąbrówno. W okolicy jeziora Lubień przestrzeń między tymi dwoma szlakami wynosiła około trzech mil, zajęcie więc pozycji w trójkącie Frygnowo, Stębark i Grunwald pozwalało kontrolować obydwie te trasy i po rozpoznaniu, którą wybrał nieprzyjaciel, zastąpić mu drogę i w ten sposób zmusić do przyjęcia walnej bitwy. Marsz zaś do tego trójkąta zabezpieczała

Krzyżakom twierdza Dąbrówno, można więc było nie obawiać się bocznego uderzenia.

Uchwaliwszy taki plan, Ulryk na pierwszy postój wyznaczył Lubawę, nakazując jednocześnie wysyłanie podjazdów i dokonywanie napadów na wozy taborowe, by w ten sposób wprowadzić zamieszanie w nieprzyjacielskiej armii i mieć wiadomości o kierunku jej marszu.

ZGODNIE Z TRASĄ WYTYCZONĄ przez radę wojenną król ruszył z Działdowa na północ, w kierunku Dąbrówna.

Dzień wstał niezwykle upalny. Niebo było czyste, najmniejszy powiew wiatru nie chłodził rozgrzanego powietrza. Konie szły z opuszczonymi łbami, noga za nogą krocząc po rozpalonej, wyschniętej ziemi. Koła wozów toczyły się po niej z głuchym łoskotem, któremu towarzyszyły pokrzykiwania woźniców poganiających zmordowane upałem zwierzęta.

Rycerze pozdejmowali kubraki, odrzucając je na wierzchowce dźwigające zbroje, i jechali w samych koszulach, nie zważając, że każdej chwili może się odezwać sygnał trębacza wzywający do stawania w szranki.

Droga wiła się, omijając wyniosłości terenu. Zieleń pól zszarzała, a żółknące już zboża chyliły ku ziemi kłosa, jakby i one uległy niemocy od bijącego z góry ognia.

— Niedługo będziemy mieli burzę — przerwał milczenie Czarny, ocierając rękawem koszuli mokre od potu czoło.

— Przestań — fuknął Rudy, jadący obok. — Na myśl o deszczu pragnienie doskwiera mi w dwójnasób!

Czarny splunął, bo kurz wznoszony przez idące przed nimi konie zaczął mu zgrzytać między zębami.

— Do Dąbrówna już chyba niedaleko, a tam na pewno rozbijemy obóz nad jeziorem. Nie wyjdę z wody aż do wieczora, póki ten piekielny ogień nie zelżeje... — westchnął.

— Jeśli wcześniej brodacze gorszego pod tyłek ci nie podłożą!

— Być to może, bo dziś marszałek podjazdy wysłał w różne strony — oświadczył Czarny.

— Jeśliby nas zaskoczyli, byłoby źle...

— Zaskoczyć się nie damy. A jak przyjdzie do bitwy, zobaczysz, jakie z nich wióry polecą!

— Nie wiem, jak będzie z tymi wiórami, bo jak ciebie zabraknie, możemy brodaczom nie sprostać. Chyba że twój proboszcz zmienił polecenie.

— Nie zmienił — burknął gniewnie Czarny. — On swoich poleceń tak lekko nie zmienia. Jeszcze wczoraj go o to zagadnąłem.

— Nie trap się — pocieszył towarzysza Rudy, widząc, jak ten zmarkotniał — bo nie wiadomo, co w czasie bitwy może się zdarzyć. Możesz mieć więcej roboty niż w którejś z odwodowych chorągwi.

— Oby tak było! Bo takiej okazji odpłaty za Zytę i Unę tak prędko nie będę miał.

— Co też nasze niewiasty porabiają w tej Sośnicy? — westchnął Rudy, przesuwając spojrzenie po przestrzeni pól. Potem przeniósł wzrok na spocone końskie zady i plecy jadących przed nimi rycerzy, również mokre od potu, który ciemnymi plamami wystąpił na ich koszulach.

— Una kłóci się z matką, a Zyta, wiadomo, szykuje się do klasztoru... — Czarny spojrzał kpiąco na przyjaciela.

— Dowcipniś! — mruknął ten, usiłując złapać gza buczącego wokół szyi jego konia.

Jeszcze dwie godziny musieli prażyć się na spiekocie, zanim wydostawszy się na wzniesienie terenu, nie ujrzeli przed sobą skrzących się w słońcu tafli jezior, poprzerywanych miejscami zielenią szuwarów i łąk. Za tymi połyskliwymi skrawkami wody drgał w falującym powietrzu zarys rozciągniętego miasta, siny z oddalenia, z wystającymi ku górze konturami baszt i kościelnych wież.

Po krótkiej już jeździe wyłoniły się zza wzgórza kępy drzew, a za nimi pas wody. Była to odnoga jednego z dwóch jezior, pomiędzy którymi leżało Dąbrówno otoczone pasem bagien i mokradeł.

Konie, poczuwszy wodę, przyspieszyły kroku. Teraz trzeba je było wstrzymywać, by nie zakłócić porządku marszowej kolumny. Ta zjechała z drogi i wkrótce zaczęła rozbijać się na poszczególne człony. Chorągwie wjeżdżały pomiędzy ustawiające się w szereg wozy, które Zyndram kazał stawiać półkolem.

Umacniano je łańcuchami, otaczano rowem i ziemnym nasypem, boki wspierając o brzegi jeziora.

Po posiłku i urzędzeniu się w namiotach grupy rycerzy opuścili obóz, kierując się ku widniejącym o pół mili murom miasta.

Upał zaczął folgować, gdyż pora była już przedwieczorna. Zbliżywszy się ku miastu, rycerze stwierdzili, że mury miało mocne, gęsto wzmocnione basztami, i było otoczone zewsząd bagnami, przez które biegły tu i ówdzie wąskie strumienie ku rozciągającym się nieco dalej jeziorom. Jedyne zaś pas suchej gruntu, którym biegła droga ku jednej z miejskich bram, przecięty był głębokim rowem i zabezpieczony szańcem i zasiekami. Gdy zaś co zapalczywi zbliżyli się do tych umocnień, sygnęli się ku nim rój strzał.

Niektórzy ze śmiazków padli na ziemię.

Te pierwsze ofiary nie odstraszyły innych, a przeciwnie — rozpały nagły gniew i pragnienie zemsty. Na widok padających towarzyszy reszta rycerstwa wyszarpnęła z pochew miecze i z wraskiem ruszyła na zasieki.

Krzyk i szcęk broni dotarł aż do obozu. Na ten odgłos porwano się na nogi. Co młodszy ruszyli ku miastu, by wspomóc swoich, gdyż widać już było, że doszło tam do jakiejś walki. Wkrótce też przyszło potwierdzenie tego domysłu, bo przylecieli wysłańcy, wołając o topory i drabiny.

To już stało się ogólnym sygnałem do chwycenia za broń. Poniechali tego jedynie co starsi i dostojniejsi rycerze, rozumiejąc, że toczy się jakaś mało ważna potyczka pod murami. Ale obozowa załoga, ciury i pachotkowie nie mogli wstrzymać bojowej ochoty i nadziei na rabunek, sięgnęli do wozów po haki, drabiny, tarcze, topory i ruszyli biegiem ku walczącym.

Na początku potyczki pierwsze oddziały rzuciły się na zasieki z taką szybkością i zapalczywością, że od razu sforsowały rów, wdarły się na szańce i rozpoczęły wybijać ich obrońców. Jakoż nie upłynęło i parę pacierzy, jak nikt żywy z nich nie został.

Ten sukces jednak o mało nie stał się dla zwycięzców powodem zguby.

Na widok bowiem upadku szańca otwarto furtę przy bramie i wysypał się z niej rój zbrojnych knechtów.

Nowa bitwa rozgorzała na przedbramnym placu. Załoga miasta wyległa na mury i krzykami zachęcała swoich do walki. Z wolna też, ze względu na znaczną przewagę sił, Krzyżacy zaczęli wypierać Polaków, spychając ich ku szańcowi, by tam wybić resztę.

Wtedy to właśnie nadbiegły posiłki i sytuacja zmieniła się od razu. Knechci pod razami mieczów zaczęli padać coraz gęściej, potem cofać się, aż wreszcie rzucili się do ucieczki, zmierzając ku zbawczej furcie.

Jednak tylko nielicznym udało się dopaść jej w porę i ujść zgubie. Na widok bowiem pędzących za nimi rycerzy polskich obrońcy zatrzasnęli furtę, skazując tym samym na śmierć wszystkich, którzy przed nią zostali.

Przybyła odsiecz miała już ze sobą drabiny, tarcze i haki. Zaraz też, nie czekając na zakończenie walki pod bramą, poczęto je ciągnąć pod mury. Te więc z nagłą ożyły. Poleciał z nich grad pocisków i strzał, zaszumiały wyrzucone z balist kamienie, a wreszcie rozległ się grzmiący huk bombard, po którym blanki osnuły się chmurami dymu. Ogień ten był skuteczny, bo wąski pas suchego łądu spowodował, że rycerstwo szło ku murom gęstym tłumem.

Widząc to, napastnicy rozproszyli się na boki, zagłębiając się w trzciny zarastające mokradła. Wprawdzie ten i ów wpadł w nie po pas, ale ręce towarzyszy wyrywały go szybko i wojowie, rozlawszy się szeroką ławą, przedzierali się ku murom, nie zważając na trzęsawiska i zdradzieckie bagna. Gdzie bowiem miejsca były zbyt niebezpieczne, mimo trwających ostatnio upałów, kładli drabiny i skacząc po szczęblach, niestrudzenie parli do przodu. Wreszcie pierwsi wojowie dotarli do suchego gruntu, na którym stały mury, i dźwigając drabiny, poczęli je wznosić ku górze.

Między nimi był Dzieweczka. Zbrojny w porwaną jeszcze w obozie któremuś z wojów maczugę rzucił się ku jednej z drabin, które już właśnie przyparto do muru. Z obu stron przytrzymało je hakami kilku pachołków, by nie dopuścić do obalenia.

Mury w tym miejscu były niższe niż koło bramy. Zabezpieczały je bagna, a więc nie liczono się z napaścią z tej strony, i obsadzono je mniej liczną załogą. Starczyło jej jednak, by rzucać na wspinających się kamienie i razić ich z kusz.

Dzieweczka miał jednak szczęście, gdyż pociski przeleciały obok niego, widać rzucone w zbyt dużym pośpiechu i dlatego mało celne. A w krótką chwilę potem olbrzym był już u szczytu, chwycił się blanki i skoczył poza nią. Tam zaś pierwszym, który mu zastąpił drogę, był rycerz z czarnym krzyżem na tunice skrywającej zbroję — dowódca tej części murów. Jego widok sprawił, że serce Dzieweczki ogarnęła wściekłość, ta zaś z kolei dodała szybkości jego ruchom.

Ujrzał, jak długi, błyszczący miecz uniósł się w górę, by spaść mu na nieosłoniętą niczym głowę. Ale o chwilę wcześniej jego maczuga w strasznym zamachu od boku dosięgła rycerza, dosłownie zmiatając go z

murów. Niby wystrzelony z katapulty poleciał w dół, gdzie na widok jego białej powiewającej w powietrzu tuniki rozległ się krzyk tryumfu.

Był to przełomowy moment ataku. Widok lecącego z murów Krzyżaka stał się podniecającą dla wdrapujących się po drabinach rycerzy i zachętą do wzmożenia wysiłku.

Dzieweczka nie miał jednak czasu na przyglądanie się pokonanemu rycerzowi, gdyż przyszło mu stanąć przed tłumem knechtów tłoczących się na wąskim pasie murów. Od ich pierwszych ciosów zdołał się jednak uchylić, a potem nowym, strasliwym zamachem maczugi oczyścić najbliższą przestrzeń przed sobą. Nacierający zatrzymali się w trwodze przed siłą ciosów olbrzyma.

Tych paru krótkich chwil przerwy w walce starczyło, by na mury wdarli się następni wojowie. Z dzikim wrzaskiem triumfu zaczęli przecierać przed siebie i sieć mieczami zupełnie już przerażonych knechtów. Z tyłu napływały wciąż posiłki, bo i z pobliskich drabin wyskakiwali za blanki coraz nowi napastnicy i parli naprzód wzdłuż murów, zmiatając przed sobą wszelki opór, który nie był już tak zawzięty jak uprzednio, bo strach coraz silniej obezwładniał zbrojne ramiona. Rozczłonkowanie obrony od razu dało przewagę szturmującym z dołu. Już widać było, jak coraz liczniej wskakują oni na mury i razami mieczów torują drogę wspinającym się za nimi towarzyszom.

Wkrótce bitwa przeniosła się z korony murów na wewnętrzne podmurze. Kilku pachołków rzuciło się ku bramie. Odwalono belki zawierające wrota, pchnięto ich skrzydła i do miasta falą wdarł się tłum zdobywców.

Nie okazywano nikomu litości. Ulice wypełniły bojowe krzyki wojów i wrzaski mordowanych. Padali pod razami mieczów nie tylko pozostali przy życiu obrońcy, którzy cofali się w głąb miasta, ale i jego mieszkańcy, gdyż już wdzierano się do domów, poszukując zdobyczy i kobiet.

Nie tylko jednak żądza i chciwość podniecały napastników. Głównym uczuciem była nienawiść i pragnienie zemsty, hodowane w sercach przez długie dziesiątki lat, a ostatnio znów rozpalone losem nieszczęsnej ziemi dobrzyńskiej. Kiedy więc tłum opętanych strachem mieszczan, nie widząc dla siebie ratunku, schronił się do kościoła w nadziei, że napastnicy uszanują Boży przybytek, zawarto za nimi wrota i podpalono świątynię.

Również i nad dachami domów tu i ówdzie ukazały się już pióropusze dymów, a wraz z nimi bił w górę jeden wielki krzyk — lament mordowanego miasta.

Tych zaś, których nie dosięgły zmęczone już ramiona lub którym udało się ocalić życie dzięki ruchowi palców naśladowujących liczenie pieniędzy i wołanie „zahle”, zagoniono do obozu.

Tam jednak król polecił oddzielić krzyżowych rycerzy i co znacniejszą szlachtę i nałożyć im pęta. Resztę zaś rozkazał puścić, przydając straż ochronną, by rozognione walką i nienawiścią rycerstwo nie wysiekło uwolnionych.

Napastnicy nie zawiedli się w swoich nadziejach na zamożność miasta. Nie tylko bowiem mieszkańcy Dąbrówna byli zamożni, ale schroniło się tu wiele okolicznej szlachty, co bogatszych kmieci i kupców z całym swoim dobytkiem w przekonaniu, że miasto jest dobrze warowne i ma liczną załogę. Zakon bowiem liczył się z możliwością polskiego napadu, a doceniając znaczenie tej twierdzy, umocnił ją należycie i zaopatrzył, przygotowując nawet do długotrwałego oblężenia. Rozumiano bowiem, że w dalszym marszu polski król nie mógł pozostawić za swoimi plecami tak silnego punktu oporu.

Toteż zdobywcy znaleźli na miejscu ogromne zasoby i sprzętu, i żywności. Długo więc trwał rabunek i ściąganie zdobyczy do obozu. Król ucieszony zdobyciem miasta kazał wysłać wozy w celu przywiezienia przede wszystkim żywności i uzupełnienia nadwątlnych już własnych zapasów. Aby zaś uporządkować i rozdzielić taborom te zasoby, postanowił przedłużyć postój o jeden dzień.

W obozie do pozna trwał gwar i szum rozmów. Opowiadano zdarzenia bitewne, chwalono się zdobyczą, pokazując ją sobie, wymieniając lub odsprzedając za byle grosze.

Była już blisko północ, kiedy wreszcie obóz z wolna pogrążył się w nocnym spoczynku. Jedyne straże zaciężnych oddziałów, rozstawione w dwie linie daleko od postoju wojsk, pilnie nadstawiały uszu i penetrowały wzrokiem okolice zalaną księżycowym blaskiem. Groźba bowiem krzyżackiej napaści teraz już stale wisiła nad głową.

Czarny, który nie brał udziału w zdobywaniu miasta, gdyż na to porwała się przede wszystkim biedniejsza brać, niezbyt też interesował się zdobycznym dobrem. Położył się więc spać wcześniej od innych, jak zwykle pozostawiając w namiocie palącą się latarnię.

W pewnej chwili obudził się i obróciwszy na plecy, leżał, wsłuchując się w ciszę nocy. Z półmroku wnętrza dochodził go równy oddech śpiącego Jaksy i pochrapywanie Jurgi i Włodka.

Później do tych głosów doszedł jeszcze jeden, ale z zewnątrz. Było to ciche stąpanie. Ktoś skradał się wzdłuż namiotu, kierując się ku płachcie zasłaniającej wejście.

Czarny nasłuchiwał tylko przez moment, po czym zerwał się na nogi, sięgając po miecz. Nie spuszczał przy tym wzroku z wejścia, gdzie po chwili uchyliło się płótno i na ciemnym tle nocy ukazała się twarz Kostura, który na widok Czarnego rzucił cicho:

— Jest w obozie. Przed chwilą zawiodłem go do namiotu Sarnowskiego.

Czarny bez słowa sięgnął po kaftan, budząc jednocześnie pachotków.

Ci, obyci z nocnymi alarmami, błyskawicznie przypasali mieczyki. Natomiast Jaks, który obudził się również, nie wydawał się zbyt przejęty tą krzątaniną.

— Co się stało? — rzucił sennym głosem.

— Mamy gościa w obozie. Idziemy go powitać... — objaśnił Czarny.

Teraz dopiero Rudy zerwał się z posłania.

— Idę z wami! — zdecydował, naciągając kurtkę i sięgając po miecz. — Dawno przybył?

— Przed chwilą — objaśnił Kostur. — Kazał mi odprowadzić się na miejsce i wracać.

— Prowadź — rozkazał Czarny. — Zbyt nie spieszyć się nie potrzebujemy, bo na parę słów nie przybył.

Poprzedzani przez Kostura ruszyli z namiotu. Księżyc stał w pełni na bezchmurnym niebie, oświetlając obóz widmowym światłem, przy którym wszystko widać było na znaczną odległość. Jezioro zamykające półkole wozów lśniło w tyra świetle srebrną taflą, środkiem której szła mieniąca się ścieżka blasku.

Namioty znaczniejszych wielmożów i zagranicznych wodzów stały za królewskim i wielkoksiążęcym niedaleko jeziora. Tu znajdował się i namiot Sarnowskiego, który Czarny znalazł wzrokiem od razu, gdyż przez jego płótno przebijało światło.

Teraz on z kolei objął przewodnictwo. Zatoczył koło i dotarł do brzegu jeziora, tędy zbliżając się ku migającemu światłu.

Wkrótce zatrzymała ich warta z wewnętrznej służby, ale tej podali hasło. Sytuacja skomplikowała się jednak, kiedy zbliżyli się do namiotu dowódcy.

Stojący tam strażnik na ich widok zerwał z ramienia kuszę. Oparłszy nogę o strzemię, jednym szarpnięciem haka naciągnął cięciwę i wymierzył broń w ich stronę, rzucając po czesku:

— Stój!

Czarny, podziwiając w duchu sprawność, z jaką zaciężny woj przygotował kuszę do strzału, warknął:

— Stul mordę! — Potem jednak podał hasło i, nie zatrzymując się, podszedł do wartownika.

— Nie zbliżaj się! — wykrzyknął ten, unosząc kuszę.

— Nie przeszkadzaj, bośmy na królewskiej służbie! — próbował uspokoić go Czarny, obserwując jednocześnie, jak Włodek i Jurga nieznacznie zbliżają się do wartownika z tyłu. — Potrzebny nam ten człowiek, który przybył do twego dowódcy!

— Wywołam go, jemu to powiedz!

— Ani się waż! — Czarny postąpił krok do przodu. — Bo mi go spłoszysz!

— Nie dopuszczę bliżej! Odstąpcie! — Z kolei strażnik cofnął się, nie widząc pachołków, którzy znaleźli się tuż za nim. Czarny skinął lekko głową i dwie pary rąk chwyciły woja, który w jednej chwili miał knebel z własnej czapki w ustach, a ręce skrępowane rzemieniem. Czarny złapał kuszę, odszukał bełt, który wysunął się z koryta, i założywszy go na miejsce, polecił pachołkom:

— Zwiążcie mu również nogi i złóżcie na ziemi, a potem baczcie na namiot od tyłu! Jaksą, chodź!

Czarny zbliżył się do wejścia i skinieniem ręki wskazał towarzyszowi miejsce po drugiej jego stronie.

Jednakże jakieś odgłosy tego zajścia musiały dotrzeć pod namiotowe płótno, bo nastała tam cisza, a potem rozległy się słowa:

— Czekaj waść, pójdę zobaczyć, co tam się dzieje...

Czarny nie zdążył się cofnąć, kiedy płótno szarpnięte od wewnątrz odchyliło się i stanął przed nim czeski wódz. Zza jego ramienia wychylała się biała twarz Petera. Czarny ujrzał na niej niepokój, a z chwilą, kiedy go tamten

poznał, wyraz śmiertelnego przerażenia. Twarz zaraz zniknęła, gdyż Peter odskoczył do tyłu.

Czarny chciał rzucić się za nim, ale Sarnowski złapał go za kurtę. Rycerz był rostry i szeroki w ramionach, chwyt ten osadził więc Czarnego w miejscu.

— Coś za jeden i czego tu chcesz?!

W tej chwili doszedł Czarnego odgłos rozcinanego nożem płótna. Pchnął więc Sarnowskiego w pierś i, uwolniwszy się, skoczył za namiot z kuszą w rękę.

Przybył jednak o moment za późno. Ujrzał Kostura leżącego na ziemi, obok Włodka trzymającego się za ramię, z którego obficie ciekła krew, a o jakieś trzydzieści kroków dalej Petera ginącego za jednym z rycerskich namiotów. Gnali w tamtą stronę Jurga i Rudy.

Nie zatrzymując się, skoczył za nimi. I oni skręcili za namioty, co upewniło Czarnego, że również dostrzegli uciekającego.

Linia wozów otaczająca obóz biegła niedaleko. Postanowił więc przede wszystkim dotrzeć do niej, bo było pewne, że tylko tam musiał uciekać Peter.

Wreszcie był przy wozach. Stały równym szeregiem, malejąc coraz bardziej w miarę odległości. Światło księżycowe oblewało ich budy blaskiem, kładąc na ziemi krótkie czarne cienie. Również i pod wozami ziała głęboka, nieprzenikniona czerń. Nie było tu nikogo. I uciekający, i goniący jakby zapadli się pod ziemię.

Czarny pomyślał, że Peter skrył się zapewne pod wozy i, pełznąc pomiędzy ich kołami, stara się zmylić pościg, a Jaksza i Jurga musieli pójść za jego przykładem.

Ale przecież przyjdzie chwila, kiedy wyskoczy...

Pod wpływem tej myśli szybko wspiął się na koło jednego z wozów, a z niego na umieszczone wysoko siedzenie woźnicy. Kiedy stanął na desce, miał przed sobą rozległy widok. Na wprost rozciągał się szmat łąki skąpany w księżycowym świetle. Na prawo połyskiwało śpiące jezioro, którego drugi brzeg ginął w mrokach nocy. Wzdłuż zaś jeziora i za łąką rozciągało się nieruchome morze szuwarów, ku którym gnał na ukos Peter. Musiał właśnie wyskoczyć z rowu, bo nigdzie nie widać było Jurgi i Jaksy. Czarny dopiero w chwili, gdy podnosił kuszę do ramienia, dostrzegł ich obu. Właśnie wybiegli na łąkę i rzucili się za

uciekającym. Mało jednak mieli szans na doścignięcie Petera, który dobiegał już do szuwarów.

Czarny przyłożył policzek do kolby i mierzył starannie. Potem pociągnął za spust.

Zobaczył, jak Peter zatoczył się, ale biegł dalej i wkrótce zniknął wśród trzcin. Jaksza zaś z Jurgą dopiero byli w połowie łąki.

— Jeśli od razu nie padł, to im ujdzie... — mruknął do siebie Czarny na widok nieudanego strzału. Zdawał sobie jednak sprawę, że przy zwodniczym świetle księżycy trafienie z tej odległości było tylko sprawą przypadku.

Zawiedziony i zły na siebie zszedł z wozu i zawrócił w stronę namiotu Sarnowskiego, zostawiając Petera przemyślności i szczęściu tamtych. Należało sprawdzić, co stało się z Kosturem i Włodkiem.

Pachołek miał już przewiązane ramię. Kostur zaś nie żył. Z relacji Włodka wynikało, że dali się zaskoczyć. Peter na widok Kostura zrozumiał widać, że został przez niego zdradzony, bo od razu pchnął go nożem, Włodka zaś ranił dopiero wtedy, kiedy ten usiłował zastąpić mu drogę.

Czarny nachylił się nad Kosturem. Z szerokiej rany na piersiach z wolna sączyła się krew, barwiąc na ciemno płótno koszuli widocznej spod kurtki. W otwartych oczach skrzyły się refleksy księżycy. Zdawało się więc, że zmarły spogląda na niego z wesołym błyskiem w oczach. Czarny nasunął mu powieki i wyprostował się.

Zwabionym pościgiem strażnikom polecił rozwiązać leżącego wartownika. W tej chwili ukazał się Sarnowski.

— Toś ty skrępował mego pachotka? — rzucił groźnie. — Jak się zwiesz?

Czarny spojrział kpiąco na rycerza i rzucił krótko:

— Hubert z Borów.

— Gdzie służysz? Gardłem mi za to odpowiesz!

— W tajnej służbie jego królewskiej mości, Janie z Sarnowa. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Czeski rycerz zmieszał się wyraźnie, mimo to nie zmienił tonu.

— A więc poskarżę się samemu królowi! Nastawałeś na mego strażnika, zatem i na mnie!

— Nastawałem na krzyżackiego szpiega, któregoś przyjmował w swoim namiocie!

Sarnowski przez chwilę milczał, po czym rzucił ze zdziwieniem:

— Co ty wygadujesz! Człęk przyniósł mi wieści od rodziny, a kim był, nawet nie wiem!

— Za to ja wiem! A teraz radzę waszej wielmożności udać się na spoczynek. W bitwie, co nas czeka, okaże się, o czym gadaliście!

— Hamuj język, młodziku! — warknął rycerz. — I ciesz się, że tę napaść na mego żołnierza puszczam ci płazem!

— Niewiele o to stoję... — rzucił lekceważąco Czarny, wzruszając ramionami.

Sarnowski już bez słowa zawrócił i zniknął za wejściową płachtą.

Czarny zaś, polecivszy strażnikom odnieść ciało Kostura do dworskich wozów, zabrał rannego pachotka i udał się do siebie, by zrobić mu opatrunek.

Po dobrej godzinie zjawili się w namiocie zziębnięci Rudy i Jurga. Byli upapranieni w błocie i żli, że gadać z nimi nie było można. Petera nie zdołali odnaleźć.

OSTRY BÓL PRZEORANYCH BEŁTEM żeber podciął Peterowi nogi. Zatoczył się w bok, ale strach przed pościgiem kazał mu zapomnieć o ranie. Biegnąc dalej, czuł ściekającą po biodrze krew, ale szuwary były już blisko. Zagłębił się w nie i, rozgarniając ramionami trzciny, parł wytrwale naprzód. Kiedy zaś ocenił, że skrył się już dostatecznie, przystanął na chwilę, nasłuchując i zastanawiając się nad kierunkiem dalszej ucieczki.

Ciągnął lekki podmuch wiatru, od którego trzciny szeleściły cicho nad jego głową. Sam nic nie widział, ale czuł ulgę, że przestał być widoczny w tym przeklętym księżycowym świetle.

Po chwilowym zastanowieniu ruszył w stronę obozu. W ten sposób oddalał się wprawdzie od miasta, ale to powinno go było zabezpieczyć przed spotkaniem z tymi groźnymi psami. Skoro zaś prześladowcy zmęczą się szukaniem, można będzie stratę odrobić.

Starął się poruszać jak najciszej, tym bardziej że w pewnej chwili doszedł go zupełnie wyraźny trzask łamanych trzcin i mlaskanie błota pod czyimiś stopami. Ponieważ właśnie miał przed sobą krzak łożyny, upadł na mokrą ziemię i wpęzł pod jego nisko ścielące się gałęzie. Krzak rósł na małym wzniesieniu, było więc pod nim nieco suszej i ciemno zupełnie. Tu mogli go znaleźć dopiero po nadeptaniu nogą.

Ta myśl uspokoiła go nieco. Położył się na zdrowym boku i zaczął z lekka macać ranę. Kiedy jej w pewnej chwili dotknął, ostry ból szarpnął nim

tak silnie, że omal nie krzyknął. Jednocześnie poczuł pod palcami lepką ciepłość krwi. Musiała uchodzić zeń ciągle, bo w pewnej chwili poczuł, że robi mu się słabo.

Nic było jednak miejsca na to, by unieść się, ściągając kaftan i przewiązce ranę koszulką. Miał nadzieję, że nie jest zbyt głęboka i krew rychło zacznie krzepnąć. Wyciągnął się więc i starając się leżeć bez ruchu, nastuchiwał. Górą szedł ciągły, jednostajny szum. Po pewnym czasie zdawało mu się, że znów słyszy stąpanie, ale tym razem gdzieś dalej.

Zaczął zapadać w półsen, z którego budził się często, bo drętwiał mu bok, na którym leżał, i rana zaczęła boleć coraz silniej. Wreszcie zdecydował się ruszyć ku miastu. Wylazł spod krzaka i starał się określić właściwy kierunek dalszego marszu. Po pewnym czasie usłyszał parsknięcie konia, a potem jakiś okrzyk, zapewne pastucha. Wiedział już więc, w którą stronę ma pójść.

Wspomnienie tej wędrówki przez mokradła szybko zatarało mu się w pamięci. Przypomniał sobie tylko te jej fragmenty, kiedy zapadał się w błoto i chwytając w dłoń pęki trzcin, wyrywał się z jego ssącego uścisku.

Rana znów zaczęła krwawić i Petera nachodziły chwile zamroczeń. Wreszcie jednak grunt zaczął stawać się coraz suchszy, sitowie coraz rzadsze i coraz niższe, aż wreszcie wstąpił na suchy, otwarty teren.

Zaledwie o kilkaset kroków przed nim wznosiły się mury miasta, puste teraz i ciche. Nieopodal rysował się zarys szańca, wokół którego leżały zwłoki poległych. Było ich dużo, w niektórych miejscach po kilka piętrzyło się na sobie.

Peter ruszył w kierunku murów. Czuł, jak fala gorąca ogarnia mu ciało, a potem przenikają je zimne dreszcze. Głowa zaczęła mu płonąć, a oczy mamić jakieś nierzeczywiste obrazy. Mimo to, zacisnąwszy zęby, szedł przed siebie pewny już ocalenia, bo puste miasto pozwalało znaleźć schronienie, wodę, płótno do opatrzenia rany i dawało możliwość odpoczynku w którymś z opuszczonych domów. Potem, nabrawszy znów sił, można będzie się wymknąć i odnaleźć krzyżacką armię, która przecież stoi w pobliżu.

Krew przestała się sączyć, ale mocno szumiało mu we łbie, a w zranionym boku odzywały się ostre, łupiące bóle. Walczył jednak z drętwiejącym ciałem i w stanie ni to majaczenia, ni to półsnu włókł się ku bramie.

Księżyc stał okrągły, duży, świecący niby latarnia. Od czasu do czasu zaczęły go przestaniać obłoki sunące szybko po niebie.

Wreszcie dotarł do bramy, której jedna połowa była nieco uchylona, druga zwisała na zawiasie i targana podmuchami wiatru głucho uderzała w górną belkę.

W przejściu bramnym ciemno było i straszno. Tu zwłoki poległych leżały zwałami. Pełno było potrzaskanej broni, a nogi ślizgały się po kamieniach mokrych jeszcze od krwi. Od czasu do czasu z ciemności dochodził przeciągły jęk, czasami któryś z leżących poruszył się, charcząc w agonii...

Peter, starając się zmóc w sobie strach, skakał przez zwłoki, a kiedy było ich więcej, po prostu po nich deptał. Wreszcie wydostał się z ciemnego korytarza bramy.

Przed nim, oświetlone światłem księżyca, rozciągało się na podbramnym placu nowe pobojuwisko. Zatrzymał się na chwilę, bo znów naszło go osłabienie.

Ziemia pod nogami zaczęła mu się chybotać, rozstawiał więc je szeroko, starając się utrzymać równowagę.

Za chwilę oszołomienie przeszło i ruszył dalej, przez plac, ku mrocznemu wylotowi jakiejś ulicy. Z ciemności wypełniającej jej głębię dosłyszał raptem chrapliwe warczenie.

Przytomność znów go zaczęła odchodzić. Księżyc zatoczył gwałtowny łuk na niebie, plac z jednej strony podniósł się do góry, a tu, gdzie stał, zaczął osuwać się w głąb. Wydało mu się dziwne, że zwłoki leżą na takiej pochyłości. Ale to zdziwienie trwało tylko chwilę, bo oto ruszyły, tocząc się ku niemu i przewalając. Zaraz go zgmiotą, przycisną do bruku!

Nagle zatacza się w bok i, tracąc równowagę, pada na kolana. Opiera się jednak zaraz na rękach i próbuje wstać, ale jest to wysiłek daremny, bo omdlałe ramiona uginają mu się w łokciach. Raptem gdzieś przed nim, już zupełnie blisko, rozlega się warczenie. Peter przytomnieje na chwilę i widzi, jak skacze ku niemu ogromny, chudy pies. Ma zjeżoną sierść i rozwarty pysk. Za nim drugi i trzeci...

Na próżno stara się powstać na nogi. Pies jest już przed nim, dopada go jednym skokiem. Peter unosi ramię, by zasłonić się przed zębami, więc potężne szczęki zwierają się na przegubie jego ręki.

Kość trzasnęła sucho, a gwałtowny ból przywraca mu pełnię świadomości. Chce wyrwać nóż, ale lewa ręka czyni to nieporadnie.

Jednocześnie szamoce się ze zwierzęciem, które, wpartłszy się łapami, nie zwalnia chwytu, bulgocząc złowrogim warczeniem.

Dobiegają jeszcze dwa psy. W ciemności ślepia ich błyszczą czerwonym blaskiem. Doskakują prawie jednocześnie i Peter czuje raptowny ból rozszarpywanych żywcem mięśni.

Krzycząc dziko, przewala się na bok. W tej chwili ogromny pies puszcza nagle jego rękę i skacze mu do gardła.

Krzyk Petera urywa się raptownie.

Na księżyc nasunęła się chmura i mroczny cień padł na ziemię.

WIATR, KTÓRY POJAWIŁ SIĘ NOCĄ, wiał również w ciągu dnia, ku wieczorowi wzmagając się nawet i zaciągając niebo chmurami. Obyło się jednak bez deszczu, co ułatwiło dalsze ściąganie zapasów żywności ze zdobytego miasta. Jednocześnie trwał dalszy rabunek dokonywany przez pachołków obozowych i żołnierzy piechoty, składającej się z ubogich kmieci, wyrobników, jak i innej wiejskiej i miejskiej biedoty, dla której para butów czy niepołatany kubrak były już gratką nie lada.

Wybrał się ponownie do miasta i Dzieweczka, znany teraz w wojsku ze swej siły i podziwiany za odwagę, której dał dowód, pnąc się na drabinę bez zbroi i tarczy, zbrojny jedynie w maczugę. Ta popularność nie przeszkadzała jednak byłemu flisowi dbać o własne interesy. Już sporo różnego dobra przytaszczył ubiegłego wieczoru, lecz mimo to i następnego dnia wybrał się do miasta.

Wrócił koło obiadu i, utkawszy w wozie nową zdobycz, pośpieszył do namiotu Czarnego, którego zastał w trakcie przymierzania wojennego rynsztunku przyniesionego z taborów kanclerza. Zbroja pasowała, ale Czarny martwił się, że zapewne nie będzie okazji, by wypróbować ją w bitwie. Toteż z niezbyt wesołą twarzą przywitał Dzieweczkę.

— Coś taki markotny? — zagadnął go wesoło olbrzym, sam zadowolony ze sławy i dobytku, jakie zdobył. — Piękny harnasz — ciągnął — ale mam dla ciebie o wiele piękniejszy! Szmelcowany na ciemno i zdobiony złotem! Akurat będzie dobry, bo na wysokiego rycerza był robiony! Specjalnie go przydźwigałem, bom wiedział, że swojego nie masz!

— Dzięki ci — mruknął Czarny. — Przynieś, jeśli będzie pasował, to chętnie kupię, bo pora już mieć własny.

— Dobrze, ale nie z tym przyszedłem! Mam dla ciebie wiadomość, od której zaraz poweselejesz!

— Jesteś tego pewny?

— Wiadomo! Bo wiem, czym się martwisz!

— No czym?

— Że Peter ci uciekł!

— Skąd wiesz?

— Mówił mi Rudy. Ale nie trap się, daleko nie uciekał! Znalazłem go w mieście.

— Znalazłeś Petera? Coś z nim zrobić?

— Nic już nie było do zrobienia, bo był martwy. Psy go rozszarpały niedaleko bramy!

— Jesteś pewny?

— Widziałem go, jako ciebie teraz.

— Muszę go sam zobaczyć! — zdecydował Czarny.

— Czemu nie? Do miasta chętnie pójdę, bo sporo tam jeszcze zostało!

— Idziemy! Chcę go ujrzeć na własne oczy! Bez tego nigdy nie będę pewny...

Po dwóch godzinach Czarny wrócił i od razu udał się do księdza Andrzeja.

— Z czym przybywasz? — Proboszcz obrócił się od stołu, przy którym coś pisał.

— Z dobrą wieścią, wasza miłość! Peter nie będzie nam już szkodził!

— Skąd to wiesz?

— Rankiem opowiadałem wam, jak go postrzeliłem. Myślałem jednak, że zdoła ujść. Dziś wszakże Dzieweczka znalazł w Dąbrównie jego zwłoki! Chcąc się upewnić, kazałem je sobie pokazać.

— Masz rację, to dobra wiadomość, bo mocno ten zdrajca nam zaszkodził...

— Wasza miłość... — Czarny zawahał się — czy nic się nie zmieniło? W czasie bitwy mam być przy kanclerzu?

— Sam chciałem o tym z tobą mówić, ale dopiero przed bitwą. Skoroś jednak teraz o to zagadnął, to ci powiem, że moje polecenie pozostaje w mocy. Tyle że ci wskażę dlaczego.

— *Mówiliście, że dla ochrony kanclerza.*

— *I to też, ale główna przyczyna jest inna. Czy sam się nie domyślasz?*

Czarny patrzył ze zdziwieniem na proboszcza.

— *Przyznaję, że nie, wasza miłość...*

— *Śmierć Petera pozbawiła go kłopotów, ale nie nas. Dość długo działał, by nie pozostawić po sobie spuścizny.*

— *Zaczynam rozumieć — mruknął Czarny.*

— *O tę spuściznę właśnie chodzi. Krążył wokół obcych dowódców, a że, jak na przykład Sarnowski, gadali z nim, należy liczyć się ze skutkami tych rozmów. Rozumiesz teraz?*

— *Już całkowicie, wasza miłość. Oznacza to, że w bitwie udziału nie będę mógł wziąć — rzucił ze smutkiem Czarny.*

— *Przy kanclerzu będąc, musisz baczyć na zagraniczne chorągwie. Gdzie stoją i co robią. Zwłaszcza Sarnowskiego. A do bitwy będziesz mógł skoczyć, ale dopiero jak wszyscy zaciężni już ruszą do walki.*

— *Dobre i to — uśmiechnął się Czarny. — Może mi się poszczęści!*

— *Dotąd szczęściło ci się, Hubercie — powiedział poważnie ksiądz Andrzej. — Teraz, być może na dzień przed walną rozprawą, mogę ci rzec, że z ciebie zadowolony. A że zasługi bez nagrody nie powinny zostać, a i na żoninym fartuchu nie przystoi mężowi siedzieć, postaram się o nadanie dla ciebie. Rzecz jednak główna w tym, by Bóg zdarzył nam zwycięstwo, bo jeśliby inaczej miało się stać, ciężka nas jeszcze czekać będzie walka i nie o nadaniach przyjdzie myśleć.*

— *Dziękuję, wasza miłość! — rzucił gorąco Czarny. — Nadanie tak jakbym miał już w kieszeni, bo w zwycięstwo nie wątpię!*

Proboszcz roześmiał się.

— Złym byłbyś żołnierzem, gdybyś w nie wątpił! Ale i ja dobrej jestem myśli! Widzę bowiem przewagę po naszej stronie w liczbie rycerstwa i w jego zapale do walki wynikającym nie z żądzy krwi, lecz z poczucia słuszności sprawy i z przezorności naszego pana!

Przed wieczorem ogłoszono królewski rozkaz, by chorągwie były gotowe do wymarszu jeszcze przed świtem. Zaraz więc po wieczerzy rycerstwo ułożyło się do snu, umacniając namiotowe sznury, gdyż wiatr coraz bardziej zaczął przybierać na sile. Księżyc nie było widać i musiała nadciągnąć burza, bo co i raz błyskawice rozświetlały czarne chmury rozciągnięte nad horyzontem.

NOC Z DWUNASTEGO NA TRZYNASTY wojska krzyżackie spędziły pod Lubawą, ruszając rankiem trzynastego lipca w dalszy pochód w kierunku wschodnim do Frygnowa, omijając Dąbrówno od północy nie dalej niż o milę. W tym czasie armia polska, ciągnąc na północ, zbliżała się już do tej miejscowości.

Rano wielki mistrz nie miał jeszcze wiadomości, gdzie jest nieprzyjaciel, a nie wiedząc, jaki los czeka już za parę godzin tę chroniącą go od południa zaporę, odbywał marsz spokojnie.

Armia krzyżacka założyła warowny obóz poniżej Frygnowa, nieco na północ od Grunwaldu. Po przybyciu na miejsce, nie zsiadając nawet z konia, Ulryk objechał zaraz teren w trójkącie: Grunwald, o pół mili na północo-wschód Stębark i na południe od tych miejscowości Łodwigowo. Okolica była pagórkowata i pocięta kotlinami, dobra, zdaniem krzyżackiej starszyny towarzyszącej wielkiemu mistrzowi, do stoczenia bitwy. Ulokowawszy bowiem wojsko na szczytach wyniosłości ciągnących się od Łodwigowa do Stębarka, zmusiłoby się nieprzyjaciela do zajęcia pozycji leżącej poniżej, co dawałoby znaczną przewagę impetu przy uderzeniu jazdy.

Podzielając tę opinię, Ulryk kazał natychmiast przystąpić do budowy zasieków i szańców dla dział i piechoty wzdłuż drogi Łodwigowo–Stębark. Wybór tego miejsca był wynikiem narady krzyżackiej starszyny. Wychodząc z założenia, że nieprzyjacielska armia nadciągnie nie z południa, a nieco od wschodu, z kierunku Łogdowa i Ulnowa, ustalono stawiać je od tamtej strony. Władysław miał wprowadzić do wyboru jeszcze i drogę z Dąbrówna wprost na Frygnowo,

bliższą i wygodniejszą, ale gdyby na nią padł jego wybór, dostawał się pod ostrzał warownego obozu i boczne uderzenie całej zakonnej armii. Tu więc umocnienia nie były potrzebne. Zresztą na taką lekkomyślność polskiego króla nie należało liczyć.

Po naradzie wydano rozkazy i znów ruszyły w pole kolumny z łopatami na ramionach. Stoki wzgórz zaroily się ludzkim mrowiem wyciągniętym w długą linię od Łodwigowa po Stębark.

Wieczorem zaś do krzyżackiego obozu nadbiegli pierwsi uciekinierzy z Dąbrówną, przynosząc wieści o upadku i zniszczeniu miasta. Byli to ci nieliczni, którym się udało uciec nad jezioro i wsiąść do rybackich łodzi znajdujących się przy brzegu. Wieść o upadku miasta rozwścieczyła

wielkiego mistrza, a pragnienie krwi i żądza zemsty znów wzburzyły serca zakonnych braci.

Dzień następny, wietrzny i pochmurny, przeszedł na gorączkowych pracach ziemnych i naradach starszyny. Pod wieczór wiatr zaczął się wzmaczać, a zmrok przyniósł ze sobą już prawdziwy huragan.

Była to jednak dopiero przygrywka do isticie piekielnego koncertu, jaki rozbrzmiał w czasie nocy.

Wicher gnał z hukiem, zbijając z nóg ludzi i zwierzęta, gwizdał w sznurach namiotów, rozrzucił resztę niewygasłych palenisk, siejąc smugami ognia, pędząc powietrzem iskry niby świetliste pociski, a wreszcie, wzmógłszy się jeszcze bardziej, zaczął porywać namioty, szarpiąc je na kawały i unosić z wyciem w czerń nocy.

W obozie powstał chaos i zamieszanie. Ci, którzy poukładali się do snu, nie zważając na wieczorny wiatr, budzili się teraz bez dachu nad głową, porwanego gdzieś w mroczną przestrzeń. Zrywali się na nogi oszołomieni i przerażeni i walili się znów uderzeni pięścią pędzącej wichury.

Konie pokładły się, obróciwszy zadami do wiatru i wyciągnąwszy szyje, podobnie psom przykładają łby do ziemi. Ci, których namioty wytrzymały dotąd napór wiatru, starali się mocować je dodatkowymi sznurami, wiżzanymi do

wbitych w ziemię mieczy. Nie na wiele jednak to się zdało, bo ich samych walił z nóg huragan. Nie dawał piersiom zaczerpnąć tchu, z rykiem szarpał ciała niby bestia zawzięta i wściekła, która zdawała się naigrawać z ich bezradności.

Wreszcie lunął deszcz, hamując nieco opór rozpędzonego powietrza. Jego szumowi zawtórowały huki bijących piorunów rozświetlających raz po raz okoliczne pola zasnute potokami wody niesionej wiatrem.

Erazm, leżąc wraz ze Złotkiem pod wozem, uniósł w pewnej chwili głowę.

— Zbieraj się, teraz najlepsza pora, aby ruszać... Każdy chroni się przed wichurą i deszczem, na nic nie zważając.

— Przeczekajmy trochę, ojczy — głos Złotka ledwie było słychać w szumie ulewy — niech ta nawałnica nieco osłabnie...

— Nic ci deszcz nie zrobi. — Erazm pociągnął zbója za rękaw. — Ruszamy!

— Ot los, moje ty złotko — mruknął zbój, jednak zaczął w ślad za Erazmem gramolić się spod wozu. Po chwili stanęli na nogi i czekali, aż kolejny błysk oświetli im kierunek ucieczki.

Jakoż następny piorun ukazał im linię obozowych szańców, kawał pustego, płaskiego pola, a za nim jasną wstążkę drogi.

Potem znów nastąpiła ciemność, tym gęstsza, że poprzedzona ostrym światłem. Zagłębili się w tę ciemność, a po chwili, taplając się w mokrej glinie i pomagając sobie wzajemnie, wyleźli z rowu i pięli się na stok szanca.

Kiedy mieli go już za sobą, Erazm zdjął pas i jeden jego koniec podał towarzyszowi.

— Trzymaj go, bo inaczej się zgubimy. I prowadź, bracie, dobrze, abyś nie zmylił kierunku.

— Toć już wam mówiłem, że to moje strony. Rodziłem się w Mielnie, znam tu każdy kamień i każdą ścieżkę.

Posuwali się wolno, pochyłem do przodu, by pokonać napór wichury, przytrzymując opończe targane wiatrem i zalewane wodą i z trudem wyciągając nogi z rozmiękłego gruntu.

Złotko mimo zupełnej ciemności kroczył pewnie i bez wahań. Nie obawiali się też, by ich dostrzeżono w chwilach piorunowych błysków, gdyż deszcz zasnuwał wszystko gęstą zastoną.

— Wybraliście się, ojcze, w taką pogodę... — mruknął w ciemności Złotko.

— Lepsza taka noc niż księżycowa, bo w deszcz i strażę się chronią. Ale i za widna ruszyłbym, bracie, bo iść musiałem. Tyle że ciebie nie brałbym ze sobą, by we dwóch łba nie nadstawiać.

— Ii tam... Szedłbym z wami i w jasną noc. Dawno swoich nie widziałem, a droga na Mielno prawie ta sama. Przed Dąbrównem skręca w lewo, ale tam już i beze mnie traficie. Do miasta tylko ręką sięgnąć.

— Aby tylko ich obóz znaleźć...

— Straże pojماwszy was, same zaprowadzą. Tylko zważajcie, bo nie lubią po nocach do siebie dopuszczać i mogą, moje złotko, bez wezwania ustrzelić.

Zbój prychnął, bo woda zalewała mu twarz.

— Obym tylko z drogi nie zszedł... — zatroskał się Erazm.

— Tę wyczujecie pod stopą, a potem trzymajcie się przy samych murach, bo inaczej możecie wpaść w bagna.

Zamilkli na pewien czas, gdyż strugi deszczu utrudniały mówienie. Trzeba też było mocno trzymać kraje opończy, bo wicher targał nimi z siłą mocnego chłopca. Po pewnym jednak czasie poczuli, że deszcz zaczął słabnąć.

— Nicco ustaje... — mruknął Złotko.

— Abośmy odeszli od głównej nawałnicy — powiedział ojciec Erazm, gdyż, obejrzawszy się za siebie, dojrzał rozświetloną błyskiem gromu migającą masę gnanej wichrem wody.

Znów szli w milczeniu przemoczeni zupełnie i dobrze już zmordowani wyciąganiem nóg z błota. Nagle zbój przystanął.

— Tu czas nam się rozejść. Moja droga w bok, a miasto macie przed sobą. Idźcie prosto, to nie zbłądzicie. Pozdrówcie ode mnie Kosookiego i powiedzcie, że za miesiąc wrócę do Gdańska. Tam pewnie znów się odnajdziemy. No, bywajcie, ojciec.

Erazm chciał odpowiedzieć paru słowami pożegnania, ale poczuł, że napięty pasek zluźnia się, a za chwilę doszły go z ciemności z wolna zacichające kroki. Ruszył więc przed siebie.

Straszliwa burza, która przeszła nad obozem krzyżackim, polski obóz, odległy zaledwie o milę, zawadziła jedynie swym skrzydłem. I tam wprawdzie wicher dał się we znaki, ale nie był tak gwałtowny, toteż sznury namiotów wytrzymały, a deszcz w ogóle nie padał. Pędzące po niebie chmury odstaniały nawet co pewien czas księżyc. Było to powodem wielkiego poruszenia wśród rycerstwa, bo spostrzeżono dziwne zjawisko, które ukazało się na niebie. Otóż w pewnej chwili chmury tak się skłębity na tle księżyca, że bez trudu i wyraźnie widzieć było można dwie zmagające się ze sobą postacie — rycerza z opuszczoną przyłbicą i mnicha w kapturze. To jeden był górą, to drugi, aż wreszcie rycerz pokonał mnicha, który padłszy, rozciągnął się w smugę. Wiele o tym rankiem mówiono, bo znak był oczywisty i pomyślny.

Co śmielsi chcieli nawet biec do króla, by i on obejrzał to zjawisko, ale królewski namiot otoczony był silną strażą, która nie dopuszczała nikogo nawet w pobliże, gdyż mimo nocy, szumu i wycia wichru odbywała się w nim narada.

A było o czym radzić, bo z wieczora wróciły podjazdy, donosząc o obecności wielkich nieprzyjacielskich sił w okolicy Frygnowa. Jakże jednak to

były siły i jak rozłożone, tego nie udało się stwierdzić. Te bowiem oddziały tatarskiej i litewskiej jazdy, które poszły na rozeznanie, nieprzyjaciel przepędził, zadając dotkliwe straty. Sądząc jednak po dymach obozowych ognisk, siły były duże, a obóz miał znajdować się gdzieś między Frygnowem a Grunwaldem.

Jasne więc było dla króla i jego Rady, że nadchodzący dzień przyniesie ze sobą rozstrzygającą bitwę. Wystarczyła teraz już tylko godzina albo dwie marszu, aby do niej doszło. Ale należało zbliżyć się tak, by mieć i czas, i miejsce do rozwinięcia szyków i obrania jak najkorzystniejszych stanowisk tak dla hufców jak i dla obozu.

Ruszając z Działdowa, skierowano kilka chorągwi litewskich i kilka co łżejszych polskich nieco w prawo, w kierunku Nidzicy i Waplewa, by strzegły idących tam taborów i trzebiły nieprzyjacielski kraj, biorąc niewolnika i żywność. Ponieważ wieści, jakie przyniosły podjazdy, zapowiadały rychłą już bitwę, król polecił jeszcze wieczorem pchnąć szybkich gońców, aby pędząc skrótami, dopadli tych chorągwi i przekazali im rozkaz, by z Waplewa skręcały zaraz na zachód i przyłączyły się do głównej armii, którą powinny znaleźć w rejonie Stębarka lub Frygnowa.

Po omówieniu tej sprawy Rada kazała wezwać obu ustanowionych przewodników: Jana z Grynwaldu i Trojana z Krasnegostawu. Ci dokładnie i zgodnie opisali zebrany najbliższe okolice. Najkrótsza, bezpośrednia droga do Frygnowa wiodła pomiędzy obu jeziorami okalającymi Dąbrówno. Idąc drugą, trzeba było okrążyć jedno z jezior od południa i skręcić ku północo-wschodowi. Ta szła na Łodwigowo i Stębark. Jeszcze zaś dalsza, wymagająca głębszego objazdu, prowadziła na Osieków, Łogdowo, Ulnowo i docierała nad jezioro Lubień, przy którym Ulnowo leżało.

Okolica miała być pagórkowata, pełna kotlin i stoków, gdzieniegdzie obrośniętych lasem lub gajami. Obaj przewodnicy twierdzili zgodnie, że droga wiodąca na północ, w kierunku Frygnowa jest najkrótsza i najwygodniejsza dla marszu wojsk, bo teren tam był równiejszy, przez co i widoczność lepsza.

Po tym sprawozdaniu przewodników rozgorzała gorąca dysputa. Większość, a z nią i książę Witold, powodowana niecierpliwym pragnieniem jak najrychlejszego zmierzenia się z wrogiem, opowiadała się za najbliższą drogą na Frygnowo. Byli to poza wielkim księciem wojewodowie sandomierski i poznański, kanclerz krakowski Krystyn, a nawet spokojny

zwykle i opanowany Szafraniec. Marszałek Zbigniew wahał się jeszcze, natomiast i wojewoda krakowski Jaśko, i wicekanclerz Trąba wzywali do ostrożności i radzili być może bardziej uciążliwy, ale bezpieczniejszy szlak okrężny na Łogdowo.

Sam król Władysław słuchał uważnie wypowiedzi i argumentów swoich doradców i nie zabierał głosu. Żaden też z przemawiających dygnitarzy, obserwując oblicze królewskie, nie mógł dorozumieć się, czy jego słowa są po myśli władcy.

Nie doszło jednak do królewskiej decyzji, a przynajmniej nie w obecnej chwili. Właśnie wicekanclerz prosił o głos, by odpowiedzieć kniaziewi, który wręcz zażądał od brata rozstrzygnięcia ich sporu, kiedy u wejścia ukazał się królewski sekretarz Zbigniew, przytrzymując wejściową płachtę silnie targaną wichrem. Wszystkie głowy obróciły się ku niemu.

— Wasza królewska mość — przemówił podniesionym głosem, bo szum wiatru tłumił słowa — wybaczcie, ale czeka proboszcz Andrzej z pilną i ważną wiadomością!

— Istotnie ważną? W czym rzecz? — rzucił niecierpliwie Jagiełło.

— Straże przywiodły proboszczowi jakiegoś człeka. Ponoć z krzyżackiego obozu!

Wicekanclerz zerwał się na nogi.

— Gdzie jest?! — krzyknął nieomal, nie czekając na królewską decyzję.

— Czeka wraz z proboszczem przed namiotem.

— Zezwólcie, miłościwy panie — Trąba zwrócił się do króla — to zapewne ów Erazm, o którym wam mówiłem! W samą porę przybył! Może być nam wielce pomocny w naszych obradach!

— Niech zatem wchodzi. — Jagiełło skinął głową.

Zbigniew zniknął i za chwilę ukazał się ksiądz Andrzej w towarzystwie niskiego, szczupłego człowieka w mokrej, zachlapanej błotem opończy. Wraz z nimi wdarł się do namiotu podmuch wichru, zmiatając z ziemi kurz i przygaszając palące się

świece. Ksiądz Andrzej szybko zaciągnął płachtę, a przybysz odrzucił z głowy kaptur, ukazując suche, ściągnięte oblicze i łysą, spaloną słońcem czaszkę okoloną otokiem siwych włosów. Potem obaj skłonili się głęboko przed władcą.

— Czy to ojciec Erazm, Andrzeju? — zagadnął wicekanclerz, z ciekawością przyglądając się przybyłemu, którego nigdy nie widział.

— Ja sam, wasza wielbność — przemówił przybysz, wyręczając proboszcza w odpowiedzi. Jego głęboko osadzone jasne oczy patrzyły w twarz dygnitarza spokojnie i badawczo.

— Coś taki mokry? — zdziwił się król. — Wpadłeś do wody?

— Wielka burza naszła krzyżacki obóz, z którego przybywam, wasza królewska mość — odpowiedział ojciec Erazm, dowodząc, że orientuje się dobrze, z kim kolejno przychodzi mu mówić.

— Zatem przybywasz, ojczy, z krzyżackiego obozu? — rzucił z ożywieniem król.

— Jakie przynosisz nam wieści, mów! Gdzie on leży?

— Pod samym Grunwaldem, miłościwy panie, o dziesięć staj na północ, nieomal przy samej drodze na Frygnowo. Cała krzyżacka armia tam się znajduje.

Rozległ się szmer. Dygnitarze spojrzeli po sobie. Wielki książę przygryzł wargę, marszcząc brwi.

Trąba obrzucił obecnych krótkim, nieco kpiącym spojrzeniem, po czym porozumiawszy się wzrokiem z wojewodą Jaśkiem, skłonił głowę, kryjąc w brodzie śmiech zadowolenia.

— Skąd to wiesz? — spytał Jagiełło z akcentem nieufności w głosie. — Toć nie wojownikiem jesteś, by o tym sądzić?

— Macie słuszność, najjaśniejszy panie, przywdziałem dominikański habit, ale przed nim hełm nosiłem. Jednak i bez wojennej praktyki wiadomo człekowi, co myśleć nieco umie, że tam, gdzie naczelnny wódz, tam i główne siły. Wielkiego mistrza na własne oczy widziałem, a w budowie umocnień i zasadzek, co na was czekają, osobiście brałem udział.

— *To takowe szykują?*

— *Tak, wasza wysokość.*

Zapanowała cisza, w której słychać było, jak wiatr gwizdże w napiętych sznurach namiotu, klaszcze płótnami i grzmi gdzieś u góry niby tabun pędzących koni. Król odezwał się znów:

— *Toś ty wieści nam przysłał pod Kurzętnikiem?*

— *Ja, miłościwy panie.*

— *Czy te umocnienia są równie silne?*

— *Takoż, miłościwy panie, tyle że inaczej je pobudowali. Ciągną się w linię podle drogi od Łodwigowa do Stębarka.*

— *Jakie to są umocnienia? — spytał wielki książę.*

— *Ziemne szańce, na które zaciągnęli bombardy, a przed nimi wilcze doły.*

— *Trojanie! — Jagiełło skinął na wójta z Krasnegostawu. — Jest tam taka droga?*

— *Prawdę mówi, wasza wysokość, jest. Biegnie szczytem wzniesienia, którego stok opada ku wschodowi. Sposobne to miejsce na szańce przeciw nam.*

— *Skąd mogli wiedzieć, że stamtąd właśnie uderzymy? — odezwał się marszałek Zbigniew. — Rozważaliśmy właśnie, czy nie iść wprost na Frygnowo.*

— *Niech Bóg was przed tym chroni! — wykrzyknął z przerażeniem ojciec Erazm.*

— *Poszlibyście jako lwu w paszczę!*

— *A to dlaczego?*

— *Bo wówczas rozbiliby was od jednego ciosu, nie dając czasu na rozwinięcie szyku! Przecież zaraz za Grunwaldem leży ich obóz, a chorągwie stoją i we Frygnowie, i Stębarku, i Łodwigowie! Czaty was dojrzą zawczasu i zostalibyście, jeszcze w marszu będąc, uderzeni z boku!*

— *Prawie mówi, jak mąż wojennego rzemiosła — mruknął wojewoda Jaśko.*

— A wiedzą, gdzie się znajdujemy? — zadał kolejne pytanie król.

— Wiedzą od wczoraj, kiedy przybiegli uchodźcy z Dąbrówna.

— Słyszę tu pochwały, ojczcze — znów odezwał się wielki książę — że znacie się na wojennym rzemiośle. Wyjaśnijcie przeto, jak chcą Krzyżacy bitwę z nami stoczyć, skoro pole odgradzili dołami? Nie tylko nam do nich, ale i im do nas dotrzeć nie sposób. — Witold udał nieświadomość, chcąc usłyszeć odpowiedź.

— Toć, kniaziu, szanśce nie idą jeden za drugim! Są pomiędzy nimi przerwy, którymi cała chorągiew w płot rozwinięta łatwo przejdzie! Tyle że oni wiedzą, kędy iść, a wy tego wiedzieć nie będziecie!

Król popatrzył po swoich doradcach.

— Spieraliście się, panowie, o drogę — rzucił z sarkazmem — ale spór ten dzięki Bożej i tego oto pocziwego człowieka pomocy już uważać za rozstrzygnięty. Radźmy zatem raczej nad porządkiem jutrzejszego marszu i wyborem stanowiska, a nie nad drogą, jaka nas ku niemu zaprowadzi! Tę Opatrzność ustami tego człowieka nam wskazała!

— Przyznaję, że tak jest, jako mówisz, bracie — zgodził się wielki książę, bo był zbyt rozsądny, by upierać się przy poprzednim zdaniu.

— Musimy zająć nieprzyjaciela od wschodu, mimo że jest to strona, od której nas oczekują. Ale w ten sposób będziemy mieli Krzyżaków przed sobą. Niech nam teraz nasi przewodnicy powiedzą, co najdziemy, idąc na Łogdowo, bo widzi mi się, że droga na Łodwigowo i Stębark równie będzie zła, jak i na Frygnowo, boć przy niej są owe umocnienia...

Zabrał głos Trojan.

— Macie jeszcze jedną drogę w tym samym kierunku, która większy robi łuk ku wschodowi niż na Łogdowo. Prowadzi ona również do Ulnowa, ale przez Gordyny i Browino, skąd, dopiero skręcając, dochodzi do Ulnowa. Pytacie zaś, wielki kniaziu, co tam najdziecie? Ano, tośmy już wam mówili. Okolica jest pagórkowata, miejscami pokryta chaszczami, miejscami lasem, a wszystkie

drogi, które wam wskazaliśmy, prócz tej na Stębark, doprowadzą was nad jezioro Lubień.

— Jak leży jezioro? — spytał król.

— Ciągnie się z południa na północ — pośpieszył z odpowiedzią Jan z Grynwaldu.

— Zatem polecam, abyśmy zarządzili wyjazd jeszcze sporo przed świtaniem. Marsz rozpocznie Litwa drogą na Łogdowo. Miniesz, bracie, jezioro i założysz obóz u jego północnego krańca. Zaraz potem pójdą chorągwie koronne. Cięższe za Litwą, i te niech wie dzie Zyndram, lżejsze obejmie wojewoda Jaśko i ruszy nimi na Gordyny i Browino. Będziesz musiał, wojewodo, pośpieszyć, by nad jeziorem być razem z siłami głównymi lub mała co później. Nasz obóz przykażecie założyć u południowego krańca jeziora po wschodniej stronie. Ty zaś, marszałku Zbigniewie, weźmiesz dziesięć chorągwi, które sobie sam wybierzesz, i poprowadzisz je, chociażby polami, w lukę pomiędzy Łodwigowo i Łogdowo. Będziesz chronił od nieprzyjaciela naszą kolumnę marszową. Idź tak, abyśmy wzajemnie nie tracili się z oczu. Chorągwie, które nadciągną od Waplewa, niech wesprą wielkiego księcia, który obejmie dowództwo nad prawym skrzydłem. Ja ze swoimi chorągwiami będę stanowił lewe. Tatarom przykaż, aby zabezpieczyli cię z prawa. Poruczając ci, bracie, dowództwo nad prawym skrzydłem, zakazuję jednakowoż rozpoczynania walki bez niego rozkazu. To samo dotyczy i wszystkich innych dowódców. Przykażcie też, panowie, aby

rycerstwo założyło na ramiona słomiane opaski, po których niech się rozpoznają w boju, boć częste to wypadki, że swój naciera na swego w bitewnym chaosie. Prócz opasek ustanawiam też hasło. Tym niech będzie na ten dzień Kraków i Wilno. O rozstawieniu hufców nie pora teraz mówić, bo to rozstrzygniemy po obejrzeniu miejsca. Na umocnienia rzucimy Tatarów i lekkie chorągwie litewskie. Niech rozeznają i wytną załogi szańców. Na tym naszą naradę na dziś kończę.

— Zezwólcie, miłościwy panie, jeszcze parę słów. — Wicekanclerz uniósł rękę.

— Cóż jeszcze chciałbyś rzec? — W głosie Jagiełły zabrzmiało zdziwienie.

— *To, o czym wy nie mówiliście, o bezpieczeństwie waszej osoby.*

Wnoszę, abyście po rozstawieniu wojsk zjechali do obozu. Myślę, że wszyscy tu obecni poprą mnie, bo zbyt to ważna dla kraju sprawa.

— *Słusznie! Dobrze kanclerz mówi! — odezwały się głosy.*

— *Nie może to być! — wykrzyknął król nieomal ze złością.*

— *Musi, miłościwy panie! — poparł Trąbę wojewoda Jaśko.*

— *Któżby bitwą kierował?!*

— *Ustanówcie wodza, miłościwy panie!*

— *Nie, tego nie uczynię! Niczyjego sumienia nie obarczę taką odpowiedzialnością!*

— *Zatem przyrzeknijcie, że udziału w bitwie nie weźmiecie — zaproponował Szafranec.*

Jagiełło zawahał się.

— *Tyle przynajmniej możecie nam, panie, przyrzec — powiedział poważnie Trąba. — O dobro Korony rzecz idzie.*

— *Niech tedy tak będzie... — mruknął niechętnie król.*

DNIA 15 LIPCA W OBOZIE pod Dąbrównem głos trąby wyrwał rycerzy ze snu w godzinę po północy. Rychło potem następny sygnał wezwał do wsiadania i wkrótce, zgodnie z zaprowadzonym porządkiem, na trzecie wezwanie pierwsze chorągwie wyruszyły w drogę.

Wicher dmący całą noc mało co zelżał, więc czeladź nie mogła dać sobie rady z rozciągnięciem płacht namiotowych królewskiej kaplicy, które wrywały się, łopocąc i klaskając, targane wichurą. Wielki książę,

zniecierpliwiony tymi daremnymi próbami, zażądał, aby król zechciał poniechać porannej mszy, gdyż marszu dalej odwlekać nie można.

Jego królewska mość, rozumiejąc słuszność tego żądania, zrezygnował z modlitwy i dosiadł konia. Orszak czekający już w siodłach otoczył go zaraz i ruszono w drogę.

Litewski obóz położony obok był już pusty. Część polskich chorągwi, jak i grupa dowodzona przez wojewodę Jaśka, wyruszyła również. Te zaś chorągwie, które wyjeżdżały z obozu, wstrzymały konie, by przepuścić królewski orszak.

Wiatr nadal gnał polami i pędził po rozległej płaszczyźnie jeziora szybkie, gęste fale. Ciemność ustępującej z wolna nocy kryła jeszcze ziemię, ale rozpraszały ją łuny pożarów widniejące na horyzoncie. Niektóre z tych łun były dalekie, ledwie rzucające słaby odblask, bliższe drgały intensywną czerwienią, to chwilami przygasając, to znów wybuchając świetlistą purpurą, na której widać było jasne wytryski płomieni.

Zdawało się, że cały kraj wokół stoi w ogniu, tak szeroką falą rozlały się tatarskie i litewskie podjazdy, teraz już z królewskiego rozkazu trzebiąc okolicę i ściągając z palonych wsi żywność i jeńców.

Droga łukiem obiegała jezioro, niknąc gdzieś w ciemnej przestrzeni. Ciemność ta jednak zaczęła powoli zanikać, szarzeć, coraz wyraźniej widać było kontury jeźdźców i koni. Rycerze jechali w grupach wraz ze swoimi giermkami i zbrojnymi pachołkami, którzy razem z nimi mieli brać udział w walce. Ciężkie bojowe konie szły luzem, niosąc na siodłach tylko broje, jeśli tych nie wdzieli jeszcze na siebie rycerze.

Czarny po pożegnaniu z Rudym, który ruszył z księciem Witoldem, już w marszu trzymał się blisko kanclerza. Miał przy sobie dwóch swoich ludzi w hełmach i napierśnikach, a sam wdział już zbroję, którą zakupił od Dzieweczki. Była ona istotnie piękna, szmelcowana na ciemno i bogato zdobiona złotą inkrustacją. Cena zakupu była niska, bo zdobycze wojenne sprzedawano i za dziesiątą część ich wartości, nawet na słowo. Nadzieja bowiem na nowe łupy zachęcała do pośpiesznej sprzedaży, byle pozbyć się ciężaru.

Robiło się coraz widniej. Łuny na wschodniej stronie przygasaly, gdyż niebo zaczęło tam różowieć, coraz mocniejsza stawała się jasność wstającej zorzy, aż wreszcie strzeliły w górę pierwsze smugi światła.

Wiatr począł przycichać. Po niebie szły jeszcze szybkie obłoki, ale już coraz rzadsze i mniejsze. Z jednego z nich spadł krótki deszcz, a kiedy słońce ukazało się na niebie, jego krople rozbłyły miliardem skrzących iskier, czyniąc z rozciągających się obok drogi łąk tkane diamentami kobierce.

Rycerska broń również zamigotała skrami światła. Z lewej strony na szczytach odległych wzgórz dojrzano długą linię ciągnących jeźdźców, odcinającą się wyraźnie na tle nieba. Były to chorągwie bocznej straży, prowadzone przez marszałka Zbigniewa.

Dochodziła piąta, kiedy minięto opuszczone przez ludność Łogdowo. Za wsią król trącił ostrogą wierzchowca, przyśpieszając jazdę, i orszak królewski, dzwoniąc bronią i uprzężą, zaczął wyprzedzać postępujące z wolna chorągwie.

Rycerstwo jechało w grupach, każda stanowiąc jedną kopię, ale grupy trzymały się razem, pilnując swoich znaków. Chrzęściła uprzęż, tu i ówdzie brzęknęła broń, rozlegały się parsknięcia koni, z których po deszczu szła para. Rycerze witali władcę okrzykami, a ten odpowiadał im uniesieniem ręki i z kolei pozdrawiał dowódców, pomiędzy którymi nie brak było i dworskich dygnitarzy.

Nie było jeszcze szóstej, kiedy przed oczami jadących ukazały się zabudowania Ulnowa. Z prawa, pomiędzy pochyłościami terenu, ujrzano skrawki jeziora.

Po minięciu Ulnowa, którego mieszkańcy uciekli również na wieść o zbliżaniu się wojska, orszak królewski objechał kraniec jeziora Lubień, kierując się ku widocznemu z dala skupisku wozów na jego wschodnim brzegu. Był tu już miecznik Zyndram, który gromkim głosem wydawał rozkazy, ustawiając w czworobok wciąż nadciągające tabory. Pracowała przy nich czeladź z łopatami w ręku, sypiąc wał obronny. Stało też sporo namiotów, pomiędzy którymi kręciła się rycerska służba, bo chorągwie, które przybyły tu pierwsze, posiadały z koni i przygotowywały sobie ranny posiłek.

Król, rzuciwszy okiem na tę zwykłą obozową krzątanicę, kazał Zyndramowi pozostawić w obozie zastępcę, a samemu przyłączyć się do jego orszaku. Potem polecił z kolei przewodnikowi Trojanowi zaprowadzić się na miejsce, skąd mógłby obejrzeć okolicę.

Ten powiódł pana ku zachodniemu brzegowi jeziora na wzgórze górujące nad otoczeniem.

Była godzina szósta rano. Orszak królewski osiągnął wkrótce szczyt wzniesienia, zatrzymując się wśród obrastających go drzew. Król obrócił konia ku północy i, złożwszy dłonie na łęku siodła, patrzył przed siebie.

Za rozciągającym się przed nim polem, spoza zamykających je wzgórz, wznosiły się w górę lekko znoszone słabym już wiatrem setki dymów z niewidocznych ognisk. Na niebie tworzyły wielką czarną chmurę, która, układając się w długie smugi, sphywała na wschód. Dalsze dymy, ale zapewne już pożarów, widać było nad horyzontem w okolicy Łodwigowa, którego chaty rozciągały się z lewa pomiędzy kępami drzew. Z prawa, częściowo zakryte zboczem wzgórza, rozsypały się zabudowania Stębarka.

Stok pagórka, na którym stał król, schodził w dół łagodną otwartą pochyłością. Po obu jego stronach ciągnęły się jednak krzaki, chaszczce, zagajniki, a dalej las przestaniający położone z lewa Ulnowo, a nawet i Łogdowo.

Za polem rozciągniętym u stóp patrzących wznosiły się wzgórza. Na ich stokach widać było w słonecznym blasku żółte pasma szańców usypane ze świeżo wykopanego piasku. Wokół krzątały się ich załogi, podobne z tej odległości do przesypujących się tu i tam ziaren maku.

Król obrócił się za siebie i skinął na Piotra Madaleńskiego, swego nadwornego ochmistrza.

— Każ waść rozbić pomiędzy drzewami kapliczny namiot — polecił, kiedy ten zbliżył się z koniem. — Niech proboszcz Jarosław odprawi zaraz mszę. Zanim przyjdzie do walki, należy błagać Najwyższego o zwycięstwo.

Dworzanin cofnął się, by wykonać królewski rozkaz. Wicekanclerz zbliżył się do króla, ale nie zdążył nic powiedzieć, gdyż rozległ się tętent kilku koni i w otoczeniu rycerzy nadjechał marszałek Zbigniew.

— Przybyłem ze swoimi, miłościwy panie! — wykrzyknął, zdzierając przed królem wierzchowca. Na twarzy marszałka było widać podniecenie.

— *Nieprzyjaciel nie nagabywał? Mieliście spokojny marsz?*

— *Nie zbliżali się, choć widzieli nas, jako i my ich! Tylko patrzeć, jak na nas uderzą!*

— *Gdzie ostawiłeś chorągwie? — spytał spokojnie król, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa marszałka.*

— *Przykazałem im zatrzymać się w lesie wedle Łogdowa, aż nie otrzymają dalszych rozkazów.*

— *Niechże tedy na razie tam ostaną jako ty przy mnie.*

Wicekanclerz po wycofaniu się marszałka ku orszakowi powiedział:

— *Chciałem rzec parę słów, jeśli zezwolicie, miłościwy panie.*

— *Mów, Mikołaju — uśmiechnął się Jagiełło. — Nigdy nie żałowałem, słuchając, co mówisz...*

— *Ważne to, co chcę rzec. Otóż u wszystkich dostrzegam w oczach przedbitewną gorączkę. Przeto błagam, panie, aby i was ona nie ogarnęła!*

Tym razem Jagiełło roześmiał się.

— *Tak się tego boisz?!*

— *Bardzo, miłościwy panie, bo podniecenie i zapał do walki tłumią rozwagę. Dlatego też błagam was, byście pamiętali, że od waszego spokoju zależy teraz wszystko! Nie dopuszczajcie do głosu wojennego animuszu, niech go wstrzymuje rozsądek!*

Jagiełło zdawał się nie słyszeć tych słów. Siedział wyprostowany na koniu, wpatrując się z natężeniem w szczyty wyniosłości, na których widać było błyski krzyżackich pancerzy i kolorowe plamy banderii. Tam, w tej dali, był drugi człowiek, który teraz tak jak i on cały wysiłek umysłu i woli kierował na jeden cel — zwycięstwo.

Wreszcie doszły kanclerza królewskie słowa, które rzucił, nie odwracając głowy:

— *Obiecuję ci, Mikołaju.*

— *I jeszcze jedno, panie. Wstrzymując ochotę bitewną, wstrzymajcie też jak najdłużej rozpoczęcie bitwy. Nie wrogowi to na dobre wyjdzie, ale nam.*

Tym razem król obrócił się do kanonika.

— *Dlaczego tak radzisz?*

— *Z różnych powodów. Pierwszy, że go znecierpliwimy. Niecierpliwość zaś jest złym doradcą. Drugi, że w ten sposób odejmiemy mu przewagę lepszego stanowiska.*

Jagięło zmarszczył brwi.

— *Jak to rozumieć?*

— *Stoi na wzgórzach, ale odkrytych. My niżej od niego, ale w cieniu drzew. Słońce wkrótce mocniej przygrzeje, wiatr prawie już ustał, będzie więc spiekota. A nie mnie wam mówić, co znaczy postać na słońcu w rozgrzanych blachach.*

— *Nie głupie to słowa, ale czy oni zechcą stać beczynnie? Sam mówiłeś o niecierpliwości. Mogą lada chwila uderzyć, czego, spokój zachowując przed rycerstwem, bardzo się boję, bom do przyjęcia bitwy jeszcze nie gotów.*

— *Mimo największej niecierpliwości wielki mistrz nie uderzy, miłościwy panie. Na przygotowania macie czas.*

— *Skąd to wiesz, że tak pewnie mówisz? — rzucił król ze zdumieniem, potem dodał z lekkim sarkazmem: — Czy i to ów Erazm ci doniósł?*

— *W części tak, miłościwy panie. Mówił on o szańcach, które teraz na własne widzimy oczy.*

— *Do czego zmierzasz?*

— *Szańce należą do planu bitwy, jaki sobie Ulryk ułożył. Chce on ściągnąć nas ku nim, przetrzebić chorągwie bombardami i kuszami, złamać szeregi na wilczych dołach, a potem dopiero uderzyć i wyrznąć naszych w chaosie kłębiącym się na polu. Szance zdradzają wyraźnie ów plan, który tylko wtedy*

jednak może zostać wykonany, jeśli my uderzymy pierwsi. Na to będzie czekał wielki mistrz mimo największego nawet zniecierpliwienia, bo poniechanie planu bitwy na godzinę przed walką to połowa przegranej.

Jagiełło rzucił szybkie spojrzenie na swego kanclerza i skinął głową.

— Słusznie mówisz. Wstrzymamy więc bitwę, dokąd się da. Rozpocznię ją tak, aby skończyć przed zachodem.

Trąba chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dostrzegli właśnie pędzącego rycerza. Bódt on co i raz konia ostrogami, omijając rosnące po drodze krzaki. Poznano w nim Henka herbu Ostoja, szlachcica z ziemi chełmińskiej. Za nim w odległości paru staj gnało jeszcze kilku jeźdźców. Henko na widok królewskiego proporca zaczął wołać już z dala:

— Nieprzyjaciel na nas ciągnie! Szykujcie się do bitwy, miłościwy panie!

W orszaku królewskim powstało poruszenie, bo wiedziano, że wojsko jeszcze nie stanęło w szyku.

— Gdzieś go widział?! — odkrzyknął król.

— Ciągnie od Łodwigowa!

— Dużo ich?

— Widziałem jedną chorągiew!

Henko dopadł tymczasem królewskiego orszaku, ale Jagiełło nie patrzył na niego, obserwując pędzących ku niemu następnych rycerzy. I oni wołali o zbliżaniu się nieprzyjacielskich chorągwi.

Król zamienił spojrzenie z kanclerzem. Ten rzucił półgłosem:

— Pamiętajcie, nie traćcie spokoju. Obaczycie, że to nie krzyżacki atak.

Jagiełło sam już domyślił się zresztą, w czym rzecz. Toteż skinął na marszałka Zbigniewa, który ostro skoczył ku niemu, zdradzając tym, że i orszak królewski ogarnęło podniecenie.

— Weź, marszałku, kilka chorągwi — rozkazał spokojnie król — i odpędź te podjazdy, bo nic innego to nie jest. Chcą brodacze rozpoznać, co się u nas dzieje, nie daj więc im zajrzeć do naszej misy!

Marszałek zatoczył koniem i ruszył ze stoku, wzniesając za sobą obłok kurzu, a za nim pocwałowali jego przybocznicy. Z kolei król skinął na Zyndramę.

— Zajmiesz się, mieczniku, ustawianiem chorągwi. Pomogą ci w tym — król obrócił się w siodle i przesunął spojrzeniem po szeregu dygnitarzy i dworzan otaczających go półkolem — pan podkomorzy Szafraniec, pan wojewoda sandomierski Mikołaj, pan starosta wielkopolski Wincenty i pan Ligęza z Borku... Zbliżcie się, panowie, i słuchajcie, co powiem!

Wezwani otoczyli króla, który ciągnął dalej:

— Wolą moją jest, aby stanąć przeciw wrogowi w trzy hufce, każdy po dziesięć chorągwi. W pierwszej linii hufca mają stać cztery chorągwie, w dalszych dwóch po trzy. Hufce niech staną takim porządkiem: prawy, nad którym dowództwo obejmie wojewoda Mikołaj, podle litewskiego lewego skrzydła, środkowy, któremu przewodzić będzie Zyndrama, tu oto, przed tym wzgórzem, lewy pod wodzą Jana Ligęzy nieco w bok od Łogdowa.

Ustawcie je, waszmościowie, tak, aby w miarę możliwości drzewa kryły chorągwie. Przed tymi hufcami ustawisz, Zyndramie, ze dwie najbliższe chorągwie, chyba z podolskich, które idą z wojewodą Jaśkiem. Muszą one nadciągnąć lada chwila. Rozstawisz je w plot, i to dobrze rozciągnięty. Na pierwszy znak surmy ruszają tylko one i, dotarłszy do szaniec, mają wybić ich załogę. Luźno idąc, nie powinni ponieść dużych strat od bombard i kuszy, a wskażą chorągwiom miejsca, gdzie wróg pokopał wilcze doły. Jak to już wiedzieć będziemy, przykażę dać drugi znak trębaczowi, a wówczas niech ruszają chorągwie pierwszej linii. Drugą i trzecią wyślecie w bój podług własnego rozeznania. Ostrzegam też, aby nikt nie dał się opanować gorączce walki, która wodzowi nie przystoi. Tę możecie okazać dopiero, jeśli byście chcieli ruszyć sami do bitwy, co wolno wam uczynić, ale nie wcześniej niż z trzecią linią. Czyście pojęli mnie dobrze?

— *Pojęliśmy, wasza miłość!* — odpowiedział za wszystkich Zyndram.

— *Odwody zaś obejmie na prawym skrzydle Szafraniec. Stanie z sześciu chorągwiami w lesie, który ciągnie się wedle zachodniego brzegu jeziora, a starosta Wincenty z ośmiu chorągwiami za hufcem środkowym w gaju podle Umowa. Cztery chorągwie pójdą na lewe skrzydło i staną za Łogdowem, gdzie również są zagajniki. Te poruczę marszałkowi. Teraz zaś, mieczniku, wyznaczcie kogoś na jego zastępcę, dopóki on sam nie powróci.*

— *A chorągwie zaciężne, miłościwy panie?* — spytał Zyndram.

— *Świętego Jerzego przydziel prawemu skrzydłu. Sokoła zatrzymuję przy sobie, niech ją obejmie Sarnowski. Zbistawka weź do siebie. Krakowska i gończa staną na czele środka. Nadworną chorągiew postaw na północ od Ulnowa, bliżej mnie, bo pozostanie pod moimi rozkazami. Jedźcie teraz, panowie, i wykonajcie, com poruczył. Niech miecznik po sprawdzeniu wszystkich hufców i odwodów przyśle mi gończa z powiadomieniem o gotowości, a chorągwie rozdzieli, jak mu poręczniej wypadnie. Ruszajcie z Bogiem!*

Po odjeździe wyznaczonych dowódców król odprowadzał ich chwilę wzrokiem, po czym znów obrócił spojrzenie i, milcząc, obserwował rozciągającą się przed nim panoramę.

Nikt z dworzan nie przerywał tego milczenia, wiedząc, że towarzyszy ono myślom wodza przed czekającą go walką. Po pewnym czasie Jagiełło obrócił się za siebie i spytał:

— *Czy kaplicę już ustawiono?*

— *Gotowa, najjaśniejszy panie!* — odpowiedziało kilka głosów.

Król trącił konia ostrogą. W tej chwili nadbiegł goniec z wiadomością, że wojewoda Jaśko doprowadza ostatnie swoje chorągwie i zaraz sam przybędzie. Zaledwie złożył ten meldunek, kiedy z przeciwnej strony dał się słyszeć tętent i spomiędzy zagajników wyskoczył inny jeździec. Zdarł konia przed królem i krzyknął:

— *Od kniazia Witolda, miłościwy panie! Książ przykazał rzec wam, że nieprzyjaciela ma przed sobą, i pyta, kiedy przykażecie uderzyć?!*

— *Czy chorągwie od Waplewa nadciągnęły?*

— *Nadciągnęły, miłościwy panie, ale czy wszystkie, to nie wiem!*

— *A wojska kniazia już gotowe do bitwy?*

— *Gotowe, królu! Czekają tylko na wasz rozkaz!*

— *Powiedz tedy księciu, by nie zaczynał, dopóki tego rozkazu nie otrzyma! Ruszaj!*

Goniec zakręcił w miejscu koniem i jak zdmuchnięty wiatrem pognął z powrotem. Król zaś ruszył z wolna ku namiotowej kaplicy.

Zbliżała się godzina ósma.

Jagiełło przebywał w namiocie blisko godzinę. Po mszy bowiem, odprawionej przez kaliskiego proboszcza Jarosława, z drugą wyszedł pleban Bartosz z Kłobucka, obaj kapelani dworscy.

W czasie trwania drugiej mszy nadjechał książę Witold. Po otrzymaniu bowiem wieści, że z rozpoczęciem bitwy ma czekać, uniesiony niecierpliwością i gniewem, pognął osobiście do króla. Bez zwykłego orszaku, w kilka zaledwie koni, wpadł książę na wzgórze.

— *Gdzie król?! — krzyknął, zdzierając rumaka przed otaczającą namiot grupą rycerzy.*

— *Mszy słucha, mości książę — poinformował go spokojnie kanclerz. Nie brał on w nabożeństwie udziału, obserwując z konia przejeżdżające chorągwie, które udawały się na wyznaczone im stanowiska.*

— *Długo jeszcze tych modłów?! — rzucił podniesionym głosem Witold. — Moje wojska stoją już gotowe, a wasze jeszcze po polach wędrują, widać miejsca dla siebie nie mogą znaleźć! Czemu nie pośpieszacie?! Nie czas teraz na religijne praktyki! Tych niech Władysław dokona, jak będzie miał za co Bogu dziękować!*

— Pohamujcie się, panie — odpowiedział księciu Trąba. — My istotnie jeszcze gotowi nie jesteśmy.

— A widzę, widzę! — parsknął gniewem Witold. — Grzebiecie się jak kwoki! Jakby nie o bitwę szło, a wysiadywanie jajec!

Kanclerz nie zdążył już odpowiedzieć księciu, bo z namiotu wyszedł król. Na widok kniazia skinął ręką, po czym bez pośpiechu dosiadł podprowadzonego konia.

— Miłościwy panie! — krzyknął ku niemu Witold. — Ponaglajcie waszych dowódców, bo do wieczora nie zdążą ustawić szyków! Krzyżaków wnet już będziemy mieli na karku!

— Jeszcze zdążysz, miły bracie, zażyć bitewnej uciechy — uspokoił księcia Jagiełło. — Spieszyć nie mamy potrzeby.

— Nie ma potrzeby? — zdumiał się Witold. — Nie boicie się, że mogą każdej chwili na was uderzyć?!

— A nie boimy się — uśmiechnął się król. — Jak zapewne zdołałeś już dostrzec, chorągwi nie wysuwamy zbyt w pole, a pomiędzy drzewami Krzyżak walczyć nie lubi, bo na to zbyt ciężki. Nie jedyna to zresztą przyczyna, dla której Ulryk pierwszy nie uderzy...

— Zbytńście pewni swojego mniemania! Śpieszyć musisz, bo zdarzyć się może wiele wbrew temu, co sądzisz!

— Bądź o to spokojny — mruknął Jagiełło już z lekka podrażnionym tonem. — Naglisz do bitwy, a sam gotowyś do niej?

— Już od godziny na was czekam!

— Postawiłeś przed hufcami lekkie chorągwie, jakeśmy to orzekli?

— Tak! Dwie tatarskie i jedną lżejszą litewską. Trzy starczą.

— A reszta wojsk?

— Dwadzieścia chorągwi w pierwszej linii stoi gotowych do walki. W odwodach na prawym skrzydle postawiłem cztery, na lewym także cztery, w środku sześć.

— Które chorągwie masz na styku z nami?

— Trzy smoleńskie pod wodzą samego Semena Lingwena. Te są najlepsze i dlatego dałem je na twój prawy bok, wiedząc, jakżeś się trapił, czy moja Litwa dotrzyma Krzyżakom placu! Ale jestem pewny, że damy sobie z brodacami radę!

— Ostrożność nie zawadzi. Jakby zeszyły z pola, prawe skrzydło będę miał otwarte.

— Semen nie zawiedzie! Bądź o to spokojny!

— Odwody masz dobrze zakryte?

— Prawe stoją w zagajnikach, lewe w lesie niedaleko twoich. Środek jedynie mam otwarty, bo tam teren równy, a drzew prawie nie ma.

— Odwody trzymaj, jak długo zdołasz, i ślij często gońców, bym wiedział, jak ci idzie. Ja zaś na rozpoczęcie bitwy też przyślę ci gońca, bo surmy możesz nie dosłyszeć.

— Jak długo chcesz jeszcze zwlekać? — Witold nadal nie mógł pozbyć się niecierpliwości.

— Tak długo, jak się da, by bitwę zakończyć przed zachodem. Nie czas teraz na wyjaśnienia, ale bądź spokojny, Ulryk pierwszy nie uderzy!

Witold pokręcił głową, niezbyt przekonany. Nic już jednak nie odpowiedział, oznajmiając tylko:

— Ruszam do swoich! — Po czym, skinąwszy na switę, poderwał konia.

Jagięło polecił rozesać gońców do dowódców z zapytaniem, czy są już gotowi. W chwilę potem ujrano zbliżający się szybko do Łodwigowa tuman kurzu.

Minęła godzina dziesiąta. Od królewskiego orszaku oderwało się samorzutnie kilku rycerzy, by zasięgnąć wieści, co by to oznaczało. Zanim jednak zjechali ze

stoku, dostrzeżono, że od grupy Ligęzy oderwał się mały oddział i również pognał w kierunku nadjeżdżających.

Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Były to chorągwie marszałka Zbigniewa, które po wykonaniu poruczonego zadania wracały ku swoim. Niedługo potem i sam marszałek znalazł się przed królem.

— Podjazdy to były istotnie! — zameldował, uspokajając tańczącego wierzchowca.

— Przyszło do walki? — spytał król.

— Nie, wasza miłość! Odstąpili, ujrawszy nas!

— Dostrzegłeś coś po ich stronie?

— Widziałem, że stoją przygotowani do bitwy! My zaś zbyt marudzimy, wasza wysokość! Musimy pośpieszyć, bo mogą lada chwila uderzyć!

— Czekam właśnie na wieści od hufców, do których posłałem gońców.

— Widziałem w pobliżu sposobne miejsce, skąd dojrzycie wszystko, miłościwy panie! To wzgórze bliższe nieprzyjaciela i nie tak osłonięte!

— Jedźmy tedy. Pora jednak, abym i ja przywdział zbroję!

Na te słowa podskoczyli zaraz giermkowie, by pomóc panu zsiąść z konia, a potem nałożyć blachy. Kiedy zaś już w zbroi król dosiadł znów

wierzchowca, otoczył go cały orszak, który w ów dzień bitwy składał się tak ze znakomitych panów i rycerzy, jak i bliskich władcy dworzan. Był więc w nim doświadczony czeski wódz Jan Sokół, księżęta litewscy, spowinowaceni z królem: Fieduszko i Zygmunt Korybut, jego siostrzeniec Ziemowit zwany Semkiem, syn księcia Ziemowita Mazowieckiego, wicekanclerz koronny kanonik Mikołaj Trąba, sekretarz Zbigniew z Oleśnicy, dzierzący strzały Daniłko z Rusi, od małego proporca Mikołaj Morawiec, starszy nad komornikami Bieniasz z Białej, rycerz Jan Mężyk z Dąbrowy, późniejszy wojewoda lwowski, czeski pan Jan Zolawa, Dobiesław Kobyła, Walczak Rokuta, Henryk z Rogowa, Piotr

Madaleński, ochmistrz nadworny, Bogufał kuchmistrz, i inni, a z nimi sześćdziesięciu kopijników.

Cały ten poczet podążył za królem, który, mając u boku marszałka, zjechał ze stoku, by udać się na owo wzgórze.

To znajdowało się nieco z prawa i wysunięte przed zagajniki i gaje było istotnie wyższe i bliżej nieprzyjaciela. Toteż kiedy znaleźli się u szczytu, rozległy widok rozciągnął się przed nimi.

Stąd wyraźnie już dostrzec można było obie wsie leżące po dwóch krańcach panoramy: z lewej Łodwigowo, z prawej Stębark.

Pomiędzy tymi wsiami ciągnęły się wzgórza o łagodnych stokach, schodzących niżej w teren niezbyt równy, poprzecinany tu i ówdzie kotlinami.

Na stokach tych wzgórz już zupełnie wyraźnie widać było szańce i ich załogi, a nieco ponad nimi konne szeregi rycerzy odzianych w połyskujące w słońcu pancerze. Rzędy ich ciągnęły się od krańca do krańca widnokręgu, przedzielone różnobarwnymi proporcami powiewającymi na wietrze.

Po polu leżącym przed obu wojskami podmuchy wiatru unosiły obłoki kurzu, kręcąc nimi w powietrzu. W środku równiny, tuż przy kotlinie rośło kilka dębów, a wśród ich gałęzi widać było pachołków, którzy wspięli się na konary, by z bliska przyjrzeć się bitwie.

Nad tym rozległym krajobrazem rozciągało się błękitne niebo, po którym wędrowały szybko obłoki, nie zasłaniając jednak słońca, które przypiekało coraz mocniej.

Król długo patrzył na nieprzyjacielskie szeregi, wreszcie skierował wzrok bliżej, ku swemu wojsku. Hen, z dala, pod Łogdowem leżącym po lewej ręce, prawie naprzeciw Łodwigowa, połyskiwały pancerze grupy Ligęzy. Niżej przed patrzącymi stały już w gotowości chorągwie pierwszego rzutu grupy

Zyndrama. Tylne hufce mało było widać, gdyż częściowo krył je las. Na prawo, najbliżej patrzących, stały chorągwie wojewody sandomierskiego, który właśnie gnał ulicą pomiędzy pierwszym a drugim rzutem w otoczeniu kilku rycerzy.

Przed frontem polskiej linii rozciągały się szeroko dwie lekkie podolskie chorągwie. Przesunąwszy po nich wzrokiem, król spojrzął z kolei na prawo, ku wojskom litewskim.

Pierwszych chorągwi, składających się z wojów ziemi smoleńskiej, dostrzec nie mógł, bo zasłaniały je drzewa. Dalej zaś ciągnął się długi, zanikający w przestrzeni szereg konnych oddziałów. I przed tym szeregiem rozrzucony w luźną linię stali lekkobrojni jeźdźcy w ostrych kołpakach na głowach i z łukami na plecach.

Król, obejrzawszy wszystko dokładnie, zawrócił konia i skinął na marszałka Zbigniewa.

— Już mi gońcy donieśli, że hufce gotowe są do walki. Objedź je wszakże, marszałku, i sprawdź, jako jest w rzeczy samej. Potem już nie wracaj, bom dla ciebie przeznaczył cztery chorągwie lewego odwodu. Tobie je powierzam, boś wojownik doświadczony, toteż sądzę, że dobrze wykonasz zadanie, którem sobie zamyślił.

— Rad słyszę te słowa, miłościwy panie... — odpowiedział marszałek zaciekawiony tym wstępem.

— Ten odwód stoi w gaju pod Łogdowem, ale nie zamierzam nim wspierać walczących szeregów. Skoro nadejdzie sposobna chwila, dam ci rozkaz, a ty wówczas okrążysz szybko a niepostrzeżenie Łodwigowo z lewa i, zatoczywszy łuk, uderzysz na Krzyżaków od tyłu. Ruszaj więc teraz i jak przybędzie mój goniec, wykonaj, com rzekł, szybko i sprawnie.

Marszałek bez słowa skinął głową i zatoczywszy koniem, pognął w dół. Król zaś skierował się z powrotem ku kaplicznemu wzgórzu.

Tam spotkał się z wojewodą Jaśkiem, który przybył, by donieść władcy, że jego ostatnie chorągwie już zajęły swoje stanowiska.

Nadleciał też kolejny goniec od kniazia Witolda. Księżę, zdradzając w ten sposób nieopuszczające go zniecierpliwienie, ponownie zapytywał u rozkazy. Temu król znów polecił cierpliwe oczekiwanie, po czym przywołał kanonika Trąbę, nie schodząc z konia, wyspowiadał się przed nim. Po

spowiedzi zaś oznajmił, że dokona pasowania, rycerstwo więc wyznaczone ku temu nich uszykuje się w pobliżu obozu, gdyż wkrótce tam przybędzie.

Czarny, który dzięki wstawiennictwu kanclerza miał również dostąpić tego zaszczytu, wysunął się z orszaku i pośpieszył na wyznaczone miejsce.

Ceremonia pasowania trwała dość długo, ale Czarnemu udało się dostać do jednego z pierwszych szeregów, wkrótce więc mógł dosiąść swego konia już w rycerskim pasie.

Powrót na miejsce postoju pozwalał na wykonanie polecenia księdza Andrzeja. Czarny słyszał królewskie rozkazy, znał więc miejsca postoju hufców, którym przydzielono zaciężne roty. Jadąc z gaju za Ulnowem, gdzie odbyła się ceremonia, mijał chorągwie stojące na swoich stanowiskach i przyglądał się im bacznie, szukając wzrokiem zagranicznych znaków.

Nieco poza wzgórzem, na którym znajdowała się kaplica królewska, stało w zaroślach około trzystu rycerzy. Nie mogąc dostrzec ich znaku, Czarny zastanawiał się, czy nie jest to chorągiew nadworna, którą król podciągnął tak blisko. Przejeżdżając jednak obok wojów, usłyszał czeską mowę.

Oddział stał osobno, z dala od głównej linii hufców. Do odwodów również nie mógł należeć, bo te stały głębiej, dobrze ukryte w lesie. Dostawszy się na szczyt, Czarny zbliżył się do Trąby.

— Pozwólcie, wasza wielbność, mam do was parę słów.

Kanclerz bez rozpytywania, co by chciał, od razu ściągnął wodze, cofając konia do tyłu.

— W zagajniku za wzgórzem dostrzegłem trzystu zaciężnych. Mówią po czesku. Nie mają tam nic do czynienia, bo hufce stoją gdzie indziej. Ksiądz Andrzej przykazał...

— Wiem o tym — uciął kanclerz. — Prowadź!

Czarny skinął na swoich pachołków przydzielonych mu na czas bitwy do ochrony kanclerza. Było ich poza Włodkiem i Jurgą pięciu, dobrze zbrojnych i sprawnych.

Wkrótce byli już na miejscu. Tu Czarny stwierdził, że oddział przesunął się dalej, zdążając z wolna w stronę obozu.

Trąba uderzył konia ostrogą i po chwili dopadł czoła chorągwi.

— A dokąd to, waszmościowie?! — zawołał ostro, wstrzymując wierzchowca. — Toć przecie nie ku polu bitwy zdążacie!

— Opuszczamy pole, bośmy obiecanego żołdu nie otrzymali! — rzucił jadący przodem dowódca.

— Tak to sobie poczynacie?! — zawołał czerwony już na twarzy Trąba. — I mnie to mówicie, kanclerzowi królestwa? Jakbym nie wiedział, że wszelki żołd wbrew obyczajowi został zaciężnym na królewski rozkaz wyptacony z góry?!

Pierwsze szeregi wstrzymały konie, a dalsze najeżdżały na nie, zbijając się w ciasną grupę. Trąba uniósł się w strzemionach i krzyczał już do całego oddziału:

— Nie pytam waszego dowódcy, jak się zwie, aby wstydu mu przed wami nie przysparzać, ale pytam go, czy takiego kłamliwego szuka wybiegu, by z pola umknąć? A jeśli by i tak było, żeście żołdu nie dostali, to czemu nie użalił się przede mną albo i przed samym królem? Nie użalił się jednak, bo kłamstwo to przewrotne, którym chce swe tchórzostwo zakryć, nie tylko siebie, ale i was wszystkich wystawiając na hańbę opuszczenia znaku! Ale skoro rzeczywiście tak się boicie wroga, to was strzymywać nie będę, bo i tak z tchórzów w bitwie korzyści nie ma! Ruszajcie tedy i chrońcie się do obozu, a skoro już pokonamy brodaczy, gońca wam podeślę, byście nosy mogli pokazać!

Czarny dostrzegł, jak twarze co bliższych rycerzy, widoczne spod uniesionych przyłbic, zaczęły nabiegać krwią. Dowódca zaś złapał za rękojęść topora zwisającego mu u siodła.

— Przestańcie, wasza wielebność! — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Przestańcie, bom takich słów słuchać nie zwykłem...

— Może rzekniesz jeszcze, że niesprawiedliwie mówię? Że niesłusznie nastaję na twój rycerski honor?

Rycerz zmarszczył brwi, przygryzając wąsa, po czym nieoczekiwanie uśmiechnął się.

— Nie ma co, prawdę żeście nam wygarnęli, panie! — odezwał się pojednawczo. — Stumaniony, drogę zmyliłem i nie tam zdążyłem, gdzie nasze miejsce! Toteż proszę, abyście zapomnieli tych słów, coście je rzekli, jako i ja zapomnę, że ich musiał wystłuchać. I nie kłopotczcie się, by nas w bitwie zabrakło!

— Niech i tak będzie, jakeś rzekł! — odpowiedział Trąba i skinął na Czarnego. — Pora rzucić okiem na nasze chorągwie.

Wkrótce dotarli do środkowego hufca. W jego pierwszym szeregu, zgodnie z królewskim rozkazem, stały cztery chorągwie, a wśród nich słynna krakowska z Zawiszą Czarnym, Florianem z Korytnicy, Domaratem z Kobylan i innymi głośnymi rycerzami przed jej sztandarem. Obok krakowskiej stała nie mniej od niej słynna królewska gończa, a po bokach miały poznańską i lubelską. W drugim rzucie, już przysłonięte drzewami, stały chorągwie ziemi sieradzkiej, kaliskiej i sandomierskiej.

W trzeciej zaś linii Czarny dostrzegł czerwoną banderę z białym krzyżem, który miała w znaku chorągiew Świętego Jerzego, składającą się z zagranicznego rycerstwa. W miejsce nieobecnego Sokoła stał na jej czele Sarnowski, toteż Czarny zapamiętał sobie miejsce jej postoju.

Wszyscy rycerze pierwszej linii siedzieli w siodłach z kopiami w rękach, otoczeni giermkami i pachotkami, również pokrytymi zbrojami, bo brali oni udział w walce razem ze swoimi rycerzami. Oczekując każdej chwili głosu rogu, patrzyli przed siebie na otwartą przestrzeń pola, gdzie wkrótce przyjdzie im zmierzyć się z żelazną nawałą krzyżacką. Czarny przesuwał spojrzeniem po ich surowych, spalonych słońcem twarzach zastanawiał się, o czym też oni teraz myślą. Czy oczami wyobraźni budują obrazy walki, która lada chwila ma nastąpić, czy też biegną ku swoim bliskim pozostawionym gdzieś daleko, w głębi kraju, którego tu bronią?

Konie stały spokojnie, raz po raz potrząsając łbami, i bijąc się po bokach długimi ogonami odpędzały naprzykrzone gzy. Ten i ów parsknął krótko, niektóre

wyciągnąwszy do tyłu nogi oddawały mocz, znać odczuwając przedbitewne podniecenie swoich panów i ulegając mu również.

Kanclerz przejeżdżał ulicą pomiędzy chorągwiami, tu i ówdzie rzucając parę żartobliwych słów. W czasie marszu poznali go już wszyscy z oblicza, toteż teraz wiedzieli, kogo mają przed sobą.

— Długo jeszcze będziem tu stali, wasza wielebność? — wołano z szeregów. — Długo jeszcze będziem ślepie wytrzeszczać na tych psubratów? Po co tu stoim beczynninie?! Czy trębaczowi zabrakło tchu w piersiach?!

— Tylko patrzeć, a ruszymy — uspokajał Trąba. — Znać miłościwy pan chce im podarować jeszcze tę godzinę życia!

Po objechaniu pierwszej linii i zamienieniu paru słów z Zyndramem, który na widok kanclerza podjechał ku niemu, Trąba skierował się z kolei w głąb zagajnika, gdzie stały odwody.

Tu rycerze posiadali z koni i stojąc grupami gawędą skracali sobie czas. Niektórzy, lżej zbrojni, pokładli się nawet na ziemi, by w cieniu drzew odpocząć przed bitwą, ich bowiem sygnał bojowy na razie nie dotyczył. Na głos trąby musieli wprowadzić i oni znaleźć się w siodłach, ale na to mieli dość czasu.

I tu kanclerz gawędził z rycerstwem, po czym, skinąwszy na Czarnego, ruszył galopem ku wzgórzu, na które miał przybyć król.

Tego wszakże już tam zastali. Właśnie zmienił konia i odebrawszy z rąk Czajki szyszak trzymał go jeszcze w ręku, kiedy spostrzegł zbliżającego się kanclerza. Zawołał więc ku niemu:

— Mości kanclerzu! Zaraz przykażę grać do bitwy! Bierz waść obecnych tu kapłanów, pisarzy i inne osoby duchowne i pośpieszajcie do obozu. Czeladź po zwinięciu namiotów także ma tam iść!

Trąba zbliżył się do króla.

— A wy, miłościwy panie? Czy pamiętacie, coście przyrzekli Radzie?

— Pamiętam! Toteż do bitwy nie pójdę, ale że oko na wszystko mieć muszę, zaraz przesunę się na owo wzgórze, które mi wskazał Zbigniew. Stamtąd pole widać najlepiej!

— Obyście tylko nie ulegli bitewnej gorączce! Ale tuszę, że ci, którzy przy was zostaną, do tego nie dopuszczą!

W tej chwili paru rycerzy uniosło dłonie, które chroniły już manice, i coś sobie pokazywało. Kiedy król spojrział w tamtą stronę, dostrzegł zbliżających się od linii krzyżackich trzech jeźdźców. Byli już u podnóża stoku i, jadąc truchtem, zbliżali się z wolna ku polskim liniom. Pierwszy z nich dzierżył w dłoni biały proporzec.

Jagięło zdziwiony spojrział po otoczeniu.

— A ci czego jeszcze od nas chcą?

Wkrótce na tarczach zbliżających się rycerzy można było dostrzec ich znaki. Jeden miał herb rzymskiego króla, to jest orła czarnego w złotym polu, drugi zaś księcia szczecińskiego — czerwonego gryfa na białym tle.

— Z czym przybywacie, panowie rycerze? — spytał z powagą król, kiedy byli już zupełnie blisko.

Na widok króla heroldowie wstrzymali konie i zeskoczyli na ziemię. Ujrzano, że każdy z nich trzyma obnażony miecz głownią do przodu.

— Z poselstwem, Wasza Królewska Mość, od wielkiego mistrza! — odpowiedzieli jednocześnie po niemiecku, toteż król skinął zaraz na Mężyka, by tłumaczył, i powiedział:

— Mówcie więc!

— Najjaśniejszy królu! — przemówił jeden z przybyłych. — Wielki mistrz pruski śle tobie i twojemu bratu te dwa miecze jako pomoc w zbliżającej się walce, abyś nie tak gnuśnie i z większą odwagą przystąpił do bitwy, a nie chował się po zaroślach. Wyjdź w otwarte pole walczyć, jeśli zaś mniemasz, że do rozwinięcia swoich hufców za szczupłe masz miejsce, ustąpi ci mistrz Ulryk nieco ze swego pola, abyś tylko nie odwlekał bitwy!

Po tym przemówieniu obaj zbliżyli się do Jagiełły, podając mu miecze. Jednocześnie ujrano ruch w liniach krzyżackich, które cofały się nieco, bo znać dostrzeżono, że posłowie dotarli już do króla i powtarzają słowa postannictwa.

— Głupcy! — rozległ się głos Sokoła przy królewskim boku.

— I bez tych mieczy drzazgi z was polecą! — rzucił po niemiecku któryś z rycerzy.

Król odebrał miecze, wręczając je z kolei Mężykowi, po czym skinąwszy na otoczenie, by ucichło, odezwał się:

— Chociaż w moim wojsku dość jest oręża, przyjmuję te dwa miecze. Niech służą ku obronie słusznej sprawy. Ja zaś modlitwą błagać będę, aby na nieprzyjaciół moich tak dumnych Bóg i święci patroni mego królestwa gniew swój obrócili, a mnie i mój lud zastanili od nich. Zuchwałą zaś pychę tych nieprzyjaciół Sędzieja Sprawiedliwy i Pan Zastępów na tym polu, gdzie wkrótce się spotkamy, niech zetrze i upokorzy...

Potem obrócił się i polecił rycerzowi Dziwiszowi z Moracza, by posłów wziął w opiekę i odprowadził do obozu, bo wrócić już by nie zdążyli, gdyż pora była zaczynać bitwę. Potem król włożył na głowę hełm i, nie opuszczając przyłbicy, skinął na jednego z gońców.

— Gnaj do kniazia Witolda i powiedz, by zaczynał! — Jednocześnie ruszył koniem, kierując się na bardziej ku przodowi wysunięte wzgórze. Skoro zaś znalazł się na jego szczycie, przeżegnał się z wolna, po czym rzucił krótko:

— Trębacz, daj sygnał!

Chrapliwy, donośny głos rogu poniósł wiatr po polu. Była godzina jedenasta.

Tak jak król miał przed sobą Łodwigowo nieco na lewo, tak wielki książę Stębark nieco na prawo. Zajął stanowisko ze swym orszakiem na jednym ze wzgórz, wybierając miejsce, z którego mógł szybko porozumieć się przez gońców z głównym wodzem.

Witold nie umiał jednak zachować takiego spokoju jak jego królewski brat. Bardziej niecierpliwy i gorącej krwi, zgodnie ze swoim zwyczajem we wszystko

sam chciał wejrzeć, sprawdzić i osobiście dopilnować, toteż padły pod nim już dwa wierzchowce.

Jaksa nie towarzyszył stale swemu panu, bo i no wciąż był posyłany z rozkazami lub po meldunki. Wreszcie jednak nic już nie było do roboty i pozostawało tylko wyglądać znaku wzywającego do bitwy. Wielki książę oczekiwał go z niestabnącą niecierpliwością, zły i coraz bardziej rozdrażniony.

Zbliżało się południe i upał stawał się coraz bardziej dotkliwy. Drobny deszcz, który zrosił pola w rannych godzinach, już nie pozostawił po sobie ani śladu. Konie, ulegając nastrojom jeźdźców, niecierpliwiły się również, tańcząc w miejscu lub przebierając nogami grzebały kopytami ziemię. Krzyżackie linie, tu jeszcze bliższe niż na skrzydle polskim, były dobrze widoczne w pełnym słonecznym blasku. Chorągwie ich stały nieruchome, z uniesionymi kopiami, a pomiędzy szeregami przebiegali dowódcy, za którymi powiewały białe opończe z czarnymi krzyżami.

Nieco niżej książęcy orszak miał przed sobą własne oddziały uformowane w kliny, z wojami zwartymi w ciasne szeregi. Poszczególne chorągwie stały jednak co kilkadziesiąt kroków od siebie. W lewo szerokim łukiem zaginały się ku Łodwigowu chorągwie polskie. Pomiędzy obu liniami pojawili się harcownicy, tocząc szereg pojedynków. Był to znak, że bitwy tylko patrzeć.

W pewnej chwili w wielkksiążęcym orszaku dostrzeżono również ów poczet poselski, składający się z trzech rycerzy.

— Jeszcze gotowi bez bitwy się rozejść — mruknął z przekąsem któryś z litewskich wielmożów.

— Nie bój się, Butrym — odpowiedział mu ktoś z lekka kpiącym tonem. — Nie z Moskwą to sprawa.

Kilku bojarów roześmiało się, bo był to przytyk pod adresem wielkiego księcia, który dwukrotnie spotkawszy się z wojskami Wasyla moskiewskiego — zresztą swego zięcia — kończył spór bez bitwy, zawarłszy porozumienie.

Kniaź zdawał się nie słyszeć tych słów, bo ze zmarszczoną brwią obserwował heroldów i nie odzywał się jeszcze długo po ich zniknięciu z pola widzenia.

Milczenie to zostało przerwane tętentem konia. Dosiadający go jeździec coś krzyczał, wymachując uniesionym ramieniem. Nieomal jednocześnie z jego ukazaniem się usłyszano daleki, ale wyraźny głos rogu, który przyniósł ku nim wiatr.

Kniaź obrócił się gwałtownie w siodle i wrzasnął do trębacza:

— Graj! Zaczynamy!

Litewski róg jeszcze nie zamilkł, kiedy już odezwały się piszczałki i od litewskich chorągwi oderwał się rząd jeźdźców w spiczastych kołpakach i popędził ku krzyżackim liniom. Konie gnały, zamiatając niemal brzuchami ziemię, a dosiadający je wojownicy pochyleni nisko do przodu, by uchronić się od strzał, jeszcze je przynaglali przenikliwym wraskiem.

Jaksa dostrzegł, jak w chwilę potem i od polskich linii oderwała się ćma lekkich jeźdźców, pędząc z uniesionymi do góry szablami i ustami rozwartymi krzykiem.

Tatarzy jednak, którzy ruszyli wcześniej na prawym skrzydle, byli też i szybsi, toteż szarżę od strony Stębarka pokryły najpierw białe obłoki dymu, a w chwilę potem usłyszano grzmot wystrzałów. Bombardy skierowane ku polskiemu skrzydłu zahuczały nieco później i dlatego kronikarz zanotował, że padły dwie salwy. Na oddanie drugiej nie było jednak czasu. Należało przecież poprawić po strzale ustawione działa, wsunąć worek z prochem, po nim kamienną kulę, no i wreszcie podsypać prochu i przyłożyć lont. Pędzący jeźdźcy byli już zbyt blisko i szybko pokonywali odległość. Zaraz też dopadli szarżców. Tu i ówdzie zwałił się wprawdzie jeden, drugi, dziesiąty jeździec, ale raczej ugodzony strzałą niż kulą. Niektórzy padali wraz z końmi, ale reszta rozgrzana bojową ochotą gnała dalej i niepompna ostrzeżeń przed wilczymi dołami wpadała w nie z kwikiem rozdieranych palami koni i wraskiem wojowników. Zakłębiło się pod szarżcami, zakotłowało, ale z tego kłębowiska wypadali ci, którym udało się na czas zedrzeć konia lub na widok pułapki ominąć ją z boku. Pod chmurą strzał rycerze dopadli okopów, tnąc ich załogę.

Wielki mistrz, obserwując tę pierwszą walkę, nie nadsyłał jednak posiłków ginącej piechocie. Spełniła ona już swoje zadanie — niestety nie tak, jak się

spodziewał — i teraz nie była potrzebna, a nawet przeciwnie, mogłaby być zawadą własnej jeździe. Niech więc wróg usunie ją sprzed linii.

Od strony polskiej zabrzmiał znów głos rogu, tym razem krótszy, ale powtarzany dwukrotnie.

I oto oderwały się od stojących hufców pierwsze chorągwie i wolnym truchtem zaczęły posuwać się ku krzyżackim liniom. Proporce u kopii jeszcze sterczących w górę furkotały na wietrze różnorakimi barwami niby kwiaty rozkwitłe raptownie na tym jałowym polu, po którym wiatr poniósł grzmiącą z tysięcy gardeł rycerską pieśń „Bogurodzica dziewica...”

Trąba zabrzmiała i od krzyżackich hufców, które również ruszyły wolno, by śpieszną jazdą nie męczyć bojowych rumaków obarczonych ciężarem rycerzy.

Poszły i litewskie chorągwie. Obie linie wojsk zaczęły coraz bardziej zbliżać się ku sobie, coraz węższy stawał się pas dzielącego je pola. Konie spięte ostrogami zaczęły przyśpieszać biegu, a kopie pochyliły się jakby jedną opuszczoną ręką. Wzdłuż całej linii wojsk rozdarł powietrze nagły krzyk, a potem trzask, brzęk i łomot, który huczącym grzmotem przewalił się nad polem.

Rozpoczęła się krwawa praca. Przy pierwszym zderzeniu niektóre kopie trzaskały od ciosu, inne zostały odrzucone i chwymano za miecz lub topór. Kopie nie były bowiem już przydatne jako zbyt długie.

Wprawdzie zmaganie polegało na walce dwóch rycerzy ze sobą, giermka zaś z giermkim, a pachołków z pachołkami, lecz pojedynki odbywały się tylko tam, gdzie starczyło miejsca, gdzie masa walczących nie powodowała bitewnego tłoku, w którym zadawać i odbijać ciosy można było tylko krótszą od kopii bronią.

Toteż zaraz wzięto się do rąbania. Doscakiwano do siebie z ząartą zawziętością w euforii obustronnej nienawiści, żądzy krwi, zniszczenia, mord. Cios następował za ciosem, tarcze przesuwwały się to w górę, to w dół, a każdemu uderzeniu miecza czy topora towarzyszył krzyk bijącego, a jeśli ostrze dosięgło celu, i ugodzonego. Brzękowi mieczy bijących w zbroje i hełmy, głuchemu

hukowi spadających toporów, uderzeniom tarczy o tarczę towarzyszył nieustanny ludzki wrzask i kwik koni, które w bitewnym

tumulcie również dosięgały ostrza. Ranni bluzgający krwią walili się na ziemię, nie mając szans na uratowanie życia, bo tam tratowały ich końskie kopyta.

Bitwy rozciągnięte aż na milę rozgrywały się w paru miejscach, ale głównie w kotlinie przebiegającej środkiem pola. Uderzeniom broni towarzyszył jeden dudniący, przewalający się grzmotem łoskot, rozchodzący się daleko po okolicy.

Walczone ze sobą już dobrą godzinę, nie czując zmęczenia, tak silna była obopólna zawziętość. Ramiona wznosiły się i opadały, cios następował za ciosem, a tarcze co i raz odbijały uderzenia, od których rycerz chwiał się w siodle, a mimo to bój trwał równie gwałtowny, równie zażarty i równie krwawy.

Z wolna też zaczęło okazywać się, że wytrzymałość mięśni, wyszkolenie bojowe, a może zapalczliwość po stronie polskiej były większe. Krzyżackie chorągwie drugiej linii pierwsze ruszyły, by wesprzeć towarzyszy, którzy powoli zaczęli się cofać, szyc tu i ówdzie rozrywać.

Na ten widok dowódcy polscy czujnie obserwujący walkę również rzucili do bitwy drugą linię swoich hufców. I one ruszyły wolno, by nie forsować koni, ale ogarnięte pragnieniem jak najszybszego udziału w walce wcześniej przyśpieszyły bieg rumaków.

Nadejście posiłków pozwoliło rycerzom walczącym dotąd bez przerwy wycofać rozognionego walką wierzchowca. Odpoczywali, świszcząc szybkim oddechem, lub, uniósłszy przyłbicę, wycierali dłonią spoconą twarz. Coraz więcej rycerzy z pierwszych chorągwi ukazywało się poza linią walki, która z wolna, ale stale przesuwała się ku krzyżackim stanowiskom, jakby z trudem pnąc się po stokach wzgórz. Przewaga polska coraz bardziej była widoczna.

Wkrótce po drugim rzucie ruszył więc od strony krzyżackiej trzeci dla zepchnięcia osiagającego przewagę wroga. Po stronie polskiej poszły również chorągwie trzeciej linii i wkrótce miejsca, gdzie stały hufce, opustoszały. Pozostały po nich ślady nawozu i zryta kopytami ziemia.

Król Władysław, obserwując zmaganie swoich wojsk, bezustannym krzykiem zachęcał rycerzy do walki, dając w ten sposób tylko ujście podnieceniu, bo nikt go słyszeć nie mógł ze względu na odległość i bitewny zgiełk.

Ciesząc się jednak przewagą swego polskiego skrzydła, król z coraz większą troską oceniał drugą bitwę, w której walczyły chorągwie litewskie.

Było już południe, kiedy spojrzawszy w tamtą stronę z nagłą zaniepokoił się. O ile bowiem polska linia posuwała się wolno, ale zupełnie wyraźnie do przodu, to litewska zaczęła się cofać. Coraz częściej z chaosu splątanych jeźdźców zaczęły wypadać wierzchowce z pustymi siodłami, natomiast ściana żelaznych jeźdźców ani w jednym miejscu nie była wygięta do tyłu. Przeciwnie, widać było, jak coraz więcej litewskich chorągwi ulegało rozdarciu, niektórzy zaś z zakonnych rycerzy walczyli już wewnątrz ich szyków.

Sokół, który ze zmarszczonymi brwiami również patrzył w tym samym kierunku, trącił konia i podjechał do króla.

— Poślijcie, panie, kniaziowi rozkaz, by nie ruszał odwodów — rzucił półgłosem.

Jagięło zwrócił głowę do czeskiego wodza.

— Sądziś, że i odwody nie uratują sytuacji?

— Nie strzymają Krzyżakom pola, to już widać wyraźnie. A mogą przydać się gdzie indziej.

— Zatem ostaniemy się bez ochrony prawego boku?

— Tam kniaź Semen. Temu by można podesać pomoc.

— Myślałem, że Litwa dłużej dotrzyma wrogowi pola — mruknął z goryczą król.

— Zbyt nie trąpcie, panie! Oni równie będą nam pomocni w ucieczce, jak i teraz, kiedy walczą.

— Jakże to może być! — obruszył się król.

— Bo ani chybi Krzyżacy pognają za nimi, więc te chorągwie ubędą z pola bitwy.

W tym czasie od chorągwi litewskich zaczęli odrywać się już i jeźdźcy, gnając w kierunku swojego obozu. Wskoczyło wprawdzie ku nim kilku ze starszyny, naganiając do bitwy, ale na widok tych pierwszych oznak paniki król ściągnął brwi, uderzając zaciśniętą pięścią w łęki siodła.

— A psubraty, raby, hołota! — wrzasnął w złości, po czym rzucił Sokołowi rozkaz: — Ślij do kniazia gońca moim imieniem! Niech nie rusza odwodów! Ma je ściągnąć ku sobie, a z lewego skrzydła ku Szafrącowi! Temu przykaż podejść bliżej nas. Niech jego chorągwie gotują się do bitwy!

Chcę też wiedzieć, co z Semenem! Pchnij i do niego gońca, by zobaczyć, jak tam idzie! Zastłonięci są gąszczem i nic dojrzeć nie sposób!

Niedługo potem sprawdziły się przewidywania czeskiego wodza. Linia litewska coraz bardziej zaczęła ustępować terenu. Goniec królewski musiał jednak przybyć na czas, bo odwody się nie ukazały. Natomiast z walczących szeregów zaczęli wylatywać już nie tylko poszczególni jeźdźcy, ale całe ich grupy, które, oglądając się za siebie, wiele sił w koniach pędziły do tyłu. Wysiłki starszyny, by je zatrzymać, były już daremne, bo uciekających było coraz więcej i więcej... Wśród nich zaś zaczęły ukazywać się i sylwetki żelaznych rycerzy, którzy, obracając się w siodłach, siekli litewskich wojów.

Za tymi pierwszymi z wraskiem triumfu gnały co koń wyskoczy już całe gromady krzyżackiego rycerstwa z uniesionymi nad głową mieczami. Raz po raz spadały one niby błyskawice na karki i głowy uciekających jeźdźców pochylonych nad końskimi grzywami. Był to pogrom zupełny, masowa ucieczka w obłądnym strachu przed śmiercią!

Tak uciekający, jak i goniący runęli w przerwę między zalesieniem, gdzie wita się ku jezioru płytka rzeczka. Za nią dalej na wschód rozłożył się litewski obóz. Druga grupa uciekała od Stębarka w kierunku północnym, również mając na karkach chorągwie krzyżackie.

Była godzina pierwsza.

Kniaź Witold daremnie starał się wstrzymać uciekających. Zawiedziony, rozgoryczony, a jednocześnie wściekły i przerażony, osobiście popędził ku fali

galopujących jeźdźców, płazami szabli i krzykiem usiłował skierować ją w bok, w gąszcz pobliskiego lasu.

Za przykładem kniazia rozbiegła się również cała jego starszyzna. Wysiłki te tylko częściowo przyniosły rezultat, bo niektóre chorągwie istotnie usłuchały wezwania i zawracały wierzchowce, kryjąc się w zaroślach. Reszta jednak bez opamiętania gnała przed siebie.

Na zadach ich koni część goniących Krzyżaków wpadła do litewskiego obozu. Nie trwało długo, kiedy wycięto tych, co próbowali oporu, a resztę wiązano w pęta, rzucając się potem do rabowania wozów. Wkrótce ci, którzy opanowali obóz, objuczeni łupami i pędząc przed sobą jeńców, ruszyli z powrotem ku swoim pewni, że tymczasem polskie skrzydło również zostało rozbite i odbywa się już tylko dobijanie pokonanych.

GONIEC WYSŁANY DO CHORAĞWI smoleńskich wrócił bardzo szybko, ale i ze złą wieścią, że zostały już otoczone i, walcząc w okrężeniu, usiłują rozerwać obejmującą je krzyżacką obręcz.

Na tę wieść król natychmiast posłał Szafrącowi rozkaz, by połową swoich sił rozerwał tę obręcz i ratował smoleńszczyznę ponoszącą w nieustępliwej walce coraz krwawsze straty. Jakoż wkrótce rozkaz ten został wykonany, o czym król otrzymał wiadomość od samego księcia Semena, który przybył do niego z meldunkiem: jednak chorągiew została wybita prawie zupełnie, z dwóch zaś pozostałych ubyła prawie połowa. Jagiełło rozkazał mu cofnąć się w głąb lasu i, uporządkowawszy chorągwie, dać zmordowanym wojom i ich koniom nieco odetchnąć.

Tymczasem wicekanclerz Trąba, zgodnie z rozkazem królewskim, odesłał swoich pisarzy i osoby duchowne do obozu, sam jednak nie pośpieszył za nimi.

Najpierw, nie bez podszeptu Czarnego, wybrał dla siebie dobre miejsce do przyglądania się bitwie, co czynił przez dłuższy czas, potem zaś ruszył ku obozowi. Czarny, odgadując ten zamiar po kierunku, w jakim jechali, przybliżył się z koniem do kanclerza.

— Pozostaniemy już w obozie, wasza wielbność? — rzucił z wyraźnym niepokojem w głosie.

Trąba obrócił się ku niemu z uśmiechem.

— Widzę, że ci to nie po myśli? Pewnie wolałbyś w bitwie nadstawiać skórę?

— Pewnie, że wolałbym, wasza wielbność!

— Jadę do obozu rzucić okiem, co się tam dzieje. Piechota powinna stać w pogotowiu, a niesforny to lud.

— A potem, wasza wielbność?

— Potem wrócimy, nie bój się! Nie myśl, że nie ciekaw, co dzieje się w polu! Nie usiedziałyby za szajkami!

Jechali wśród rzadkich w tym miejscu drzew małego gaju, gdzie Czarny niedawno otrzymał rycerski pas. Na lewo, w stronę jeziora, rósł zagajnik młodych brzózek gęsto podszyty krzakami. Wśród nich Czarny zauważył błyskające tu i ówdzie blachy pancerzy.

— A co ci tam robią? — zwrócił się do kanclerza. — Obaczcie wasza miłość! Przecież to chyba nie nasze odwody, bo te król posunął bliżej siebie!

Trąba wstrzymał konia i przez chwilę spoglądał we wskazanym kierunku. W pewnej chwili doszedł ich uszu brzęk broni i parskanie konia.

— Pewnie znów jakaś zaciężna rota — mruknął kanclerz. — Ów Vogelweder, a może i insi dużo zła zdołali narobić! Chodź, podjedziemy ku nim i obaczym, kto zacz są?

— Znak widzę. Biały krzyż w czerwonym polu.

— Podobny ma i chorągiew Dobka z Oleśnicy. Należy dowiedzieć się, czy to nie on. Ale co by tam robił?

— Posługują się takim i chorągwie zagraniczne, bo to znak Świętego Jerzego, pod którym zawsze służą...

— Wiem, ale wygodniej będzie nie wiedzieć.

Rozsuwając krzaki piersiami koni, znaleźli skrytą wśród nich całą chorągiew.

Kanclerz krzyknął na cały głos:

— Gdzie wasz dowódca?!

— A tam... — odpowiedziało kilku rycerzy, wskazując stojącego nieco na uboczu jeźdźca. Ten na widok przybyłych ruszył do nich. Tymczasem kanclerz wołał, nie czekając, aż podjedzie.

— Jakżeś mógł, przeniewierczy rycerzu, kiedy król i twoi towarzysze śmiertelny bój wiodą, uciekać sromotnie?! I to ty, któryś w walkach już nieraz okazywał przykładowe męstwo! Czy ci to przystoi? Czy nie lękasz się taką hańbą swoim potomkom w spuściźnie przekazać?!

Dowódca zbliżył się w czasie tych słów i uniósł przyłbicę, by odpowiedzieć. Czarny poznał Sarnowskiego. Poznał go i kanclerz, lecz okazał zdziwienie.

— A więc to waść, a nie Dobiesław? Zmylił mnie znak! A cóż pan tu robi, mości Sarnowski?

— Nie bojaźń mnie tu przygnała, wielbny ojcze, o którą mnie pomawiacie! — odezwał się ten. — Porwał mnie uciekający w popłochu tłum rycerzy i znalazłem się pomiędzy tą chorągwią! A co ona tu robi, doprawdy nie wiem!

Na te słowa w szeregach wybuchły gwałtowne okrzyki:

— Hańba mu! Łże jak pies! Nieprawda to, sam nas tu przywiódł!

Z szeregu wysunął się jeden z rycerzy, którego kanclerz znał. Był to Zygmunt z Rakowa. Ten zawołał ku towarzyszom:

— Uciszcie się! — po czym obrócił się do kanclerza i mówił dalej: — Wiedz, wielbny ojcze, że ten nasz obecny rotmistrz — bo my Sokoła żołnierze — człek jest niegodziwy! Z pola nas tu przywiódł swoim rozkazem i w tym lesie zatrzymał, na co ci przysięgamy! Ale teraz jego rozkazom wypowiadamy posłuszeństwo i wracamy do bitwy!

— Rad to słyszę i wierzę ci, Zygmuncie! Wracając zatem w pole, ty obejmij nad chorągwią dowództwo! Tego zaś człeka osądzi Bóg i ludzie, a osąd ten na dobre mu nie wyjdzie!

Kanclerz nie wiedział, że mówi prorocze słowa, bo istotnie pomiatano potem Sarnowskim, a jak mówi kronikarz, nawet własna żona nie chciała go wpuścić do domu ani łoża, toteż w parę lat później miał zemrzeć ze zgryzoty.

BYŁA GODZINA DRUGA PO POŁUDNIU, kiedy na wzgórze, gdzie stał król, wpadł ze swoim poczem wielki książę. Książ, poruczywszy porządkowanie odciągniętych z ucieczki chorągwi swoim wodzom, sam zgnębiony i przerażony rozmiarem klęski swoich wojsk, w ogromnym strachu, by panika nie udzieliła się i chorągwiom polskim, pognął do brata.

— Bracie i królu! — krzyknął, zdzierając przed nim konia. — Pora rzucić do walki wszystkie siły, inaczej grozi nam zguba! Osobiście powiedźmy je do boju, by rycerstwo, mając nas wśród swoich szeregów, dobyło wszystkich sił!

Ręce kniazia latały, a z twarzy biła łuna podniecenia. Oczy, w których pozostały jeszcze obrazy oglądanej klęski własnych wojsk, utkwił w twarzy Jagiełły, z zapartym tchem czekając na jego decyzję.

Ten chwilę patrzył w twarz kniazia, zwierając się z nim spojrzeniem, po czym bez słowa pokręcił głową.

— Jakże to?! Przecież chyba widziałeś, co się u mnie stało?! Zali myślisz, że zdołasz oprzeć się tej nawale?!

— Nie oprzeć się, lecz rozbić ją, Witoldzie! Spójrz na pole i obacz sam, czy to my opieramy się, czy oni?

Książę przeniósł wzrok ku skłębionym tłumom walczących, nad którymi unosił się wielki tuman kurzu i skąd bił w niebo szczęk broni i krzyki. Widać było wyraźnie, jak wszędzie linie krzyżackie, napierane nieustępliwie, cofają się z wolna.

— Nie miałem czasu spojrzeć ku bitwie — mruknął z wyraźnym zdumieniem — bom w zaroślach zwoływał swoich ludzi. Widzę jednak, że Bóg bardziej wam poszczęścił niżli mnie.

— *Myślę, że nie tylko za boską sprawą to się dzieje, ale i ludzką. Toteż i ty nie upadaj na duchu, a wykonaj, co ci rzeknę, bo bitwa nie skończona i nadal musimy walczyć.*

— *Chwalić Boga, bom był złej myśli! — wykrzyknął książę. Z twarzy jego znikł wyraz przygnębienia, a w oczach zapaliły się bojowe błyski.*

— *Odwody zachowałeś?*

— *Tak! A prócz nich udało im się uratować z pogromu nieco chorągwi. Porządkuję je teraz w zaroślach.*

— *Nie dopuść, by reszta wojska dowiedziała się, że wy już nie walczyście. Jak dotąd zajęci walką nie dostrzegli niczego. Porządkuj je zatem skrycie.*

— *Rozumiem.*

— *A oto twoje zadanie. Weźmiesz odwodowe chorągwie Szafráńca — te, które stały przy twoim lewym skrzydle — i uderzysz nimi na powracających z pościgu od czoła. Twoje zaś odwody i reszta sił niech dopadną ich z boków. Zwartłszy zaś pierścien, wytniesz ich do nogi. Zaraz wysyłam Szafráńcowi gońca, by stanął pod twoje rozkazy. Pośpieszaj z przygotowaniem, bo ścigających tylko patrzeć, i nie dopuść, aby wzięli udział w bitwie! Sam zaś uczynisz to po ich rozbiciu.*

Książę bez słowa skinął głową i poderwał konia. Jego przyboczni ruszyli za nim.

DOBRE SIĘ STAŁO, ŻE KNIAŻ Witold odjechał i nie miał okazji spojrzeć na bitwę niedługo potem. Wielki mistrz bowiem, widząc coraz gorszą sytuację swoich oddziałów, które już tylko broniły się, i to nieomal ostatkiem sił, postał rozkaz do odwodów lewego skrzydła, by ruszyły do walki. Były to doskonałe chorągwie składające się w większości z rycerzy czeskich i niemieckich, dobrze wyszkolonych w licznych bojach i świetnie zbrojnych. Ruszyli z zapałem, zniecierpliwieni oczekiwaniem i głodni walki. Szli zaś umiejętnie, wykorzystując nierówność terenu, tak że król dostrzegł ich dopiero, kiedy byli już w pobliżu walczących. Dojrawszy zaś natychmiast krzyknął na gońców, przynaglając ich do pośpiechu. Jednego postał do podciągniętych już w pobliże odwodów starosty Wincentego,

przykazując, by z ośmiu chorągwi, które miał, pięć zaraz skierował do walki, drugiego posłał do obozu z wezwaniem, by piechota wyszła w pole, i wreszcie do księcia Semena z rozkazem powrotu do bitwy. Pierwszą jednak, która wspomogła walczących, była czeska chorągiew Świętego Jerzego, którą doprowadził Zygmunt z Rakowa, dopełniając obietnicy danej kanclerzowi.

Zanim jednak nadbiegły odwody, przybycie posiłków krzyżackich od razu zmieniło obraz walki. Z obrony siły zakonne z wolna przechodziły do natarcia i zaczęły coraz mocniej spychać polskich rycerzy do tyłu, coraz częściej zrzucąc ich z siodła. Wkrótce linie polskie tu i ówdzie uległy przerwaniu, a ci, którzy się przez nie przedarli, obracali konie i uderzali od tyłu, wzmagając zamieszanie.

Zdawało się, że istotnie, jak oceniał książę Witold, klęska zawisła w powietrzu. W miarę osiągniętej przewagi coraz szybciej i sprawniej biły niemieckie miecze, coraz gwałtowniej waliły topory, dźgały krótkie włócznie, których używały w boju zagraniczne roty. Coraz częściej polscy rycerze walili się z koni, które potem wrywały się z szyku z pustymi siodłami i strzemionami bijącymi je po bokach.

Król przyglądał się temu obrazowi, co i raz oglądając się za siebie w krańcowym napięciu i strachu, że jego odwody nie zdążą na czas.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Ponad rozległym kłębowiskiem walczących, powiewając na wietrze i chyląc się to w jedną, to w drugą stronę, łopotał czerwony sztandar z białym orłem. Był to znak owej najlepszej z najlepszych wielkiej chorągwi krakowskiej, a jednocześnie i znak królewski, pierwszy ze wszystkich innych. Dzierżył go Marcin z Wrocimowic, a w ochronie jego stali najsyńniejsi mężowie, rycerze znani z bitew i turniejów na wszystkich dworach Europy.

Ten właśnie sztandar zachwiał się i nagle opadł, niknąc w walczącym tłumie.

Na ten widok z tysięcy krzyżackich piersi buchnął krzyk tryumfu, a potem zabrzmiała zwycięska pieśń „Christ ist erstanden...”

Serce królewskie zamarło. Z rozpaczą w oczach spojrzął po otoczeniu, które na to spojrzenie odpowiedziało ponurym milczeniem. Za chwilę jednak przerwały go okrzyki radości.

— Patrzcie, miłościwy panie! Jest znowu! Psubraty za wczesnie zaczęli śpiewać!

Istotnie sztandar ukazał się znów, falując na wietrze ponad walczącymi. Pieśń urwała się raptownie.

Opowiadali potem ci, którzy walczyli w pobliżu chorągwi, a więc Lis z Targowiska, Zawisza Czarny, Jan Warszawski i inni, że owo wytrącenie Marcinowi chorągwi, co nastąpiło od uderzenia mieczem w drzewce, nie załamało walczących, a przeciwnie, dziesięciokrotnie wzmogło ich siły. Mówili, że taka złość, taka zawziętość ogarnęła wszystkie serca, że raptem odeszło ich wszelkie zmęczenie, poczuli nagły przyptyw sił, jakby dopiero zaczynali walkę, i naparli z taką zaciekłością na wroga, że od razu pusto zrobiło się wokół chorągwi. Marcin mógł więc uchwycić ją i na nowo wznieść do góry.

Jednocześnie dopadły walczących pierwsze posiłki ściągnięte przez króla, porwali za miecze wszyscy ci, którzy odpoczywali za linią bitwy, i walka rozgorzała na nowo z jeszcze większą zawziętością, ale teraz jej obraz się zmienił. Zastępy krzyżackie sieczone ze wzmożoną gwałtownością znów zostały zepchnięte do obrony.

Widząc to król wysłał kolejnego gońca, tym razem do marszałka Zbigniewa, by wypełnił poruczone mu zadanie. Sam zaś przesunął się bliżej walczących. Była godzina czwarta po południu.

WÓWCZAS, KIEDY NIEWIELE BRAKOWAŁO, by klęska stała się losem polskiego rycerstwa, zaczęły wracać z pościgu chorągwie krzyżackie. Szły wolno, bo i konie były mocno zmordowane gonitwą, i śpieszyć nie było potrzeby. Bitwa zapewne już się skończyła i najwyżej trwa dobijanie resztek.

Toteż wesoło było w grupach i gwarnie. Przerzucano się żartami, opowiadano bitewne przygody, raz po raz wybuchał śmiech i okrzyki przynaglające jeńców, by prędzej przebierali nogami. Ci, którzy rabowali obóz, kończyli przeglądanie wozów i, szturchając pojmanych włóczniami w plecy, pędzili ich przed sobą.

Mijali bezładnymi kupami bród na rzece i ciągnęli z wolna ku własnym liniom. Pierwsze grupy przejechały rozpostartą za rzeczka kotlinę i zaczęły wspinać się

na opadający ku niej łagodny stok. Osiągnąwszy zaś szczyt wyniosłości, wkrótce zniknęły poza nim.

Jadącym z tyłu wydało się jednak, że rycerze z tych grup zatrzymywali się nieco na szczycie, a potem spoglądali wszyscy w jedną stronę i zaraz podrywali konie do biegu.

W dalszych grupach, które to spostrzegły, powstało zaniepokojenie. Ucichły żarty i śmiechy, a zamiast nich poleciały do przodu pytania, co tam się dzieje, bo niektórzy twierdzili, że słyszą wyraźnie bitewny zgiełk.

Jakoż wkrótce nadeszła odpowiedź podawana sobie z ust do ust, i to zgoła nieprawdopodobna! Bitwa trwa i źle idzie naszym!

Na tę wieść porzucono jeńców, wozy ze zdobyczą zepchnięto na bok, by nie zawadzały wciąż nadciągającym z tyłu oddziałom, rozległy się krzyki komendy i miecze znów wyciągnięto z pochew. Luźne grupy jeźdźców zaczęły formować się w chorągwie, wykazując sprawność i obycie bojowe.

Ci jednak, którzy nie osiągnęli jeszcze szczytu wzniesienia, nie potrzebowali gnać ku nieprzyjacielowi, bo on sam tam się właśnie ukazał. Ujrzano, jak spoza wyniosłości wyłaniają się raptem rzędy rycerzy, a na ich banderiach widnieją obce znaki. Na tle nieba ostro rysowały się sylwetki okrytych zbrojami jeźdźców, a nad nimi niby zęby grzebienia sterczały uniesione kopie. Dla doświadczonych zakonnych rycerzy był to znak, że mają przed sobą świeże oddziały, które nie brały jeszcze udziału w bitwie.

Mniemając tak, mieli słuszność, bo były to istotnie owe trzy pozostałe Szafrącowi chorągwie, które do tej pory jeszcze nie walczyły. Książę Witold dał rozkaz, by uderzyły jako pierwsze, w drugim rzucie stawiając te, które wspomogły już księcia Semena.

Zjeżdżając ze wzgórza, rycerze zaczęli z wolna przyspieszać biegu, a kopie wkrótce pochyliły się do przodu. W chwilę potem konie przeszły w galop i niby potężny młot szeregi polskie z hukiem uderzyły w Krzyżaków.

Czoło chorągwi zakonnych pod naporem tego uderzenia skłębilo się, zakotłowało, kurz uniósł się raptownie w górę, błysnęły w nim miecze, a ludzki

wrzask zagłuszył uderzenia broni. Konie napastników stawały dęba, przebijając w powietrzu kopytami, a ich jeźdźcy, ściągając wodze, kłuli wokół kopiami, zmiatając z siodła wszystkich, których zdołali dosięgnąć. Potem zaś chwycono za broń krótką. I znów rycerz nacierał na rycerza, tarcze uderzały o siebie, razy mieczy grzmiały i dzwoniły po zbrojach, a ponad tym bitewnym zgiełkiem górował ludzki krzyk. Za chwilę ukazały się na wzgórzu następne trzy chorągwie i pobiegły do bitwy, już zupełnie odcinając zakonnym rycerzom drogę ku swoim.

Ale i od krzyżackiej strony napływały posiłki z powracających oddziałów pościgowych. Na widok tego, co się działo, rycerze zakonni wyrwali miecze z pochew i pędzili, by wspomóc swoich.

Bitwa rozgorzała na dobre i niemal już wszystkie pościgowe oddziały brały w niej udział, kiedy książę, który obserwował ją z ukrycia, pchnął do walki litewskie rotę. Wypadły one z zarośli ciągnących się po obu stronach pola bitwy i skoczyły co koń wyskoczy, opanowane żądzą zemsty za niedawny pogrom.

Na ten widok krzyżacy rycerze zrozumieli, że nie zwycięstwo jest ich udziałem, ale śmierć, za którą pozostawało już tylko wziąć jak najwyższą cenę. Skrajne szeregi obróciły się więc na boki, by stawić czoła nowemu przeciwnikowi, a potem zginąć, jak na prawych żołnierzy przystało.

Zostali wkrótce otoczeni, ale bronili się zajadle, wprawnie i nieustępliwie. Przewaga nacierających była jednak zbyt duża i zawziętość nie mniejsza. Wkrótce też rozkaz królewski został wykonany.

Z chorągwi krzyżackich biorących udział w pościgu ostatecznie uratowali się tylko ci rycerze, którzy minęli wzgórze, zanim odcięto im drogę, oraz oddziały goniące Litwinów w kierunku północnym od Stębarka. Natychmiast po powrocie zostały one uporządkowane przez zakonnych dowódców i dołączone do odwodu, który dźwżył do ostatniej chwili wielki mistrz, by rzucić go na szalę w decydującym momencie.

Jednocześnie w bitwie rozgrywającej się przed królewskimi oczami przewaga utrzymywała się nadal po polskiej stronie. Coraz wyraźniej było widać, że

zniszczenie krzyżackich chorągwi staje się już tylko kwestią czasu. Ściśnięte również ze skrzydeł, cofały się coraz bardziej ku Grunwaldowi.

Właśnie z tamtej strony, spoza zabudowań Łodwigowa, w pewnej chwili ukazał się obłok kurzu, sunąc w stronę walczących. W jego kłębach połyskiwały chwilami refleksy słonecznych promieni odbitych od rycerskich pancerzy. Zbigniew docierał do pola bitwy, by zamknąć krąg wokół zakonnych wojsk.

Sokół, który, stojąc w orszaku królewskim, obserwował ten obraz, po chwili powiódł spojrzeniem po okolicy i zatrzymał wzrok na domach Stębarka. Jakiś czas przyglądał się im uważnie, a nawet uniósł dłoń do czoła, po czym trącił konia ostrogą i podjechał do stojącego samotnie króla.

— Coś dzieje się pod Stębarkiem, miłościwy panie. Dostrzegłem tam poruszające się chorągwie.

— Dużo ich?

— Tego nie mogłem dojrzeć.

— Przykażę odwodom zbliżyć się jeszcze bardziej i przynaglę Witolda.

— Słusznie. Będziemy też mieli i piechotę pod ręką, bo pierwsze rotys są już niedaleko.

Jagięto rozkazał wysłać zaraz gońców, a potem, wytężywszy wzrok, spoglądał ku Stębarkowi. Niczego podejrzanego jednak nie zdołał tam dostrzec. Wieś robiła wrażenie wymarłej, z tej odległości chłopskie chaty wyglądały jak małe pudełeczka drgające w falującym od upału powietrzu. Król pomyślał, że czeskiemu wodzowi coś się musiało przywidzieć, ale wydanych rozkazów nie zmieniał, gdyż w niczym nie mogły wpłynąć na gorsze. Odwody powinny i tak stać bliżej, a im prędzej Witold przybędzie, tym szybciej bitwę można będzie zakończyć. Była piąta po południu.

Wielki mistrz widząc, że uderzenie czeskich i niemieckich chorągwi tylko na krótko poprawiło sytuację i obecnie staje się ona jeszcze gorsza, uznał, że czas użyć głównych odwodów. Cekał z tą decyzją na najkorzystniejszy moment, a to wtedy, kiedy polski król już wszystkie swoje siły wprowadzi do walki. Była to

druga po owych pułapkach i zasiekach część planu bitwy, jaki przygotował. Pierwsza nie powiodła się, ta jednak nie może zawieść, bo jeśli nawet okaże się, że Jagiełło ma jeszcze jakieś odwody, to nie mogą one być już duże i nie zdołają sprostać jego najlepszym i wypoczętym chorągwiom, które zachował specjalnie na tę chwilę. Było ich dwanaście, a z rycerstwa powracającego z pościgu udało się sformować jeszcze cztery. Stanowiły one wprawdzie tylko niedużą część tych, które pobiegły za uciekającą Litwą, co przez chwilę zastanowiło Ulryka, jednak jego starszyzna uspokoiła go, zapewniając, że reszta zapędziła się zbyt daleko i dlatego wróci nieco później. Możliwość zaś powrotu jakichkolwiek sił litewskich w ogóle wielkiemu mistrzowi nie przyszła do głowy, bo rozbicie wojsk Witolda uważał za zupełne i przesądzone. Miał więc potężną pięść, zdolną przełamać nie byle jaką zaporę.

Ostatecznym bodźcem do uderzenia była otrzymana w ostatniej chwili wiadomość o bitwie, którą toczy reszta sił pościgowych. Wyjaśniło to nieobecność brakujących chorągwi, ale też jeszcze bardziej upewniło Ulryka, że Jagiełło wyzbył się już odwodów, bo tylko one przecież mogły jeszcze walczyć. Dał więc rozkaz, by chorągwie ruszyły, nie ukazując się oczom nieprzyjaciela, jak długo się da. Nakazał więc objechać Stębark od wschodu, zejść w biegnącą za wsią kotlinę i, zatoczywszy łuk ku zachodowi, z nagłą uderzyć na tyły polskich hufców. Dochodziła piąta po południu, kiedy wielki mistrz nałożył hełm, postanawiając osobiście poprowadzić decydujący atak i w ten sposób wziąć udział w ostatecznym rozgromieniu wroga.

Postępując jedna za drugą, chorągwie ruszyły, tworząc szeroko rozciągniętą, pokrytą żelazem kolumnę, podobną potężnemu walcowi, który miał zmiażdżyć wszystko, co spotka na swojej drodze.

Właśnie nadciągnęła królewska chorągiew nadworna i ustawiła się o strzał z łuku od stanowiska króla po jego prawej ręce, a wkrótce po niej podsunął się i starosta Wincenty z resztą swojego odwodu, zatrzymując się nieco dalej. Piesze rotę zniknęły na chwilę zakryte pagórkami, ale szlak ich marszu znaczył obłok kurzu wznoszący się zza jego szczytu.

Z kolei król spojrzął na bitwę. Chorągwie marszałka Zbigniewa już włączyły się do walki i wszystko wskazywało na rychły koniec zmagania.

W następnej jednak chwili, przesuając spojrzenie nieco w prawo, król dojrzał wyłaniające się z pobliskiej kotliny zbrojne szeregi jeźdźców idące szeroką ławą wprost na niego.

Konie szły wolnym truchtem, proporce uniesionych kopii furkotały na wietrze, a obok szeregów jechali rycerze w białych płaszczach z piórami upiętymi na szczytach hełmów, których opuszczone przyłbice patrzyły czarnymi otworami szczelin.

Mimo bitewnego zgiełku słyszeć było, jak grzmią kopyta ciężkich koni, bijąc o ziemię, która zdawała się drżeć pod ich ciężarem. Zdawało się, że nic nie zdoła oprzeć się sile tego hufca, tak wielka moc biła od jego niespiesznej jazdy.

W orszaku powstał popłoch, bo widać było, że stalowy potwór ciągnie wprost na stanowisko władcy. Przyboczni otoczyli go, mimo że Jagiełło szarpał się z nimi, usiłując przedrzeć się i stanąć do walki. Czech Zolawa, który chwycił za wodze jego konia, otrzymał cios drzewcem kopii od podnieconego króla.

Zwinięto natychmiast mały proporzec królewski z białym orłem, by nie zdradził jego osoby, a młody sekretarz Zbigniew pognął co koń wyskoczy ku

chorągwi nadwornej, która właśnie zmieniała front, stając czołem do nieprzyjaciela.

Zbigniew, nie zdoławszy na czas powstrzymać konia, wpadł nim w rycerskie szeregi, wołając z przerażeniem:

— Król w niebezpieczeństwie! Ratujcie miłościwego pana!

Na to wezwanie obrócił się ku niemu Mikołaj Kiełbasa, jeden z przedchorągiewnych.

— Ruszaj stąd, gołowąsie — wrzasnął — bo się wnet posikasz ze strachu! Czy nie widzisz, że brodacze ciągną na nas i nie pora obracać szyk?! Króla możemy uratować tylko tu, a nie wystawiając im zadki!

Poszturchiwany przez rycerzy, którym zawadzał, nie mogąc opanować wyrrywającego się wierzchowca, bo znać kłuto go skrycie, Zbigniew wyskoczył z szeregu i pognał z powrotem.

Tymczasem król uległ namowie i zakłębom, widząc, że otaczający orszak gotów siłą go wstrzymać, i zrezygnował z osobistego udziału w bitwie. Złożywszy taką obietnicę, zażądał jednak, aby nie obstępowano go tak ciasno, bo nie może widzieć, co dzieje się w polu.

Kiedy odślonięto mu śpiesznie widok, ujrzał, że jego nadworna chorągiew już zwała się z wrogiem, walcząc z ogromną wprawą i dzielnością, ale sam ciężar napierających spycha ją do tyłu. Długo to jednak nie trwało, bo wnet skoczyły i chorągwie starosty Wincentego, a i rycerstwo z tylnych szeregów tłoczące się nieopodal bitwy, spostrzegłszy, co się dzieje za ich plecami, okrzykiwało towarzyszy i gnało z pomocą.

Te siły związały jednak tylko część krzyżackiego hufca. Pozostałe chorągwie, nie zmieniając kierunku, szły do przodu i stawały się coraz groźniejsze dla królewskiego orszaku.

Ale tu przyszło królowi z pomocą żołnierskie szczęście. Wielki mistrz oceniwszy, że jego rycerze zataczają zbyt szeroki krąg, a przez to wydłużają niepotrzebnie drogę, wybiegł na czoło i z obnażonym mieczem w ręku począł nawracać szeregi ku polu walki. Nie domyślił się znać, że w stojącej przed nim małej grupce rycerzy znajduje się sam król, i, nie zwróciwszy na nią uwagi jako na zbyt mizernego przeciwnika, parł jak najszybciej ku bitwie.

Toteż pędził po lewym skraju swego hufca, wskazując mu mieczem kierunek, i wołał co tchu w piersiach: — Herum! Herum!

Jeden wszakże z rycerzy, czy to bardziej niesfornego ducha i żądny walki na oczach wszystkich, czy też może rozpoznawszy polskiego króla, wyrwał się z szeregu i pognał z nastawioną kopią ku orszakowi.

Kraj białej tuniki opiętej złotym pasem powiewał za nim w pędzie, kopia mocno przywarła do tarczy i niby długie żądło sterczała daleko przed końskim łbem jego bułanego konia, a on z nogami sztywno wpartymi w strzemiona, pochylony

do przodu, pędził przed siebie. Strusie pióra na hełmie powiewały z furkotem, a kopyta rumaka z głuchym dudnieniem waliły o ziemię.

Był to Dypold Kökeritz von Dieber z Łużyc.

Król, który trzymał już kopię, teraz opuścił ją i czekał na zbliżenie się przeciwnika. Otaczający władcę orszak rozsunął się, by dać mu pole, gdyż rycerski obyczaj nakazywał wodzowi przyjęcie takiego pojedynku i przeszkadzać w nim nie przystało.

Innego jednak mniemania był młody Zbigniew. Ten na widok grożącego panu niebezpieczeństwa wyskoczył z koniem i, nie mając lepszej broni, wyrwał sterczący z ziemi kawałek kopii, po czym pognął z nim ku galopującemu Dypoldowi.

Ów nie zdążył ani zmienić kierunku biegu swego rumaka, ani przełożyć kopii na drugą stronę jego łba, by dosięgnąć śmiałka. Może rozogniony bliskim spotkaniem nie dojrzał lub, dojrawszy, zlekceważył młodzieńca. Może nie wiedząc, że ma króla przed sobą, nie spodziewał się, że ktoś, złamawszy rycerski obyczaj, wtrąci się do pojedynku, dość że Zbigniew zdołał bez przeszkód dopaść z boku i, zamachnąwszy się szeroko, walnąc go owym kawałkiem kopii w głowę.

Cios ten zrzucił Dypolda z siodła, a koń włókł go jeszcze po ziemi nieomal pod królewskie nogi, gdzie dosięgły go włącznie orszaku.

Czy opłacało ci się za cenę życia wejść do historii, Dypoldzie? A zresztą i tak zapewne straciłbyś je w bitwie, ale wówczas, tak jak i o innych dzielnych rycerzach, kronikarz z imienia o tobie by nie wspomniał.

Zaraz potem wybiegły spomiędzy wzgórz chorągwie litewskie, które jako lżejsze wysforowały się przed polskie oddziały, i zwały na hufiec wielkiego mistrza. Już one zmieniły znacznie obraz walki, bo było ich ponad dwadzieścia. Za nimi nadleciały i chorągwie Szafrańca, prowadzone przez niego osobiście.

Ten ocenił jednym rzutem oka położenie i widząc, że od strony, skąd podązał, walczy już Litwa, skierował je nieco w bok, a potem uderzył na tyły Ulrykowych chorągwi.

Takiej przewagi wielki mistrz się nie spodziewał. Na wprost spotkał cztery chorągwie odwodowe, z prawa nacierało rycerstwo, które, poniechawszy walki wyraźnie już przesądzonej, rzuciło się ku niemu, a teraz i do tyłu należało się obrócić. Zrozumiał więc, że celu nie osiągnie, tamtego łańcucha nie rozerwie, bo sam drugim, wcale nie słabszym, został otoczony. Ostatecznie zaś pogrzebał tę nadzieję, kiedy dostrzegł biegnącą ku bitwie piechotę. Pozostawało już tylko bronić się, rozerwać zaciskającą się pętlę lub zginąć.

Piechota istotnie biegła rota za rotą ku walczącym, potrząsając maczugami, pałkami, sulicami, cepami i nie wiedząc jak jeszcze różną bronią, wrzeszcząc przy tym dziko. W obłokach kurzu widać było czerwone z wysiłku twarze, rozwarte krzykiem usta i oczy pałające żądzą mordy.

Wkrótce pierwsze szeregi dopadły walczących i wdarły się pomiędzy jeźdźców. Pętla wokół chorągwi wielkiego mistrza zacisnęła się ostatecznie i mocno. Już wszystkie siły z obu stron brały udział w walce, ale dla Zakonu była to walka nie o zwycięstwo, ale tylko ratowanie rycerskiego honoru, i to za cenę życia. Mijała godzina szósta.

NIECO WCZEŚNIEJ KANCLERZ TRĄBA po wyprawieniu z obozu ostatnich pieszych rot wrócił na pole bitwy i przyłączył się do królewskiego orszaku. Czarny widząc, że wszystkie siły biorą już udział w walce, do głębi serca rozżalony, nie wytrzymał i zwrócił się gorąco do kanclerza:

— Wasza wielbność, ja wam już niepotrzebny... Zezwólcie...

Kanclerz rozradowany obrazem walki, jaki dostrzegł po powrocie, roześmiał się.

— Na swój pas chcesz zasłużyć, czy tak cię swędzi skóra?! Dobrze, ganiaj więc, niechże ci ją przetrzepią!

Czarnemu nie trzeba było powtarzać zezwolenia. Szarpnął konia, a za nim, nikogo już nie pytając, ruszyli Jurga i Włodek. Również i większość owych sześćdziesięciu rycerzy stanowiący osłonę orszaku za zezwoleniem królewskim ruszyła do bitwy.

Dopadli więc walczących całą grupą, wciskając się końmi pomiędzy zmagające się szeregi rycerskie.

Czarny, znalazłszy się w zgiełku bitwy, w pierwszej chwili parował tylko ciosy, i to powodowany bardziej instynktem samoobrony niż świadomym rozeznaniem. To naszło go dopiero po pewnym czasie, gdy oszołomienie zaczęło mijać i począł spoglądać wokół coraz uważniej.

Szczeliny przyłbicy nie nawykłym ku niej oczom nie pozwalały na oglądanie zbyt rozległego widoku, ale najbliższe otoczenie widział dobrze. Z początkowego chaosu wzniesionych ramion, kołyszających się nad hełmami piór, twarzy zasłoniętych przyłbicami, podobnymi do drapieżnych ptasich dziobów, końskich łbów, błysków mieczy, migania ostrzy toporów zaczęły wyłaniać się coraz wyraźniejsze, bardziej zrozumiałe ruchy, zaczął pojmować ich sens. Zaraz też wydało mu się, że wszystko odbywa się znacznie wolniej.

Wracało opamiętanie, a z nim celowość własnych zamiarów. Jego tarcza nie skakała już to tu, to tam, a przesuwała się tylko w miarę potrzeby wtedy, kiedy oceniał, że to właśnie w niego godzi cios, a nie w któregoś z rycerzy walczących nieopodal. Początkowo bowiem wydało mu się, że wszystkie uderzenia zmiierzają ku niemu, że tylko jego chce dosięgnąć przeciwnik. Miecz nie odbijał już uderzeń chaotycznie, ale posłuszny wzrokowi zaczął świadomie szukać celu dla siebie.

Właśnie jakiś rycerz, którego oczy dojrzał Czarny w szparkach przyłbicy, zamachnął się ramieniem, unosząc do góry topór, by opuścić straszną broń na jego głowę. Wtedy Bert dojrzał na moment odsłoniętą pachę i pchnął w nią mieczem na całą długość ramienia.

Czuł, jak ostrze zagłębia się w ciało tamtego, dojrzał topór opadający już tylko siłą własnej ciężkości, bo żadna dłoń go nie dzierżyła, i jeźdźca lecącego do tyłu i walącego się na koński zad, a z niego na ziemię.

W następnej chwili musiał nastawić tarczę, by odparować czyjś cios zadany z boku, potem poczuł uderzenie po hełmie, od którego zaszumiało mu w głowie. Raptem ujrzał wzniesione nad sobą końskie kopyta. Odskoczył w porę, a dostrzegłszy jeźdźca z czarnym krzyżem na piersi, zadał mu na odlew cios w nasadę szyi, zważając, by w chwili uderzenia miecz nieco ściągnąć ku sobie.

Ostrze zadzwoniło o blachę, a Krzyżak, wyrzuciwszy w górę ramiona, zwałił się z konia.

Potem spostrzegł, jak włócznia wymierzona w któregoś z towarzyszy mknie obok niego. Końcem miecza podbił więc ją w górę i, nie tracąc rozmachu, tym samym ruchem uniesionej ręki trzasnął głownią miecza w

krzyżacką przyłbicę. Blacha wygięta się i spomiędzy jej szczelin buchnęła krew, a rycerz opadł na grzywę konia.

Obróciwszy się znów przed siebie, dostrzegł ogromnego jeźdźca, który walczył bez przyłbicy, ukazując groźną twarz o szerokiej, rudej brodzie i pełnym wściekłości spojrzeniu. Trzymał oburącz wielki, długi koncerz i straszliwymi zamachami zmiatał wszystkich przed sobą. Właśnie jeden z polskich rycerzy, nastawiwszy tarczę, naparł na niego, ale cios koncerza rozwałił blachy niby cienki papier, przerywając ciało nieomal na pół. Czarny na widok tej odważnej śmierci, ogarnięty raptownym płomieniem zemsty, rzucił się z kolei w stronę olbrzyma.

Jeszcze w czasie skoku konia dojrzał zamach strasznej broni. Zdawało mu się, że pogrążył się raptem w sen, tak wolno wszystko zaczęło się odbywać. Ostrze leciało i leciało, on, zdawało się, nieśpiesznie przyginał ku końskiej grzywie, potem słyszał gwizd przelatującego ponad głową koncerza, w następnej zaś chwili poderwał się i, natężając siły, wbił koniec swego miecza w nabrzmiałą krew twarz.

Koń skoczył do przodu, o mało nie wytrącając mu tym skokiem z ręki broni, której nie zdążył wyszarpnąć na czas, i już ugodzonego więcej nie widział.

Gniew wygasł, znów wszystko odbywało się z naturalną szybkością i Czarny skupiony coraz bardziej i coraz bardziej czujny walczył już spokojnie.

Nie wszystkie jednak ciosy dochodziły celu. Były i odbijane, parowane, albo i koń przeciwnika czy własny skokiem w stronę udaremniał zamiar, gdyż wierzchowce miały swobodę ruchów, jako że wodze spoczywały na przednim łęku siodła.

Niejeden cios miecza czy włóczni odbijał Jurga lub Włodek walczący po jego bokach, niejeden godzący w nich odbił on sam.

Z wolna kładąc przed sobą zaciekle broniących się Krzyżaków, Polacy wgrzyzali się w ich szeregi. Tych, którzy z jednej czy drugiej strony padali, zastępowali zaraz towarzysze napierający z tyłu, równie żądni udziału w walce.

W polskich szeregach konni coraz bardziej zaczęli mieszać się z piechotą, rycerze polscy prześcigali się z litewskimi w krwawej robocie. Coraz częściej zaczęło się już zdarzać, że zakonni rycerze zeskakiwali z koni i, klękając na ziemi, oddawali się w niewolę. Wybierali jednak rycerzy polskich, bo ani

piechurzy, ani wojowie litewscy zaślepieni nienawiścią i niewidzący w tym dla siebie żadnej korzyści — bo okup wzięłoby ich pan — zabijali wszystkich bez litości.

Tak też baron węgierski von Gersdorf, który początkowo brał udział w poselstwie króla Zygmunta, a potem dowodził zagraniczną chorągwią Świętego Jerzego, wbił w ziemię sztandar i uklękłszy wraz z czterdziestu towarzyszami poddał się Przedpełkowi Kropidłowskiemu. Tak poddali się dwaj książęta: Kazimierz Szczeciński i Konrad Oleśnicki, tak zaczęli coraz częściej poddawać się i inni.

Obie bitwy zaczęły z wolna wygasać.

Jednak resztkom niektórych chorągwi udało się wyrwać z okrążenia. W przerażeniu, nie myśląc już o niczym jak tylko o ratowaniu życia, rzuciły się do ucieczki, gnając bądź na północ obok Stębarka, bądź ku obozowi za Grunwaldem, i w tym też kierunku, tak jak mu to przepowiedział poległy w bitwie komtur gniewkowski von Wende, uciekał von Tettingen, jedyny ze starszyny krzyżackiej, obecnej pod Grunwaldem, który nie zginął.

Uciekał zaś tak pełen strachu, że ominął Malbork, obawiając się wpaść w ręce Polaków, i zatrzymał się dopiero w Elblągu.

Za uciekającymi pognali wszyscy, których wierzchowce były jeszcze zdolne do biegu, bo żądza krwi i zawziętość na wroga nie wygasły mimo zmęczenia.

Część z nich wpadła na obóz. Pod jego szańcami rozgorzała nowa bitwa, ostatnia już w tym dniu, ale chyba i najkrwawsza. Początkowo obrońcy stawiali opór, bo jeźdźcy nie zdołali sforsować szańców i spiętych łańcuchami wozów,

ale wkrótce nadbiegła i piechota. Żądna łupów szybko wdarta się na umocnienia i rozpoczęła rzeź wszystkiego co żywe.

Toteż mówiono, że zwąły trupów, jakie znaleziono tam później, sięgały miejscami na chłopa wysoko.

Wreszcie kiedy i tu skończono walczyć, słońce zaczęło się schylać ku zachodowi, ponad pasmo pobliskich lasów. Jedyne pościg za uciekającymi trwał, a rycerstwo wracało z niego jeszcze do późna w noc.

Była godzina siódma.

POLSKIE CHORAĞWIE SKUPIŁY SIĘ wokół zdobytego obozu krzyżackiego. Ponieważ położony był na wzgórzu, najbliższą okolicę było widać jak na dłoni. W świetle zachodzącego słońca zamykająca horyzont linia

lasów była intensywnie fioletowa, niebo coraz bardziej granatowe, a po polach rozświetlonych czerwono kładły się długie cienie drzew.

Na drogach idących ku północy i zachodowi widać było cwałujących jeźdźców. Na ich pancierzach migotały czerwone błyski, a cienie biegły za nimi po przydrożnych zagonach.

Część chorągwi, ufając wytrzymałości swoich wierzchowców, pognąła za uciekającymi, podniecona nie tyle bojową ochotą, co żądzą zysku, bo pojmanie znacniejszego jeńca pozwalało spodziewać się sowitego okupu, a sama nawet zbroja, jeśli szczęśliwie udało się zdobyć bardziej bogatą, kosztowała tyle co cała wieś.

Król polecił ogłosić wojsku, że nie sprzeciwia się pogoni, jeśli nie wszczyna się jej z żądzą mordy, bo dość już dzisiaj obfite żniwo zebrała śmierć. Mimo to nie wszyscy byli posłuszni królewskiemu rozkazowi. Niektórzy, zaznawszy od Zakonu wielkich krzywd, pragnęli zaspokoić ciągle jeszcze żywe pragnienie pomsty, toteż i w ucieczce zakonni rycerze znaczyli drogę padającymi ciałami, a na skutek paniki i tłoku wielu utonęło w bagnach, które ciągnęły się o dwie mile dalej.

Doniesiono wkrótce królowi o śmierci wielkiego mistrza i wielu zakonnych dostojników. Poznajdywano bowiem ciała Kunona von Lichtensteina, Fryderyka von Wallenrode, Albrechta Schwarcburga, Tomasza von Markheima, komturów von Wobecke, von Helfensteina, von Pinzenaua, von Wendego, von Badena, von Stolla, von Sayna i wielu, wielu innych komturów, wojów i zakonnych rycerzy.

Ich ciała złożono jedno podle drugiego. Leżeli więc martwi, uśmierzeni na zawsze, wpatrując się niewidzącymi oczami w niebo rozciągnięte nad nimi. Ciało wielkiego mistrza rozkazał król złożyć na obity purpurą wóz z czterokonnym zaprzęgiem i z ochronnym pocztem wysłał do Malborka, gdzie istotnie po kilku dniach dotarło.

Chorągwi zakonnych zdobyto pięćdziesiąt i jedną, wbijając je wokół królewskiego namiotu. Niektórym wydawała się dziwna ta zbieżność liczb, bo tyleż polskich chorągwi wzięło udział w bitwie.

To wszystko stało się dopiero następnego dnia, bo tego wieczoru król był tak zmordowany, że z nikim nie chciał rozmawiać. Zresztą i nie mógł, bo od wydawania rozkazów i krzyków, jakimi podniecał chorągwie, tak rozboleło go gardło, że mógł mówić tylko szeptem, i to z trudnością. Toteż przy

spotkaniu po bitwie z Witoldem bez słowa wziął go w ramiona i jakiś czas trzymał w uścisku.

Potem rozkazał, by wojska ruszyły od pobojuwiska i przeniosły obóz ćwierć mili na pomoc. Zaraz więc wyjechały wozy, tak własne, jak zdobyczne, zaprzęgane już w z wolna zapadającym mroku.

Po rozbiciu namiotów na nowym miejscu nikt jednak nie myślał o spoczynku. Rozpalono zaraz ognie i przygotowywano wieczerzę, bo od wczorajszego wieczoru prawie cała armia nic nie miała w ustach. Nie zważano jednak ani na głód, ani na zmęczenie walką, tak powszechne panowało podniecenie i radość z odniesionego zwycięstwa. Opowiadano sobie przygody i zdarzenia, fragmenty walk z różnych bitew stoczonych w ciągu dnia, a wreszcie chwalono się łupami, których zdobyto niezmierną ilość.

Te biesiady i rozmowy przy ogniskach przerywane były często przez powracających z pościgu, którzy z kolei opowiadali jego przebieg.

Król zaś, mocno zmordowany i ochrypły, pragnąc samotności, odsunął się od swojego dworu pomiędzy drzewa gaju, gdzie czekał, aż rozbiją mu namiot. Tymczasem legł pod krzakiem na wymoszczone prowizorycznie pościele z gałęzi i odpoczywał w milczeniu. Zatrzymał przy sobie tylko sekretarza.

Słońce już zaszło i zaczęło się ściemniać. Król, leżąc, wpatrywał się w niebo, na którym zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy. Czuł ogromne zmęczenie. Nie był zdolny do radości z powodu zwycięstwa, a nawet do skupienia myśli. Najważniejszym uczuciem, jakie w nim dominowało, była ogromna ulga. Czuł się jak wędrowiec dźwigający wiele dni i wiele mil ogromny ciężar, który nareszcie z siebie zrzucił.

W mroku zamajaczyła jakaś postać i rozległy się ciche stąpania. Jagiełło odwrócił głowę, ale nie odezwał się.

— Wy to, miłościwy panie? — rozległ się głos kanclerza.

— Miłościwy pan nie może mówić, tak utrudził gardło — odezwał się Zbigniew, wstając z pnia, na którym przysiadł w pobliżu.

— Może, może... — zaprzeczył Jagiełło, ale mówił tak cicho, że ledwie było go słyszeć. Milczał chwilę, zanim znów się odezwał: — Znojny mieliśmy dzień, co, Mikołaju?

— Nie zapomni o nim historia, miłościwy panie — odpowiedział z powagą Trąba.

Jagiełło zamilkł. Po chwili usłyszeli jego szept:

— Pić mi się chce... Zbigniewie, przynieś nieco wody...

— Ale bacz — upomniał go kanclerz — aby nie była zimna.

Zbigniew odszedł, a ci dwaj nic już do siebie nie mówili, w milczeniu rozumiejąc się równie dobrze jak w słowach.

W NOCY SPADŁ OBFITY DESZCZ i dzień wstał chmurny i mokry. Rankiem Czarny został wezwany do księdza Andrzeja. Kiedy wszedł do jego namiotu, proboszcz, tym razem niezajęty pracą, przywitał go z wesołym błyskiem w oczach.

— Mówił mi kanclerz, żeś dzielnie sobie poczynił! Przypadłeś mu do serca, z czegom wielce rad!

Czarny skłonił się.

— I jam rad z pochwały, wasza wielebność...

— Natrudziłeś się i ty w przygotowaniach do wczorajszego dnia. Dlatego, jakem ci już obiecał, nagroda cię nie minie, ale z tym należy jeszcze poczekać, bo moc spraw na głowie ma miłościwy pan. Ale już zapowiedział, że nagrodzi wszystkich, którzy dopomogli mu do tego zwycięstwa!

Czarny nie odzywał się, czekając, co usłyszy dalej.

— Nie po to wszakże cię wezwałem. Jeszcze dziś jedzie do Krakowa podkomorzy Morawiec z listami do królowej. Jeśli chcesz, przydzielę cię do niego. Nie zabaw jednak dłużej jak dziesięć dni i wracaj do armii.

— Wasza wielebność... nie wiem, jak mam dziękować... — Czarny ze wzruszenia nie umiał znaleźć słów.

— Nie potrzebujesz jechać do Sośnicy, bo żonę znajdziesz w Krakowie. Zjechała tam niedawno, o czym mi właśnie donosi kanonik Dunin. Jest z nią i twoja siostra, co przypomina mi twego towarzysza, owego Jakcę, coś mi o nim mówił. Myślę, że książ i jemu jechać pozwoli!

— Pamiętajcie o wszystkim! — zdumiał się Czarny.

— Moja służba nauczyła mnie tego, synu. Jedź więc i wracaj zdrowo!

— Wasza wielebność... — Czarny zawahał się. — Rozstawne konie nie będą już królowi potrzebne... Może by...

Proboszcz roześmiał się.

— Tak ci już pilno do żoninego łoża? Ale dobrze mówisz! Powiem Morawcowi, aby z nich korzystał, bo listy istotnie powinny dotrzeć na zamek jak najprędzej! Aha, i jeszcze jedno! Prosięś mnie o radę, jak postąpić z

siostrą, tedy ci ją dam. Druha ostaw w oberży, do domu idź sam i zobacz, jak się ona zachowa. Widząc tylko ciebie, dozna zawodu, że tamten nie przybył, i objawi to, jeśli go miłuje. Bo niewiasta, co u drugiej dojrzy, sama mieć musi! Jeśli nie objawi, lepiej, by się nie zobaczyli. No, bądź zdrów!

WYRUSZYLI W PIĘCIU: MORAWIEC z dwoma przybocznymi, Czarny i Jaksą. Chcieli zabrać ze sobą i Dzieweczkę, ale ten obłowił się tak wielką zdobyczą, że w dwa również zdobyczne wozy ledwie ją mógł zmieścić. Musiał więc tego dobrze pilnować, jako że majątek nad człowiekiem zawsze panuje i pozbawia swobody ruchów.

Pożegnali zatem olbrzyna i ruszyli w drogę. Korzystając z rozstawnych koni, osiągnęli Płock jeszcze przed nocą, a potem, gnając na Łęczycę, Wolborz i Chęciny, piątego dnia dotarli do Krakowa.

Ostatnie parę mil drogi Jaksą przebył w zupełnym milczeniu. Twarz mu się ściągnęła, do nikogo nie przemówił słowa, jechał zapatrzony w drogę przed sobą. Czarnemu żal go było, bo wiedział, co druh przeżywa teraz, kiedy zbliżała się godzina mająca wszystko rozstrzygnąć.

Wreszcie późnym popołudniem ujrzeli z daleka zasnutę niebieską mgłą mury i baszty Krakowa. Koni nie trzeba było przynaglać, bo poczuwszy kres podróży, same przyśpieszyły biegu.

Ominęli mury od wschodniej strony, jadąc przedmieściami, by nie przepychać się przez zatłoczone ulice, i wjechali do miasta Grodzką bramą. I Morawcowi, i Czarnemu stąd było najbliżej. Jaksą zaś propozycję obrania tej drogi przyjął wzruszeniem ramion. Odezwał się dopiero, kiedy już się rozstawali:

— Będę „Pod Turem”, tam przyślij wiadomość. Jeśli odmówi, przybądź sam, dobrze?

Spojrzeli sobie w oczy. Czarny próbował się uśmiechnąć.

— Pewnie, że wówczas przyjadę! Przecie nie ostawię cię w takiej chwili samego, a gadać będzie o czym! No, bywaj i bądź dobrej myśli, co będę mógł, to zrobię! Jaksa skinął głową i podążyli każdy w swoją stronę.

Czarny, jadąc Kanoniczną, rozglądał się dookoła, jakby nie był tu od dobrych kilku lat. Tu oto ta sama co dawniej dziura w płocie, a tam po raz pierwszy dostrzegł Kostura... Jednocześnie gnał konia, niezbyt zważając na przechodniów. Kiedy zaś dopadł wreszcie domu kanonika, jeszcze w biegu prysnął z siodła i jednym skokiem dopadł kołatki.

Po chwili usłyszał szelest lekkich kroków, a kiedy drzwi uchylły się, zobaczył w nich Unę. Patrzyła na niego bez słowa i widział, jak oczy jej stają się coraz większe i większe. Wreszcie jak gdyby ocknęła się i z przeraźliwym krzykiem rzuciła mu się na szyję. Krzyk ten echo poniosło po całym domu.

Uścisk trwał długo i przerwała go sama.

— Puść, bo tchu mi brak! Żebra mi połamiesz!

Odsunął ją od siebie na odległość ramion, po czym znów przycisnął ku sobie i teraz dopiero pocałunkom nie było końca.

To powitanie przerwało ukazanie się Zyty. Stała u szczytu schodów w długiej czarnej sukni i spoglądała na nich ciemnymi oczami.

Opamiętali się, kiedy usłyszeli jej drżący głos:

— A Jaksa? Gdzie Jaksa? — Potem nieomal krzyknęła z rozpaczą w głosie: — Bert, mów, co z nim?!

Czarny odsunął lekko żonę i począł wstępować na schody. Jednocześnie nie mógł opanować uśmiechu, bo początek wydał mu się całkiem dobry. Toteż rzucił beztrosko:

— Nie przywitasz się ze mną?

Zyta zdawała się nie słyszeć tego pytania. Patrzyła w jego uśmiechniętą twarz bez słowa i zapewne ten uśmiech uśmierzył jej strach, ale nie przywrócił sił,

których pozbawił, bo raptem nogi zaczęły się z wolna pod nią uginać i usiadła na stopniu schodów.

— Czy ranny? — szepnęła.

Czarny nachylił się nad siostrą, uniósł ją do góry, biorąc w ramiona, i celowo nie odpowiedział na to pytanie.

— Cieszę się, że cię widzę, siostrzyczko!

Zyta zdawała się jednak być pochłonięta tylko jedną myślą, od której nie potrafiła się oderwać, gdyż, całując go, spytała:

— Czemu nie mówisz? Co się z nim stało?

— Dlaczego miałoby się coś stać? — odpowiedział pytaniem Czarny, widząc już, że chyba do gospody nie będzie potrzebował jechać.

— To... to dlaczego nie przybył?

— A po co, skoroś mu odmówiła ręki? Aby na nowo szarpać stare rany?

— Gdzie jest?

— Za górami, za lasami... Okiem nie sięgnąć, koniem nie dobiec... — zanucił, wypuszczając siostrę z ramion.

W drzwiach zaczęła ukazywać się służba, ciekawa widoku rycerza wracającego z wojennej wyprawy, toteż Una zawołała:

— Nie stójmy tu w sieni! Idźcie do komnaty, bo widzę, że ten huncwot znów coś uknuł! Muszę wiedzieć co, a tu gadać nie będziemy! Zaraz do was przybiegnę, tylko rozkażę przygotować posiłek, boś pewnie głodny!

— Jak wilk! A jak mi nie dasz czego do gęby, to pożrę ciebie!

— Zważaj, abys się nie udławił! A Zyty nie dręcz i gadaj z nią po ludzku! — Una zaszumiła spódnicą i goniąc służbę, ruszyła do kuchni. Czarny wziął siostrę za rękę i poprowadził na górę.

— Gdzie Jaksę? — Zyta, ogarnięta tą jedną myślą, powtórzyła pytanie. —
Czemu z tobą nie przybył?

Czarny odpowiedział dopiero po chwili.

— Jużem ci powiedział. I myślę, że ma rację. Skoro tak obstajesz przy klasztorze,
po co ma ci tę drogę utrudniać?

Zyta zachnęła się niecierpliwie.

— Bert, nie dręcz mnie... Dość się już nacierpiałam... Wielem też na nowo
przemysłała...

Czarny, już pewny swego, rzucił:

— Poniechajmy więc zbytnich słów. Spójrz mi w oczy i powiedz, chcesz go?

Ona jednak, nie mogąc widać zdobyć się na odpowiedź, spytała tylko:

— Kiedy będę go mogła ujrzeć? Ty wrócisz, a on nie...

— No i gadaj tu z babą! — Czarny udał zagniewanego. — Ale jeśli mi powiesz,
że go chcesz, strzelę ino palcami i już go będziesz miała!

Zyta, nie unosząc głowy, zerknęła tylko na brata i szepnęła cicho:

— Chcę...

Czarny porwał ją za ramiona i uniół w górę, okręcając wokół siebie. W tej
chwili weszła do pokoju Una, do której krzyknął:

— Posyłaj po Jaksę! Niechże to wie jak najprędzej, bo zgryziony trapi się teraz
samotnie!

— Ale gdzie, mówże wreszcie!

— W gospodzie „Pod Turem”! Poślij mu zaraz wiadomość!

— A niechże cię! To nie mogliście przybyć razem?! Zawsze coś wymyślisz!

— Bo mądry człek mi powiedział, że jak niewiasta u drugiej coś dojrzy, zaraz
sama chce to mieć!

— O czym ty gadasz? — Una spojrzała na męża ze zdumieniem.

— Nic takiego... No, ślij tego postaćca!

Po niedługim czasie usłyszeli, jak drzwi na dole trzasnęły z hukiem, a potem dobiegł ich odgłos szybkich kroków i na progu stanął Rudy. Zatrzymał się przy wejściu i stał wpatrzony w Zytę.

Ta również nie ruszała się z miejsca i stali tak, patrząc przez całą długość komnaty. Wreszcie ruszyli jednocześnie z miejsca i poczęli zbliżać się ku sobie.

Una ujęła męża pod ramię i wyprowadziła z pokoju. Kiedy zaś znaleźli się w swojej sypialni, w pewnej chwili odepchnęła go, ale zaraz potem spytała, zbliżając usta do jego ucha:

— Nie możesz poczekać do nocy?